
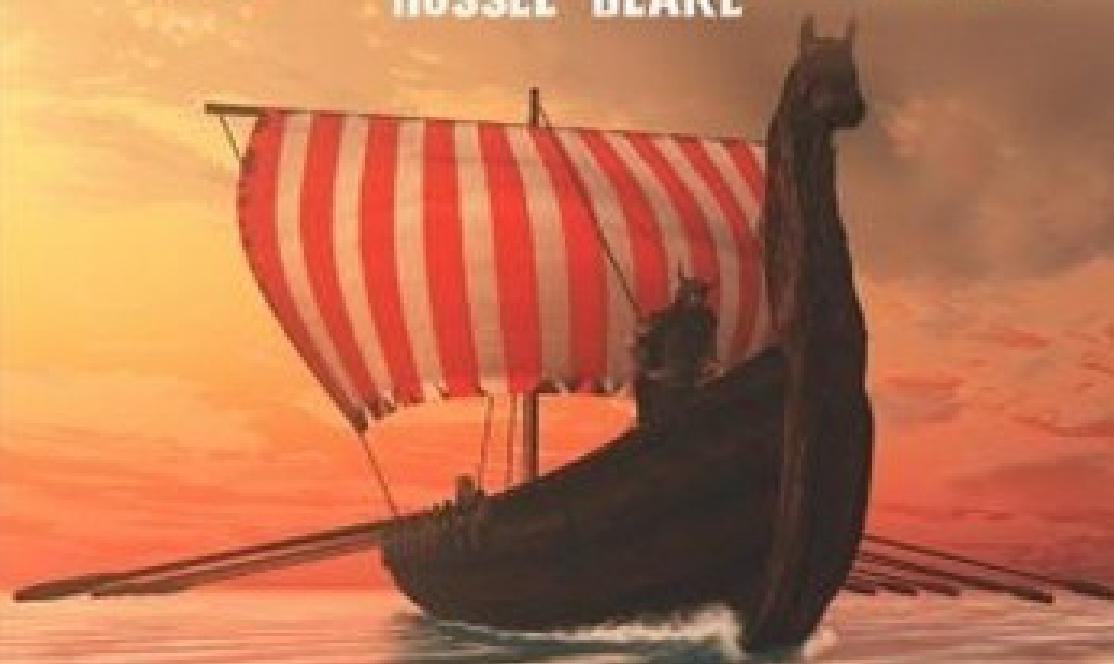


NOWY ŚWIATOWY BESTSELLER
WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY z cyklu FARGO

CLIVE CUSSLER



RUSSEL BLAKE



OKO NIEBIOS

PROLOG

Gdzieś na Morzu Labradorским, rok 1085

Błyski piorunów przeszywających zachmurzone nocne niebo wydobywały z mroku utrudzone twarze mężczyzn, którzy zgięci nad długimi, ciężkimi wiosłami, zmagali się z niszczycielską siłą wzburzonego morza. Dowódca długiej łodzi wikingów, balansując ciałem w rytm nieustannego kołysania, obserwował bijące w rufę spiętrzone fale.

Gnane lodowatym wichrem strzeliste ściany czarnej wody w każdej chwili mogły wywrócić statek do góry dnem. Zalewani strugami deszczu wiosłarze pracowali bez wytchnienia, bo od tego zależało ich życie. Dowódca popatrzył na nich surowo, marszcząc czoło smagane ulewą. Woda ściekała mu po twarzy wzdłuż ledwie widocznej, bladej szramy bitewnej, ciągnącej się od kącika lewego oka do pokrytej jasnym zarostem brody. Należał do zaprawionego w bojach rodu awanturników i łupieżców, od dziecka pływał po oceanie i niepohamowany gniew natury nie był dla niego czymś nowym. Trudno zliczyć noce, podczas których ciskał klątwy na zdradliwe wody Morza Północnego, ale tak gwałtowny sztorm spotkał po raz pierwszy.

Statek już dawno zszedł z obranego kursu daleko na północ, pędzony mocą rozszalałego żywiołu. Gdyby spróbowali pozostać na wytyczonym kursie, każda z ogromnych fal mogłaby przelać się nad dziobem i zatopić łódź, skazując wszystkich na niechybną śmierć. Można było zrobić tylko jedno - sztormować rufą do fali, aż wydostaną się poza zasięg wścieklej wichury.

Jaskrawy błysk przedarł się przez kotłujące się nisko chmury i zalśnił na mgnienie oka, zanim znów roztopił się w ciemnościach. Dowódca czuł bolesną sztywność mięśni ramion, którymi z całych sił napierał na rumpel wiosła sterowego. Strugi słonej wody spływały mu po płaszczu z niedźwiedziej skóry. Kolejna błyskawica rozświetliła mrok. Tuż za jego plecami na moment zalśnił odbitym światłem kontur rzeźbionego w drewnie smoka, ochlapywany bryzgami piany z grzbietów fal wzburzonego morza.

Wysoki mężczyzna wyszedł pomiędzy zmordowanych wiosłarzy, stąpając pewnie po dębowych pokładnikach mimo niemiłosiernego kołysania. Jego twarz o cerze jak garbowana skóra wieńczyła rozwichrzona grzywa radych włosów.

- Vidar! - zawołał dowódca na widok zastępcy, przekrzykując wycie wiatru. - Tej nocy chyba sam Thor daje upust swej złości.
- W rzeczy samej. Widzi mi się jednak, że najgorsze mamy już za sobą. Fale chyba są niższe niż kilka godzin temu.
- Obyś się nie mylił. Ręce rwą mnie tak, jakbym przez całą noc mocował się z niedźwiedziem.
- Zapewniam cię, że wiem, co czujesz. Widziałeś moją żonę.

Dwaj doświadczeni żeglarze wymienili niewesołe uśmiechy, a potem zastępca podszedł do dowódcy i przejął rumpel z jego zdrętwiałych dłoni.

- Nie sposób nawet się zdrzemnąć pośród tego koszmaru. Co z ludźmi, trzymają się? - spytał dowódca.
- Robią swoje, ale są przemarznięci i wyczerpani. - Vi-dar powstrzymał się przed dodaniem: „przerażeni”. Mężnym wojownikom nie wypadało zdradzać oznak strachu.
- Za długo żłopali piwo i korzystali z gościnności tubylców. Powinni o tym pomyśleć, zanim zaczną się nad sobą rozczulać jak płaczliwe baby.
- Tak jest. Mają teraz sposobność pokazać, ile są warci... Ogluszający odgłos gromu wstrząsnął

kadłubem. Obaj mężczyźni przyglądali się olśniewającym fajerwerkom oczami weteranów, którzy spędzili szmat życia w boju i na oceanie.

Dowódca dostrzegł kątem oka ogromny kształt, wznoszący się za rufą i instynktownie odwrócił się w tamtą stronę. Patrzyli, jak rufa rozcina potężny wał wodny. Huk załamującej się fali zagłuszył wszystkie dźwięki. Statek zawisł przez chwilę na grzbiecie wielkiego grzywacza, po czym osunął się w dół, a czarny potwór zniknął w ciemności.

- Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby ta fala uderzyła w burtę, a nie w rufę? - spytał Vidar stłumionym głosem.

- Bylibyśmy już w drodze do Walhalli.

Obaj powędrowali wzrokiem do strzaskanego, bezużytecznego masztu. Górna połowa pękła jak sucha gałąź i znikła wraz z większą częścią żagla, kiedy zaatakował ich zdradliwy sztorm. Drogo zapłacili za błąd w ocenie sytuacji. Trzeba było wcześniej zrzucić tkaną z surowej wełny płachtę, nie czekając na niszczycielskie uderzenie wiatru, ale dowódca usiłował za wszelką cenę jak najdłużej utrzymać maksymalną prędkość. Co prawda jego załoga składała się z chłopów na schwał, jednak po całej dobie wiosłowania nawet najwięksi mocarze, mimo częstych zmian, byli już u kresu sił.

„Sigran”, zbudowany zgodnie z rygorystycznymi zasadami, był jedną z najbardziej imponujących długich łodzi wikingów. Miał dziewięćdziesięcioosobową załogę, ławy wioślarskie dla osiemdziesięciu ludzi, po dwóch na każde z czterdziestu wioseł, i rozkładany piętnastometrowy maszt. Kadłub liczył trzydzieści cztery metry długości i niecałe pięć metrów szerokości. Stępkę wyciosano z jednego pnia ogromnego dębu, a jako balastu użyto prostokątnych kamieni. W sprzyjających warunkach, z postawionym żaglem, statek mógł osiągać nawet czternaście węzłów, ale w obliczu tak potężnego zimowego atlantyckiego sztormu problemem była nie prędkość, lecz utrzymanie się na powierzchni.

Symetryczny kadłub „Sigruna”, o jednakowym kształcie na obu końcach, pokryty był typowym dla łodzi wikingów poszyciem zakładkowym, ale miał znacznie podwyższone nadburcie, nadawał się więc do żeglugi po otwartym morzu, a jego dziobnicę i stewę rufową zdobiły identyczne rzeźbione głowy smoków. Takie okręty - solidne jednostki o wręcz legendarnej prędkości i wytrzymałości - mogły żeglować po najniebezpieczniejszym oceanie świata. Ale nawet najbardziej odporne konstrukcje mają granice wytrzymałości, a przebyty sztorm przewyższał swym nasileniem wszystko, z czym do tej pory miał do czynienia „Sigrun” i jego załoga.

Potrzeba było jeszcze kilku długich godzin, by z pierwszym brzaskiem przeświecającym przez ciężkie, ołowiane chmury morze zaczęło się stopniowo uspokajać. Najgorsze zagrożenie minęło, więc dowódca polecił wioślarzom udać się na spoczynek, ale wkrótce potem dostrzegł nowe niebezpieczeństwo: lód. Z oparów mgły, w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów od dziobu, wyłoniła się lodowa bryła o rozmiarach niewielkiego pagórka.

- Góra lodowa na kursie! - krzyknął ostrzegawczo do sternika.

Statek miał niewielkie zanurzenie, wciąż jednak dość wysokie jeszcze fale mogły rzucić ich na ukrytą tuż pod powierzchnią masę lodu, o którą roztrzaskałby się drewniany kadłub, a przeraźliwie zimna woda w kilka minut zabiłaby całą załogę. Dziób leniwie schodził z kursu, okręt słabo reagował na ster, poddając się naporowi rozkołysanego morza. Kolejna długa fala pchnęła ich jeszcze bliżej, zdecydowanie za blisko jak na gust dowódcy.

- Przyłóż się mocniej do steru! Ciągnij, ciągnij z całej siły, jeśli ci życie miłe!

I .od owy masyw przesunął się wzdłuż burty w kompletnej ciszy jak złowieszcza zjawia. Dowódca wodził wzrokiem po zmarzniętym monolicie tworzącym samotną wyspę pośrodku oceanu. Po raz kolejny złożył milczące podziękowanie bogom. Skoro trafili na lód, sztorm musiał znieść ich daleko na północ, dużo dalej niż w najgorszych przypuszczeniach. Zachmurzone po horyzont niebo

nie pozwalało wytyczyć nowego kursu przy użyciu prymitywnych przyrządów nawigacyjnych, którymi dysponował.

- Niech przyniosą kruka z ładowni - polecił.

Vidar przekazał rozkaz najbliższemu wioślarzowi, a ten posłusznie ruszył biegiem na dziób. Sztorm osłabił niemal zupełnie, można więc było spróbować tajnej broni wikińskich żeglarzy: ptaków.

Dwaj ludzie otworzyli właz dziobowej ładowni i zniknęli pod pokładem. Chwilę później, gdy pojawili się z powrotem, wyższy z nich trzymał w ręce prostą klatkę, w której poruszał się nerwowo spory czarny kształt. Mężczyzna przyniósł klatkę na stanowisko dowodzenia obok steru i postawił ją na pokładzie. Dowódca jeszcze raz popatrzył na otaczający ich bezmiar wód, po czym przykucnął i spojrzał prosto w oczy kruka.

- Już czas, przyjacielu. Leć prosto i nie zbaczaj z drogi. Masz szósty zmysł, od którego zależy nasze życie. Oby sam Odyn cię poprowadził.

Wyprostował się i skinął przyzwalająco głową.

- Wypuście go. Niech bogowie dodadzą mu sił. Wioślarz uniósł klatkę na wysokość piersi. Vidar podszedł do niej, odwiązał rzemień przytrzymujący drzwiczki i sięgnął do środka. Ptak próbował się opierać, ale nic nie wskórał i Vidar z łatwością otoczył go dłońmi. Wyciągnął kruka i wypowiadając słowa modlitwy, wyrzucił go w powietrze.

Ptak zatoczył krąg nad statkiem dla rozprostowania skrzydeł, przeleciał nad bakburtą i zaczął się oddalać.

- Teraz nie zwlekaj. Zrób zwrot i ustaw dziób na kruka.

Nie spuszczała wzroku z malejącej czarnej kropki, aż znikła w oddali. Szybko skierowali głowę straszliwego smoka na dziobnicy w stronę, w którą odleciał ptak.

- Ile ich jeszcze mamy? - spytał dowódca.
- Tylko jednego - odparł Vidar. - Pozostałe dwa nie przetrwały sztormu.

Biedaczyska. Musiały się potwornie bać. O tym sztormie będziemy opowiadać przy ognisku jako zgrzybiali, posiwiali starcy.

- To prawda. Jednak daliśmy mu radę, a teraz dowiedzieliśmy się, gdzie znajduje się najbliższy ląd.

- Pytanie tylko, jak daleko stąd.
- Właśnie. I czy będzie przyjazny.
- Sądząc po lodzie i spadającej temperaturze, raczej trudno spodziewać się gorącej plaży pełnej ochoczych dziewcząt.
- Obawiam się, że masz rację.

Zamilkli i pograżyli się w rozmyślaniach, niepewni obranego kierunku. Dopiero, kiedy znajdą ziemię i chmury się rozejdą, będą mogli z pomocą słońca wyznaczyć powrotny kurs.

- Każ reszcie ludzi usiąść do wiosła, Vidar. Musimy przebyć jak największy dystans za dnia. Nie chciałbym spędzać kolejnej nocy na morzu w towarzystwie gór lodowych, które w każdej chwili mogą nas zatopić.

Vidar obudził ludzi z wolnej wachty, którzy wykorzystywali każdy kąt, aby złapać trochę snu.

- Wstawać i brać się do roboty! Do wiosła, wikingowie, do wiosła!

Tuż przed wieczorem w oddali dostrzegli ośnieżone szczyty gór. Przy obecnej prędkości dzieliło

ich od nich jakieś pół dnia drogi. Widok ten zelektryzował jednak wyczerpanych ludzi i pobudził ich do zdwojonego wysiłku. Vidar wciąż obsługiwał ster, a stojący tuż obok dowódca z uwagą obserwował powierzchnię morza. W pobliżu lądu zgromadziło się sporo ostrej kry, a od czasu do czasu napotykali góry lodowe.

- Co ty na to? - spytał dowódca, zwracając się do Vidara i warzą poszarzałą od nieprzerwanego, dwudniowego napięcia.

Bez wątplenia jest to jakiś ład. Powiedzmy, że znajdziemy cichą przystań, w której odpoczniemy przez noc, i rano zastanowimy się, co dalej.

- Ludzie gonią już resztkami sił. Można by spróbować prowizorycznie naprawić maszt. Powrót do domu na samych wiosłach ciągnąłby się w nieskończoność.

- Na pewno - zgodził się Vidar.

- Popatrz, tam jest fiord. Płynąc nim w głąb lądu, powinniśmy znaleźć miejsce nadające się na obozowisko - powiedział dowódca, wskazując sękatym paluchem wyłom w urwistej linii brzegowej.

- Przy odrobinie szczęścia może trafimy na ujście rzeki.

- Może i tak - odparł Vidar, mrużąc oczy i wyteżając wzrok.

- Skoro jest tam rzeka, to także słodka woda i pewnie zwierzyna.

- Uzupełnimy kurczące się zapasy.

- Popłyniemy w górę fiordu i zobaczymy, dokąd prowadzi - oznajmił dowódca. - Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, a wkrótce zapadnie zmrok.

- Wszystko jedno, byle schować się przed tym przeklętym wiatrem. Nadbrzeżne klify dadzą nam osłonę przed najsilniejszymi podmuchami.

- Steruj na fiord.

Vidar obrzucił wiosłarzy stanowczym spojrzeniem.

- Mocniej, chłopcy, ciągnijcie z krzyża. Już niedaleko.

Głośniejsze zaskrzypiały wiosła, kiedy ludzie zaczęli pracować ze zdwojoną siłą. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnych oznak życia, tak jakby zostali sami na całej planecie. Mogło się wydawać, że wichry przygnały ich do lodowatego czyścica w najodleglejszym zakątku świata.

- Równo, tak trzymać - komenderował Vidar, kiedy opływali zwały kry gromadzącej się po obu stronach fiordu. - Przed nami przesmyk - zwrócił się do dowódcy. - Z daleka wygląda na bardzo wąski.

- Tak, widzę. Pewnie jest za nim druga zatoka. Tak czy inaczej płyniemy dalej, aż znajdziemy miejsce nadające się do przeczekania nocy. Na razie nie ma gdzie dobić do tego nieprzyjaznego brzegu.

Ostrożnie wśliznęli się do wąskiego kanału i znaleźli się pośród coraz bardziej gęstniejącej kry. Urwiste ściany wznosiły się wysoko, przesłaniając ostatnie promienie zachodzącego słońca. Zrobiło się prawie całkiem ciemno, na szczęście najgorsza pogoda została za nimi, a powierzchnia wody w przesmyku była gładka.

Dowódca wskazał prosto przed dziób.

- Tam, u stóp lodowca. Jest wąsko, ale powinno się nam udać przynajmniej częściowo wyciągnąć statek na brzeg i zabezpieczyć na noc. A o świcie możemy wysłać ludzi na zwiad, żeby sprawdzić, co nas czeka na tej ziemi.

Vidar zerknął na srebrzystą lodową taflę i kiwnął głową. Napał na rumpel i skierował dziób ku wcinającej się w ład zatoczce o pochyłych brzegach. Resztki dziennego światła migotały na wodzie

upstrzonej okrucami lodu, gdy wiosłarze pokonywali ostatnie metry dzielące ich od przystani. Wreszcie wysoko uniesiony dziób podskoczył i zachrobotał na lodowej pokrywie. Załoga zeskoczyła na ląd i wciągnęła statek jak najwyżej na brzeg, aby nie zabrał go przypływ. Toporami bojowymi wyrąbali w lodzie uchwyty unieruchamiające kadłub. Zdołali wyciągnąć z wody ponad połowę ogromnej łodzi, co świadczyło o doskonałości projektu i lekkości konstrukcji statków wikingów. Wreszcie, na znak dowódcy, przerwali prace. Zrobili, co mogli, a teraz, wobec gwałtownie zapadającego zmroku, lepiej było zachować siły i udać się na spoczynek na pokładzie łodzi.

Dowódca wznosił wzrok ku gwiazdom i w cichej modlitwie zwrócił się do bogów, aby pomogli mu doprowadzić ludzi bezpiecznie do domu. Rankiem zamierzał wysłać na zwiad grupę wojowników uzbrojonych w długie łuki, z nadzieją, że przy okazji upolują coś do jedzenia, a w tym czasie reszta zajmie się naprawą masztu. Wprawdzie można było spróbować popłynąć na wschód, do ojczystej ziemi, na samych wiosłach, ale nawet częściowo postawiony żagiel znacznie zwiększał szanse, że dostarczą na miejsce ich bezcenny ładunek.

Ostatnią jego myślą, zanim zasnął, było to, że za wszelką cenę musi zapewnić swym ludziom szczęśliwy powrót, zgodnie z obietnicą złożoną przywódcy wyprawy, który zmarł na obcej ziemi, jakże daleko od domu.

O świcie niebo było zasnuwane aż po horyzont ponurymi, niskimi chmurami. Vidar poruszył się pod peleryną i usłyszał, jak z trzaskiem pęka cienka warstewka pokrywająca ją od zewnątrz lodu. Kiedy zmusił się do otwarcia oczu, zobaczył, że cały statek tonie w bieli. Intensywna nocna śnieżnica otuliła łódź puchowym kobiercem. Leżący nieopodal dowódca przeciągnął się i wstał. Popatrzył na pogrążoną we śnie załogę, a potem przeniósł wzrok na wodę, która teraz była skuta świeżym lodem. W oddali nad oceanem dostrzegł nadciągający wał groźnych burzowych chmur. Podszedł do Yidara, który usiadł z wyraźnym trudem, prostując zeszywniałe z zimna kończyny.

- Obawiam się, że nadchodzi kolejny sztorm. Każ ludziom rozłożyć ocalałą resztę żagla - polecił dowódca. -Użyjemy jej jako osłony. Sądząc po wyglądzie tych chmur, nie zdołaliśmy wydostać się poza zasięg burzy.

Vidar kiwnął głową i zerknął na niebo.

- Zostało nam niewiele czasu do powrotu nawałnicy. Wstał i krzyknął do załogi:

- Koniec leniuchowania, chłopcy! Pobudka! Rozwińcie żagiel i rozciągnijcie nad kadłubem. A uwijajcie się wartko, chyba że wolicie znaleźć się po szyję w zimnej brei!

Półprzutomni ludzie zabrali się do roboty. Zdołali postawić nad łodzią prowizoryczny namiot i zdążyli schować się pod nim tuż przed pierwszą falą marznącego deszczu zmieszanego ze śniegiem. Po chwili wielkie kule gradu wściekle załomotały o tkaninę. Wszyscy błogosławili w myślach szybką decyzję dowódcy, bo wichura miotła statkiem z furią potężnego demona.

Nawałnica zaczęła słabnąć dopiero koło południa. W końcu zapadła cisza, słychać było tylko ciężkie oddechy, ogrzewające wnętrza schronienia.

Dowódca uniósł brzeg płachty i wyjrzał na zewnątrz. Jak okiem sięgnąć, oślepiająca biel pokrywała wszystko wokół, łącznie z łodzią, zasypaną aż po nadburcia. Natychmiast pojął, że ich przyszłość maluje się w smętnych barwach. Statek został unieruchomiony na dobre, tkwili w pułapce i nic nie wskazywało na to, by pozostały im jakiegokolwiek szanse przetrwania.

Tuż obok niego wystawił głowę Vidar, a potem reszta załogi powoli odsunęła żagiel. Mężczyźni zamarli na widok bezmiaru arktycznego pustkowia. Dowódca rozejrzał się dokoła i wyprostował ramiona.

- Doskonale. Najgorsze mamy już za sobą. Vidar, dołącz do siebie ludzi i ruszaj na zwiad. Trzeba się rozejrzeć po okolicy, póki pogoda na to pozwala. Powrót przed zmierzchem. Muszę się zorientować, z czym mamy do czynienia.

Vidar zwrócił się do załogi ze stoickim spokojem, wydając rzeczowe rozkazy.

- Wybierzcie spośród siebie trzydziestkę najlepszych łuczników. Każdy ma mieć łuk i miecz oraz prowiant na cały dzień. Wymarsz jak najprędzej, kiedy wszyscy będą gotowi.

Pośród załogi zapanowało ożywienie, każdy chciał wreszcie postawić stopę na lądzie. Nie obyło się bez przyjacielskich sporów o to, kto jest lepszym łucznikiem i komu przypadnie ten zaszczyt. Po szybkim skompletowaniu uzbrojenia i wiktuałów wikingowie ruszyli przez kopny śnieg, tworząc rozciągniętą linię obszarpanych postaci, zdążającą z wolna w stronę lodowca w poszukiwaniu dogodnego podejścia. W końcu Vidar okrzykiem ściągnął ich uwagę, wskazując wąską szczelinę w białej pokrywie, gdzie postrzępione skały wystawały ze stromego zbocza. Kolumna skręciła w tym kierunku, po czym tworzący ją ludzie jeden po drugim znikali nad krawędzią wzniesienia.

Niebo zaczynało już szarzeć, gdy dowódca dostrzegł znajomą postać Vidara z widoczną z daleka płomiennorudą brodą, za którym schodzili z lodowca zmęczeni łucznicy. Dotarłszy do statku, Vidar pozdrowił dowódcę szybkim ukłonem, po czym obaj przeszli na rufę, gdzie mogli porozmawiać na osobności.

- Szliśmy przez wiele godzin, ale wszędzie nic, tylko lód. Nie zauważyłem choćby pojedynczego ptaka.

- To pustkowie nie może się ciągnąć bez końca. Jak wygląda dalsza okolica?

- Ze wszystkich stron horyzont zasłaniają góry. Trzeba będzie jutro spróbować do nich dotrzeć, to nasza jedyna szansa. Na lądzie musi być przecież jakieś życie. Jeśli się nam poszczęści, upolujemy coś i wrócimy ze zdobyczą.

Dowódca rozważył słowa swego zastępcy.

- Dobrze - rzekł wreszcie. - O świcie wyruszymy obaj, na czele dwóch oddziałów po czterdziestu ludzi. Rozdzielimy się i pójdziemy w przeciwne strony. W ten sposób zwiększymy możliwość, że choćby jedna z grup znajdzie coś do jedzenia. Reszta załogi zostanie tu, wraz ze statkiem.

Następnego ranka wraz z pierwszym brzaskiem mężczyźni wojownicy wyruszyli do walki z wrogiem, którym tym razem były jedynie zimno i głód. Gdy wspięli się na lodowiec, dowódca klepnął swego druha po ramieniu, uściśnął go i powiedział:

- Powodzenia. Obyś przed końcem dnia napełnił sakwy mięsem upolowanej zwierzyny.

- Wzajemnie - odrzekł Vidar. - Wrócimy na statek dopiero wówczas, kiedy nie będziemy mogli unieść więcej zdobyczy.

Dowódca popatrzył mu w oczy i pokiwał głową. Obaj dobrze wiedzieli, że ich przyszłość maluje się w ciemnych barwach, a jedyne, czego mogli się spodziewać, to głód i cierpienie. Ale byli wikingami, dlatego póki żyli, nie zamierzali się poddawać. Wyciągnąwszy rękę w kierunku widocznych w oddali szczytów, dowódca zwrócił się do swoich ludzi pewnym, donośnym głosem:

- Dalej, wikingowie! Są tam strumienie krystalicznie czystej wody i tłuste renifery, które aż przebierają nogami, by zawrzeć z wami bliższą znajomość. Nie każmy im czekać zbyt długo!

Po tych słowach ruszył w stronę odległych gór, poruszając się z gracją drapieżnego kota, i poprowadził ich z niezłomną pewnością siebie, jak przystało na urodzonego przywódcę.

ROZDZIAŁ 1Kartagena, Hiszpania, czasy współczesne

„Bermudez” kołysał się leniwie na lekko sfalowanej powierzchni błękitnego morza, szamocząc się na łańcuchu kotwicznym jak rozbrykany pies na krótkiej smyczy. Długi na prawie trzydzieści

metrów statek badawczy o stalowym kadłubie miał dużo lepszą stateczność od innych jednostek podobnej wielkości, a z wyglądu bardziej przypominał zwykły rybacki trawler niż pływającą bazę morskich archeologów. Kilkadziesiąt metrów za jego rufą podskakiwała na falach bojka z czerwono-białą chorągiewką, sygnalizująca obecność nurka w wodzie.

Bąble powietrza zabulgotały wokół ogromnej rufowej platformy nurkowej i po chwili spod powierzchni wynurzyła się Remi Fargo. Kiedy stanęła na stopniu częściowo zanurzonej drabinki, woda spłynęła z jej czarnego skafandra. Przesunęła maskę nad czoło, rozkoszując się ciepłem wiosennego słońca, po czym, przykucnąwszy lekko w wodzie, zsunęła z ramion kamizelkę wypornościową. Sam Fargo podreptał na rufę, zszedł po drabince i stanąwszy obok niej, znieruchomiał na chwilę, podziwiając urodę żony. Potem wyciągnął rękę, aby pomóc jej w pozbyciu się płetw i reszty wyposażenia.

- Cóż to za przecudne zjawisko wynurza się z morskich głębin? Zali nimfa jakowaś czy syrena? - spytał żartobliwie.

Remi popatrzyła na męża z rezerwą i pacnęła go otwartą dłonią w pierś.

- Czyżbyś mnie podrywał? Wzruszył ramionami.

- Pomyślałem sobie, że drobny komplement jest zawsze na miejscu.
- Daleko zajdziesz, młodzieńcze. Widzę przed tobą świetlaną przyszłość.

Sam bez wysiłku uniósł jej osprzęt jedną ręką. Mięśnie, wyraźnie zarysowane pod lekko spieczoną słońcem skórą, ledwie się napięły, choć całość wraz z butlą i balastem ważyła niemal dwadzieścia kilogramów.

- Znalazłaś coś jeszcze?
- Nie. Chyba skatalogowaliśmy już wszystko.

Nowa seria pęcherzyków spieniła powierzchnię i czyjaś głowa wynurzyła się spod wody.

- Dominie też już wraca.

Drugi nurek wciągnął się na platformę i pozbył się butli oraz reszty wyposażenia. Krótko przycięte czarne włosy, lekko poprządkane siwizną, wieńczyły jego szczupłą, smagłą twarz. Mężczyzna uśmiechnął się do nich i podniósł oba kciuki w górę.

- Zdaje się, że skończyliśmy, co nie? - spytał, choć zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie. Był kapitanem tego statku i zarazem szefem hiszpańskiego zespołu nurków wynajętego przez Uniwersytet Sewilski do zbadania wraku leżącego na głębokości nieco ponad czterdziestu metrów, więc decyzja należała do niego, ale przez grzeczność czekał na opinię dwojga amerykańskich kolegów, którzy byli doświadczonymi poszukiwaczami skarbów. Tak naprawdę to oni odkryli wrak i poinformowali Zakład Historii Żeglugi. Po wstępnych oględzinach znaleziska doszli do wniosku, że to siedemnastowieczny statek handlowy, który zatonął podczas zimowego sztormu. Leżał pokryty osadem na granicy szelfu, niedaleko uskoku, za którym dno schodziło stromo w dół. Okazało się, że trafnie określili rodzaj jednostki, i wkrótce grupa nurków i archeologów morskich przy współpracy małżonków Fargo rozpoczęła badania statku, próbując określić jego znaczenie historyczne.

- Na to wygląda - przyznała Remi, przeczesując palcami włosy, mieniące się jaśniejszymi pasmami brązu tam, gdzie zaczęły już wysychać.

Rozsunęła suwak z przodu skafandra i bezwiednie dotknęła dłonią małego złotego skarabeusza zawieszzonego na rzemyku okalającym jej szyję. Był to jej nowy amulet na szczęście, który dostała w kunsztownej szkatułce od Dominica zaraz po przyjeździe. I rzeczywiście, okazał się szczęśliwy. Mimo sporej głębokości nurkowanie przebiegało bez żadnych problemów. Spędzili idylliczny tydzień w cudownym miejscu, robiąc to, co kochali najbardziej. Kapitan był uroczy, a jego ludzie

uprzejmi i kompetentni. Gdyby wszystkie nasze przygody miały tak spokojny przebieg, pomyślała i z uśmiechem zwróciła się do męża:

- Czy jest tu w pobliżu jakieś miejsce, w którym dziewczyna mogłaby się trochę odświeżyć?
- Kabina czeka. Szampan w lodzie, czekoladki na poduszce - odrzekł Sam z lekkim ukłonem.
- Jak cię znam, to sam wypileś szampana i zjezałeś czekoladki - powiedziała, udając zagniewanie.
- Czytasz we mnie jak w otwartej księdze. Skąd wiedziałaś?
- Masz brązową smugę na policzku.

Woda przyniosła narastające głucho dudnienie potężnych wysokoprężnych silników. Odwrócili głowy i zobaczyli ogromny biały prywatny jacht, który zbliżył się na niecałe dwieście metrów i zastopował maszyny. Remi wpatrywała się w jego płaską rufę, ale nazwę i port macierzysty zasłaniał długi rząd butli na specjalnie skonstruowanym uchwycie.

- Spora łajba - stwierdziła.
- Co najmniej czterdzieści pięć metrów długości.
- Dużo butli. Od razu widać, że poważnie podchodzą do nurkowania.

Ktoś z załogi luksusowej jednostki przeszedł na dziób. Po chwili do wody spadła kotwica, by z brzękiem długiego łańcucha powędrować na dno. W odległości dwóch i pół mili wznosiła się ku letniemu niebu urwista, poszarpana linia brzegowa. Bliżej znajdowała się Isla de Las Palomas, otoczona całą flotą łodzi wycieczkowych i małych jachtów, które wynajmowano na jednodniowe wycieczki w okolicznych przystaniach. Śnieżnobiały pełnomorski jacht centymetr po centymetrze zbliżał się do Kartagenu, popularnego portu, w którym miało swój początek wiele rejsów turystycznych po Morzu Śródziemnym.

- Nie dziwi cię, Dominicu, że ta łajba ma zamiar zakotwiczyć tak blisko naszego wraku? - spytał Sam.
- Niespecjalnie - usłyszał w odpowiedzi. - Wiele łodzi staje tu na noc, wiedząc, że w razie czego mogą liczyć na pomoc innych jednostek.
- Tyle że my znajdujemy się dość daleko od uczęszczanego szlaku, nie uważasz? - wtrąciła się Remi.
- Może po prostu interesuje ich, co my robimy w tym miejscu - zastanawiał się Sam. - Stoimy tu od tygodnia, a chorągiewka nurkowa widoczna jest z daleka.
- Pewnie o to właśnie chodzi. Zwykła ludzka ciekawość - powiedział Dominie, najwyraźniej nie widząc żadnego problemu.

Remi osłoniła dłonią oczy i obserwowała jacht, na którym właśnie wydano jeszcze więcej łańcucha kotwicznego.

- Mam tylko nadzieję, że nie znajdą wraku i nie uszkodzą żadnego z zabytkowych przedmiotów przed przybyciem przedstawicieli władz.
- O to bym się nie martwił - pocieszył ją Dominie. - Nurkowie doskonale wiedzą, że penetrowanie wnętrza wraku niemal całkowicie zagrzebanego w osadach jest wyjątkowo niebezpieczne. Nikt nie chce utknąć w pułapce. To wyrok śmierci...
- Chyba masz rację - przerwała mu Remi, wystawiając twarz do przedpołudniowego słońca i zamykając oczy. Kiedy je otworzyła, patrzyła na Sama. - Zdaje się, że próbowałaś podrywać mnie na czekoladki i szampana?
- To była raczej zawoalowana pogroźka.

- Wiedz, że niełatwo mnie nastraszyć, czy to w zawoalowany sposób, czy w jakikolwiek inny.

Odłożyli sprzęt i poszli do swojej kabiny. Jak na okrętowe standardy, była bardzo obszerna, ze ścianami wyłożonymi mahoniem. Ciemne drewno zmatowiało przez lata, ale wciąż zachowywało głęboką ciepłą barwę. Sam usiadł przy małym, przymocowanym na stałe stoliku pod jednym z dwóch iluminatorów, a Remi zniknęła w łazience, skąd po chwili dało się słyszeć intensywny szum wody z maksymalnie odkręconego prysznica.

- Wierzysz w to, że ten jacht jest zupełnie nieszkodliwy? - zawołała z kabiny.
- Nie mam powodów uważać inaczej - odparł Sam.
- We wraku znajduje się wiele bardzo wartościowych rzeźb - przypomniała mu Remi.

Statek zatonął wraz z całą załogą, a wieść niesła, że pod pokładem przemycano bezcenne antyki z Grecji do Wielkiej Brytanii, gdzie powstał potężny rynek, zaspokajający ogromny popyt, jakim cieszyły się wśród koronowanych głów i arystokracji. Dokładna inwentaryzacja wraku potwierdziła kilkusetletnie podejrzenia. W ładowni znajdowały się nieznane greckie dzieła sztuki o wartości wielu milionów dolarów. Był to bez wątpienia prawdziwy skarb, choć nieco innej natury niż stereotypowe złoto i kosztowności.

Znalezisko miało być utrzymane w tajemnicy do czasu zorganizowania przez władze operacji wydobycia rzeźb z morskiego dna. Istniało niebezpieczeństwo, że wcześniej pojawią się najemni poszukiwacze skarbów i zniszczą stanowisko archeologiczne podczas próby jego splądrowania, ale prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy było niewielkie.

~ Rzeczywiście, posągi są bardzo cenne - przyznał Sam. - Naród hiszpański na pewno nie życzyłby sobie, aby ktokolwiek odebrał mu jego własność.

Fargo wyznawali zasadę, że wszystko, co odkryli, przechodzi na własność lokalnych władz, Dzięki temu byli zawsze mile widziani podczas wszelkich ekspedycji prowadzonych na całym świecie. Uczestniczyli w tej grze dla przyjemności, nie dla pieniędzy. Sam był człowiekiem bardzo zamożnym, a jego sytuacja finansowa całkiem się ustabilizowała, kiedy przed laty sprzedał swoją firmę bogatemu konsorcjum.

- Najwyraźniej Dominie też się tym nie przejmuje, a kto jak kto, ale on dobrze zna te wody.

Ucichł szum prysznica i otworzyły się drzwi łazienki. Remi, owinięta grubym ręcznikiem, wycierała włosy przed lustrem, a Sam klepał w klawisze stojącego przed nim laptopa.

- To prawda - powiedział.
- Uważam, że powinniśmy mieć oko na ten jacht.

- Aye, aye, kapitanie. - Sam przeniósł wzrok z ekranu komputera na drzwi łazienki, w których widział częściowo sylwetkę żony szcztokującej gęste pukle kasztanowych włosów. - Czy mówiłem ci już, że wyglądasz uroczo?

- Zdecydowanie zbyt rzadko. A co z szampanem i czekoladkami?
- Może trochę przesadziłem, chcąc zwabić cię pod pokład.
- Udało ci się. Mam nadzieję, że zaproponujesz mi jakieś atrakcje zastępcze.

Sam zamknął pokrywę laptopa.

- Chodzi mi po głowie kilka pomysłów...

ROZDZIAŁ 2

Po powrocie na główny pokład Sam i Remi spojrzeli w górę na wyższy poziom, gdzie wokół zastawionego butelkami piwa karcianego stolika siedziało kilku ludzi z załogi. Śmiejąc się, dorzucali pieniądze do puli i patrzyli sobie uważnie na ręce. Nad ich głowami unosiły się kłęby dymu z ręcznie skręcanych papierosów. Ekspedycja dobiegła końca, teraz był czas na zabawę, a w tym Hiszpanie nie mieli sobie równych.

Remi przyglądała się z rozbawieniem, jak jeden z mężczyzn zarzucił oszustwo szefowi zespołu nurków. Jak można się było spodziewać, reakcją pomówionego było święte oburzenie i urażona duma, którą natychmiast ukojono kilkoma toastami, potwierdzającymi jego kryształową uczciwość. Obejrzała się na męża, ale on poszedł już na rufę i stał tam, wpatrzony w horyzont. Lekka bryza z południa bawiła się jego włosami i luźną białą koszulą. Remi stanęła obok i teraz razem przyglądali się, jak czterej nurkowie na pokładzie jachtu zakładają pianki i sprzęt, a potem schodzą pod wodę.

- Czyżbyś myślała to samo co ja? - odezwał się Sam.
 - Że ktoś puścił farbę?
 - Jest cudowne popołudnie. Właściwie dlaczego nie mielibyśmy sobie zanurkować tak dla przyjemności?
 - Nie mogę schodzić zbyt głęboko. Brakuje mi jeszcze sporo czasu do końca przerwy powierzchniowej.
 - Nie będzie takiej potrzeby. Zamierzam się tylko rozejrzeć, by się upewnić, że nasze podejrzenia są niesłuszne.
 - To, że jesteś paranoikiem, nie oznacza, że oni nie chcą cię dopaść.
 - Święte słowa. Więc co o tym sądzisz?
 - Sądzę, że powinniśmy przebrać się w kostiumy kąpielowe. Należy mi się kilka porządnych sesji w spa po ostatnim nurkowaniu.
 - Przecież wiesz, że zszedłbym na dno razem z tobą, gdybym mógł. Tabele dekompresyjne nie kłamią.
 - Wobec tego, panie Cousteau, pana także obowiązuje ograniczony czas przebywania pod wodą - napomniała go z troską.
 - Oczywiście, łaskawa pani. Będzie tak, jak pani sobie życzy.
 - No, to już lepiej.
- Pięć minut później byli gotowi. Nikt z załogi, wciąż zajętej imprezowaniem, nawet nie zauważył, jak Sam i Remi idą na platformę nurkową.
- Widzialność nadal około dwudziestu metrów? - spytał Sam, zakładając maskę.
 - Mniej więcej. Może nawet trochę lepsza.
 - Więc nie musimy schodzić na dno. Zanurkujemy sobie dla relaksu.
 - Oczywiście w pobliżu wraku?
 - Ma się rozumieć.
 - A jeśli nas zauważą?
 - Spróbujemy zejść w taki sposób, aby pozostać w cieniu kadłuba „Bermudeza”. Zresztą nie przypuszczam, żeby patrzyli w górę. Wiesz, jak to jest z nurkowaniem wrakowym. Zawężone pole widzenia.

Remi pokiwała głową z uznaniem.

- Dobry plan.

Zamiast wskakiwać do wody, powoli zeszli po stalowej drabince, aż do pełnego zanurzenia. Sam zasygnalizował OK, a Remi w odpowiedzi pokazała, że jest gotowa.

Powoli zanurzali się do głębokości dwudziestu metrów, zgodnie z ustaleniami trzymając kierunek na wrak. Po przebyciu około czterdziestu metrów Sam polecił Remi, by została w miejscu, a sam popłynął dalej, znikając w ciemniejszej głębi. Kiedy minęło dziesięć minut, zaczęła się lekko niepokoić, ale wtedy zobaczyła, że Sam właśnie wraca, sprawdzając na zegarku czas nurkowania. Podpłynął do niej i wskazał w kierunku powierzchni.

Wyłynęli zaledwie piętnaście metrów od burty wielkiego białego jachtu. Sam wypluł ustnik automatu oddechowego.

- Katastrofa. Dwóch nurków myszkowało wewnątrz, a dwóch na zewnątrz wraku. Widziałem światło ich latarek - relacjonował. - A potem ze środka wylazło kolejnych pięciu. Wynosili rzeźbę. Ci czterej, których widzieliśmy na pokładzie, to tylko część całej bandy. Wewnątrz mogło ich być jeszcze z dziesięciu, jeśli nie więcej.

- Jak się dowiedzieli?

- Są doskonale przygotowani...

- Tym bardziej ciekawi mnie, kim są i które dy wyciekły informacje.

- Wielu hiszpańskich urzędników i funkcjonariuszy zna lokalizację wraku. Lista osób, które mogły przekazać im koordynaty, jest bardzo długa.

- Też tak sądzę - zgodziła się Remi. - Ale kim mogą być ci rabusie?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Chyba nie zamierzasz...

- Wiesz, że najlepszą obroną jest atak.

- A nie lepiej powiadomić o tym władze?

- Doniesienie może trafić do tych samych ludzi, którzy ujawnili złodziejom lokalizację wraku, a oni ukręcą sprawie łeb.

- Mogłam się tego spodziewać - westchnęła Remi. - Do tej pory, jak na twój gust, mieliśmy po prostu za mało emocji.

- Daj spokój. Lepiej chodźmy zobaczyć, co słyhać u bogaczy.

- Przecież to my jesteśmy bogaczami.

- Dobrze wiesz, co miałem na myśli.

- Tak, obawiam się, że wiem.

Podpłynęli pod jacht na głębokości pięciu metrów. Kiedy znaleźli się dokładnie pod stępką, Sam zapisał pozycję w swoim GPS-ie. Jeszcze raz popatrzył w kierunku wraku, a potem wskazał na rufę. Remi gestem potwierdziła gotowość i oboje wynurzyli się przy drabince zawieszanej pod rufową platformą pływacką. Sam pierwszy wyszedł z wody, Remi tuż za nim.

- Tutaj zostawimy sprzęt - orzekł. - Dzięki temu nie będziemy się różnić od pozostałych nurków.

- No nie wiem. Nie zapominaj, że ja jestem tu i ówdzie trochę bardziej zaokrąglona od przeciętnego nurka technicznego.

- Nie zapominam. I właśnie za to, między innymi, tak bardzo cię kocham.

- Przynajmniej nie muszę się martwić, że uciekniesz ode mnie z innym nurkiem.

- Uciekanie jest męczące, zwłaszcza w płetwach. Remi pacnęła męża po ramieniu.

Po ostrożnym zlustrowaniu rufowej części jachtu, którą mieli w zasięgu wzroku, wspięli się po drabince na dolny pokład. Cztery kolejne piętrzyły się nad ich głowami. Gdzieś z pokładu numer dwa dobiegała muzyka jazzowa.

- Zdaje się, że na górze mamy jakąś imprezę - szepnęła Remi.

- Najwyraźniej - odszepnął Sam. - Ale nie jestem pewien, czy chcemy się przyłączyć.

- Rozsądek dyktuje zachowanie ostrożności - stwierdziła.

- To co, może lepiej zepsujemy im zabawę? - zaproponował.

Popatrzyła na niego znacząco.

- Czy jeśli powiem „nie”, to cię powstrzyma? - spytała.

- Dobrze pytanie. W takim razie wmieszajmy się między gości i spróbujmy się zorientować, z czym mamy do czynienia.

- Wmieszać się? Mając na sobie pianki? Na luksusowym jachcie?

- Nie twierdzą, że plan nie wymaga dopracowania - zastrzegł Sam.

- Więc idź pierwszy, wielki poszukiwaczu - prychnęła Remi.

Sam wdrapał się po schodni na pokład numer dwa. Pierwsze, co zobaczył, to trzy młode opalone ślicznotki w skąpych bikini rozłożone na leżakach wokół baseniku z podgrzewaną wodą. Jedna z nich uniosła wzrok i dostrzegłszy Sama, bardzo powoli zsunęła okulary przeciwsłoneczne, aby mu się lepiej przyjrzeć.

Czterej mężczyźni w średnim wieku siedzieli przy dużym stole zastawionym wykwinnymi przekąskami i szam-kinem. Palili cygara, których dym gryzł się z powiewami kilsamicznej bryzy. Piąty, znacznie młodszy, stał przy relin-jmi na bakburcie i przez lornetkę obserwował „Bermudeza”.

Sam uklonił się siedzącym, a wtedy jeden z nich wstał od si ołu. Był to człowiek imponującej postury, ubrany w kolo-iową koszulę od Roberta Grahama, jedwabne spodnie barwy kości słoniowej od Armaniego i mokasyny od Prądy. S;i m uśmiechnął się i spojrzał mu prosto w oczy. Na twarzy mężczyzny przez chwilę malowało się bezbrzeżne zdumieli u\ ale zaraz zastąpił je wyćwiczony uśmiech, równie wy-iworny jak zawadiacko przekrzywiona kremowa panama u.i jego głowie.

- Sam i Remi Fargo. Co za przyjemna niespodzianka. Miło, że wpadliście - powiedział z akcentem charakterystycznym dla brytyjskich wyższych sfer.

Sam wyczuł za sobą Remi. Nie odwracając się, podszedł do stołu z równie przyjaznym uśmiechem i z jednego ze srebrnych, pokrytych kropelkami wody wiaderek wyciągnij! butelkę szampana. Rzucił okiem na etykietę, po czym wstawił butelkę z powrotem do lodu.

- Janus Benedict we własnej osobie. Jak widzę, wciąż pijasz billicart-salmon rocznik 1996 - stwierdził.

- Nie widzę powodu, by zmieniać konia, skoro postawiło się na wygrywającego. Czy mogę spytać, czemu zawdzięczamy waszą wizytę?

- Będąc na tamtym statku, zauważyliśmy twój i pomyśleliśmy, że może znajdziemy tu odrobinę

grey poupon.

- Ach, to wasze niepodrabialne poczucie humoru. Jak /iwsze w formie - odparł Janus tonem pełnym dystygowanej uprzejmości, który idealnie korespondował z jego i wiejącym cieniutkim wąsikiem.

Pozostali trzej panowie przyglądali się Samowi i Ren u Targo z pełnym rezerwy rozbawieniem, zadowoleni z przerywnika. Dla wszystkich było jasne, że Janus i niespodziewani goście to odwieczni wrogowie.

Młodszy mężczyzna podszedł do Benedicta i szepnął mu do ucha:

- Janus, co ty wyprawiasz? Wyrzuć ich, i to już. Albo jeszcze lepiej...

Benedict przerwał mu zdecydowanym gestem, odciągnął go na bok i syknął:

- Zamknij się, Reginaldzie. Ani słowa więcej. Mając przeciwnika na wyciągnięcie ręki, łatwiej poznać jego intencje.

- To niedorzeczne - obruszył się młody, sięgając ręką za plecy, gdzie pod luźną koszulą skrywał za paskiem pistolet.

- Jesteś moim bratem, Reginaldzie, ale nie pozwolę ci wywołać awantury na moim jachcie. To może nas drogo kosztować. Zastanów się. Wyciągając broń, stawiasz nas w sytuacji bez wyjścia. Dlatego weź na wstrzymanie, pobaw się klockami i nie przeszkadzaj, kiedy starsi rozmawiają.

Zostawił Reginalda i wrócił do nowych gości.

- Proszę, napijcie się szampana. Nalegam. A przy okazji, Remi, muszę stwierdzić, że wyglądasz olśniewająco, jak zawsze...

- Jak zawsze kłamiesz jak z nut, Janus - odparowała Remi, ściągając z głowy kaptur i rozpinając skafander.

- Musiałbym być z kamienia, aby pozostać obojętny na twoje wdzięki, droga pani - rzekł gospodarz i wróciwszy na miejsce za stołem, strzelił palcami.

Z wnętrza górnego salonu zmaterializował się steward w białych spodniach i takiej z koszuli z krótkimi rękawami i czarnymi epoletami.

- Przyniescie dwa dodatkowe krzesła oraz odpowiednie kieliszki dla moich gości. I to biegiem - rozkazał Janus.

- Tak jest, sir.

Po chwili, niczym króliki wyciągnięte z kapelusza, pojawili się dwaj inni stewardzi z krzesłami i wysokimi szam-pankami. Fargo dosiedli się do stołu. Niższy ze stewardów n i pełnił ich kieliszki szampanem, który w pełnym słońcu wyglądał jak musujące złoto.

Janus otwartą dłonią wskazywał poszczególnych gości. Pozwólcie państwo, że dokonam prezentacji. Pasqual, Andre w, Siergiej, poznajcie Sama i Remi Fargo, niemal bezsprzecznie najskuteczniejszych poszukiwaczy skarbów, jak świat długi i szeroki. A ten dżentelmen podziwiający wasz piękny statek to mój młodszy brat Reginald.

Panowie uklonili się Samowi i Remi.

- Nie nazwałbym nas poszukiwaczami skarbów - powiedział Sam. - Po prostu mamy w sobie nienasyconą ciekawość świata i bywamy w odpowiednich miejscach w odpowiednim czasie.

- O tak, zdecydowanie, bogini Fortuna niezmiennie was wspiera. A jak to mówią, szczęście sprzyja odważnym - odparł Benedict i wznosił toast: - Udanych rejsów i pomyślnych wiatrów.

Remi uniosła swój kieliszek, a Sam tylko się uśmiechnął.

- Co cię sprowadza na hiszpańskie wybrzeże? - spytał gospodarza. - Chyba nie jest to twoje ulubione miejsce?

- Nie samą pracą człowiek żyje, przyjacielu - odrzekł Janus, prześlizgując się wzrokiem po trzech ponętnych gra-ejach przy basenie. - Wskazanie lekarskie. Mam zażywać przesyconego jodem powietrza i kąpeli słonecznych. Kto wie, ile nam jeszcze czasu zostało... - zawiesił na chwilę głos. - A wy co tu porabiacie?

- Chyba chodzimy do tego samego lekarza. Dostaliśmy niemal identyczne zalecenia - wtrąciła się Remi.

- No cóż, mądrej głowie dość dwie słowie.

~ Trudno nie zauważyć, że przekształciłeś swój jacht w prawdziwą bazę nurkową - rzucił Sam. Janusowi nawet nie drgnęła powieka.

- Kilku moich gości ma bzika na tym punkcie - rzekł z nikłym uśmiechem. - Czego się nie robi dla przyjaciół. Wyposażyłem łajbę tak, żeby im niczego nie brakowało.

- Sądząc po pustych uchwytych na butle, musieliśmy się z nimi minąć.

- Doprawdy? No cóż, trudno pilnować każdego pasażera na jednostce tej wielkości. Zresztą wcale mnie nie dziwi, że poszli nurkować. W końcu to jedna z ich pasji. Prawdziwi z nich zapaleńcy.

- Jak duży jest ten jacht? Ma chyba ze czterdzieści metrów? - spytała Remi.

- Ależ nie, raczej pięćdziesiąt parę, nie pamiętam dokładnie. Największy w mojej flocie. Trochę kłopotliwy w utrzymaniu i nie najtańszy w eksploatacji, ale czyż nie po to człowiek urabia sobie ręce po łokcie, by mieć tę odrobinę luksusu?

Przez dobre dwadzieścia minut przekomarzali się niczym gladiatorzy krążący wokół siebie na słownej arenie i próbujący odkryć swoje słabe strony, ale Janus był zbyt sprytny, żeby dać się przyłapać. Chociaż Fargo wiedzieli, na czym polega jego gra, a on był świadom, że to wiedzą, niewiele można było z tym zrobić na pokładzie jachtu. Kiedy zmęczeni się słowną szermierką, podziękowali gospodarzowi za gościnę i wrócili na platformę na rufie.

- Czuję absmak, jakbym zjadł coś nieświeżego - skomentował Sam, zakładając sprzęt.

- Na przykład zaśmierdnięte mięso rekina - podsunęła Remi. - Trzeba przyznać, że jest świetnym aktorem. Prawdziwy wilk w owczej skórze.

- Zawsze tak się zachowywał. Pamiętasz, jak było ostatnim razem?

Fargo mieli już do czynienia z Benedictem. Podczas poszukiwań zaginionego hiszpańskiego galeonu u wybrzeży Normandii, ostatecznie zakończonych sukcesem, przytrafiła się im seria podejrzanych awarii sprzętu i wyposażenia. Wszystko wskazywało na to, że stali za nimi ludzie Janusa. Nazwisko Benedicta nieodmiennie wyływało przy okazji głośnych kradzieży zabytkowych przedmiotów oraz w związku z będącymi jego podstawowym źródłem utrzymania transakcjami sprzedaży broni rozmaitym afrykańskim despotom i podsta-wionym firmom powiązanych z kartelami narkotykowymi.

Dzięki szerokim koneksjom i ogromnym łapówkom nigdy nie został o nic oskarżony, nie dostał nawet mandatu za nieprawidłowe parkowanie. Jako właściciel sieci banków, towarzystw ubezpieczeniowych i firm budowlanych miał ugruntowaną pozycję wśród brytyjskiej elity finansowej. Był mile widziany w miejscach, o których zawodowi dyplomaci mogli tylko pomarzyć, i beztrudno nurzał się w zdradliwych odmętach władzy z naturalną swobodą barrakudy.

- Musimy zawiadomić uniwersytet i służby państwowe - powiedziała Remi. - Nie możemy mu pozwolić uciec / łupem. Bo przecież na pewno zamierza ogołocić wrak ze wszystkiego, co

przedstawia jakąkolwiek wartość

- Bez wątpienia - przyznał Sam. - Obawiam się jednak, że opłacił kilku wysokich urzędników, więc zanim władze się pojawią, by zabezpieczyć znalezisko, naród hiszpański poniesie niepowetowaną stratę.

Remi poprawiła zapięcie kamizelki i popatrzyła mężowi w oczy.

- Słyszę znajome tony w twoim głosie. Co masz zamiar zrobić?

- Oczywiście wykorzystamy oficjalne kanały - odparł - o ile może potrzebna będzie odrobina niekonwencjonalnego działania, aby uniemożliwić mu ucieczkę z tym, co zdoła wydobyć, zanim zrobi się szum.

- I właśnie ty jesteś tym facetem, który potrafi wymyślać i realizować niekonwencjonalne plany.

-Cóż, mam nadzieję, że widzisz we mnie kogoś więcej niż tylko zwykłego przystojniaka.

- Owszem, potrafisz nieźle masować plecy.

- Czyżbym usłyszał nutę zachęty? - spytał Sam, zerkając przez krawędź platformy na powierzchnię wody.

- Łapiesz w lot najdelikatniejszą aluzję. Podoba mi się i o - odparła Remi i wskoczyła do wody.

Sam poczekał, aż głowa żony pojawi się nad powierzchnią, i poszedł w jej ślady. Płynąc, zastanawiał się, jak pokrzyżować szyki Janusowi.

ROZDZIAŁ 3

Zniecierpliwiony Dominie chodził w tę i z powrotem po sterówce, czekając na odpowiedź z Departamentu Starożytności hiszpańskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki z informacją, jakie kroki zostaną podjęte w celu zapobieżenia splądrowaniu wraku. Fargo siedzieli spokojnie, ale Sam co chwilę zerkał na swój zegarek nurkowy anonimo professionelle CNS, prezent urodzinowy od Remi. Po kilku bezowocnych próbach nawiązania kontaktu telefonicznego - czego zresztą można się było spodziewać, zważywszy że był piątek i wszyscy szykowali się do kolejnego wakacyjnego weekendu - postanowili zgłosić zagrożenie przez radio.

Wreszcie Dominie przerwał swoją wędrówkę donikąd i powiedział:

- Moi drodzy, zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić. Dam wam znać, kiedy otrzymam jakiegokolwiek wieści.

- A może zaalarmujemy kogoś jeszcze? - podsunęła Remi z desperacją. - Policję? Straż przybrzeżną?

- Nawet jeśli poinformujemy wszystkich, żadna z tych służb nie podejmie natychmiastowych działań - odparł Dominie. - Zrozumcie, dla nas to bardzo ważne, ale dla całej reszty ta sprawa zajmuje odległe miejsce na liście priorytetów. Najlepiej więc poczekać na reakcję kogoś z uniwersytetu albo z ministerstwa.

- A do tego czasu złodzieje uciekną ze wszystkim, co jest coś warte - mruknął Sam.

Dominie westchnął.

- Uwierzcie mi, jestem tak samo wkurzony jak wy. Dlatego zostanę tu na nasłuchu i zaalarmuję wszystkie służby, które przyjdą mi do głowy.

Sam spojrział na żonę i pokiwał głową.

- Chyba musimy ograniczyć się do działań w ramach systemu. Skoro ci, którzy powinni, nie zamierzają zareagować, nie zmusimy ich do tego. I nie zatopimy jachtu Benedicta, chociaż mam na to wielką ochotę.

Remi zgromiła go wzrokiem.

- No co, przecież mówię, że tego nie zrobimy - powiedział i zwrócił się do Dominica. - Zawiadomisz nas, kiedy coś się ruszy?

- Jasne. Gdy tylko ktokolwiek się odezwie.

Sam pierwszy wyszedł na pokład, gdzie impreza załogi rozkręcała się w najlepsze. Powitały ich rehotliwe śmiechy i udawane okrzyki oburzenia, towarzyszące niekończącej się grze w karty. Słońce wiszące tuż nad horyzontem złoćło migotliwymi rozbłyskami powierzchnię wody wokół „Bermudeza”. Wkrótce miał zapaść zmrok, a Fargo wiedzieli, że szanse na podjęcie jakichkolwiek działań przez władze maleją wraz z gasnącym światłem dnia.

Po wejściu do kabiny Remi usiadła na łóżku i popatrzyła na Sama, który podszedł do najbliższego iluminatora, skąd widać było jacht Janusa.

- Zdajesz sobie sprawę, że nikt się nie odezwie przynajmniej do poniedziałku - powiedziała.

- Niestety, na to wygląda. Jeśli nawet nie dlatego, że Benedict zapłacił, komu trzeba, za beczynność, to z tak prozaicznego powodu, że mamy dziś piątek. - Sam zamilkł na chwilę, po czym oznajmił: - Chyba wiem, w jaki sposób odpłyną z rzeźbami, nie ryzykując kontroli i aresztowania, na wypadek gdyby ktokolwiek jednak usiłował im przeszkodzić. Po prostu nie załadują niczego na jacht.

- Więc jak je ukradną?

- Dzięki zręcznej sztuczce i wykorzystaniu matki natury do zatarcia śladów.

- Dzień ma się ku końcowi, Sam. Trochę za późno na zagadki.

- Na ich miejscu poczekałbym, aż zapadnie noc. Ile czasu potrzeba na opróżnienie ładowni wraku?

- Wydobyć posągów, jeśli nie liczyć się ze zniszczeniem pozostałości statku, powinno zająć co najmniej cały dzień - odparła Remi. - Ryzykując utratę kilku sztuk - zastrzegła.

- Ale największym problemem będzie podniesienie rzeźb z dna. Tego się nie da zrobić bez zwracania uwagi. Dlatego przypuszczam, że poczekają, aż będzie całkiem ciemno, i użyją pokładowych żurawi ładunkowych.

Remi zmarszczyła brwi.

- Przed chwilą mówiłeś, że nie załadują rzeźb na jacht.

- Na pewno nie na pokład.

Popatrzyła na Sama z konsternacją, ale po chwili na jej twarzy pojawił się błysk zrozumienia.

- Szczwany lis z ciebie, bez dwóch zdań.

- Chcąc złapać złodzieja, trzeba myśleć tak jak on - stwierdził Sam. - Jeśli się pośpieszą, a założę się, że to zrobią, mogą skończyć za jakieś sześć, siedem godzin. Brak światła dziennego skompensują sobie lampami elektrycznymi. Powiedzmy, że impreza na pokładzie przeciągnie się do późnej nocy, więc o świcie będą gotowi do odpłynięcia, może nawet trochę wcześniej. Przynajmniej tak sądzę.

- Tylko że my pokrzyżujemy im plany - powiedziała Remi.

- Dokładnie. Jestem specjalistą od krzyżowania planów. Przerabiałem to na studiach, w ramach

przedmiotów dodatkowych.

- Zawsze myślałam, że twoim głównym przedmiotem dodatkowym było picie piwa.
- Kwestia ustawienia priorytetów. Zresztą jedno nie wykluczało drugiego.
 - Więc o której przyłączymy się do zabawy?
 - Około czwartej rano. Lepiej być za wcześnie, niż się spóźnić.
 - Czy oświecisz mnie wreszcie, jak zamierzasz pokrzyżować im szyki?
 - Już myślałem, że nigdy o to nie zapytasz.

Księżyc jaśniał krzywym uśmiechem spomiędzy postrzępionych chmur, pokrywając zimnym, migotliwym blaskiem pomarszczoną powierzchnię wody, kiedy Fargo schodzili na platformę nurkową. Pozostali członkowie zespołu archeologicznego już dawno udali się na spoczynek i teraz tkwili w objęciach mocno nietrzeźwego Morfeusza. Remi otworzyła jeden z wodoszczelnych schowków i wyciągnęła dwie spore maski nurkowe, z których każda wyposażona była w pojedynczy okular noktowizyjny. Zawdzięczali je dobrym kontaktom Sama w Departamencie Obrony. Doskonale sprawdzały się w kadłubach zatopionych wraków, wzmacniając śladowe ilości światła i rozjaśniając wnętrza penetrowanych pomieszczeń.

- Mam nadzieję, że to działa - szepnęła Remi, kiedy wzajemnie sprawdzali swój sprzęt.
- To nasza cudowna broń - odparł Sam. - Zresztą, co ja tam wiem.

Remi poklepała go po głowie.

- Nie gadaj, znasz się na sprzęcie jak mało kto.
- Ty też - powiedział, odsuwając się nieco. - Maski z noktowizorem to najnowszy wynalazek. Gdybyśmy potrzebowali małego źródła światła, możemy użyć latarek. Jeśli zachowamy ostrożność i nie będziemy świecić poza obrys kadłuba, nikt nas nie zauważy.

Remi popatrzyła na łagodne fale.

- Czy mówiłam ci już, jak bardzo romantyczne jest nurkowanie w zimnym morzu w samym środku nocy?
 - Spodziewałem się, że cię to urzeknie.
- Znasz mnie na wylot.

Zamarli, kiedy nad ich głowami rozległo się głośnie skrzypienie. Sam przekrzywił głowę, nasłuchując oznak jakiegokolwiek ruchu, ale po kilku chwilach zupełnej ciszy odprężył się. Prawdopodobnie trzeszczały deski pokładu pod wpływem zmian temperatury.

Wziął od Remi maskę, włączył noktowizor i założył ją, naciągając pasek na kaptur nurkowy.

- O rety! Wiesz co? Wszystko widać! Idziemy popływać? - wyszeptał.
 - Już nie mogę się doczekać, wielki dzieciaku.

Remi założyła maskę, uruchomiła wizjer i po ostatnim sprawdzeniu torby nurkowej zsunęła się do wody. Sam dołączył do niej i popłynęli w kierunku jachtu Benedicta, orientując się na znacznik pozycji wprowadzony wcześniej doGPS-a.

Trzy metry pod powierzchnią przejrzystość wody była nawet lepsza, niż się spodziewali, dzięki czemu widzieli się wyraźnie w docierającym na tę głębokość blasku księżyca. Według szacunków Sama, dzięki noktowizorom mogli zachować kontrolę wzrokową do głębokości dziesięciu metrów, co powinno w zupełności wystarczyć na ich potrzeby. Niżej rozciągały się już nieprzeniknione ciemności. Remi sunęła za nim w toni jak delfin. Kiedy obejrzał się do tyłu, poczuł nagły przypływ dumy, że jak zwykle zgodziła się bez mrugnięcia okiem towarzyszyć mu w wykonaniu

niebezpiecznego zadania.

Na wprost przed nimi zamajaczył kadłub jachtu. Kiedy podpłynęli bliżej, ich oczom ukazał się widok zgodny z przewidywaniami. Do grubych stalowych uszu przy spawanych do dna statku przymocowane były nylonowe liny z zawieszonymi na nich sieciami. Sam wykonał gest w kierunku najbliższej z nich, pełnej rzeźb, kiedy mijali ją, płynąc w stronę dziobu. Nagle rozległ się stłumiony warkot i w wodzie pojawiły się wyczuwalne vibracje uruchamianych maszyn jachtu.

Remi popatrzyła na męża, który wskazał na wiszącą obok sieć, wyciągnął tytanowy nóż XS scuba z pochwy na nodze i podpłynął do miejsca zaczepienia jednej z dwóch lin do kadłuba. Zrobiła to samo i kierując się do drugiej liny, zdążyła rzucić okiem na rząd sieci, zwieszających się pod statkiem niczym podłużne kiście jakichś egzotycznych owoców. Było ich na pewno więcej niż dziesięć, najdalsze niknęły w ciemnościach w kierunku rufy jachtu. Sam zaczął ciąć nylonową linę. Remi też wzięła się do pracy. Po chwili lina zaczęła się strzępić, a potem pękła, niemal w tym samym momencie, co ta, którą zajął się Sam. Patrzyli, jak sieć wypełniona rzeźbami majestatycznie opada na dno. Kiedy znikła im z oczu, podpłynęli do następnej.

Dziesięć minut później, gdy zbliżali się do przedostatniej sieci, jacht ruszył z miejsca. Sam rozejrzał się i wskazał ręką łańcuch kotwiczny, który się poluzował, kiedy jacht przesunął się w przód. Remi rzuciła się w bok, aby nie zaplątać się w sieć napływającą prosto na nią. Sam zrobił to samo. Po chwili łańcuch ponownie się napiął, bo kotwica oderwała się od dna i zaczęła sunąć ku powierzchni, a statek zatrzymał się dokładnie nad nią.

Remi pokazała na dwie ostatnie sieci. Jednocześnie dopadli do pary lin i zaczęli ciąć, wiedząc, że zostało im niewiele czasu do odpłynięcia jachtu. Przy odrobinie szczęścia powinni uwolnić obie sieci i oddalić się na bezpieczną odległość, zanim statek ruszy naprzód.

Sam zaatakował linę ze zdwojoną energią. Łańcuch ze szczękiem nawijał się na bęben windy kotwicznej. Pod wodą odgłos przypominał terkot karabinu maszynowego. Rufa zaczęła lekko dryfować pod naporem wiatru, utrudniając cięcie. Wielkie pięciopiórowe śruby kręciły się w miejscu na jałowym biegu.

Sam wreszcie przeciął linę. Sieć zaczęła z wolna opadać, przechylając się na bok. W chwili, gdy Remi uporała się z liną po swojej stronie, śruby zaczęły obracać się szybciej i jacht ruszył naprzód. Sam zaklął w duchu, czując, jak prąd wody zagarnianej przez śruby zaczyna ciągnąć go ku wirującym płatom metalu. Zerknąwszy z zalem na ostatnią sieć, w której tkwił pojedynczy posąg, odepchnął się z całej siły nogami. Wolał nie ryzykować, bo widział na zdjęciach skutki wypadków ze śrubami, więc tylko rozejrzał się za Remi i zanurkował w dół.

Prawie mu się udało. Ostatnia sieć prześliznęła mu się po plecach i zaczepiła o butlę akwalungu, pociągając go za sobą. Sam, odwrócony plecami do kierunku ruchu, miał przed oczami widok jak z najgorszych sennych koszmarów - dwie błyszczące mosiężne śruby mielące wodę ostrymi piórami zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym tkwił jak w pułapce.

Wraz z nabieraniem prędkości przez statek zwiększony napór wody spychał Sama coraz bliżej niebezpieczeństwa. Szamotał się bezradnie, wiedząc, że ma zaledwie kilka sekund, by się uwolnić. Kiedy tylko kotwica wyjdzie z wody, kapitan rozkaże zwiększyć obroty. Wtedy, nawet jeśli zdoła się oswobodzić, nic nie uchroni go przed wciągnięciem przez śruby. Machnął za plecy ręką uzbrojoną w nóż, tnąc na oślep grubą nylonową sieć.

Daremny trud.

Pozostała mu tylko jedna możliwość ocalenia życia. Wziął głęboki haust sprężonego powietrza, rozpinając jednocześnie sprzączki uprząży akwalungu, po czym wypluł ustnik automatu i ze wszystkich sił dał nura w głębinę.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie, kiedy mosiężne pióro przecięło mu lewą płetwę, a potem pochwyił go wirujący strumień wody odrzucanej przez śruby i z wielką mocą odepchnął w tył, bo

jacht właśnie zwiększył obroty.

Po, jak mu się wydawało, trwającej niemal całą wieczność kotłowaniu w śladzie torowym Sam wypłynął na powierzchnię i zaczerpnął ożywczego powietrza, widząc w noktowizorze oddalającą się rufę jachtu Benedicta. Ponownie napełnił płuca i zanurzył się, by poszukać Remi.

Zdołała wcześniej odskoczyć w bok, więc wkrótce dostrzegł jej sylwetkę poruszającą się w ciemnej toni. Byli bezpieczni.

Podpłynął do niej i chwycił ją za rękę. Remi ścisnęła jego dłoń. Odwróciła się do niego, a jej oczy za szybką maski /robiły się okrągłe ze zdumienia, kiedy zauważyła, że znikła gdzieś jego butla, a on, zamiast automatu, ma w ustach jedynie fajkę nurkową. Sam uspokoił ją uniesionym w górę kciukiem i razem wypłynęli na powierzchnię.

- Co z twoim akwalungiem? - spytała, kiedy unosili się na wodzie w całkowitym mroku.
- Neptun zażądał ofiary. Wolałem poświęcić butlę niż siebie samego.
- Jesteś cały?
- Jak najbardziej. Lepiej wracajmy na naszą łajbę, zanim zaczną świtać - powiedział, spoglądając na kołyszącego się łagodnie na hebanowych falach „Bermudeza”.

Na pokładzie Remi pozbyła się sprzętu. Oboje zdjęli skafandry nurkowe. Nie zamierzali nikomu mówić o swojej nocnej eskapadzie aż do chwili, kiedy wrak znajdzie się pod strażą. Było to najrozsądniejsze rozwiązanie, zważywszy, że nie wiedzieli, do jak wysokich szczybli hiszpańskiej administracji sięgały macki Benedicta. Nie chcieli, aby przedwcześnie zorientował się, co zaszło, pozbawiając ich przewagi czasowej, którą sobie właśnie wypracowali.

Sam dokładnie obejrzał przeciętą w poprzek płetwę. Pióro śruby minęło jego stopę zaledwie o centymetry, zostawiając nikomu niepotrzebne świadectwo bliskości zagrożenia. Na szczęście Remi nie zauważyła niczego w ciemności, uznał więc, że lepiej jej nie mówić, jak niewiele dzieliło go od katastrofy.

- Rzeźba, którą zdołał zabrać, wyglądała na naturalnej wielkości posąg Ateny - szepnęła Remi.

- Powiadomimy o tym władzę, kiedy tylko się pojawią, o ile w ogóle to nastąpi. Nie ufam nikomu z naszej załogi.

Remi zrobiła wielkie oczy.

- Chyba nie myślisz, że ktoś z naszej ekipy...
- Sam już nie wiem, co myśleć. Wygląda na to, że Benedict kupił za swoje brudne pieniądze całkowitą obojętność na ewidentny rabunek, dlatego wolę nie ryzykować.

Remi pokiwała głową.

- To co, może złapiemy teraz parę godzin snu?
- Mam nadzieję. Jutro od samego rana dorwiemy się do radia i telefonów. Na razie uważam nasze zadanie za wykonane, mimo że udało mu się uciec z jedną rzeźbą.
- Kiedy sprawa stanie się głośna, będzie miał spore problemy, aby ją przeszmygłować lub sprzedać.
- Oby tak było, ale dobrze wiesz, że zdarzają się kolekcjonerzy pozbawieni wszelkich skrupułów. W dodatku, zanim ktokolwiek zareaguje, on znajdzie się na wodach międzynarodowych. Na jego miejscu szukałbym schronienia u brzegów Maroka lub Algierii. To tylko nieco ponad sto mil morskich stąd. Żaden problem dla takiej jednostki jak jego jacht.
- Więc znów mu się upieczę?

- Na to wygląda. A teraz chodźmy już spać.

Jason Benedict stał na pokładzie rufowym z twarzą mieniającą się odcieniami czerwieni. Był wściekły. Przed chwilą szef zespołu nurków zameldował mu, że całą nagrodą za ich trud jest jeden posąg. Reginald, ubrany w lśniącą w słońcu jedwabną koszulę od Versace, sprawiał wrażenie, jakby chciał rzucić się z pięściami na nieszczęśnika, który był jedynie zwiastunem złych wieści.

- Ty idioto! Jak mogłeś do tego dopuścić?!

Janus uniósł rękę w uspokajającym geście i przemówił cichym, opanowanym głosem:

- Hector nie zrobił nic złego. To nie jego wina.
- Jak to, nie jego wina?! Straciliśmy miliony, bo ten głupek nie potrafił porządnie zamocować ładunku!

Hector zaprzeczył, potrząsając głową. Uniósł dłoń z kawałkiem grubej nylonowej liny i jednocześnie wskazał leżący na pokładzie akwalung.

- To nie tak, proszę pana. Wszystkie liny są wciąż solidnie przymocowane do uchwytów. Ktoś je poprzecinał. Proszę spojrzeć na końcówkę. A ten sprzęt znaleźliśmy zaplątany w sieć. To nie był przypadek.

Janus pokiwał głową, wpatrzony w niewyraźny brzeg migoczący jak miraż na horyzoncie.

- To sprawka małżonków Fargo. To musieli być oni.
- A mówiłem, żeby ich zastrzelić, kiedy mieliśmy okazję. Janus obrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z bratem.
- Naprawdę? To miałyby być najlepsze rozwiązanie? Morderstwo popełnione z zimną krwią przy świadkach? Czyś ty do reszty zwariował? - wysyczał pytania przez zaciśnięte zęby, a potem pokręcił głową i zwrócił się do Hec-tora: - W porządku. Podnieście posąg na pokład i zapakujcie tak, jak było umówione, żeby był gotowy do przekazania.

Za godzinę Benedict miał wyznaczone spotkanie z algierskim kutrem rybackim, który zabierze rzeźbę w bezpieczne miejsce, podczas gdy jacht popłynie zgodnie z planem na Majorkę. Gdyby nawet, co mało prawdopodobne, został zatrzymany i przeszukany, nikt niczego nie znajdzie.

Pozostanie tylko niczym nieoparte oskarżenie ze strony Fargo, co nie przysporzy mu większych problemów, zważywszy na sowite łapówki, którymi nasmarował tryby hiszpańskiej administracji.

- Nadal uważam, że można było uniknąć wielu kłopotów, pakując, komu trzeba, kulkę między oczy - mruknął Reginald po odejściu Hectora, zadowolonego, że zdjęto z niego odpowiedzialność za niepowodzenie ekspedycji.

- Ile razy jeszcze mam ci powtarzać, że podejmowanie nieprzemyślanych decyzji do niczego nie prowadzi? Tu idzie gra o wysokie stawki i nie można sobie pozwolić na luksus działania pod wpływem impulsu. Rozgrywamy partię szachów, a nie mecz rugby. Wszystko opiera się na strategii, nie ma tu miejsca na brutalną siłę i niepotrzebne ryzyko.

- I to mówi człowiek, który właśnie stracił miliony przez swoją powściągliwość - zakpił Reginald i natychmiast tego pożałował, napotykać lodowate spojrzenie starszego brata.

- No cóż, staruszkule, to ja zarabiam miliony i mogę sobie z nimi, co mi się podoba, nieprawdaż? W związku z tym radzę ci, abyś na przyszłość powstrzymał się od tego rodzaju bezczelnych uwag. O ile pamiętam, to ty błagałeś mnie, żebym pozwolił ci uczestniczyć w moich operacjach, bo znudziło ci się życie playboya. I nie krytykowałeś moich metod działania, kiedy pewna młoda kobieta złożyła na ciebie skargę na policji w Cannes. Wprost przeciwnie, byłeś mi bardzo wdzięczny, że dzięki moim koneksjom uniknąłeś nieprzyjemności. - Janus zamilkł na chwilę i westchnął. - Moja cierpliwość ma swoje granice, Reginaldzie. Jeśli chcesz brać udział w moich interesach, musisz się trzymać zasad ustalonych przeze mnie. Wierz mi, nadmierna porywczosć

prowadzi jedynie do błędów i kłopotów. To, co się dziś wydarzyło, to tylko jedna runda długotrwałej walki. Jestem pewien, że wkrótce znów spotkamy tych Fargo na swej drodze, a wtedy sprawy przyjmą całkowicie odmienny bieg.

Reginald, mimo ostrej reprimendy nieodczuwający skruchy, popatrzył na brata z zainteresowaniem.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś miał stuprocentową pewność, że tak będzie.

Janus ojcowskim gestem położył mu rękę na ramieniu i poprowadził do okrągłego stolika nakrytego do śniadania obok głównego salonu.

- Cierpliwość popłaca, a wytrwali są nagradzani. Uwierz mi, to jeszcze nie koniec - rzekł i odchrząknął, zamykając temat. - Kupiec z Moskwy zapłaci kilka milionów za posąg Ateny, co w najgorszym razie pokryje koszty paliwa i wydatków poniesionych podczas naszej małej wycieczki, a może nawet saldo okaże się dodatnie, więc nie ma mowy o żadnej stracie. I zapamiętaj sobie: dobre rzeczy spotykają tych, którzy czekają.

Podeszli do stolika i usiedli, a steward, który wyrósł jak spod ziemi, napełnił ich filiżanki gorącą kawą. Drugi postawił przed nimi szklanki ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym, a trzeci czekał dyskretnie z boku, aż zostaną obsłużeni, po czym zapytał, w jakiej postaci życzą sobie mieć podane jajka.

Reginald zamówił omlet, a Janus jajecznicę z samych białek. Kiedy młodszy brat ponownie zwrócił na niego wzrok, był już zapatrzony gdzieś w dal, przy czym jego twarz emanowała niezmaconym spokojem, tak jakby operacja zakończyła się całkowitym sukcesem i nie trapiły go żadne zmartwienia. Reginald dobrze znał brata i wiedział, co oznacza to spojrzenie. Skoro powiedział, że to jeszcze nie koniec, tak właśnie było. Wścibscy Amerykanie dostaną z rąk Janusa dokładnie to, na co zasłużyli, bo mimo pozorów ogłady był on groźniejszy od kobry i tak jak ona atakował bezszelestnie.

Zostanie im wystawiony rachunek za wszystko i kiedy nadejdzie czas, będą musieli go spłacić.

Reginald nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

ROZDZIAŁ 4

Z nastaniem poranka okazało się, że Dominie nie otrzymał żadnej odpowiedzi na ich wczorajsze wezwania, dlatego Remi postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Uruchomiła jeden z telefonów satelitarnych i wybrała dobrze znany numer. Selma Wondrash odebrała po czwartym dzwonku.

- Cześć, Selma, tu Remi. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze.

- Nareszcie! Od tygodnia nie miałam od was żadnych wieści. Zawsze się martwię, kiedy zrywacie ze mną kontakt.

- Byliśmy zajęci nurkowaniem.

- I jak wam poszło?

- Właśnie skończyliśmy, ale jest pewien szkopuł.

- A kiedy go nie było? Jak mogę wam pomóc?

- Masz jakieś znajomości w hiszpańskiej marynarce wojennej?

Mózg Selmy zaczął pracować z oszaleńczością.

- Hiszpańska marynarka... będę musiała poszukać. Jeśli nikogo nie znajdę, dam wam kontakt do kogoś, kto zna odpowiednich ludzi. O co wam konkretnie chodzi?

Remi wyjaśniła jej swoje zamiary, a Selma chrząknęła z aprobatą.

- Rozumiem. Zajmę się tym. Co prawda jest pierwsza w nocy, ale jeszcze się nie kładłam, więc równie dobrze mogę zrobić coś pożytecznego.

- A ja się martwiłam, że cię obudziłam. Selma westchnęła.

- Nic z tych rzeczy, ostatnio jestem nocnym markiem. Cierpię na okresową bezsenność. Zdarza mi się to od czasu do czasu.

- To okropne. Powinnaś iść z tym do lekarza. I tak mało sypiasz...

- Jeśli wkrótce mi nie przejdzie, na pewno pójdę. Ale akurat tym razem dobrze, że nie spałam. Oddzwonie, kiedy będę miała jakieś konkrety. Czy to wszystko?

- Powiadom załogę, żeby przygotowała samolot do lotu na jutrzejszy wieczór. To nam zapewni wymagany dwudziestoczerogodzinny odstęp od ostatniego nurkowania. Port docelowy San Diego. Wracamy do domu.

- Załatwione. Bardzo się cieszę, że wracacie.

Sam kupił dyspozycyjny odrzutowiec Gulfstream G650 o zasięgu dwunastu tysięcy kilometrów od banku, który przejął go od poprzedniego właściciela w poczet niespłaconych długów. Od tej pory znacznie wzrosła ich zdolność przemieszczania się po świecie. Sam raczej unikał tego rodzaju ekstrawagancji, ale doradcy finansowi zwrócili mu uwagę, y.c trzeba korzystać z możliwości, dopóki się żyje, bo nikomu jak dotąd nie udało się zabrać majątku do grobu. W efekcie sprzedaży firmy i opłat za prawa do wykorzystania ostatnich wynalazków Sama sytuacja finansowa małżonków wyglądała tak, że nie zdołaliby wydać wszystkich swoich pieniędzy, nawet gdyby żyli tysiąc lat.

Remi rozłączyła się i podeszła do męża, który stał na pokładzie rufowym i wpatrywał się w granatowy przestwór Morza Śródziemnego takim wzrokiem, jakby lada chwila na horyzoncie miał się ponownie pojawić jacht Benedicta.

- Selma organizuje nam odsiecz - poinformowała go. -lak ją znam, do obiadu możemy tu mieć całą Siódmą Flotę,

Sam otoczył ją ramieniem i pocałował w czubek głowy.

- Czy już ci mówiłem, jakim jestem szczęściarzem, że mam cię przy sobie?

Remi zwróciła się twarzą do niego, stanęła na czubkach palców i odwdzięczyła mu się długim pocałunkiem.

~ Miło, że wreszcie się o tym przekonałeś. Czy to oznacza, że nadszedł dla mnie czas wylegiwania się w spa i bycia rozpieszczaną na wszelkie możliwe sposoby?

- Jak tylko wrócimy do domu.

Rozkoszowali się widokiem spokojnego morza. W oddali u brzegów wyspy z terkotem silników uwijało się kilka stateczków rekreacyjnych. Remi dotknęła naszyjnika z przynoszącym szczęście skarabeuszem.

~ Biorąc pod uwagę okoliczności, cała ta historia mogła się zakończyć dużo gorzej. Przynajmniej nie musieliśmy wojować z oddziałem partyzantów, mając za uzbrojenie tylko szpadel i samopał.

- Ach, te dawne dobre czasy. Oczywiście masz rację. Tylko trochę mi szkoda tego ostatniego posągu. Jeszcze pół minuty, a zdołałbym go odciąć.

- Mnie też, ale i tak poszło nam całkiem niezle jak na wymyśloną w ostatniej chwili improwizację.

Od strony sterówki podszedł do nich markotny Dominic. Na jego przystojnej twarzy malowało się przygnębienie, a popołudniowy zarosi i czerwona chusta zakrywająca długie włosy nadawały mu wygląd pirata.

Ciągle nic rzeki. Obawiam się, że do poniedziałku nikt się nie odezwie. Dobrze chociaż, że jacht odpłynął.

- Ale w każdej chwili może wrócić, dlatego nie możemy zostawić wraku bez opieki - powiedział Sam. - Uruchomiliśmy własne kontakty. Trudno powiedzieć, czy to coś da, ale nigdy nic nie wiadomo.

Oczy Dominica zwięzły się w szparki, gdy jego twarz rozjaśnił zaraźliwy kastylijski uśmiech.

- To wspaniale. Na uniwersytecie wszystko pozamykane na głucho, więc sam nie mogę nic zdziałać.

Pół godziny później odezwał się telefon satelitarny. Remi rozmawiała chwilę z Selmą, po czym oznajmiła mężowi:

- Nadciąga kawaleria. Sam kiwnął głową.
- Ile to potrwa?

- Dwie godziny. Mają przysłać okręt z Kartageny, ale przygotowania do wyjścia w morze zajmą im trochę czasu.

Fargo wyszli na główny pokład, słysząc dobiegający od zachodu odległy dźwięk potężnych maszyn. Remi zlustrowała powierzchnię morza i wskazała szary kształt zmierzający w ich kierunku. Był to sześćdziesięciometrowy patrolowiec typu Sendola, stacjonujący w Kartagenie. Kiedy podpłynął bliżej, odczytała jego nazwę: „Atalaya”.

Oboje przyglądali się, jak okręt rzuca nieopodal kotwicę. Wkrótce dołączył do nich Dominie.

- To powinno powstrzymać dzikich poszukiwaczy skarbów do czasu zorganizowania oficjalnej akcji wydobywania ładunku wraku - stwierdził Sam.

Opowiedział Dominicowi o przeprowadzonej przed świtem akcji dywersyjnej pod jachtem Benedicta i podał mu kartkę z zanotowanymi koordynatami.

- Tu są współrzędne miejsca, w którym powinny leżeć sieci z rzeźbami. Nurkowie benedicta byli tak uprzejmi, że wydobyli je z wraku, więc podniesienie ich będzie dziecinną igraszką. Spojrzał jeszcze raz na hiszpański okręt i pokiwał głową. W związku z naszym porannym nurkowaniem musimy poczekać z odlotem do jutra. Czy pozwolisz nam zostać na pokładzie jeszcze jedną noc?

- Z przyjemnością, a potem osobiście odstawię was na ląd. Nazajutrz rano Fargo spakowali swoje rzeczy, łącznie z wyposażonymi w noktowizor maskami nurkowymi, które Sam miał oddać tam, skąd je wypożyczył. Dominie wydał pożegnalny obiad na ich cześć. W menu znalazły się świeże ryby złowione przez członków załogi podczas udanego porannego wędkowania. Delektując się ostatnim kieliszkiem doskonałego miejscowego białego wina albarino, Sam powiedział:

- Dziękujemy ci za gościnność i za całą resztę. Było nam bardzo miło, ale teraz musimy dostać się na ląd. Czy możesz nas tam zawieźć, tak jak obiecałeś?

- Oczywiście. Wyruszamy za pięć minut.

Zapakowali się do lekkiej siedmiometrowej motorówki z włókna szklanego z doczepionym potężnym silnikiem zaburtowym i wkrótce sunęli po łagodnie rozkołysanym morzu, tylko z rzadka podskakując na większej fali, czemu towarzyszyły wysokie pióropusze białej piany wzbijające się spod kadłuba. Fargo siedzieli pośrodku na twardej ławce, a Dominie kierował motorówką z rufy.

Po dwudziestu minutach wpłynęli do portu w Kartagenie. Pożegnali się z Dominikiem i złapali taksówkę, która zawiozła ich do odległej o dwadzieścia pięć kilometrów Murcji na lotnisko San }

avier.

Na płycie postojowej już czekał ich odrzutowiec. Dwaj piloci, Brad Sterling i Rex Fender, odczytywali listę przed-startową, a stewardesa Sandra czujnym okiem doglądała załadunku żywności i napojów, dostarczonych przez firmę cateringową. Kiedy Fargo przybyli na miejsce, serdecznie powitała ich na pokładzie, kończąc tym samym swoje tygodniowe wakacje w Hiszpanii. Remi zwróciła uwagę na jej świeżą opaleniznę, świadczącą, że miała zdecydowanie więcej wolnego czasu niż oni, związani harmonogramem prac nurkowych na pokładzie „Bermudeza”.

- Zgłosiliśmy już plan lotu, najdalej za dwadzieścia minut powinniśmy być w powietrzu - zameldował Brad. - Wejdziemy na czternaście tysięcy sześćset metrów, lot potrwa jedenaście godzin i powinien być spokojny. Na tej wysokości nie spodziewamy się żadnych niekorzystnych zjawisk atmosferycznych.

Sam i Remi zasiedli w ogromnych, ręcznie tapicerowanych skórzanych fotelach. W oddzielnej kabynie z tyłu znajdowało się łóżko, zajmujące prawie całą jej szerokość. Sandra przezornie zadbała o butelkę szampana Veuve Cli-cquot La Grandę Dame rocznik 2004 i dwa wysokie kryształowe kieliszki, aby umilić im oczekiwanie na start. Sam strzelił korkiem jak na wiwat, napełnił kieliszki i po chwili delektowali się z lubością musującym trunkiem.

Zawyły potężne turboodrzutowe silniki. Sandra zamknęła i zabezpieczyła drzwi. Po krótkim kołowaniu na koniec pasa startowego smukła maszyna wzbijała się w powietrze, wbrew prawu ciężenia wznosząc się pod dużym kątem nad wodami Morza Śródziemnego, po czym wykonała łagodny zwrot w kierunku zachodnim.

Kiedy osiągnęli wysokość przelotową, a hiszpański brzeg zniknął za ogonem samolotu, Sam i Remi zalogowali się do systemu komputerowego, każde na swoim terminalu, aby przygotować się do kolejnego wyjazdu. Tym razem chodziło o wyprawę w północne rejony Kanady wraz z ekipą sponsorowaną przez amerykańską Straż Obrony Wybrzeża, w celu przeprowadzenia badań w fiordach Ziemi Baffina w związku z katastrofalnym tempem topnienia lodowca. Zaproszenie do współudziału otrzymali od przyjaciela, komandora porucznika Wesa Maila. Mieli tam spędzić tydzień na ob słudze specjalistycznego sprzętu do rejestrowania zmian geofizycznych skonstruowanego przez Sama.

Wylądowali w San Diego tuż przed dziewiątą wieczorem. W budynku terminalu powitała ich Selma, która zajęchała na lotnisko cadillakiem CTS-V. Remi wyściskała ją, podczas gdy Sam ładował ich rzeczy do obszernego bagażnika. Wkrótce ruszyli w drogę do stojącego nad samym brzegiem oceanu domu w La Jolla.

- Stęskniłaś się za nami? - spytał Sam.

- Jeszcze jak. Bez was dom jest taki pusty - odpowiedziała Selma.

- A co u Zoltana? Był grzeczny? - dopytywała się Remi. Zoltan, wielki owczarek niemiecki, przyjechał z nimi z Węgier, gdzie przebywali w związku z zaginionym grobowcem wodza Hunów Attyli.

- Dobrze wiesz, jaki jest Zoltan. On nie potrafi być niegrzeczny. Choć z drugiej strony bardzo za tobą tęsknił, bo przecież kocha cię nad życie. Gdyby jeszcze potrafił mówić, twój mąż miałby w nim poważnego rywala - zażartowała Selma.

- Bez przesady. Może i jest ładniejszy ode mnie, ale za to ja mam przeciwstawne kciuki - odciął się Sam i wszyscy roześmiali cię serdecznie.

Kiedy wjechali do garażu, usłyszeli szczekanie Zoltana.

- Idźcie przodem - powiedział Sam. - Ja z bagażami będę trzymał się z tyłu. Zdaje się, że twój drugi ukochany dostaje szału. Lepiej mu się pokaż, zanim rozwali cały dom.

Wrota garażu zamknęły się za nimi. Selma otworzyła bagażnik, a Remi skierowała się do drzwi części mieszkalnej. Kiedy znalazła się w łączniku, szczekanie umilkło, zastąpiło je ciche skomlenie. Najwyraźniej wrażliwy psi nos wyczuł obecność Remi. Po wejściu do kuchni zastała Zoltana siedzącego na podłodze. Pies aż dygotał z emocji, ale wpojone posłuszeństwo nie pozwalało mu ruszyć się z miejsca. Remi podeszła bliżej, przyklęknęła na jedno kolano i przytuliła go, a on odwzajemnił jej się pocałunkiem, trącał ją nosem i radośnie zamiatał podłogę puszystym ogonem. Był w psim siódmym niebie z powodu powrotu ukochanej pani do domu.

Do kuchni weszła Selma, a za nią Sam z bagażami. Zoltan znów zaskomlił, jakby ziściły się jego najgorętsze marzenia. Sam postawił torby obok lodówki i klasnął w dłonie, przywołując psa do siebie, a ten wystrzelił ku niemu jak z procy. Sam podrapał Zoltana za uszami, a Remi dołączyła się do pieszczot, głaszcząc kudłaty grzbiet. Selma przyglądała się z uśmiechem rodzinnemu powitaniu.

- Mam zanieść wasze bagaże na górę? - spytała. Remi potrząsnęła głową.
- Sam to zrobi. Po tygodniu objadania się przyda mu się trochę ruchu.
- Dokładnie tak - potwierdził Sam. - Na morzu ja sobie dogadzałem, a całą najgorszą robotę odwalala Remi. Nie chciałem sobie czegoś naciągnąć albo nadwerężyć.
- W takim razie nie będzie wam przeszkadzało, jeśli udam się na spoczynek - powiedziała Selma z kamienną twarzą. - Do zobaczenia rano.
- Dziękujemy za odebranie nas z lotniska.
- Nie ma sprawy, to należy do moich obowiązków - odrzekła Selma i poszła do siebie.

W sypialni Remi z jękiem rozkoszy rzuciła się na wielkie łożo, a Zoltan zwinął się w kłębek na podłodze u wezglowia.

- Nie ma to jak w domu - stwierdził Sam. - W dodatku podłoga się nie kołysze. Idę pod prysznic i zaraz wracam.
- Nie musisz się spieszyć, nigdzie się nie wybieramy.
- To prawda, ale odczuwam skutki różnicy czasu. Nie bardzo wiem, czy powinienem zjeść śniadanie, czy raczej wypić kieliszek czegoś mocniejszego i położyć się spać.

Remi usiadła na łóżku.

- Nie odniosłeś wrażenia, że Selma była jakaś dziwna?
- Dziwna? Co przez to rozumiesz? - spytał Sam, zdejmując koszulę.
- Nie wiem. Przygaszona, jakby czymś zaabsorbowana.
- Może i tak. Czekał, wspominałaś chyba, że ostatnio ma kłopoty ze snem. Ja też bywam trochę marudny, kiedy się nie wyśpię.
- Trochę marudny? Jesteś wtedy jak niedźwiedź wyrwany z zimowego snu.
- Niedźwiedzie też potrzebują czasu dla siebie. Pogadaj z nią jutro, spróbuj podpytać. Ja muszę spłukać z siebie cały ten kurz z dalekiej podróży.
- Nie zauważyłam, żeby wewnątrz naszego samolotu było jakoś specjalnie zakurzone.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Zaraz będziesz czyściutki, jak nowo narodzony.
- Pozwól, że sam to ocenię.

Kiedy Sam i Remi zeszli na dół, Selma już była na nogach, a na całym piętrze biurowym, rozświetlonym porannym słońcem wpadającym przez ogromne, sięgające od sufitu do podłogi okna, unosił się intensywny aromat świeżo parzonej kawy. Lazurowy bezmiar Pacyfiku rozciągał się przed nimi niczym niebieski gobelin. Naprzeciw okna stała Selma, zapatrzona gdzieś w dal.

- Dzień dobry, Selmo. Jak się dziś czujesz? Udało ci się przespać całą noc?

Selma odwróciła się gwałtownie, jakby przestraszona ich obecnością. Na jej twarzy malowało się przygnębienie.

- Niestety nie... i nie jest to najpoważniejszy z moich problemów...

- Czy coś się stało? - spytała Remi i oboje z Samem popatrzyli na nią z wyraźną troską.

- Tylko obiecujcie mi, że nie będziecie się gniewać.

- Gniewać?! Z jakiego powodu? - spytał Sam natarczywym tonem, ale zaraz się opanował pod karcącym spojrzeniem Remi.

- Tego właśnie się obawiałam - mruknęła Selma.

- Nie przejmuj się nim. Z samego rana bywa czasem nieznośny. Po prostu powiedz nam, co się dzieje.

- Nigdy o tym nie wspominałam, ale od dłuższego czasu mam problemy ze stawami biodrowymi, a ostatnio tak bardzo mi się pogorszyło, że muszą mi obustronnie wszczepić endoprotezy.

- To przykre. Współczuję ci z całego serca - zmartwiła się Remi.

Selma wzięła głęboki oddech, jakby szykowała się do skoku z urwiska.

- Dziesięć dni temu byłam u lekarza. Stwierdził, że nie powinnam tego odkładać.

- Dlaczego nas o tym nie poinformowałaś? Nic dziwnego, że nie możesz spać - stwierdził Sam.

- Powinnam była wam powiedzieć, ale to wyjątkowo niesprzyjający moment. Mamy tyle spraw na głowie, a wy wyjeżdżacie za dwa dni. Nie mogę was zawieść. Jesteście tacy zapracowani.

- Nie gadaj bzdur - powiedziała Remi. - Jesteś dla nas jak rodzina.

- Na kiedy masz wyznaczony termin operacji? - spytał Sam.

- Za sześć dni, u Scrippsa.

- Zdaje się, że to jeden z najlepszych szpitali w kraju.

- Bez wątplenia.

- W takim razie odwołamy naszą wyprawę na Ziemię Baffina, a przynajmniej odłożymy ją do czasu, gdy wrócisz do formy - oznajmiła Remi, po czym podeszła do Selmy i uściśnęła ją.

- Nie róbcie tego - zaprotestowała Selma. - Nie chcę, żebyście rezygnowali ze swoich planów. Czuję się okropnie, gdybyście zostali. Poza tym i tak nie możecie mi w niczym pomóc.

- Właśnie że możemy - odparł Sam. - Ściągnę tu sprzęt rehabilitacyjny, jakiego będziesz potrzebowała. Wrócisz do domu prosto ze szpitala, załatwimy ci najlepszych fizjoterapeutów. Będziesz miała opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Nagle usłyszeli zamykające się drzwi łazienki. Wyszła z niej młoda kobieta o krótko obciętych ufarbowanych na czarno włosach z jaskrawoczerwonymi pasemkami, ubrana w czarne dżinsy i T-shirt w kolorze awokado. Selma odsunęła się od Remi i odchrząknęła.

- Czekałam z prezentacją, aż wszyscy będziemy razem. To moja siostrzenica Kendra Hollingsworth. Zaprosiłam ją, żebyście mogli się zapoznać. Będzie wam pomagać podczas mojego pobytu w szpitalu i rekonwalescencji. Pozwól do nas, Kendro. Poznaj Sama i Remi Fargo.

Kendra podeszła do nich i podała rękę najpierw Remi, a potem Samowi, który z bliska zauważył tatuaże na jej szyi i po wewnętrznej stronie nadgarstka, a także malutką błyszczącą kropeczkę kolczyka tkwiącego w nosie.

- Bardzo mi miło - powiedziała nieśmiało Kendra.
- Nam również - odrzekł Sam, rzucając szybkie spojrzenie Remi, która przyglądała się dziewczynie z obojętnym wyrazem twarzy.
- Kendra jest świeżo upieczoną absolwentką Uniwersytetu Południowej Kalifornii i chwilowo dysponuje wolnym czasem, dlatego była łaskawa przystać na moją propozycję - powiedziała Selma, wyczuwając lekkie napięcie wiszące w powietrzu. - Znam ją od dziecka i wiem, że jest jedną z najbystrzejszych i najbardziej utalentowanych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam.
- Co studiowałaś? - spytała Remi.
- Mam dwa fakultety, informatyka i historia. Zamierzałam zrobić jeszcze jeden, z matematyki, ale nie dałam rady.
- Imponujące - powiedział Sam z podziwem.
- Nie dla wszystkich. - Kendra wzruszyła ramionami. - Zwłaszcza kiedy zaczyna się szukać jakiegoś przyzwoitego zajęcia. Przynajmniej nie w tych dziedzinach. Proponowano mi stanowisko programistki albo pracę nauczycielki, ale żadna z tych profesji za bardzo mnie nie pociąga. Dlatego ucieszyłam się, kiedy Selma poprosiła mnie o pomoc.
- Przedstawiłaś już Kendrę Peteowi i Wendy? - spytał Sam, zwracając się do Selmy.
- Jeszcze nie. Mam zamiar zrobić to jutro. Wolę najpierw zapoznać Kendrę z obowiązkami, a dzisiaj akurat jest spokój, niedziela, sam rozumiesz.

Remi stanęła u boku męża.

- Chciałabym dokładniej porozmawiać o twoich planach, Selmo. Znajdziesz dziś czas, żeby zjeść ze mną lunch?
- Oczywiście. Pokażę Kendrze, jak funkcjonują nasze systemy, i wprowadzę ją w bieżące sprawy. Powinnyśmy skończyć, powiedzmy... około pierwszej.
- Doskonale. Dokąd pójdziemy?
- Przecież wiesz, że wszystko mi jedno.
- W takim razie ja zrobię rezerwację w jakimś fajnym lokalu. Chodźmy, Sam, nie będziemy im przeszkadzać - powiedziała Remi i oboje wrócili do części mieszkalnej. - Jest strasznie młoda, nie sądzisz? - szepnęła, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.
- Kiedyś wszyscy byliśmy młodzi, czyżbyś już zapomniała? Jeśli chodzi o mnie, to w jej wieku byłem już całkiem dobry w tym, co robiłem.
- Biedna Selma. Jest bardzo przybita. Stara się nadrabiać miną, ale musi odczuwać silne bóle. Znam ją dobrze, widać to po jej oczach.
- Zauważyłem. Na szczęście zajmą się nią najlepsi specjaliści.
- To prawda, ale wydawało się oczywiste, że już zawsze będzie nam pomagać, a tu nagle coś takiego...
- Zobaczymy, czego się dowiesz podczas lunchu. I bądź dobrej myśli. Ważne jest pozytywne podejście. Oczywiście powiedz też, że zapewnimy jej wszystko, cokolwiek miałoby to być. Najlepsi terapeuci, najlepsze leczenie, w dowolnym miejscu na świecie, na każde zawołanie.
- Naturalnie. Ale o ile znam Selmę, naszym największym kłopotem będzie powstrzymanie jej przed zbyt wczesnym powrotem do pracy. Ona po prostu kocha tę robotę.

- Wiem, ale Pete i Wendy nie są w ciemną białą i we dwójkę świetnie sobie poradzą. Poza tym raczej nie będziemy potrzebować jakiegoś niesamowitego wsparcia podczas rejestrowania prędkości kurczenia się lodowca. To zajęcie równie emocjonujące jak... bo ja wiem... obserwowanie topiącego się lodu.

Remi podeszła do rozsuniętych szklanych drzwi i stanęła w progu. Lekka oceaniczna bryza bawiła się jej włosami.

- A co sądzisz o jej tatużach?

- Taka teraz moda - odparł Sam, wzruszając ramionami. - Prawie wszyscy je mają.

- Mam tylko nadzieję, że nie jest... nie zrównoważona. Sam podszedł do żony i otoczył ją ramieniem.

- Może to młodzięczy akt buntu? Wszyscy przez to przechodziliśmy, w szkole czy na studiach. Zapomniałaś już?

- Mów za siebie. Ja byłam grzeczną dziewczynką.

- Nadal jesteś. Najlepszą z najlepszych. Praktycznie bez wad, nie licząc kiepskiego gustu, jeśli chodzi o mężczyzn.

- Lepiej pominę milczeniem twoje wady, a jest ich bez liku. A tak poza tym, ładnie pachniesz.

- To woda kolońska, którą kupiłaś mi na urodziny.

Odwróciła się i wtuliła nos w jego pierś, a potem przywarła ustami do jego ust. Po dłuższej chwili odsunęła się i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Punkt dla mnie.

Wieczorem Sam i Remi wybrali się na kolację do hotelu Valencia w sąsiedztwie ich domu. Na przystawkę zjedli świeże kalmary, a jako danie główne grillowane steki z tuńczyka, najlepsze, jakich kiedykolwiek próbowali. Sam zamówił butelkę wina 201°cobos reserve malbec, które stanowiło idealny dodatek do przyprawionej korzeniami i pieprzem ryby, uzupełniając jej ostry smak intensywną nutą porzeczek i czekolady. Rozmowa obracała się wokół Selmy i jej operacji oraz ich wątpliwości związanych z kolejnym wyjazdem po zaledwie dwóch dniach spędzonych w domu.

- Przypilnuj mnie, żebym nigdy więcej nie przeładował naszego harmonogramu tak jak tym razem - poprosił Sam.

- To nie jest wyłącznie twoja wina - odparła Remi. - Przecież się zgodziłam, nie pamiętasz?

- Więc to wszystko przez ciebie! To ty masz być mózgiem naszej ekipy.

- Musiała mi umknąć ta informacja, panie Wielki Wynalazco z Cal Tech.

- Cóż, od czasu do czasu każdemu może się poszczęścić.

Sam uregulował rachunek. Wyszli na ulicę przez ogromne, utrzymane w stylu kolonialnym wierzchołki hotelowego lobby, i skręcili na ścieżkę prowadzącą na przełaj przez trawnik prosto do ich domu. Człowiek siedzący w ciemnej limuzynie zaparkowanej przy drodze przed frontem wycelował w nich teleobiektyw i zrobił im kilka zdjęć.

Sam nieco zwolnił i nachyliwszy się do Remi, omiół wzrokiem prawą stronę ulicy.

- Nie daj tego po sobie poznać, ale chyba ktoś nas obserwuje - powiedział półgłosem.

- Z którego miejsca? - spytała, dostosowując tempo marszu do męża.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że widziałem jakiś ruch w jednym z samochodów zaparkowanych przy drodze.

- To mogło być cokolwiek. Młodzi kochankowie, pies, ktoś, kto szykuje się do uruchomienia silnika albo zakłada blokadę na kierownicę.
- Masz rację, ale o tej porze nasza okolica zwykle zamiera w nocnym bezruchu.
- Co zamierzasz zrobić?
- Zatrzymaj się, obejmij mnie i pocałuj, mając twarz zwróconą w stronę oceanu. Dzięki temu będę mógł rozejrzeć się po ulicy.
- Czy to jakaś sztuczka mająca mnie zmusić do zrobienia czegoś, na co masz ochotę?
- Jesteśmy ze sobą tak długo, że chyba zdążyłaś poznać wszystkie moje sztuczki.
- Zawsze tak mówisz, a potem wymyślasz coś nowego. ~ Pocałuj mnie wreszcie, cudowna istoto, zanim się zestarzeję o kolejną minutę.

Remi zatrzymała się, obróciła i wspiąwszy się na palce, zarzuciła Samowi ręce na szyję. Objął spojrzeniem kilka samochodów zaparkowanych przy chodniku i zatrzymał wzrok na limuzynie. Zauważył odbicie księżycowej poświaty na soczewce obiektywu aparatu fotograficznego, co potwierdziło jego podejrzenia.

Ścisnął Remi w pasie, dając jej znak, by przestała go całować, i poszli dalej, mając już tylko parę kroków do domu.

- Widziałem coś w jednym z samochodów, prawdopodobnie odbicie światła w obiektywie. Dobrze, że nie był to obiektyw lunety zamocowanej na karabinie.
- Skąd wiesz, że nie? - spytała Remi, której nagle przeszła ochota do żartów.
- Bo wciąż żyjemy. Gorzej, że ewidentnie znaleźliśmy się pod czyjąś obserwacją.
- To niepokojące. Ciekawe, kto i dlaczego nas obserwuje. Może to jakiś łowca autografów albo coś w tym stylu?
- Bardzo zabawne. Wejźmy do środka i upewnijmy się, czy działają wszystkie systemy zabezpieczeń. Potem udam się na krótki spacer i spróbuję się dowiedzieć, kto to jest.
- Może lepiej wezwać policję?
- I co im powiem? Że zobaczyłem coś błyszczącego w jakimś samochodzie? Nikt tego nie potraktuje poważnie.
- Tym razem chyba ty masz rację - przyznała Remi.
- Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę pokazuje właściwą godzinę.

Kiedy weszli, Selma już spała, więc Sam, po dwukrotnym sprawdzeniu wszystkich czujników i alarmu na konsoli sterującej, wyłączył zabezpieczenie bocznych drzwi garażu i wymknął się tamtędy na zewnątrz. Na ulicy panował spokój i cisza, słychać było tylko fale uderzające o skały na końcu cypla Goldfish Point i odległy szum samochodów dochodzący z Toreey Pines Road. Sam, w butach na gumowych podszewkach, przekradł się obok pierwszego z zaparkowanych pojazdów, kierując się do miejsca, gdzie stał wóz z obserwatorem. Na wszelki wypadek trzymał się poniżej linii okien.

Za chwilę spodziewał się dotrzeć do limuzyny, gdy nagle stanął jak wryty. Naprzeciw niego ziała pusta przestrzeń, a jedynym świadectwem czyjejś dłuższej obecności w tym miejscu było siedem niedopałków leżących na asfalcie.

Wyprostował się z rękami na biodrach i popatrzył w głąb ulicy.

Limuzyna zniknęła.

ROZDZIAŁ 6

Dwa dni minęły jak mgnienie oka i nadszedł wtorkowy poranek. Selma odwiozła Sama i Remi na lotnisko, skąd mieli wyruszyć w podróż na Ziemię Baffina. Oboje długo ściskali ją na pożegnanie. Zoltan przyglądał im się z uwagą, strzygąc uszami na dźwięk startujących odrzutowców. Remi przyklęknęła, ucałowała owczarka i podrapała go pod brodą.

- Przykro mi, piesku, ale muszę cię znów zostawić - szepnęła mu do ucha.

Zoltan machnął ogonem na znak, że zrozumiał, a kiedy Remi wstała, podążył za nią wzrokiem pełnym bezgranicznej miłości.

- Daj nam znać, kiedy już będziesz po operacji - poprosił Sam, a Selma kiwnęła głową, wyraźnie zawstydzona, że znalazła się w centrum uwagi.

- Trochę się denerwuję - wyznała - ale doktor powiedział, że codziennie wykonują dziesiątki podobnych zabiegów. Nie ma się czym przejmować.

- Jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze i szybko wrócisz do formy - powiedziała Remi.

- Obiecuj, że zawiadomisz nas, jak było i jak się czujesz po operacji. Oboje bardzo się o ciebie martwimy.

- Obiecuję - przyrzekła Selma. - A teraz kilka spraw niecierpiących zwłoki. Wasz sprzęt i wyposażenie są już od wczoraj na Ziemi Baffina. Zaraz po wylądowaniu w Iqaluit polecicie dalej do Clyde River, o ile nie będzie jakichś opóźnień. Pas startowy w Clyde River jest za krótki dla odrzutowców, więc tę część podróży odbędziecie samolotem o napędzie turbośmigłowym.

- Jak zwykle zadbałaś o wszystko - powiedział Sam. Selma spłonęła rumieńcem.

- Jeżeli okaże się, że będziecie potrzebowali czegoś, czego nie przewidziałam, zajmą się tym Pete i Wendy. Macie ze sobą telefony satelitarne, więc wystarczy zadzwonić. Poza tym, zanim skończycie badanie lodowca, ja będę z powrotem na posterunku i wszystkiego dopilnuję, jak zawsze.

Selma podeszła do samochodu i otworzyła tylne drzwi. Zoltan śmignął obok niej niczym czarnobrzowy kudłaty pocisk i usadowił się na siedzeniu.

- Najwyraźniej bardzo mu się śpieszy - skomentowała z uśmiechem. - Zoltan uwielbia jazdę samochodem, ale tym razem chodzi mu raczej o zaległe śniadanie.

Jeden z członków załogi wyjął z bagażnika torby małżeństwa Fargo i zaniósł je do niewielkiego budynku, w którym mieścił się terminal lotów czarterowych. Tam czekała na nich radosna jak zwykle Sandra. Razem wyszli na płytę postojową i wspięli się po schodkach na pokład samolotu. Sandra umieściła w schowku ich bagaże, a Kenii i Sam usiedli w fotelach. Kilka minut później byli już w powietrzu. Zaraz po osiągnięciu wysokości przelotowej Sandra podała lekkie śniadanie, złożone z ciast i owoców.

Sześć godzin minęło im szybko, bo niemal cały ten c/as spędzili na pracy przy swoich komputerach. Kiedy wylądowali na lotnisku międzynarodowym w Iqaluit na południowym krańcu Ziemi Baffina, byli wypoczęci i gotowi do kolejnego etapu podróży. Gulfstream pokołował do terminalu, w pobliżu którego stało kilka małych samolotów ze śmigłami. Na skraju płyty postojowej dwaj mężczyźni tankowali i przygotowywali do lotu jednosilnikową turbośmigłową maszynę typu Cessna Caravan.

- Założę się, że to nasza podwózka - powiedział Sam. Remi skinęła głową i westchnęła.

- Resztę drogi odbędziemy w ślimaczym tempie. Kiedy gulfstream się zatrzymał, Sandra otworzyła drzwi

i powiew arktycznego wiatru wtłoczył do kabiny mroźne powietrze. Remi podziękowała opatrności za zimowe palta, które zabrali ze sobą. Spodziewali się, że nagle przejście z 21°C w

San Diego do temperatury poniżej zera może wywołać szok, ale nic nie dało się na to poradzić. Zresztą u wschodnich brzegów Ziemi Baffina, piątej co do wielkości wyspy na Ziemi i największej w Archipelagu Arktycznym, miało być jeszcze zimniej. Większa część jej linii brzegowej była skuta lodem przez cały rok.

- Nie patrz tak na mnie. Przecież oboje się na to pisaliśmy - powiedział Sam w odpowiedzi na gniewne spojrzenie, które rzuciła mu Remi.

- Nie wzięłam pod uwagę, że może tutaj być tak zimno. I tyle śniegu.

- Nie zabawimy tu długo. Zaledwie tydzień. Zresztą na statku będzie ciepło. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Nie czuję stóp.

- Nie przesadzaj, przecież jesteśmy jeszcze w samolocie.

- A mamy wyjść na zewnątrz?

W tym rzecz rzeki Sam, stając na schodkach. Kiedy tylko lodowaty podmuch /nad pasa startowego wymierzył mu siarczasty policzek, natychmiast w duchu zgodził się z żoną, ale głośno powiedział: - No proszę, całkiem jak na Maui.

Remi posłała mu jedno ze swoich spojrzeń i z ociąganiem poczłapała za nim. Wyższy z osobników krzątających się koło cessny pomachał im i podszedł bliżej.

- Państwo Fargo?

- To zależy od tego, czy na statku jest ogrzewanie -burknęła Remi.

Mężczyzna spojrzał na nich zdziwiony, na co Sam spróbował się uśmiechnąć, mając nadzieję, że nie popęka mu skóra na twarzy.

- Zgadza się, to my. A pan zapewne z komitetu powitalnego?

Dryblas kiwnął głową i wyciągnął rękę.

- Tak jakby. Dawajcie te bagaże. Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć za dnia. Lądowanie w Clyde River to nie igraszka, nawet w idealnych warunkach. Lepiej nie próbować tego po zmroku. A przy okazji, jestem Rick.

- Bardzo mi miło. Z tego, co słyszałem, wynika, że dobrze zna pan tę okolicę - zauważył Sam.

- Można tak powiedzieć. Latam w tych stronach od ponad dwudziestu lat.

W powietrzu Rick okazał się niezbyt rozmowny, co zresztą w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało pasażerom. Cessna, bucząc silnikiem, dostojnie pokonywała liczącą siedemset dwadzieścia pięć kilometrów trasę i zaledwie pół godziny przed zapadnięciem ciemności pomiędzy rozproszonych chmur ukazał się ich oczom zwirowy pas startowy portu lotniczego w Clyde River. Rick bez przeszkód posadził maszynę na ziemi i już po chwili zatrzymali się przed niewielkim blaszanym barakiem pełniącym funkcję terminalu.

Wyszli z niego dwaj mężczyźni w grubych kurtkach i wełnianych czapkach. Kiedy Rick otworzył drzwi, Sam natychmiast rozpoznał starego przyjaciela i zarazem szefa ekspedycji badawczej, komandora porucznika Wesa Halla.

- Sam i Remi, jak miło znowu was widzieć. Byłoby jeszcze milej, gdybyśmy nasze badania mieli prowadzić na Fidżi - mówił Hall, podczas gdy Rick wyciągał ich bagaże ze schowka.

- Akurat tam raczej trudno byłoby prowadzić pomiary tempa topnienia lodowca - zauważyła Remi z uśmiechem.

Sam pokiwał głową.

- Masz za swoje. A wszystko przez to, że nie zaproponowałeś jakiegoś przyjemniejszego przedmiotu badań. Na przykład oszacowania gęstości populacji koralowców na Wielkiej Rafie.

- Właśnie dlatego ja jestem prostym oficerem straży przybrzeżnej, a wy gorącogłowymi poszukiwaczami przygód.

- Uważam, że w tym momencie używanie słowa „gorący” w jakimkolwiek kontekście to przesada - zażartowała Remi.

- Rzeczywiście. Poznajcie mojego zastępcę, kapitana Ralpa Willbanksa. Pan pozwoli, kapitanie, oto Sam i Remi Fargo.

Podali sobie ręce w obłokach pary buchającej im z ust.

- Wiele o was słyszałem - powiedział Willbanks.

- Niech pan nie wierzy we wszystko, co opowiada o nas komandor - przestrzegł go Sam.

- Pominąłem zabijanie smoków i umiejętność lewita-cji - rzucił Hall i wszyscy się roześmiali.

Nadszedł Rick z ich torbami. Willbanks zarzucił je sobie na ramiona, a Hall pomachał ręką w stronę stojącego nieopodal hummera. Za kierownicą siedział chorąży kanadyjskiej marynarki wojennej. Wóz miał włączony silnik i gorący nawiew. Remi z westchnieniem ulgi wdrapała się na tylne siedzenie, a Sam poszedł w jej ślady. Hall usiadł z przodu, a Willbanks wcisnął się na miejsce obok Sama i zatrzasnął drzwiczki.

Potężny pojazd potoczył się zrytą koleinami gruntową drogą.

- Za parę minut będziemy na miejscu - rzekł Hall. - Nasz okręt stoi na kotwicy w Patricia Bay. Prześpiemy się i o piątej rano ruszamy. Nie mamy czasu do stracenia. Lód wciąż się topi.

- Gdybyśmy mieli trochę szkockiej, nie topiłby się całkiem na darmo - podsunął Sam.

- Kiedy już będziemy w fiordach, zrobisz sobie drinka z lodem odłupanym z lodowca. Podobno lepiej smakuje. Ja natomiast zachowam abstynencję do końca wyprawy. Służba nie drużba. Nie mogę dawać złego przykładu, uczestnicząc w hulankach z cywilami.

- Skoro nie zakazuje się personelowi pomocniczemu wypicia od czasu do czasu szklaneczki na rozgrzewkę, to nie mam uwag.

- Gdybyście należeli do personelu, otrzymywalibyście wynagrodzenie. Skoro jednak pomagacie bezinteresownie, przysługuje wam status gości honorowych, a ja wyznaję zasadę, że gości należy traktować z największą uprzejmością.

- Podoba mi się twoje podejście. A tak poza tym, jaką temperaturę mamy na zewnątrz? - spytała Remi.

- Szesnaście stopni poniżej zera. Ale nie ma się czym przejmować, w południe powinno być o prawie dwa stopnie cieplej.

- Podejrzewam, że nie mamy spa albo salonu masażu na pokładzie.

- Niestety, zostaną dodane dopiero po zakończeniu ekspedycji. Sądziłem, że otrzymaliście pełne informacje - powiedział Hall.

Minęli zakręt i wjechali do osady Clyde River, której sfatygowane przez aurę zabudowania sprawiały ponure i niegościnne wrażenie. W kilku domach świeciło się w oknach. Mieszkańcy kryli się we wnętrzach przed permanentnym zimmem. Zmierch przegonił niemrawo świecące słońce do nocnej kryjówki za górami otaczającymi okolicę.

- A gdzie kasyno? - spytał Sam.

- Unosi się na wodach zatoki. Każdy dzień na pokładzie okrętu odbywającego próbny rejs, w którym właśnie będziemy uczestniczyć, jest jak hazardowa gra w kości.

- Czyżby to była fabrycznie nowa łajba?

- Jakbyś zgadł. „Alhambra” to najnowsze osiągnięcie techniki. Została zwodowana przed dwoma miesiącami. To czterdziestotrzymetrowy kuter patrolowy, przystosowany do pełnienia funkcji lekkiego lodołamacza. Starsze kutry typu Bay radziły sobie z lodem półmetrowej grubości. Ta ślicznotka przebiję się przez warstwę dochodzącą do dziewięćdziesięciu centymetrów.

- I to ma być lekki lodołamacz? - zdziwił się Sam.

- Bo rzeczywiście jest lekki w porównaniu z okrętami tej samej klasy o długości od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu metrów. Tamte są za duże na fiordy, a „Alhambra” nadaje się idealnie. Jest zwrotna, dzięki czemu może operować blisko brzegu bez ryzyka wejścia na mieliznę, i wystarczająco odporna, żeby przebić się przez pokrywę lodową, zalegającą na powierzchni jeszcze pod koniec wiosny, a nawet w początkach lata.

- Oto i ona - powiedziała Remi, wskazując stojącą w zatoce jednostkę z charakterystycznym oznaczeniem amerykańskiej straży przybrzeżnej w postaci ukośnego czerwonego pasa na kadłubie w pobliżu dziobu. Światło lamp okrętowych odbijało się od gładkiej, czarnej powierzchni wody. - Wygląda na dłuższą niż czterdzieści trzy metry.

- Bo jest dość rozłożysta, ma nieco ponad dziesięć metrów szerokości - wyjaśnił Hall. - Podoba mi się jej krzepki kształt. Wprawdzie nie spisuje się najlepiej na pełnym morzu z powodu zaokrąglonego dna, ale to dotyczy wszystkich lodołamaczy.

Samochód zwolnił i zatrzymał się, spod ogromnych kół dobył się chrzęst żwiru. Wysiedli. Wiatr przeszywał zimowe kurtki Sama i Remi, jakby były uszyte z płótna. Remi zabijała ręce, próbując powstrzymać szczykanie zębów.

Hall pokiwał wyrozumiale głową i powiedział:

- Mam dwie arktyczne kurtki z wyszytymi waszymi imionami.

- Dzięki, Wes. Jesteś dżentelmenem. Przy tobie i moim mężu czuję się, jakbym była w drugiej podróży poślubnej.

- Zawsze wiedziałem, że Sam ma duszę romantyka.

- Święta prawda - przytaknął Sam.

Willbanks nawiązał połączenie przez radio. Poprzez gwizdy i trzaski usłyszeli potwierdzenie i po chwili motorówka przycumowana za rufą „Alhambry” wystartowała z rykiem silnika i skierowała się do miejsca, w którym stali na brzegu. Fargo wraz z obydwojema oficerami straży przybrzeżnej zeszli ze stromej skarpy i już wkrótce łódź cięła wody zatoki.

- Selma powiedziała, że nasz sprzęt dotarł w komplecie - rzekł Sam, przekrzykując silnik motorówki, która zaczęła zwalniać, zbliżając się do okrętu badawczego.

- Zgadza się - potwierdził Hall. - Technicy podłączyli go do naszej sieci komputerowej i sprawdzili, czy wszystko działa.

Po wejściu na pokład zabrał Fargo na zwiedzanie jednostki i przedstawił ich piętnastoosobowej załodze. Następnie zaprowadził ich do kabiny, ciasnego pomieszczenia z maleńką łazienką i natryskiem, zaprojektowanego raczej z myślą o funkcjonalności niż wygodach. Hall pokazał im różne przełączniki i pokręta, sterujące wszystkim - od inter-komu po ogrzewanie, a potem zaprosił na kolację i zostawił samych.

Kiedy drzwi zamknęły się za komandorem, Remi podeszła do łóżka i sprawdziła jego twardość.

- To będzie długa podróż - powiedziała.

- Przynajmniej jest ciepło - odparł Sam. - Wolałabym mieszkać pod namiotem?

- Uwielbiam biwakowanie.
- Spędziłaś chyba dość czasu w terenie, koczując ze mną pod gołym niebem.
- Słowo „dość” jest tu jak najbardziej na miejscu.
- To tylko siedem dni, siedem krótkich dni w morzu. Wyobraź sobie, że to morska wycieczka...
- Do lodowego piekła. Czy w przypadku rezygnacji otrzymam zwrot pieniędzy?
- Obawiam się, że teraz już nie ma odwrotu.
- No cóż, chyba jest trochę za zimno, żeby popłynąć wpław do brzegu.

Kolacja była zaskakująco dobra. Po godzinie wzajemnego snucia opowieści i nadrabiania czasu niewidzenia się z Hallem Sam i Remi wrócili do kabiny syce, choć zmęczeni po całodziennym podróży. Zapadli w sen w takt łagodnego kołysania się okrętu w nurcie rzeki.

ROZDZIAŁ 7

Z głuchym dudnieniem dwóch dieslowskich silników, od których wibrował cały kadłub, „Alhambra” płynęła po lekko sfalowanym Morzu Baffina północnym kursem, za koło podbiegunowe. Jak dotąd wycieczka okazała się bardzo owocna, po trzech dniach znajdowali się dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Clyde River. Zbadali cztery fiordy, mapując dno i dokonując pomiarów kurczenia się lodowców. Kolejne dni biegły zgodnie z ustalonym porządkiem - wstawali o świcie, a po godzinie byli już w drodze, korzystając z dziennego światła, które zdawało się trwać bez końca.

Motory zwolniły obroty, bo zbliżali się do celu dzisiejszego etapu wyprawy. Mieli nad sobą zaledwie skrawek błękitu, przechodzący w rosnącą przed nimi lodową biel. Po obu stronach wznosiły się góry, niczym strażnicy tajemniczego bezludnego królestwa na końcu świata. Słychać było trzaski, kiedy kadłub sunął po powierzchni morza pokrytej cienką warstwą lodu, która wciąż utrzymywała się u wejścia do fiordu, mimo że wiosna, choć niechętnie, sposobila się już do przejścia w lato.

Hall stał przy oknie mostku obok sternika, który kierował dziób kutra w głąb fiordu, nie wiadomo jak daleko wcinającego się w ląd.

- Idzie przez lód jak nóż przez masło - zauważył Sam, stojący przed zestawem monitorów, na których wyświetlały się rejestrowane przez komputery dane z przywiezionych przez niego specjalistycznych instrumentów pomiarowych.
- Cały sekret kryje się w systemie wtłaczającym powietrze pod niskim ciśnieniem pomiędzy kadłub a lód. Redukuje to nacisk na poszycie i zwiększa pionowe naprężenia w lodowej tafli, dzięki czemu pęka ona pod mniejszym naporem niż w przypadku lodołamaczy starszych typów - wyjaśnił Hall, wpatrując się przez lornetkę w obszar przed dziobem. -Zdaje się, że fiord skręca lekko w prawo. Sprawdźmy, jak to wygląda na obrazie z satelity.

Podszedł do monitora i zrobił zbliżenie obszaru, na którym przebywali, a siedzący obok technik wycentrował obraz na pulsującej żółtej ikonie, oznaczającej ich aktualną pozycję.

- Popatrz na to. Lodowiec znajdujący się przed nami sięgał kiedyś półtora kilometra dalej. Wyraźnie widać, że znacznie cię cofnął. Co o tym sądzisz, Conelly? - spytał, pukając palcem w ekran. - Damy radę precyzyjnie się przez ten kanał?

Technik szybko przekalkulował pomiar zdjęty z ekranu i kiwnął głową.

- Tak jest, sir. Ale będzie ciasno. Przesmyk ma około trzydziestu metrów szerokości. Jeden błąd, a

wylądujemy na skałach.

Remi weszła na mostek, kiedy zbliżali się do przesmyku. Warstwa lodu była w tym miejscu znacznie grubsza, a po obu stronach wznosiły się górskie ściany.

- Czy to nie cudowne? - powiedziała, podziwiając naturalne piękno surowego krajobrazu.
- Tak, tak - odrzekł Sam, nie odrywając wzroku od ekranów.
- Nawet nie spojrzales.
- Patrzyłem przed chwilą. Teraz zarabiam na utrzymanie.

Remi podeszła do okna i stanęła obok Halla, wpatrzona w wejście do przesmyku.

- Strasznie ciasno - zauważyła.
- To jeden z powodów, dla których płyniemy tą łupinę, a nie większą jednostką - wyjaśnił komandor.

Okręt wszedł w szczelinę między ciemnobrązowymi skałami wznoszącymi się nad nimi zaledwie o rzut kamieniem po obu burtach. Sternik jeszcze bardziej zredukował obroty. Po chwili minęli przeszkodę i znaleźli się w długim fiordzie otoczonym urwistymi ścianami, które sięgały wysoko, niemal całkowicie blokując światło słońca.

- Wygląda na to, że fiord ciągnie się jeszcze na ponad dwa kilometry i kończy dopiero tam, gdzie lodowiec styka się z wodą - powiedział Hall, wskazując przed dziób. -Z analizy obrazów satelitarnych wynika, że tysiąc lat temu lodowiec sięgał aż do miejsca, w którym właśnie jesteśmy.

- Dziwna sprawa - mruknął Sam, pochylony nad monitorem. - Magnetometr zwariował.
 - Zwariował? Czy to jakiś nowy termin techniczny? - spytał Hall.
 - To po prostu niesamowite. Wskazania obejmują cały ten obszar, tak jakby coś tkwiło w lodzie - rzekł Sam, wpatrując się w ekran.
 - Czyżby pokłady rudy? - podsunęła Remi.
 - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Źródło odczytów znajduje się około pięćdziesięciu metrów przed dziobem, ale nie wykazuje cech charakterystycznych dla złóż minerałów. To wygląda raczej na jakąś konstrukcję.
 - W tym miejscu? - zdziwił się Hall. - Może jakiś stary kuter rybacki?
 - Mało prawdopodobne - odparł Sam.
 - Jaki namiar?
 - Odległość trochę ponad czterdzieści metrów, piętnaście stopni w prawo od dziobu.
- Zgadza się. Sternik, podejdź ostrożnie jak najbliżej, tylko nas nie zatop.

- Robi się, sir.

„Alhambra” drgnęła i zaczęła powolutku zbliżać się do brzegu. Trzask pękającego lodu zmienił się w głuchy pomruk. Nagle okręt otarł się o dno i znieruchomiał. Sternik przesunął w tył obie dźwignie przepustnic, przełączył przekładnię na obroty jałowe i popatrzył wyczekująco na dowódcę.

- I co teraz mówi ta wasza drogocenna kupa złomu? -Hall zwrócił się z pytaniem do Sama.
- Że znajdujemy się około czternastu metrów od tego, co generuje impulsy.
- A może to rozbity samolot? - zasugerowała Remi. -Albo jakieś śmieci z czasów drugiej wojny światowej?
- Wszystko możliwe, ale to coś siedzi dość głęboko w lodzie. Cokolwiek to jest, musi tam

tkwić od dawna. - Sam pokręcił głową. - To naprawdę dziwne. O ile dobrze interpretuję odczyty, obiekt nie znajduje się pod wodą, lecz na powierzchni.

- Nic nie widzę - stwierdziła Remi.

- To dlatego, że lód przy brzegu jest grubszy. W miejscu zetknięcia z lądem jego warstwa sięga siedmiu metrów.

- Wobec tego co robimy? - spytał Hall. Sam jeszcze raz zerknął na ekrany i wstał.

- Sądzę, że wybierzemy się na spacer.

Fargo, Hall i trzech członków załogi ruszyli ostrożnie po śliskim, zasypanym śniegiem podłożu. Sam zauważył, że jego nachylenie stopniowo rośnie wraz ze zbliżaniem się do zagadkowego obiektu. Kiedy stanęli dokładnie nad nim, znajdowali się pięć metrów powyżej powierzchni fiordu. Wykrywacz metalu skrzeczał jak wystraszona mewa, kiedy Sam przesuwiał nim po niewielkim wzniesieniu. Obszedł z nim ostrożnie cały teren, wyrysowując stopą w śniegu przybliżoną granicę strefy, poza którą impulsy zanikały. Zakreślony obszar miał niecałe trzydzieści metrów długości.

- Możesz tu ściągnąć jeszcze kilku ludzi ze sprzętem do kopania? - spytał Halla. - O ile masz coś takiego na pokładzie.

- Jest kilka łopat i kilofów, może ze dwa łomy - odparł komandor, wpatrując się w zaznaczony kształt.

Po dwóch godzinach kucia lodu jeden z kopaczy wydał głośny okrzyk. Fargo podbiegł do niego. Sam ukląkł i pochylił się nad czymś brązowym, a potem wstał i z zadumą wpatrzył się ponownie w zarys na śniegu.

- To drewno - powiedział.

- Sama widzę. Powstaje pytanie, dlaczego zareagował na nie magnetometr.

- Musi tam być coś jeszcze oprócz drewna - orzekł Sam. - Na pewno żelazo i cała gama innych metali.

Remi podążyła za jego wzrokiem.

- Myślisz to samo co ja?

- Nie zamierzam wpadać w hurraoptymizm ani wyciągać pochopnych wniosków - odparł Sam i zwrócił się do pozostałych, którzy przestali dłużyć w lodzie: - Kopcie ostrożnie po zewnętrznej stronie linii wytyczonej przez ten kawałek drewna. Nie za blisko, żeby niczego nie uszkodzić.

Willbanks przysłał jeszcze kilku ludzi i wkrótce wszyscy rąbali lód czymkolwiek, co zdołali znaleźć: łopatami, kilofami, łomami i młotami. Przed wieczorem większa część obiektu została odsłonięta. Nie było już żadnej wątpliwości, czym jest znalezisko.

- Statek wikingów - powiedziała z powagą Remi.

- Rzeczywiście - przytaknął Sam. - Pierwszy, jaki kiedykolwiek odkryto na Ziemi Baffina. Znaleziono już kilka na Grenlandii, ale tu jeszcze nigdy. To naprawdę fascynujące. Jest w idealnym stanie. Doskonale zakonserwowany w lodzie.

- Co to może być? Czy mógłbyś to wydobyć? - spytała Remi ze środka długiej łodzi.

- O czym mówisz?

Sam dołączył do żony. Wpatrywała się w lód wypełniający wnętrze statku. Przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy, spojrzał na cień widoczny pod warstwą lodu i potrząsnął głową.

- Ściemnia się, nic nie widzę. Ma ktoś latarkę? - rzucił przez ramię.

Po chwili przyszedł Willbanks z długą latarką z czarnego aluminium. Włączył ją i podał Samowi.

- Dzięki.

Sam poświecił w lód, którego tafla miejscami była nieprzezroczysta. Promień światła ulegał rozproszeniu w zmatowiałych miejscach, a gdy wreszcie padł na obiekt zauważony przez Remi, ta odskoczyła jak oparzona. Sam nie odrywał wzroku od tego, co zobaczył.

Uwięziony w lodzie człowiek wpatrywał się w wiekuiastą pustkę niewidzącymi niebieskimi oczami. Jego twarz, okolona rzadką jasną brodą, zastygła w wyrazie lekkiego zdziwienia. W dłoniach wystających spod ciężkiego futrzanego płaszcza, którym owinął się w daremnej próbie przeciwstawienia się temu, co nieuniknione, ścisnął strzępy porwanego żagla.

ROZDZIAŁ 8

Po kolacji Sam i Remi siedzieli na mostku z Hallem i Will-banksem i przyglądali się nocnej zmianie, która kontynuowała prace nad wydostaniem liczącego tysiąc lat statku wikingów z zimnych objęć natury. Rejon prac oświetlały silne przenośne lampy, a główny reflektor „Alhambry” skierowany był na rufę starodawnej jednostki, która stopniowo wyłaniała się z lodu.

- To bez wątpienia niezwykle odkrycie. Autentyczny wikiński drakkar w nienaruszonym stanie, idealnie zakonserwowany wraz z załogą. Nigdy dotąd nawet nie słyszałam o takim przypadku – powiedziała Remi, ubierając w słowa to, o czym myśleli pozostali.

- Ani ja. Sama wartość naukowa znaleziska jest nic do przecenienia – dorzucił Sam.

- A co z resztą załogi? - spytał Hall. Znaleźliśmy dziesięciu ludzi, a na takim statku było ich znacznie więcej. Osiemdziesięciu, może nawet dziewięćdziesięciu.

- Na razie możemy tylko spekulować - odparł Sam. - Łódź mogła się tu schronić przed burzą i pozostali oddalili się w poszukiwaniu innej drogi powrotnej na pełne morze albo w celu zdobycia prowiantu. Niewykluczone, że dowiemy się więcej po odkopaniu całego statku.

- Wyobraźcie sobie, co musieli przeżywać ci, którzy przetrwali najdłużej - powiedziała Remi, wzdygając się mimowolnie. - Głodni, przemarznięci, świadomi, że już nigdy nie zobaczą domu ani swoich bliskich, umierali na tym pustkowiu...

- Dobrze chociaż, że śmierć w wyniku hipotermii jest bezbolesna - skomentował Hall. - Zapada się w sen i w pewnym momencie serce po prostu przestaje pompować krew. Przynajmniej na sam koniec nie cierpieli.

- Mimo wszystko to okropne. Ten człowiek... to, jak patrzył w nicość...

Po słowach Remi na dłuższą chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Sam, który podniósł się z miejsca i rzekł:

- Przy odrobinie szczęścia jutro uzyskamy dostęp do większej części łodzi i będziemy mogli dokładniej ją zbadać. Nie wiem jak wy, ale ja jestem wykończony. Już dawno minęły czasy, kiedy mogłem harować cały dzień bez wytchnienia, jak jakiś skazaniec.

Remi także wstała.

- Popieram - powiedziała i zwróciła się do Halla: - Dziękujemy ci, że dałeś nam ludzi do pomocy, chociaż ta sprawa nie ma żadnego związku z celem ekspedycji.

- Chyba żartujesz - obruszył się. - Przecież to kawałek historii. Przy okazji poruszyłeś pewien istotny problem, nad

będziemy musieli stąd odpłynąć, aby dokończyć badania o pogalicyzacji fiordów i analizę stanu lodowca. Niestety, mamy określony harmonogram. Wprawdzie jest dość elastyczny, ale

„Alhambra” została wyznaczona do innych zadań po zakończeniu naszej ekspedycji i muszę brać to pod uwagę. Sam kiwnął głową.

- Zdaje sobie sprawę, że analiza jest bardzo ważna. Pozwól mi chwilę pomyśleć, może znajdę jakieś rozwiązanie. Nie chciałbym zostawiać znaleziska na pastwę żywiołów do czasu, gdy ktoś tu dotrze i je zabezpieczy. Przekazaliście przez radio moje uwagi?

- Tak i Kanadyjczycy wyrazili gotowość przysłania ekipy najszybciej, jak to możliwe. Ale to nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Muszą skompletować zespół ludzi i sprzęt, znaleźć odpowiedni statek, zaopatrzyć go w paliwo i...

- Aż za dobrze znam te problemy - przerwał mu Sam. - Jest, jak jest. Na razie zróbmy, ile się da, a potem coś wymyślimy.

Remi wzięła go za rękę i pociągnęła do zejściówki, która prowadziła do ich kabiny.

- Dobranoc. Powiedz ludziom, żeby zachowali wzmożoną ostrożność, kiedy już odkopią większą część łodzi. Lepiej pracować powoli niż...

- Wiem, o co chodzi, i zaraz im przekażę - zapewnił ją Hall. - Życzę wam obojgu dobrej nocy.

Nazajutrz o trzeciej po południu prawie cały drakkar był z grubsza oczyszczony z lodu i Fargo mogli przystąpić do bardziej precyzyjnych prac we wnętrzu statku. Zamarzniętych członków załogi postanowili na razie nie ruszać. Uznali, że będzie lepiej, jeśli pozostaną zakonserwowani pod cienką warstwą lodu.

Remi ostukiwała pierwszą z drewnianych skrzyń ustawionych wzdłuż obu burt między ławkami wioślarzy. Skrzynie te stanowiły jedyną przestrzeń ładunkową statku, nie licząc niewielkiego pomieszczenia wewnątrz kadłuba. Wcześniej odkryli strzaskany maszt, który leżał wzdłuż środkowego przejścia, będącego naturalnym miejscem jego przechowywania. Poza masztem znaleźli tam tylko kilka wioseł. Resztę prawdopodobnie zużyto na opał, zanim ludzie pozostali na łodzi umarli z głodu lub zamarzli na śmierć.

- No, wreszcie udało mi się oczyścić ją z lodu - powiedziała Remi. - Możesz tu podejść?

Sam, który opukiwał za pomocą młotka i dłuta skrzynię stojącą kilka metrów dalej, wstał i ostrożnie ruszył w stronę żony po śliskim pokładzie.

- Jesteś szybsza ode mnie - skomentował.

Gdy wspólnie podważyli wieko skrzyni, odłożył je na bok. Remi sięgnęła do środka i wyjęła niewielki posążek z obsydianu.

- Raczej nie pochodzi ze Skandynawii - orzekł Sam, patrząc jej przez ramię.

Podala mu posążek i wyciągnęła ze skrzyni pięknie malowaną glinianą miskę.

- To niesamowite - powiedziała. - Wygląda, jakby wykonano ją przed kilkoma tygodniami. Z czymś takim jeszcze nigdy się nie spotkałam.

Sam wziął miskę i przyjrzał jej się z uwagą.

- Nie do wiary, naprawdę jak nowa.

Podszedł do nich Wes Hall, który doglądał prac przy oczyszczaniu dziobu. Spojrzał na miskę w dłoniach Sama, ale nic nie powiedział.

Remi wyjęła ze skrzyni kolejny przedmiot - kutą miedzianą maskę. Obejrzała ją ze wszystkich stron i pokręciła głową, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- Masz jakąś hipotezę? - zainteresował się Sam.

- To nie hipoteza - odparła. - Jestem pewna, że żaden z tych przedmiotów nie pochodzi z

Europy. Wszystkie są wytworami kultury prekolumbijskiej.

- Chodzi ci o kulturę Azteków? - spytał Hall. Remi potrząsnęła głową.
- Raczej wcześniejszą. Nie jestem ekspertem od sztuki prekolumbijskiej, ale założę się o butelkę dobrego koniaku, że te przedmioty mają około tysiąca lat. Stawiam na Olme-ków, Tolteków albo Majów.
- Jak wobec tego znalazły się na wikińskim statku w Arktyce? - zastanawiał się Hall.
Sam wzruszył ramionami.
- Nie mam bladego pojęcia.

Remi przystąpiła do inwentaryzacji zawartości skrzyni. Znalezione w niej przedmioty były prawdziwym skarbem przede wszystkim dlatego, że stanowiły dowód, że wikingowie dotarli do brzegów Ameryki i nawiązali bliskie kontakty z zamieszkującymi ją grupami etnicznymi. Po skończeniu notatek obfotografowała wszystkie przedmioty na potrzeby przyszłych badań, odkładając każdy na jego miejsce w skrzyni. Sam wrócił na swoje stanowisko pracy i oczyściwszy z lodu pojemnik z surowego drewna, podważył jego pokrywę.

- Mniej więcej to samo - powiedział, unosząc delikatnie zdobioną pomarańczową urnę z ceramiki, którą następnie oddał Remi.

Popołudnie minęło im szybko. Zdołali otworzyć jeszcze dwie skrzynie, zawierające prekolumbijskie artefakty i trochę osobistych rzeczy wioślarzy. Na dnie ładowni Sam odkrył ciężką kamienną płytę ze żłobieniami na krawędziach - kamień runiczny wikingów. W Skandynawii kamienie runiczne występowały dość powszechnie i wykorzystywano je zwykle jako płyty nagrobne. Ani Sam, ani Remi nie potrafili odczytać staronordyckich napisów, więc sfotografowali kamień i oznaczyli do późniejszego, bardziej szczegółowego zbadania. Do kolacji znaleźli bardzo dużo artefaktów. Nie ulegało wątpliwości, że statek jest znaleziskiem, które odmieni oblicze historii.

Kiedy znaczenie odkrycia stało się oczywiste, Sam i Hall zarządzili tymczasową przerwę w pracach wykopaliskowych.

Pół godziny rozmawiali przez radio z rozentuzjasmowanymi naukowcami z Kanadyjskiego Towarzystwa Archeologicznego przy Uniwersytecie Waterloo oraz z Kanadyjskiego Towarzystwa Historycznego z Montrealu. Wszyscy zgadzali się co do konieczności natychmiastowego zorganizowania ekspedycji, nie mieli też wątpliwości, że znaleziska nie wolno zostawić bez opieki ze względu na ogromne znaczenie artefaktów. Pod koniec rozmowy Sam zrobił coś, o czym bał się poinformować Remi, ale gdy tylko znaleźli się w swojej kabinie, od razu się wygadał.

- Niby co zrobiłeś? - spytała z niedowierzaniem, siedząc na łóżku z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Zgłosiłem nas oboje na ochotnika do spędzenia jakiegoś czasu pod namiotem na lodzie - powtórzył Sam i dodał, zanim Remi zdążyła się sprzeciwić: - Sama widziałaś, co jest w tych skrzyniach. Nie możemy tak po prostu odpłynąć na „Alhambrze”. Daj spokój, znam cię dobrze, tak jak i ty mnie. To jest coś, o czym nikomu nawet się śniło.

Remi jeszcze tylko przez kilka sekund siedziała naburmuszona, bo nie potrafiła długo gniewać się na męża.

- Będziesz mi to musiał zrekompensować, i to solidnie. Siedzenie w tej puszce sardynek jest wystarczająco okropne, a co dopiero mówić o biwakowaniu na lodowcu. Choćbyś wykupił mi nieograniczony abonament we wszystkich spa na świecie, nie zdołasz mi tego wynagrodzić.

- Wes ma specjalne izolowane namioty i gazowe grzejniki. Nie będzie tak źle - pocieszył ją Sam, ale te słowa wydały mu się idiotyczne już w chwili, gdy je wypowiadał. Oczywiście, że

będzie źle. Temperatura wynosiła piętnaście stopni poniżej zera, a oni będą musieli tkwić tu co najmniej tydzień. -1 przyrzekam, że ci to wynagrodzę. Zrobię wszystko, cokolwiek sobie zamarzysz.

- Naprawdę wszystko?
- Tak.
- Zapamiętam to sobie.

Nazajutrz rano Sam i Remi przyglądali się, jak „Alham-bra”, pracując maszynami wstecz, odchodzi od brzegu przy wtórze ogłuszających trzasków pękającego lodu. Duży termooizolowany namiot ze srebrzystą powłoką stał za ich plecami jak rozpaczliwie samotna sierota. Był to ich nowy dom, wypełniony wszystkim, co mogło im się przydać spośród zasobów okrętowego magazynu.

- Przynajmniej nie będziemy mieć problemów z lodówką - stwierdził Sam.
- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, to chciałeś powiedzieć?
- Myśl pozytywnie. Jak tylko kupisz cytryny... Okręt cofał się jeszcze przez chwilę, po czym zawrócił na trzy i teraz przebijał się dziobem przez świeżo narosły lód. Patrzyli, jak zbliża się do wąskiego kanału, a wkrótce potem zniknął im z oczu. Jeszcze przez jakiś czas słyszeli stłumione dudnienie potężnych diesli, a potem jedynym śladem obecności „Alhambry” pozostał wąski pas pokruszonej kry na polu lodowym.

Nad fiordem zapadła cisza.

- Nareszcie - odezwał się Sam. - Już myślałem, że nigdy nie odpłyną.
- Rozumiem cię - odparła Remi. - Mnie też tłok doprowadza do szału.
- Głupie szczeniaki, myślą tylko o muzyce i zabawie.
- Może teraz zdołamy wreszcie popracować.

Remi bezwiednie dotknęła wiszącego na szyi złotego skarabeusza, kiedy lodowaty podmuch wiatru wywiał resztkę śniegu pomiędzy ich stóp. Sam pokiwał głową i odwrócił się plecami od wejścia do fiordu.

- Widzę, że polubiłaś swój talizman.
- Jak dotąd dobrze nam służy. Właśnie odkryliśmy idealnie zachowany wikiński statek, chociaż wcale go nie szukaliśmy.
- Nie da się ukryć.

Remi wyjęła z kieszeni obszernej kurtki telefon satelitarny, nacisnęła numer z listy szybkiego wybierania i czekała na połączenie. Kendra odezwała się po trzecim sygnale. Remi z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmi przytomnie i kompetentnie.

- Kendra? Mówi Remi Fargo.
- Dzień dobry, pani Fargo. Otrzymaliśmy wysłane przez państwa informacje o statku wikingów. To musi być niezwykle ekscytujące.
- O tak, naprawdę niesamowite. To jedno z najwspanialszych naszych odkryć. Ale dzwonię w innej sprawie. Co słychać u Selmy?
- Operacja przebiegła zgodnie z planem. Teraz Selma zaczyna rekonwalescencję w szpitalu. Potrzymają ją jeszcze dwa albo trzy dni, a potem wypiszą do domu. Sprzęt fizjoterapeutyczny już dotarł, więc będzie mogła kontynuować ćwiczenia.
- Przekaż jej, że dzwoniśmy i życzymy jej wszystkiego dobrego.
- Oczywiście.

- Czy Pete i Wendy znaleźli już coś na interesujący nas temat?

- Cały czas prowadzimy poszukiwania we trójkę, bo im w tym pomagam. Istnieje kilka wzmianek o obecności wikingów w obu Amerykach przed przybyciem Kolumba, ale prawdziwość żadnej z nich nie została przekonująco udowodniona. Wśród naukowców zdania są podzielone, jedni twierdzą, że wikingowie tu byli, a inni mają odmienny pogląd.

- Witaj w świecie archeologii. Dobra wiadomość jest taka, że nasze odkrycie ostatecznie zamknie tę dyskusję. Nie ma innego wyjaśnienia dla znalezionych artefaktów. Mimo to szukajcie dalej.

- Będziemy szukać. Doskonale się nam razem pracuje, zwłaszcza Pete bardzo mi pomaga.

- Miło mi to słyszeć. Teraz uważaj, Kendro. Transport i zabezpieczenie wikińskiego statku to potężne przedsięwzięcie. Kilka lat temu stanęliśmy przed podobnym wyzwaniem po odnalezieniu konfederackiego okrętu podwodnego CSS „Hunley”. Kiedy Selma będzie już na miejscu, poproś ją, żeby skontaktowała się z Warrenem Laschem, który kierował tamtą operacją. Spróbuj też do współpracy z nim wciągnąć doktora Jenningsa. Obaj są bardzo kompetentni w tego typu sprawach.

- Załatwione.

Remi rozłączyła się i wróciła do Sama, który tymczasem podjął zmuśną dźbaninę na statku. Resztę dnia spędzili na skrupulatnym zdejmowaniu lodu z kolejnych skrzyń i sporządzaniu opisów znalezionych w nich przedmiotów.

W nocy specjalnie zaprojektowany grzejnik utrzymywał znośną temperaturę wewnątrz namiotu. Zasnęli szybko po całym dniu pracy, która ujawniła kolejne skarby.

Kolejne dni były tak podobne jeden do drugiego, że szybko stracili rachubę. W końcu z zaskoczeniem stwierdzili, że minął już ponad tydzień. Dziewiątego dnia rozległ się przenikliwy sygnał telefonu satelitarnego, co tak zaskoczyło Sama, że o mało nie upuścił aparatu, próbując gorączkowo odebrać rozmowę.

- Halo?

- Czy rozmawiam z Samem Fargo? Mówi Jennings z Montrealu. Płynę do was wraz z całą ekipą. Powinniśmy dotrzeć do fiordu wczesnym rankiem. Jak sobie radzicie?

Doktor Jennings, jeden z najsłynniejszych kanadyjskich archeologów, stanął na czele zespołu, którego zadaniem było przetransportowanie statku i jego zawartości do laboratorium w Montrealu.

- Całkiem dobrze, choć muszę przyznać, że spanie na lodzie już mnie nie kręci.

Pracująca w pobliżu Remi przewróciła oczami.

- Jasne. Wieziemy ze sobą cały obóz. Na szczęście nie przechodziła w pobliżu was żadna burza. Dla nas aura niestety nie będzie tak łaskawa. Nad Ziemię Baffina nadciąga front.

Spodziewamy się, że dotrze jutro późnym popołudniem lub wieczorem. Naszym pierwszym zadaniem będzie rozbicie obozu, osłonięcie znaleziska i zabranie was stamtąd, zanim rozpęta się nawałnica.

- Zamierzacie zostać na lodzie mimo burzy? - spytał Sam. -Może lepiej poczekać dzień czy dwa na statku, aż przejdzie.

- Decyzja należy do was. Nie wiem, jakie macie dalsze plany i jak bardzo spieszy się wam do powrotu do cywilizacji.

- Porozmawiam o tym z żoną, ale rozsądek nakazuje, abyśmy wstrzymali się z odpłynięciem i przeczekali burzę razem z wami na pokładzie, po zabezpieczeniu znaleziska.

- Tak byłoby najlepiej - przyznał Jennings - ale nie mogę od was żądać, abyście zostali. Do

zobaczenia jutro.

Sam zakończył połączenie i przedstawił sytuację Remi, która zgodziła się, że aż tak bardzo im się nie spieszy, by zostawiać kolegów naukowców na pastwę dzikiego żywiołu. Ustaliwszy, że przeczekają burzę na pokładzie, wrócili do pracy. Przeglądali zawartość kolejnych skrzyń, każdą z nich opatrywali numerem i katalogowali przedmioty znajdujące się wewnątrz, a wszystko to pod czujnym okiem martwych wikińskich wojowników. Byli zadowoleni, że nie muszą się spieszyć ze szczegółowym opisywaniem najdrobniejszych detali do dalszych badań. Nie przytrafiało im się to zbyt często, ze względu na ogromne zainteresowanie, jakie towarzyszyło zwykle ich spektakularnym odkryciom.

Ekipa archeologów przybyła nazajutrz tuż po wschodzie słońca. Sam i Remi najpierw usłyszeli statek u wejścia do fiordu, a dopiero potem zobaczyli, jak jego masywny czerwony kadłub przeciska się przez przesmyk, mając po obu stronach nie więcej niż sześć metrów odstępu do skał. Statek badawczy CCGS „Cameron” należał do kanadyjskiej straży przybrzeżnej i był prawie dwa razy większy od „Al-hambry”. Miał niemal sześćdziesiąt dziewięć metrów długości, prawie piętnaście metrów szerokości i klasę lodową A1 według klasyfikacji Lloyda. Wejście do fiordu nie sprawiło mu problemu, bo zgodnie z pomiarami konfiguracji dna wykonanymi przez „Alhambrę” głębokość wahała się od osiemnastu do czterdziestu dwóch metrów, a więc znacznie przekraczała czteroipółmetrowe zanurzenie „Camerona”.

Wysoki dziób statku z łatwością przebił się przez lód i zatrzymał w odległości dwudziestu trzech metrów od rafy wikińskiego drakkara. Fargo najpierw dostrzegli kapitana i oficera, stojących na mostku. Potem zauważyli wysokiego mężczyznę, który wyszedł z nadbudówki i ruszył na dziób, wznosząc się prawie trzy piętra nad nimi. Mężczyzna pomachał do nich i krzyknął:

- Ahoj tam, na lodzie! Sam i Remi Fargo, o ile się nie mylę.
- Doktor Jennings, jak sądzę - odpowiedział Sam. - Poznaję pana po głosie.
- A oto statek wikingów. Dobry Boże, wygląda, jakby go wczoraj zbudowano.
- Rzeczywiście, to niezwykle. Dla lepszej konserwacji zostawiliśmy większą część kadłuba pod lodem.
- Nie macie pojęcia, jak się cieszę, będąc tutaj. Jestem zaszczycony, że mogłem państwa poznać.
- My również, doktorze Jennings - powiedziała Remi.
- Proszę mi mówić Matthew. Trochę za zimno na konwenanse - odrzekł Kanadyjczyk, buchając parą przy każdym słowie.

Członkowie zespołu archeologów z „Camerona” nie tracili czasu. Po sprawdzeniu wytrzymałości lodu przystąpili do przenoszenia narzędzi i elementów tymczasowych zabudowań, które składali w pobliżu namiotu małżeństwa Fargo. Przez cały ranek i sporą część popołudnia wzniesli pięć konstrukcji: przenośną kuchnię, łazienkę z prysznicem, dwa baraki i szopę na sprzęt, w której urządzono centrum telekomunikacyjne. Ośmioosobowa ekipa budowlana jeszcze pracowała, gdy Sam i Remi rozkoszowali się pierwszym od tygodni gorącym prysznicem. Potem zasiedli do obfitego posiłku złożonego z owoców morza i solidnie podlanego piwem i winem, wszystko na koszt kanadyjskiego rządu.

Po lunchu Sam spotkał się z archeologami, którzy stłoczyli się w ciasnej salce. Gdy zrelacjonował dotychczasowe postępy prac wydobywczych i powiedział o zaskakującym odkryciu prekolumbijskich artefaktów, rozpoczęła się dyskusja.

Pierwszy zabrał głos Jennings.

- Wiadomo, że istniały kontakty między wikińskimi osadami na Grenlandii a tą odkrytą na południu Ziemi Baf-fina w Tanfield Valley. Oczywiście więc jest funkcjonowanie szlaków

handlowych, choćby nawet nieregularnych. Nie ma natomiast żadnych dowodów na to, by wikingowie zapuszczali się dalej na południe. Pojawiły się wprawdzie spekulacje o wyprawach na kanadyjski stały ląd w celu pozyskiwania drewna, ale brak jakichkolwiek konkretnych dowodów.

- Trzeba będzie oznaczyć wiek statku metodą radiowęglową - powiedział inny naukowiec - ale wszystko wskazuje na to, że to drakkar późniejszego typu, wyposażony w żagiel.

Jennings odłożył ołówek na pulpit.

- Co zawęży margines czasowy do okresu między dziesiątym a czternastym stuleciem. Pokrywa się to z sagą o Leifie Eriksonie, który około roku tysięcznego wypłynął w kierunku zachodnim. Dowiedział się o Nowym Świecie od Bjarniego Herjólfssona, który, zepchnięty z kursu przez sztorm, w dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku dotarł do brzegów Nowej Fundlandii. Rzecz w tym, że to nowe odkrycie wyraźnie dowodzi, że byli jeszcze inni, którzy wyprawiali się zarówno na południe, jak i na zachód.

Remi przekazała ich zapiski i spostrzeżenia, które wcześniej wprowadziła do komputera, a potem na zmianę z Samem odpowiadała na pytania zebranych. Gdy spotkanie się zakończyło, wszyscy wyszli na zewnątrz i kanadyjscy naukowcy wreszcie mogli przyjrzeć się z bliska wikińskiej łodzi. Zachowywali się jak dzieci w sklepie ze słodyczami. Wśród kobiet i mężczyzn, którzy mieli spędzić długie tygodnie na przygotowaniu statku do transportu do Montrealu, dawało się wyczuć niemal namacalne podniecenie.

Późnym popołudniem niebo pociemniało, a od strony oceanu nadciągnęły burzowe chmury. Statek wikingów został przykryty ogromną plandeką, która miała zabezpieczyć go od wiatru i śniegu. Za kołem polarnym nawet późną wiosną nie wolno lekceważyć żadnej burzy, więc cała ekipa pospiesznie umacniała niewielki obóz, aby przygotować go na to, co mogła sprokurować natura.

„Cameron” wycofał się na środek fiordu i stanął na kotwicy w najgłębszym miejscu. Pół godziny później wichura przeganiała ściany marznącego deszczu po całym lodowcowym kanionie. Niebo przecinały błyskawice, a grzmoty piorunów, niczym salwy armatnie, wstrząsały wielkim statkiem.

Góry otaczające ich ze wszystkich stron dawały osłonę przed najgorszą furią żywiołu. Sam i Remi wyobrażali sobie, co musiała znosić załoga wikińskiej łodzi. Dziękowali opatrności, że mogli spędzić arktyczną burzę na solidnym statku, a nie w namiocie.

Kiedy się obudzili następnego ranka, wszystko było przykryte nieskazitelnym białym kobiercem. Cztery godziny później „Cameron” zdążył powoli w kierunku przesmyku, a stojący na brzegu kanadyjscy archeolodzy machali Fargo na pożegnanie. Remi odruchowo przysunęła się bliżej Sama, gdy przechodzili tuż obok urwistych skalnych ścian. Wkrótce statek na dobre zagłębił się w wąskim kanale, a oni wrócili do kabiny. Po drodze natknęli się na kapitana, który z entuzjazmem uścisnął ich dłonie.

- Jutro rano będziecie w Clyde River - powiedział. - Czujcie się jak u siebie, a z wszelkimi życzeniami zwracajcie się do mnie.

- Wciąż jeszcze próbuję przyzwyczaić się do myśli o ciepłej wodzie i gorących posiłkach - zażartowała Remi.

- Akurat tego nam nie brakuje - zapewnił kapitan. - Poza tym po Jenningsie na pewno zostało kilka butelek znakomitego wina, którym można ugasić pragnienie podczas obiadu i kolacji. Gdybyście czegokolwiek potrzebowali, dajcie mi znać.

- Kiedy będzie pan wracał po archeologów? - spytał Sam.

- Trudno powiedzieć. Być może przyślą po nich większą jednostkę, która pomieści łódź wikingów. Według naszych obliczeń przesmyk ma w najwęższym miejscu prawie trzydzieści metrów szerokości, więc przy odrobinie szczęścia i dobrze nasmarowanych burtach przecisnie się tamtędy całkiem spora łajba.

- Dziękujemy za gościnność, kapitanie - powiedziała Remi i westchnęła. - Jak to dobrze wreszcie wyrwać się z lodów.

- Wyobrażam sobie - odparł. - Gdybyście mieli ochotę, zapraszam na mostek. Oprowadzę was po statku. Miejmy nadzieję, że morze wkrótce się uspokoi i nic nie zakłóci wam powrotu do cywilizacji, jeśli można tak określić Clyde River.

Ponownie wymienili uściski dłoni i kapitan odszedł. W kabinie Remi sprawdziła wskaźnik baterii w telefonie satelitarnym. Była naładowana, więc podała aparat mężowi, a sama padła na koję.

- Zadzwoń do Kendry i zapytaj ją o Selmę. I niech zawiadomi Ricka, żeby czekał na nas na lotnisku. Jeśli o mnie chodzi, mam już dość pobytu na Ziemi Baffina, nawet w tak uroczym towarzystwie jak twoje.

- Po takiej przygodzie będziesz się nudzić jak mops - odparł Sam. - No bo czym wypełnisz czas, skoro nie będziesz musiała odłupywać lodu przez cały dzień?

- Akurat nuda mi nie grozi. Tobie zresztą też. Oboje będziemy mieli co robić, skoro zyskaliśmy pewność, że wikingowie kontaktowali się z ludami prekolumbijskiej Ameryki. Trzeba będzie przysiąść nad źródłami historycznymi i sprawdzić, czy znajdziemy cokolwiek, co poprowadzi nas w obiecującym kierunku. Oni tam byli, a przedmioty znalezione na drakkarze przedstawiały znaczącą wartość dla obu cywilizacji. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego wikingowie przewozili taką masę dóbr pochodzących z terenów dzisiejszego Meksyku.

- Mądrej głowie dość dwie słowie - zauważył Sam. - A ponieważ my już to wiemy...

- ..mamy nad wszystkim przewagę. Jeśli ten trop dokądś prowadzi, możemy znaleźć się tam pierwsi, przed innymi.

- No proszę, i to mówi dziewczyna, z którą się ożeniłem.

- Więc wywieź stąd tę dziewczynę pierwszym samolotem, jaki zdołasz znaleźć.

Sam zrozumiał aluzję. Zamknął za sobą ciężkie stalowe drzwi i poszedł na mostek, skąd mógł bez przeszkód nawiązać połączenie przez telefon satelitarny. Remi była nieugięta i niezmordowana w swoich dążeniach, a on dobrze wiedział, że musi wspierać ją w nich z całych sił.

W końcu umowa to umowa.

ROZDZIAŁ 9

Antibes, Lazurowe Wybrzeże

Nadmorska willa utrzymana w stylu tokańskim pławiła się w miękkiej złocistej poświacie zachodzącego słońca. Ławica wypiętrzonych chmur wisiała w powietrzu niczym kłęby czerwonomarańcowego dymu, a ten olśniewający obraz odbijał się w wodach Morza Śródziemnego jak w kalejdoskopie. Słońce powoli schodziło coraz niżej, aż wreszcie zmieniło się w grudkę żaru dogasającą na horyzoncie.

Janus siedział na werandzie, obserwując niebiańską grę światła. Miał na sobie granatową marynarkę, którą rozpiął, robiąc ustępstwo na rzecz swobody, i popijał fonsca porto rocznik 1923, kupione w Lizbonie podczas jednego ze swoich wypadów w poszukiwaniu wyszukanych gatunków win. Rubinowy trunek z biegiem lat nabrał barwy bursztynu, a długotrwałe dojrzewanie uwypukliło specyficzne aromaty, co z nadatkiem usprawiedliwiało kosmiczną cenę, jakiej zażądał sprzedawca.

Zacwierkał miniaturowy telefon komórkowy leżący obok niego na okrągłym szklanym stoliku.

Janus odłożył cygaro marki Romeo y Julieta Short Churchill na kryształową popielniczkę i sięgnął

po aparat.

- Benedict - zgłosił się
- Mamy nowe informacje na temat odkrycia Kanadyjczyków, sir.
- Rozumiem. Mów dalej, Percy.
- Wszyscy trzymają język za zębami, ale przekonałem jednego z docentów, że jego kłopoty finansowe wkrótce miną, jeśli da nam coś użytecznego - powiedział Percy, jak zwykle krótko i treściwie. Był zaufanym człowiekiem Janusa, specjalistą od ciemnych interesów, i od wielu lat wykazywał się godną podziwu skutecznością.
 - Moja szczodrość praktycznie nie zna granic.
 - Otóż to. No więc wygląda na to, że pańskim przyjaciółom znów się udało. Najdonioślejsze odkrycie na Ziemi Baffina. W rzeczywistości chodzi o statek wikingów, jakiego jeszcze świat nie widział.
 - Interesujące, ale to żadna rewelacja. Co więcej, do niczego mi się nie przyda. Skandynawskie zabytki to niezbyt chodliwy towar.
 - Też tak uważam. Same okropieństwa. Topory, zwierzęce skóry i cała reszta.
- Janus wyczuł, że Percy nie powiedział mu jeszcze najważniejszego, ale nie chciał go poganiać. Wszystko w swoim czasie.
 - Należy jednak podkreślić - rzekł - że ta zawadiacka para posiada ogromny talent do odkrywania niezwykłych znalezisk.
 - Trzeba im to przyznać - zgodził się Percy. - Zwłaszcza to ostatnie jest godne uwagi, ze względu na to, co przewoził ten statek.
 - Ach tak. Ze względu na to, co przewoził... - powtórzył Janus.
- Właśnie. Okazało się, że całą masę prekolumbijskich bibelotów. Garnki, figurki i tego typu rupiecie.
 - Janus wyprostował się na krześle, a jego tętno podskoczyło o dwadzieścia uderzeń na minutę.
 - Czyżbyś powiedział „prekolumbijskich”?
 - Dokładnie.
 - Więc teraz rozumiem, skąd całe zamieszanie. To wielki sukces. Mogę sobie wyobrazić, jak ogromne poruszenie wywoła w kręgach naukowych.
 - Całkiem spore.
- Świetna robota, jak zwykle, dobry człowieku. O ile znam tych Fargo, dla nich to tylko pierwszy krok. Są prawdziwymi zapaleńcami i działają bardzo szybko. Spożytkują nowo nabytą wiedzę jak najkorzystniej dla siebie, a jeśli zwęszą jakiś skarb, nie spoczną, aż go znajdą. Czas wzmóc ich obserwację, ale w bardziej przemyślany sposób niż ten poprzedni idiota. Nie życzę sobie kolejnej wpadki, która pozwoli im się zorientować, że coś jest na rzeczy.
 - Oczywiście. Podjąłem już pewne kroki w tym kierunku. Tym razem bardziej... hm... subtelne.
 - Chcę znać każdy ich ruch. Czy to jasne?
 - Jak słońce. Będę informował o wszystkim, co mogłoby się okazać istotne.
 - Gdzie oni teraz są?
 - W swoim samolocie. Według planu lotu, zgłoszonego dziś rano przez pilota, wracają do San

Diego.

- Bardzo dobrze. Rób to, co uznasz za stosowne. Nie żałuj środków. Przeczucie mówi mi, że z czekania i obserwacji powinny wyniknąć bardzo interesujące rezultaty. Nie usiedzą długo w jednym miejscu, a kiedy się ruszą, chcą być dwa kroki przed nimi.

Po zakończeniu rozmowy Janus gapił się jeszcze chwilę w telefon, a potem odłożył go na stolik i wrócił do rozkoszowania się doskonałym kubańskim cygarem. Słońce już całkiem schowało się za purpurowoszkarałatnym horyzontem, a ostatnie jego promienie, tańczące na powierzchni morza, zostały zastąpione przez światła innych posiadłości należących do potężnych i uprzywilejowanych, które ciągnęły się aż do Cannes. Janus wziął jeszcze jeden łyk płynnego złota i westchnął z zadowoleniem. Bez względu na to, co planują ci Fargo, zamierzał pokrzyżować im szyki. Po tym, jak storpedowali jego ostatni projekt, sprawa nabrała osobistego charakteru. Dla pewnego siebie i nieprzychylnego do porażek Benedicta zniewaga była jak policzek i bolała równie dotkliwie jak fizyczny cios. Nie puści tego płazem.

Na werandę wszedł Reginald, delikatnie zamykając za sobą przeszklone drzwi.

- Nareszcie jesteś. Przegapiłeś zachód słońca - powiedział Janus, kiedy brat zajął miejsce przy stoliku naprzeciwko niego.

- Dość się już na nie napatrzyłem. Co pijesz?

- Stare porto.

- Dobre?

- Niezłe, ale tobie może nie smakować.

- Raczej nie. Nie rozumiem, jak możesz pić ten ulepek. Moim zdaniem przypomina melasę.

Reginald nacisnął klawisz interkomu umieszczony dyskretnie na stoliku.

- Simon, bądź tak dobry i nalej mi glenfiddicha z lodem, jeśli można.

Na chwilę zapadła cisza, a potem z brzęczącego głośnika popłynął dostoyny głos:

- Oczywiście, sir, już się robi. Pańską zwykłą porcję?

- Może być na palec więcej. Miałem okropny dzień.

- Zaraz przyniosą, sir.

Reginald zapatrzył się w ciemniejącą wodę, a potem zapalił papierosa wyciągniętego z paczki w kieszeni na piersi. Wypuścił w górę kłąb szarego dymu i niecierpliwie zabębnił palcami po stole. Zjawił się lokaj ze srebrną tacą, na której stała samotna szklanka w trzech czwartych wypełniona szkocką, z dwiema kostkami lodu pływającymi po powierzchni karmelowego destylatu. Zanim służący zniknął wewnątrz domu, Reginald wypił jednym haustem jedną trzecią zawartości szklanki.

- Przynajmniej to jedno Szkoci potrafią zrobić jak należy - zauważył.

- Widzę, że jesteś dziś w dobrym nastroju - powiedział Janus.

- Wyśmienitym. Jakie mamy plany na wieczór? Grabież i rabunek?

- Niezupełnie. O siódmej jesteśmy umówieni na kolację w Carltonie. Z von Shiffsami.

- O nie, tylko nie oni - jęknął Reginald.

- Uspokój się. To interesy. Musisz zachować zimną krew.

- Ten ich synalek jest kompletnym osłem. Ma to po swoim starym. A mamuśka to prawdziwy maskaron.

- Może i tak, ale ta znajomość może się nam opłacić. Reginald dopił drinka i podniósł

wysoko szklanę.

- W takim razie muszę się jeszcze napić.

- Chyba nie powinienes. Nie chciałbym, żebyś tam narozrabiał.

Reginald niebezpiecznie zmrużył oczy.

- Jestem już dorosły.

- Tak, i dlatego bądź łaskaw zachowywać się jak dorosły. Nie możesz tam iść nietrzeźwy, a już niewiele ci brakuje. Jeśli chcesz mieć randkę z butelką, to po kolacji, a nie przed.

- Jasna cholera.

- I o to chodzi. Włóż odpowiednią marynarkę i każ Simonowi przyprowadzić samochód. Zaraz będą dzwonić na kolację - powiedział Janus, lekceważąc Reginalda, zajęty już czymś innym.

Nic sobie nie robił z szyderczego uśmiešku młodszego brata. Reginald wstał, szybkim ruchem zdusił niedopałek i wymaszerował z werandy.

Janus przesunął dłonią po lśniących, siwiejących włosach, dokończył porto, po czym wstał, wygładził spodnie i poprawił węzeł krawata. Nie mógł sobie pozwolić, by wyglądać nieporządnie przed von Schiffsamii. Niemcy odnosili się bardzo krytycznie do najdrobniejszych uchybień, więc zdawał sobie sprawę, że o sukcesie czy porażce zadecyduje staranna prezentacja.

Reginald miał rację, mówiąc, że syn von Schiffsov to idiota. Jeśli jednak spędzenie kilku godzin z imbecylem może przynieść niebagatelne korzyści, Janus był gotów zrobić to z uśmiechem.

Drapieżnym uśmiechem łupieżcy.

ROZDZIAŁ 10

Nocny lot powrotny do San Diego na szczęście okazał się spokojny. Kiedy G650 dotknął kołami pasa startowego, puszczając obłoczki dymu spod kół, Remi popatrzyła na Sama zmęczonym wzrokiem.

- Nareszcie w domu - westchnęła.

- Miejmy nadzieję, że tym razem na dłużej, o ile nie zaplanowałaś w tajemnicy jakichś szaleństw w naszym kalendarzu towarzyskim.

- Jedyne, co zaplanowałam, to kilka dłuższych sesji w spa i spotkanie z masażystką w celu złagodzenia skutków przebywania na kąśliwym mrozie.

- To nie mróz cię pokąsał.

- Za dużo sobie pozwalasz. Jeszcze ci nie wybaczyłam, że wyrwałeś się z pomysłem, abyśmy zostali, bez konsultacji ze mną.

- Nie szkodzi. Wystarczy ci trochę porozpieszczać, a najgorsza złość ci przejdzie.

~ Dodaj jeszcze rozgłos po ujawnieniu sensacyjnych informacji o wikińskim statku.

- Może powinnaś poprowadzić własny reality show?

- Żaden kamerzysta nie będzie tak głupi, żeby się tego podjąć.

- Co racja, to racja.

Kendra przyjechała po nich cadillakiem z Zoltanem, zajmującym niemal całe tylne siedzenie. Na widok ukochanej pani pies zaczął radośnie szczekać i tłuc ogonem o oparcie z regularnością oszalałego metronomu. Remi serce zabiło mocniej, kiedy zobaczyła wpatrzona w siebie

czekoladowe ślepia.

- Kto jest najdzielniejszym chłopczykiem mamusi? -powiedziała, rozkładając ramiona.

Zoltan wyskoczył z samochodu, usiadł przed nią posłusznie i czekał, drżąc na całym ciele, aż przykucnie i go przytuli. Sam odgonił psa od siebie.

- Nie, nie, idź do niej. Ja tylko kupuję ci jedzenie. Nie zwracaj sobie głowy moją osobą.

Remi przewróciła oczami.

- Jesteś zazdrosny!

- Wcale nie. No, może trochę. Ma bujniejszą czuprynę ode mnie. To wszystko.

- Jest czarującym Węgrem. Zawsze miałam do nich słabość.

- No to mam przechlapane, bo urodziłem się w Kalifornii.

- Nie przejmuj się. Równie mocno kręcą mnie surferzy. Podczas przebijania się przez poranny korek w drodze do La Jolla Kendra opowiedziała im o postępach w badaniu źródeł historycznych.

- Zgromadziliśmy całą masę artykułów na temat ewentualnych prekolumbijskich kontaktów z Europejczykami, ale sprawa nie jest prosta - zaczęła. - W większości są to ustne przekazy, zafalszowane i zniekształcone przez Hiszpanów. Trudno odróżnić wymysły od prawdy. Obawiam się, że trzeba będzie poświęcić co najmniej kilka wieczorów, aby znaleźć w tym coś sensownego. Materiału do przejrzenia jest naprawdę sporo.

- Nie planowaliśmy niczego innego - odrzekła Remi -więc to żaden problem. Co z Selmą?

- Została w domu. Upierała się, żeby po was wyjechać, ale powiedziałam jej, żeby mnie nie denerwowała.

- Więc jest już na nogach?

- W pewnym sensie. Musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim wróci do pełnej sprawności.

- Nic dziwnego. Lekarze uprzedzali, że to potrwa co najmniej pół roku.

- Pewnie jest tym przygnębiona - powiedział Sam. -Uwielbia być w centrum wydarzeń.

Kendra pokiwała głową.

- Delikatnie mówiąc, okazała się trudnym pacjentem. Tak przynajmniej twierdzili lekarze. W ich wypowiedziach najczęściej przewijało się słowo „krewka”.

- Bez wątplenia - skomentowała Remi z uśmiechem. Kendra pierwsza weszła do domu, za nią Zoltan i Remi, a na końcu Sam. Zastali Selmę nad filiżanką herbaty, z balkonikiem stojącym obok fotela. Zoltan powitał ją gromkim szczeknięciem.

- Witajcie w domu - powiedziała i uśmiechnęła się szeroko.

- Jak się masz, Selmo?

- Zawsze gotowa do boju wraz ze swym wiernym balkonikiem. Od czasu do czasu muszę jednak korzystać z fotela na kółkach - przyznała.

- Najważniejsze, że wracasz do zdrowia.

- Wolałabym, żeby to nie trwało tak długo. Mam już dość bycia ciężarem.

- Kendra radzi sobie doskonale - powiedział Sam. -Zresztą teraz mamy przerwę w przygodach, więc nie masz czego żałować.

- To prawda - potwierdziła Remi. - Przez jakiś czas nigdzie się nie wybieramy. Nie przejmuj się,

że chwilowo nie możesz nam matkować. Jesteśmy w dobrych rękach -zapewniła, zerkając na Kendrę.

- Postaram się, ale to już mi weszło w nawyk.

Sam zaniósł bagaże na górę do sypialni. Wkrótce dołączyła do niego Remi. Podeszła do szklanej ściany wychodzącej na taras, za którym rozciągał się Pacyfik, i zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

- Wolałabym, żeby Selma się nie spieszyła i nie próbowała zdrowieć na siłę.
- Każde z nas jest inne. Powinniśmy uszanować jej wolę - powiedział łagodnie Sam.

Remi zatrzymała się, by popatrzeć na ocean, którego nieskazitelne piękno podziało na nią uspokajająco, jak zawsze.

~ Oczywiście masz rację. Ale nie chcę, żeby brała zbyt wiele na swoje barki, bo to może jej tylko zaszkodzić i w rezultacie wydłużyć czas powrotu do zdrowia.

- Wiesz, czego ci potrzeba? Przejdziemy się do hotelu Valencia, gdzie zafundujesz sobie pełną sesję w spa. To zawsze poprawiało ci humor. A potem zjemy lunch na restauracyjnej werandzie, napijemy się wina, powiedzmy kistler chardonnay, zamówimy na przystawkę jakiegoś kraba...

- No tak. Teraz sobie przypomniałam, dlaczego wybrałam właśnie ciebie.
- Sądziłem, że to z powodu mojej gry na fortepianie.
- I cudownego głosu.

Sam zmarszczył czoło i popatrzył na nią z wyraźnym sceptycyzmem.

- To chyba lekka przesada...
- Co kto lubi, jak powiedział facet, całując krowę. Ranek i większą część popołudnia spędzili w hotelu, a po powrocie do domu Remi była w znacznie lepszym nastroju. Sam zasugerował, że teraz mogliby przysiąść nad materiałami, które zgromadzili Pete i Wendy.

Cały zespół badawczy pracował zgodnie na parterze. Pete, nachylony nad monitorem Kendry, pokazywał jej coś na ekranie.

Do wieczora przewertowali zaledwie niewielką część materiałów, w dodatku niektóre opisy wzajemnie się wykluczały. Fargo zgodnie uznali, że powinni skupić uwagę na społeczności Tolteków z przełomu dziewiątego i dziesiątego stulecia i szukać czegokolwiek, co wskazywałoby na występowanie wpływów europejskich. Kiedy wreszcie zmęczeni pożegnali się z Kendrą i Selmą, ich serca wypełniała otucha, bo udało im się zrobić pierwsze niewielkie postępy w badaniach.

- Zwróciłeś uwagę, jak Pete patrzy na Kendrę? - spytała Remi, poprawiając poduszki przed udaniem się na zasłużony odpoczynek.

- Szczerze mówiąc, nie. Czyżby coś mi umknęło?
- Myślę, że wpadła mu w oko.
- Co ty powiesz? Naprawdę?
- Mam takie wrażenie. Ciekawe, co o tym sądzi Wendy.
- Zdaję się na twoją kobiecą intuicję. Jak powszechnie wiadomo, mężczyźni kiepsko się orientują w tych sprawach.
- To jedna z bardziej ujmujących cech waszej płci. Zoltan leżał u stóp łóżka i przyglądał im się z uwagą, strzygąc uszami.
- Ta znaczy, że jednak mam jakąś zaletę - stwierdził Sam. Remi przytuliła się do jego pleców i objęła ramionami jego pierś.

- Jestem skłonna wybaczyć ci niedawne zostawienie mnie na lodzie, przynajmniej trochę.
 - Nie przestrasz psa.
 - Jest odważniejszy, niż na to wygląda.
- Zoltan, jakby rozumiejąc ich rozmowę, prychnął cicho i zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 11

Popatrz na to - powiedziała Remi wpatrzona w ekran ogromnego monitora, obok którego stygła jej druga filiżanka porannej kawy.

- Co to takiego? - spytał Sam.
 - Quetzalcoatl.
 - Aztecki bóg w postaci pierzastego węża.
 - Przez Majów zwany też Votaniem.
 - I co z nim?
 - Według opisów był biały, rudowłosy i... zezowaty -oznajmiła Remi.
 - Zezowaty?
 - Tak. Co ciekawe, w sagach wikińskich z czternastego wieku pojawia się rudy i zezowaty podróżnik Ari Marson, o którym słuch zaginął około dziewięćset osiemdziesiątego roku, kiedy wybrał się na Grenlandię. Według podań był czczony jako bóg w nowej krainie, oddalonej o dziesięć dni żeglugi od Winlandii.
 - Winlandia? Gdzie to mogło być?
 - Według różnych źródeł w dowolnym miejscu od Ziemi Baffina po północne rejony Stanów Zjednoczonych.
- Sam zrobił szybką kalkulację.
- To by oznaczało, że wylądował gdzieś na południe od Stanów, być może na terytorium dzisiejszego Meksyku.
 - Niewykluczone. W niektórych przekazach wymieniana jest też Kuba. Istnieją opowieści, według których Quetzalcoatl przybył na stały ląd z jakiejś wyspy na wschodzie, może właśnie z Kuby.
 - Ciekawe. Co to jest? - Sam wskazał inny obrazek na ekranie.
 - To wizerunek Quetzalcoatla jako białego mężczyzny z brodą.
 - Zawsze myślałem, że kult Quetzalcoatla jest dużo starszy niż dziesiąte stulecie.
 - Bo jest - potwierdziła Remi - ale po przybyciu Hiszpanów powstał wielki zamęt. Popełnili mnóstwo pomyłek, a sytuację komplikował ówczesny klimat religijny w Europie. Dlatego po prostu pozmieniali to, co im nie pasowało.
 - A że podręczniki historii piszą zawsze zwycięzcy...
 - Otóż to. Poza tym daty występujące w sagach wcale nie są uznawane za wiarygodne. Innymi słowy, rok dziewięćset osiemdziesiąty równie dobrze mógł oznaczać rok tysiąc osiemdziesiąty, bo albo coś zmieniono w opowieściach przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie, albo pomylił się ten, kto przelewał je na papier.

Sam pokiwał głową.

- Wróćmy do wikingów na Wschodnim Wybrzeżu. Coś mi się obilo o uszy o znalezieniu wikingów w Maine w latach pięćdziesiątych.

- Też o tym słyszałam. Wciąż trwają dyskusje, czy aby nie była to mistyfikacja.

- Dyskusje są zawsze. Dlatego to jest takie zabawne. Przycinanie wszelkich domysłów i sporów poprzez odkrywanie prawdy.

Remi wyprostowała się.

- Jeśli przyjąć to za dobrą monetę, możliwe, że Quetzalcoatl w rzeczywistości był wikingiem.

- Według niektórych legend, miał przybyć ze wschodu na długiej łodzi z tarczami na burtach, przywożąc między innymi wiedzę o obróbce metali, a zwłaszcza żelaza, z której przecież słynęli wikingowie. Chyba powinniśmy przyjrzeć się bliżej temu całemu Quetzalcoatlowi.

- Już to zrobiłam - oznajmiła Remi. - Niestety, im dalej, tym bardziej wszystko się komplikuje. Słynnego jedenasto-wiecznego króla-kapłana Tolteków uznawano za wcielenie Quetzalcoatla albo utożsamiano z samym bogiem. Wszystko to jednak tylko przypuszczenia, bo Aztekowie wykorzenili większość tolteckich przekazów. Władca ów, który nazywał się Topiltzin Ce Acatl Quetzalcoatl, rządził w mieście

Tollan, obecnie Tuła, w środkowym Meksyku. To właśnie jemu przypisuje się przekazanie Toltekom rozmaitych umiejętności, takich jak wykorzystanie metali czy uprawa zbóż. Podobno za jego sprawą dokonano się ogromny postęp w obróbce kamienia. Niektóre źródła opisują go jako białego mężczyznę z brodą, który lubił ubierać się w długie szaty i zwierzęce skóry.

- Zaczyna mnie od tego boleć głowa.

- Nie dziwię się. To jak łapanie piskorzy gołymi rękami.

- Mimo wszystko mamy chyba jakiś punkt zaczepienia.

- Też tak uważam.

- Trzeba będzie wygrzebać wszystko, co się da na temat tego króla Quetzalcoatla i dokładnie to przeanalizować - powiedział Sam, wracając do swojego biurka.

- Jest to jakiś pomysł. Przekażę go reszcie ekipy.

Następne trzy dni spędzili na zgłębianiu legend obracających się wokół tajemniczego władcy Tolteków. Jego królestwo stało się dominującą siłą na terenie środkowego Meksyku. Informacje zawarte w kodeksach, uchodzących za najlepsze źródło wiedzy o historii cywilizacji mezo-amerykańskich, okazały się pomocne tylko w ograniczonym zakresie, zwłaszcza że w kilku miejscach były ze sobą sprzeczne. W końcu jednak kilka tropów udało się połączyć w jeden spójny wątek. Około roku 1000 pojawił się władca, który przekształcił społeczność Tolteków. Za jego sprawą dokonano się ogromny postęp techniczny. Z części opisów wynikało, że przypominał białego człowieka, choć według innych miał być tubylcem.

O dziesiątej wieczorem, po długich godzinach ślęczenia nad mało znanym zbiorem legend o Quetzalcoatlu, Samowi nagle żywej zabiło serce. Z tego, co przeczytał, wynikało, że władca został pochowany wraz ze skarbem, jakiego dotąd nie widziały ludzkie oczy, na który składały się głównie wyroby z nefrytu i złota. Jego ozdobą miał być wspaniały nieskazitelny szmaragd zwany Okiem Niebios, równie legendarny, jak mityczne złote miasto El Dorado. Klejnot, ofiarowany potężnemu władcy przez Tolteków, podobno był wielkości ludzkiego serca i miał magiczną moc.

Przekaz, choć długi i kwiecisty, zawierał niewiele szczegółów. Wspomniano w nim, że Hiszpanie podjęli kilka prób zlokalizowania grobowca, ale wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Z czasem emocje wygasły i pogłoski o skarbie poszły w zapomnienie, jak wiele podobnych, którymi europejscy konkwistadorzy starali się przyciągnąć fundatorów swych wypraw.

Uwagę Sama przykuł opis samego Quetzalcoatl. Przedstawiono go jako starego mężczyznę z długą rudą brodą po-przetykaną nitkami siwizny. Miał umrzeć z przyczyn naturalnych i zostać pochowany w trumnie z nefrytu i złota w świętym miejscu, którego lokalizacja przez całe wieki pozostawała tajemnicą.

Na doświadczonego poszukiwacza skarbów informacja o ukrytym grobowcu pełnym niezmiernych bogactw podziałała jak czerwona płachta na byka. Sam wyłączył monitory i poszedł na górę do sypialni, do której godzinę wcześniej udała się Remi. Przeszywał go znajomy dreszcz przecucia, które jak dotąd rzadko go myliło.

Opowiedział żonie o swoim odkryciu, kiedy siedzieli z kieliszkami remy martin XO przy otwartych drzwiach, za którymi rozciągał się mrok oceanu, z rzadka rozjaśniany odległymi światełkami statków płynących na północ z portu San Diego. Gdy skończył, Remi była równie podekscytowana, jak on.

Trzysta metrów od lądu, w pobliżu jednej z ogromnych kęp wodorostów okalających brzeg, stała na kotwicy dzie-więciometrowa łódź rybacka. Przypadkowy obserwator dostrzegłby na niej dwóch mężczyzn z wędkami, zajętych nocnym połowem. Gdyby przyjrzał się dokładniej, może zauważyłby jeszcze mikrofon kierunkowy wycelowany w otwarte drzwi domu stojącego na skarpie i trzeciego mężczyznę, który siedział w kabinie ze słuchawkami na uszach i słyszał każde słowo wypowiedane w sypialni Fargo.

Tyle że nie było nikogo, kto obserwowałby tę łódź. Rozmowę nagrano, aby potem, wraz z wieloma innymi, poddać ją analizie, a następnie przekazać klientowi. Wykonawcy zlecenia byli doświadczonymi specjalistami. Zawodowo zajmowali się inwigilacją i doskonale znali się na podsłuchach i szpiegostwie przemysłowym.

ROZDZIAŁ 12

Przed świtem rozjarzone tysiącami świateł Mexico City spowijała mgła. Mimo wczesnej pory autostrady były już zapchane samochodami zdążających do pracy mieszkańców przeludnionych miejscowości otaczających ogromną metropolię.

Stara zdezelowana śmieciarka wlokła się w górę jednej z ulic podmiejskiej sypialni López Mateos, wyjąc potężnie silnikiem pośród bezładnego skupiska nędznych budynków piętnaście kilometrów na północ od Mexico City. Wielodzietne rodziny gnieździły się tu w pokojach o powierzchni kilkunastu metrów, a ze względu na przestępczość związaną z handlem narkotykami był to jeden z najniebezpieczniejszych rejonów w okolicy. Zapiszczały hamulce i śmieciarka zatrzymała się, gdy nagle z głębi gruntu pod ulicą dobył się dudniący odgłos. Ziemia zaczęła się trząść, najpierw delikatnie, potem coraz gwałtowniej.

Pod wpływem wstrząsów stojący nieopodal ceglany mur pękł i runął w dół, a z rozpadliny powstałej pośrodku ulicy wytrysnął gejzer wody. Śmieciarze patrzyli ze zgrozą, jak kilka dwupiętrowych domów zbudowanych z pustaków zapada się w siebie, jakby zostały wessane do wnętrza ziemi. Półnagie dzieci wybiegły na ulicę, gdy chodnik zadygotał pod ich stopami. Pogasty lampy oświetlające fronty budynków, widocznie zerwana została linia doprowadzająca zasilanie. Latarnie zadrżały i przewracały się przy wtórze huku eksplodujących żarówek.

W oddali kołysały się miejskie wieżowce. Nawet jak na rejon o dużej aktywności sejsmicznej trzęsienie okazało się bardzo silne. Trwało całą minutę, zanim wreszcie ziemia zamarła w bezruchu pod stopami przerażonych ludzi.

Ulica przypominała strefę działań wojennych. Ocalałe chodniki były poprzecinane długimi szczelinami, a z rur wodociągowych tryskały strumienie wody, rozlewając się w cuchnące bajora,

zasilane dodatkowo przez popękane przewody kanalizacyjne. Ludzie wyszli z domów, by dokonać bilansu strat. Katastrofa była zaledwie jednym z ogniw w niekończącym się łańcuchu nieszczęść dotyczących tych, którzy urodzili się pod pechową gwiazdą.

Słońce wychynęło zza gór, świecąc niemrawo poprzez chmury pyłu, które wznosiły się nad zawalonymi budynkami. Śmieciarze patrzyli jeszcze chwilę na zrujnowaną ulicę, po czym kierowca wrzucił bieg. Leciwa śmieciarka zawróciła, chybocząc się na nierównościach, i zaczęła zjeżdżać w dół wzniesienia.

Dalsze zgłębianie tematu grobowca Quetzalcoatla spelzło na niczym. Nazajutrz późnym popołudniem dla wszystkich stało się jasne, że znaleźli się w ślepych zaułku. Sama bolały oczy od wpatrywania się w monitor w poszukiwaniu tego jednego nieuchwytnego hieroglifu, który jak nić poprowadziłby ich w odpowiednim kierunku. Niestety, utknęli na dobre. Ale Sam nie bez powodu cieszył się opinią człowieka, który nigdy się nie poddaje. Kiedy sprawy szły źle, zwykł podnosić stawkę.

Remi wstała, by przywitać się z Selmą, która właśnie do nich dołączyła, a Sam przeciągnął dłońmi po zmęczonej twarzy.

- Jak idzie? - spytała Selma.

- Jak po grudzie - odpowiedziała Remi. - Sama dobrze to znasz: niekompletne przekazy, mętne aluzje pobawione jakiegokolwiek treści, fragmentaryczne opisy...

- Ach, jak ja tęsknię za tą robotą - westchnęła z żalem Selma.

- A co u ciebie? Jest jakaś poprawa? - spytał Sam, odwracając się od ekranu.

- No cóż, każdy dzień przynosi nowe, drobne wyzwania.

- Najważniejsze, że robisz postępy - powiedziała Remi.

- Czasem wydaje mi się, że wręcz odwrotnie - wyznała Selma, co trochę zaskoczyło Sama i Remi, bo dobrze ją znali i wiedzieli, że jest równie niezmordowana i zdeterminowana, jak oni. Selma przez chwilę wpatrywała się w bezmiar oceanu, a potem zwróciła się do nich z wymuszonym uśmiechem. - Pomyślałam, że zajrzę do was i zobaczę, jak sobie radzicie beze mnie.

- Marnie - przyznał Sam. - Stanęliśmy w miejscu i nie możemy zrobić ani kroku dalej.

Przedstawił jej dotychczasowe postępy prac, czy raczej ich brak. Kiedy skończył, Selma pokiwała głową i powiedziała:

- Sami wiecie, co powinniście teraz zrobić. Fargo wymienili spojrzenia.

- Tylko nie... - zaczęła Remi.

- Pozwólcie mi po prostu wykonać parę telefonów. To mi na pewno nie zaszkodzi. Prawdę mówiąc, zaczynam powoli wariować z nudów, mimo książek i telewizji. Zadzwonię do kilku osób i spróbuję zbadać grunt. Będzie mi lżej na duchu, jeśli się okaże, że mogłam choć trochę pomóc.

- Selmo... - spróbował wtrącić się Sam, ale powstrzymała go gestem dłoni.

- Dam wam znać, kiedy tylko czegoś się dowiem. A teraz wracajcie do pracy. Nigdy nie skończycie, jeżeli wciąż będziecie szukać wymówek na usprawiedliwienie własnego lenistwa - zażartowała, a potem wprawnie zawróciła cho-dzik i poczłapała do siebie z charakterystycznym wyrazem determinacji na twarzy.

Remi wróciła do komputera, a Sam wypuścił głośno powietrze, rozpostarł szeroko ramiona i pokręcił głową, żeby rozluźnić mięśnie pleców i szyi. Potem nalał sobie piątą filiżankę kawy, rozsunał szklane drzwi i wyszedł na taras, by zaczerpnąć świeżego morskiego powietrza. Na błękitnym niebie krążyły mewy. Kilka łodzi kręciło się tuż za krawędzią lasu wodorostów. Żarłoczne foki szły w zawody z wędkarzami w korzystaniu z darów morza. Tu i tam wystawiały

swoje czarne łebki nad powierzchnię wody, by po chwili znów zanurkować w pogoni za kolejną rybą.

Takie foki wiedzą, co to jest dobre życie, pomyślał Sam. Kąpiel w morzu, świeża rybka na obiad, a potem przyjemna sjeść na skale w ciepłych promieniach słońca. Żadnego wpatrywania się w zdjęcia starodawnych ruin w poszukiwaniu rozwiązania tajemnicy ukrytej w mrokach dziejów.

Jeszcze raz rzucił okiem na przedwieczne niebo i z ociąganiem wrócił do komputera, aby kontynuować próby od-cyfrowania niewyraźnych znaków wyrytych w kamieniu.

Dwie godziny później wróciła Selma. Tym razem jej twarz promieniała triumfem.

- Gratuluję wam. Państwowy Instytut Antropologii i Historii w Mexico City zaprasza was do przejścia będącego w jego posiadaniu zbioru artefaktów Tolteków. Mój stary przyjaciel Carlos Ramirez kieruje działem wytworów kultury materialnej, ponadto jest kuzynem jednego z wice-ministrów spraw wewnętrznych i zasiada w radzie naukowej uniwersytetu.

- To cudownie - powiedziała Remi, wstając od komputera.

- Carlos jest naprawdę uroczy. Wiele lat temu prowadziliśmy razem badania i na pewno pamięta, jak dobrze nam się współpracowało. Chwilowo ma mnóstwo pracy, bo podczas naprawiania jakichś rur uszkodzonych w wyniku ostatniego trzęsienia ziemi ekipa robotników natknęła się na zespół podziemnych pomieszczeń połączonych ze sobą systemem tuneli. Wygląda na to, że zostały zbudowane przez Tolteków. Ale na terenie przyległym do ruin panuje totalny bałagan, więc to tylko wstępne przypuszczenia. Zaprosił was, żebyście przyjechali i poznali dwóch najważniejszych członków jego zespołu badawczego oraz, jeżeli sobie tego życzyacie, do współpracy nad nowym odkryciem.

- Wciąż nie przestajesz mnie zadziwiać, Selmo - powiedział Sam, kręcąc głową z zachwytem.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Musiałam tylko przypomnieć sobie kierunkowy do Meksyku i wybrać numer. Nie próbuj przypisać mi więcej, niż naprawdę zrobiłam.

- Kiedy możemy jechać?

- O ile się orientuję, większość miasta nie ucierpiała, choć w niektórych rejonach skutki trzęsienia były poważne, zawaliło się kilka budynków. Jego siła wyniosła prawie osiem stopni w skali Richtera, ale zniszczenia miały ograniczony zasięg. Carlos Ramirez powiedział, że możecie przyjechać, kiedy się wam spodoba. Wasza sława otwiera wiele drzwi.

- Mam nadzieję, że nie zdradziłaś mi, nad czym pracujemy? - spytała Remi.

- Nie. Powiedziałam tylko, że zbieracie informacje o Toltekach i Quetzalcoatlui oraz badacie zmiany wprowadzone do tolteckich legend przez Azteków, a później przez Hiszpanów. Dzięki temu będziecie mieć szerokie pole do popisu. No i łatwiej wam będzie wyjaśnić, dlaczego niektóre tropy interesują was bardziej niż inne.

- Jesteś genialna - orzekł Sam.

- Niewątpliwie, ale tak na poważnie, to może was przybliżyć do celu bardziej niż grzebanie w Internecie.

- Trzeba będzie trochę pobrudzić sobie ręce - zauważyła Remi. - I bardzo dobrze.

- Właśnie - poparł ją Sam. - Nie wiem już, co ze sobą zrobić, mając czyste ręce od tak dawna. Czas wyruszyć na południe od granicy. Ole!

Remi zmarszczyła brwi z udawaną przyganą i zwróciła się do Selmy:

- Obawiam się, że w ramach przygotowań do wyjazdu mógł już uraczyć się tequilą.

- Skądże znowu, jestem trzeźwy jak niemowlę - obruszył się Sam.

- To wiele wyjaśnia - odgryzła się Remi i wszyscy się roześmiali.
- Kendro, ściągnij pilotów z plaży, niech zaczną grać silniki - zarządził gromko Sam.
- Kiedy zamierzacie wyruszyć? - spytała Kendra znad klawiatury komputera.

Fargo popatrzyli na siebie, w końcu Remi wzruszyła ramionami.

- Jutro rano? Powiedzmy o ósmej. W ten sposób będziemy w Mexico City około południa lokalnego czasu.

- Macie jakieś preferencje odnośnie do hotelu?

- Ostatnio zatrzymaliśmy się w Four Seasons w dzielnicy Zona Rosa. Bardzo dobry hotel w doskonałym punkcie w centrum miasta.

- Załatwione - powiedziała Kendra.

Nie uszło ich uwagi, że dziewczyna rzetelność miała w genach, tak jak Selma. Z czasem docenili też jej powściągliwy, bezpośredni sposób bycia.

- Jakies specjalne życzenia?

- Selma przekaże ci, co zwykle zabieramy w teren przy takich okazjach - odparła Remi. - Nic nadzwyczajnego, ma wszystko spisane na liście.

- Doskonale. Już się do tego biorę.

Reszta dnia minęła im na przygotowaniach do podróży. Wieczorem mieli jeszcze dość czasu na uroczystą kolację w ich ulubionej włoskiej restauracji w Dzielnicy Gazowych Latarni w San Diego. Sam wyprowadził z garażu swój najnowszy nabytek, czarny kabriolet Porsche 911 Turbo 918 Spyder, którego nie miał okazji zbyt często prowadzić. Po opuszczeniu dachu Remi usiadła wygodnie w pokrytym miękką skórą fotelu, a ciepła bryza bawiła się jej włosami. Sam przekręcił kluczyk w stacyjce i z wyraźną rozkoszą poruszył dźwignią zmiany biegów. Potężny silnik zagrał i porsche wystrzeliło jak z katapulty przez podjazd i wypadło na drogę.

- Nie bądź takim Hossem Ellingtonem - napomniała męża Remi, patrząc na szybko zbliżające się kontury śródmiejskich wieżowców.

- Przepraszam. Ciągle zapominam, jak lekko chodzi pedał gazu w tym wozie.
- Zdaje się, że już oderwaliśmy się od ziemi, więc możesz trochę odpuścić.
- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Sam zwolnił do rozsądnej prędkości. Wkrótce oddali kluczyki parkingowemu, a sami weszli do restauracji. Właściciel powitał ich wylewnie, jak dawno zaginionych i cudownie odnalezionych krewnych, po czym zaprowadził do ich ulubionego stolika w dyskretnym narożniku sali. Wkrótce nadciągnęła też jego żona, aby się przywitać i polecić im degustację specjalnego menu, ułożonego przez szefa kuchni na tę noc, a uzupełnionego butelką czerwonego wina sassicaia rocznik 2009, jednego z najlepszych superto-skanów na świecie.

Wieczór upłynął im w miłej atmosferze. Wszystkie dania były wyśmienite i efektownie podane, poczynając od bruschett, za które można było dać się pokroić, przez duszone animelki, ravioli cielejące w sosie truflowym, a kończąc na krewetkach przyrządzonych na trzy sposoby. Kiedy już niemal pękali z przejedzenia, wypili po kieliszku limoncello i zgodnie przyznali, że na pewno będą dobrze spać po tak wspaniałej kolacji.

ROZDZIAŁ 13

Podchodząc do lądowania w Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Benito Juareza w Mexico City, gulfstream przebijał się przez warstwę nisko zalegających chmur. Kiedy wreszcie

zeszli poniżej ich podstawy, miasto znajdowało się zaledwie kilkaset metrów pod nimi. Budynki i drogi niknęły za zasłoną ulewnego deszczu. Gdy pilot posadził maszynę na ziemi, spod kół trysnęły wysokie pióropusze wody. Po wytraceniu prędkości pokolowali do terminalu lotów czarterowych. Liczne pojazdy, świecące przednimi reflektorami i migające światłami ostrzegawczymi, kręciły się w strugach deszczu, wożąc bagaże i catering oraz dostarczając paliwo do szykujących się do odlotu pasażerskich odrzutowców, które wkrótce miały stawić czoło burzy.

Naprzeciwko terminalu czekał na Sama i Remi czarny GMC yukon. Szofer przytrzymał im drzwi, kiedy wsiadali, załadował ich bagaże, obiegnął samochód i wśliznął się za kierownicę. Ulice były zatłoczone, więc niemal natychmiast utknęli w korku. Deszcz spływał strumieniami po asfalcie, wypełniając wielkie dziury w jezdni złowieszczą czarną wodą. Przechodnie łązili bezładnie po nierównych chodnikach w plastikowych kurtkach albo z parasolami w rękach. Przed apteką z tanimi lekami stała pod okapem samotna postać w pluszowym kostiumie kurczaka, wymachując żółtym styropianowym szyldem z wypisanym wielkimi czerwonymi literami słowem „Otwarte”.

- Kiedy poszukiwanie skarbów wyjdzie z mody, mogę zawsze zająć się czymś takim - stwierdził Sam, komentując żaloszny widok.
- Dużo bym dała, żeby zobaczyć cię w kostiumie kurczaka, niezależnie od okoliczności.
- No nie wiem. To mogłoby spowodować spadek cen nieruchomości w La Jolla.
 - Tchórz.
 - Wcale nie.
 - Cykor.

Remi wsunęła dłonie pod pachy i zamachała łokciami.

- Cip, cip, cip...
Popatrzył na nią z rozbawieniem.
- Próbujesz mi coś powiedzieć? Bo zaczynasz zwracać uwagę tego koguta.
- Masz przebrać się za kurczaka i już.
 - Gdybym nie wiedział, że żartujesz, zacząłbym się naprawdę martwić.
- Czy ja żartuję? - spytała, unosząc brwi.
 - Mniejsza o to.

Zameldowali się w hotelu i po rozpakowaniu bagaży zadzwonili do Carlosa Ramireza, który mówił po angielsku płynnie, ale z silnym akcentem. Przyjęli jego zaproszenie na popołudnie, kiedy to miał ich przedstawić naukowcom badającym nowe znalezisko. Po szybkim lunchu w hotelowej restauracji Sam i Remi pojechali taksówką do Państwowego Instytutu Antropologii i Historii, mieszczącego się obok parku ekologicznego Cuicuilco na południowych obrzeżach miasta.

Carlos Ramirez, ubrany w elegancki, doskonale skrojony szary garnitur, czekał na nich na portierni. Miał dość długie szpakowate włosy, a jego górną wargę, nieustannie wygiętą w uśmiechu, wieńczył bujny wąs.

- Serdecznie witam, sefior i señora Fargo. Cieszę się, że nie przestraszyliście się złej pogody - powiedział, ściskając im dłonie.
- W porównaniu z kilkoma miejscami, które ostatnio odwiedzaliśmy, tu jest jak w raju - odrzekł Sam.
- Kiedy pracujemy nad czymś ważnym, żaden deszcz nie jest w stanie nas powstrzymać - zapewniła Remi.

Carlos zaprowadził ich na górę do swojego biura.

- Mam tu drugi gabinet, poza tym oficjalnym, który mieści się w części administracyjnej działu historycznego. Prawdę mówiąc, spędzam tu większość czasu. Wolę pracę naukową od biurokracji. Oczywiście na pierwszym miejscu stawiam badania terenowe, chociaż odkąd piastuję bardziej odpowiedzialne stanowisko, coraz rzadziej mam okazję się nimi zajmować.

W okazałym gabinecie znajdował się stół konferencyjny z krzesłami obitymi bordową skórą, a po przeciwnej stronie, pod oknem wychodzącym na park, stało duże owalne biurko.

- Proszę usiąść. Za chwilę wezwę pozostałych i dokonam prezentacji, ale najpierw powiedzcie mi, państwo, w czym mogę wam pomóc.

- Zapewne Selma wspominała, że interesują nas Tol-tekowie - wyjaśnił Sam. - Zwłaszcza z okresu około roku tysięcznego. Uznaliśmy, że skoro przebywali wówczas na terytorium dzisiejszego Meksyku, powinniśmy tu przyjechać i, że tak powiem, osobiście powęszyć u źródeł.

- Państwa osiągnięcia są tu dobrze znane. Nasz kraj jest wam winien ogromną wdzięczność za ocalenie kodeksu Majów. W ramach swoich możliwości postaram się spełnić każdą państwa prośbę.

- Nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej uprzejmości -zastrzegła Remi. - Obawiam się, że w interesującym nas temacie nie pozostało już wiele do odkrycia, niemniej na tym polega nasza praca, więc wolelibyśmy się upewnić.

- Oczywiście. Od czego zamierzacie państwo zacząć?

- Chcielibyśmy obejrzeć kolekcję artefaktów i wszelkie dokumenty dotyczące Tolteków oraz ich najstynniejszego władcy, Quetzalcoatla.

- Naturalnie. Niestety nie ma tego zbyt wiele. Azteccy kapłani zniszczyli większość dowodów świadczących o jego dokonaniach. Co gorsza Hiszpanie, czy to celowo, czy przypadkowo, jeszcze bardziej zagmatwali sprawę, możliwe więc, że to, co o nim wiemy, opiera się na całkowicie błędnych podstawach.

Remi pokiwała głową.

- Tym bardziej rozumie pan nasze problemy. Mamy nadzieję, że dysponuje pan materiałami, które nie zostały jeszcze udostępnione w Internecie. Być może ukążą one w nowym świetle cywilizację Tolteków oraz ich przywódcę.

- Tak się szczęśliwie składa, że przyjechaliście w idealnym momencie - powiedział Carlos. - W wyniku ostatniego trzęsienia ziemi zostały odsłonięte podziemne krypty, w których być może natrafimy na nowe, nieznane informacje o ich cywilizacji. Jest jeszcze za wcześnie, aby uznać to za pewnik, ale można mieć taką nadzieję. Wszystko wskazuje na to, że zostały celowo ukryte pod ziemią, a Toltekowie robili tak tylko wtedy, gdy chodziło o najważniejsze dla nich miejsca. Jest to tym bardziej nieoczekiwane, że znajdują się daleko na południe od Tuli.

- Bylibyśmy zaszczytzeni, mogąc obejrzeć je jak najszybciej - powiedziała Remi.

- Wezwę zaraz archeologów prowadzących te wykopaliska. Nawiążecie bliską współpracę. To nasi najlepsi ludzie. -Carlos wybrał numer i po chwili wyrzucił z siebie potok słów po hiszpańsku. Gdy skończył rozmowę, ponownie zwrócił się do Fargo: - Maribela i Antonio Casuela za chwilę tu będą. Są rodzeństwem. Tęgie głowy i prawdziwi znawcy Tolteków.

Kilka minut później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do gabinetu weszła wysoka, dobiegająca trzydziestki kobieta, a za nią mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku. Rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości, że łączy ich bliskie pokrewieństwo, ale ani Remi, ani Sam nie spodziewali się, że oboje będą tak bardzo urodziwi. Maribela miała długie lśniące włosy barwy hebanu, gładką karmelowa skórę, wyraźne linie kości policzkowych, białe jak perły zęby i błyszczące czekoladowe oczy. Antonio był równie atrakcyjny, a silnie zarysowana szczęka i surowy

męski profil sprawiały, że prędzej można go było wziąć za modela albo gwiazdora filmowego niż za naukowca.

Kobieta odezwała się pierwsza, wyciągając rękę do Remi.

- Bardzo mi miło panią poznać, señora Fargo. Śledzę pani dokonania z niekłamanym podziwem od wielu lat.

Carlos promieniał.

- Remi Fargo, przedstawiam pani Maribelę Casuela.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Remi prześliznęła się wzrokiem po idealnych kształtach Meksykanki. Obcisłe czarne spodnie i czerwona bluzka opinały jej krągłości w sposób, o którym większość kobiet mogła tylko pomarzyć.

- Pan to zapewne Sam Fargo - powiedziała melodyjnym głosem Maribela, podając mu szczupłą, chłodną dłoń.

Sam mógłby przysiąc, że kiedy ich ręce się zetknęły, przeszedł między nimi elektryczny impuls, więc szybko odwrócił się do jej brata.

- Antonio, prawda?

- Cieszę się, ogromnie się cieszę - powtarzał Antonio, potrząsając dłonią Sama.

- Bardzo proszę, mówcie nam po imieniu. Nie znoszę konwenansów - zwróciła się Remi do Casuelów, którzy zajęli wskazane im miejsca.

Carlos poinformował rodzeństwo archeologów, czym interesują się oboje Fargo, po czym wspomniał o odkrytych ostatnio kryptach. Oczy Antonia rozbłysły.

- To naprawdę niezwykle - powiedział. - Oboje byliśmy w środku. Potrzeba lat na zbadanie samych tylko rzeźbień. Jest tam sieć łączących się ze sobą korytarzy, które prowadzą do co najmniej czterech komór grobowych. Mumie już zabraliśmy. Potencjał naukowy znaleziska jest ogromny. Gwarantuję, że zwiedzanie tego miejsca będzie dla was niezapomnianym przeżyciem.

- Pokażemy wam wszystko, co mamy, jeśli chodzi o Tolteków i Ouetzaleoatla - dodała Maribela. - Większość została już opisana w naukowych periodykach, więc raczej nie będzie to nic zaskakującego.

- Jak wygląda rejon, na którym dokonano odkrycia? - spytał Sam.

Carlos zmarszczył brwi.

- Mamy tam do czynienia z kontrolowanym chaosem. Oczyszciliśmy dostęp do wejścia, którego pilnuje policja, ale cała okolica to wciąż strefa katastrofy. Na tym konkretnym osiedlu zginęło ponad sto osób. Trzeba przywrócić działanie podstawowych służb, zdarzają się przypadki szabrownictwa. Ekipy ratownicze nadal przeszukują budynki. Kiepsko to wygląda.

- Czy krypty zostały zabezpieczone przed splądrowaniem? - spytała Remi.

- Mamy nadzieję, że tak - odparł Antonio. - Niestety, zarobki policjantów są bardzo niskie, więc wszystko jest możliwe. Skatalogowaliśmy wszystkie cenniejsze przedmioty i podejmujemy wysiłki, aby zabrać je stamtąd jak najszybciej, ale to musi potrwać, bo najpierw chcemy dokładnie udokumentować stan znaleziska. Jak sami wiecie, margines błędu jest bardzo wąski.

- Po pierwsze, niczego nie uszkodzić - powiedziała Remi. Maribela popatrzyła na nią.

- Czy mogę spytać, jakie macie przygotowanie? Czytałam, że jesteście z wykształcenia antropolożką.

- Zgadza się, zajmowałam się antropologią fizyczną, ale to było wiele lat temu, jeszcze na

uczelni. Wolę jednak pracować w terenie, tak jak i wy.

- Oczywiście. Nic nie może się równać z podniecającą świadomością bycia tym pierwszym.
- To prawda. Mam ogromne szczęście, że mąż dzieli ze mną tę pasję - powiedziała Remi, chwytając Sama za rękę.

Antonio i Maribela pokazali im artefakty i dokumenty zgromadzone w podziemiach wielkiego budynku. Część z nich Fargo już znali z Internetu.

- Toltekowie nie mieli pisma, dlatego cała wiedza o nich pochodzi z przekazów ustnych, spisanych w późniejszym okresie, pomijając nieliczne piktogramy - wyjaśniła Maribela. - Jak jednak wynika z wyrytych znaków, posługiwali się wyrafinowanym symbolizmem, chociaż istnieją poważne kontrowersje co do interpretacji tych obrazów.

- Podobnie sprzeczne przekazy dotyczą mitycznego władcy Tolteków, Ce Acatl Topiltzina, nazywanego też To-piltzin Quetzalcoatlem lub po prostu Quetzalcoatlem - dodał Antonio. - Na przestrzeni lat uległy takim przeinaczeniom, że trudno dziś stwierdzić, ile w nich prawdy. Niektórzy są przekonani, że Quetzalcoatl to postać mityczna i nigdy nie istniał naprawdę. Inni twierdzą, że był pierwszym władcą Tolteków. Są też tacy, którzy uważają go za wcielenie prawdziwego Quetzalcoatla, najważniejszego bóstwa Mezoameryki.

Wskazał zestaw wizerunków srogiego mężczyzny z dużą głową i czymś, co wyglądało jak broda.

- Wszystko to jest bardzo niejasne - podjął Sam. - Zwłaszcza ta broda, zupełnie nieznana wśród rdzennych ludów Ameryki.

- Słusznie - przyznała Maribela z uśmiechem. - Dodatkowy zamęt wprowadzają hiszpańskie przekazy opisujące zwyczaje Azteków i historię ich cywilizacji. Wiemy, że to mocno przerobione wersje tradycyjnych ludowych opowieści. Są też pewne problemy z ich interpretacją. Wiele z zachowanych do dziś dokumentów to nieudolne dzieła franciszkańskich mnichów albo samych konkwistadorów, którzy wszystko poprzekręcali.

Antonio stanął obok siostry.

- Warto zaznaczyć, że część relacji utrzymywano w sekrecie, ponieważ były niezgodne z oficjalną wersją historii. Hiszpanie usuwali wszystko, co według nich stanowiło wskazówkę mogącą doprowadzić do miejsc ukrycia legendarnych skarbów. Niewiele na tym zyskali, bo to tylko potwierdza systematyczne próby rabowania spuścizny Majów i Azteków, zarówno ze zwykłej chęci zysku, jak i w celu zdobycia przychylności króla Hiszpanii, zapewniającej finansowanie kolejnych wypraw.

- Pieniądz od wieków kierował ludzkimi poczynaniami - zauważył Sam.

Antonio pokiwał głową.

- Niektóre z oficjalnych przekazów to bez wątpienia czyste wymysły, wynikające z nieumiejętności rozróżnienia między Quetzalcoatlem jako bogiem a Quetzalcoatlem jako władcą Tolteków.

- Co mogło się stać z przekazami utajnionymi przez Hiszpanów, które wskazywały drogę do bardziej znaczących miejsc? - spytała Remi, która unikała słowa „skarby”.

- Wszystkie zachowane do dziś kodeksy opisują sprawy raczej przyziemne. Kilka trafiło do Hiszpanii, część zatonała wraz z przewożącymi je statkami, a inne po prostu zniknęły.

- Próbowaliście je zlokalizować? - drążył Sam.

- Oczywiście - odparł Antonio. - Kilkakrotnie odwiedziliśmy Hiszpanię, ale nie znaleźliśmy tam niczego ponad to, co jest dostępne w Internecie. Mają coś jeszcze na Kubie, ale dogadanie się z

tamtejszymi władzami jest praktycznie niemożliwe, nawet dla nas, Meksykanów. Kubańczycy są bardzo tajemniczy. Spędziliśmy tam z Maribela prawie cztery miesiące. Współpracowaliśmy z pewnym muzeum. Pokazano nam kilka piktogramów i rękopis dotyczący Azteków lub Tolteków, napisany rzekomo przez jakiegoś konkwistadora. Nie otrzymaliśmy jednak pozwolenia na jego bliższe zbadanie, nie mówiąc już o sfotografowaniu. Wiele razy występowaliśmy o udostępnienie go nam albo o zwrot do Meksyku, ale bez skutku. Szkoda, bo to jest część naszego dziedzictwa, nie ich.

- Rękopis? - zainteresowała się Remi. - A co w nim było?

- Nie potrafię powiedzieć, bo był zupełnie niezrozumiały. Został napisany jakimś rodzajem szyfru, co w tamtych czasach nie było niczym niezwykłym, zwłaszcza w przypadku ważnych dokumentów. Potrzebowalibyśmy czasu, aby przeanalizować go zdanie po zdaniu i odkryć kod. Pamiętam, że były tam szczegółowe rysunki Azteków, a może także Tolteków, oraz symbole, w tym jeden oznaczający Quetzalcoatla.

- Kubańczycy nie próbowali go odszyfrować? - spytał Sam. Antonio pokręcił głową.

- Nie sędzę. Dla nich to po prostu zwykły stary rękopis. Prawdopodobnie mieli go od tak dawna, że już nikt się nim specjalnie nie interesował. Dopiero kiedy chcieliśmy go zabrać ze sobą, okazało się, że to ich skarb narodowy.

- Gdzie przechowują te wszystkie meksykańskie zabytki? - Głos Sama nie zdradzał niczego ponad uprzejme zainteresowanie.

Maribela obrzuciła go czujnym spojrzeniem.

- W zamku Morro, u wejścia do Zatoki Hawańskiej. Na terenach zamkowych znajduje się małe muzeum, ale artefakty zostały przeniesione do piwnic. Przypuszczam, że umieszczono je w tym samym miejscu, gdzie były przechowywane przed laty, kiedy Brytyjczycy zwrócili wyspę Hiszpanom.

Remi zabrała się do robienia zdjęć. W pewnej chwili zwróciła się do Antonia.

- Nic dziwnego, że wszyscy są tak podekscytowani. Sieć podziemnych grobowców to wręcz niesamowite. Na pewno udzielają ci się te emocje.

- Tak, zwłaszcza że to pierwsze od lat odkrycie związane z Toltekami. W dodatku całkiem niespodziewane, zważywszy na lokalizację. Do tej pory uważano, że tolteckie budowle znajdują się jedynie w Tuli. Teraz ten pogląd musi ulec zmianie. - Antonio na chwilę zawiesił głos, po czym podjął: - Według legend Quetzalcoatla został zmuszony do opuszczenia Tuli i wyruszył w podróż do najdalszych zakątków cywilizacji. Dotarł między innymi do majańskich miast na terytorium Meksyku i Gwatemali, a może nawet dalej.

- Sądziś, że w legendzie o grobowcu Quetzalcoatla tkwi ziarno prawdy?

- Raczej nie. Wszystko, czym dysponujemy, to zaledwie kilka mglistych wzmianek w jednym z najbardziej niejasnych kodeksów i parę listów do króla Hiszpanii.

- Więc uważasz, że grobowiec nie istnieje? - drążyła Remi.

- Tak - potwierdził Antonio. - Poczynając od Hiszpanów, a kończąc na współczesnych poszukiwaczach skarbów, wszelkie próby odnalezienia go speliły na niczym. Prawdziwym skarbem Tolteków jest ich historia, która, niestety, pozostaje wciąż nieodkryta, tak jak komora grobowa ich mitycznego władcy. Ale skoro już mówimy o legendzie, zastanówmy się nad pewnym jej elementem. Na pewno słyszeliście o szmaragdzie wielkości ludzkiego serca. Musiałby pochodzić z Kolumbii, tymczasem nic nie wskazuje na to, by Toltekowie kiedykolwiek zapuścili się tak daleko na południe, a tym bardziej, by tam handlowali. Doszedłem więc do wniosku, że podobnie jak wiele legend z tamtych czasów, to czysta fantazja, niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Szmaragd

wielkości ludzkiego serca to taki meksykański odpowiednik świętego Graala, a jego istnienie jest równie mało prawdopodobne.

Resztę popołudnia Sam i Remi spędzili na oględzinach artefaktów. Przed wyjściem z Instytutu umówili się, że Maribela i Antonio wpadną po nich rano do Four Seasons i zabiorą do podziemnych krypt. Gdy wracali taksówką do hotelu, Sam zadzwonił z komórki do Selmy. Rozmawiał z nią ściszym głosem, który ginął w ulicznym zgiełku.

- Postaraj się wygrzebać wszystko, co się da, na temat hiszpańskich artefaktów na Kubie - poprosił. - Zarówno oficjalne informacje, jak i wszelkie pogłoski.
 - Na Kubie? W porządku, już się do tego biorę.
 - I jeszcze jedno, sprawdź, czy w sieci są dostępne plany zamku Morro w Hawanie.
- Robi się. Wyślę maila, jak będę coś miała.

Kiedy Sam zakończył połączenie i natychmiast wybrał jakiś numer z pamięci telefonu, Remi spytała:

- A teraz do kogo?
- Wiesz, ta Kuba nie daje mi spokoju - odparł. - A kto może wiedzieć o niej więcej niż Rube?
- Rubin Haywood? Dobry pomysł. CIA na pewno ma specjalną komórkę zajmującą się Kubą.

Taksówka podskoczyła na jakimś wyjątkowo dużym wyboju. Remi jedną ręką złapała za oparcie przedniego siedzenia, a drugą ręką dotknęła swojego złotego wisiorka. Czekaający na połączenie Sam szepnął do niej:

- Przydałoby się nam trochę szczęścia. Może potrzebujesz skarabeusza, żeby wywołać dzinna?

Roześmiali się, a po chwili w telefonie rozległ się charakterystyczny głos:

- Rubin Haywood, słucham.
- Cześć, Rube, mówi Sam.
- To naprawdę ty? Kopę lat. Jesteś w stolicy? Może chcesz mi postawić kolację?
- Zastanowię się nad tym. Ale teraz potrzebuję pewnych informacji.
 - Co tym razem?

Kiedy Sam wyjaśnił, po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- To może trochę potrwać, ale posadzę nad tym jakiegoś analityka - rzekł wreszcie Haywood. - Podobno w dzisiejszych czasach potrafią robić prawdziwe cuda z komputerami.
 - Dane są tyle warte, ile ten, który je wprowadził.
- To prawda. Czy to wszystko? Szukasz informacji o archeologicznych skrytkach w zamku Morro. Dość nietypowy obszar zainteresowań, nawet jak na ciebie...
 - Po prostu staram się podtrzymywać nasze kontakty.
 - W takim razie muszę ci się pochwalić, że dostałem awans.
- Co ty powiesz? Gratuluję.
- Dzięki. Powiedziałbym ci, czym się teraz zajmuję, ale potem musiałbym cię zabić, więc lepiej nie pytaj.
 - Dziękuję za ostrzeżenie.
- No dobra, stary, zaraz zagonię chochliki do roboty. Wciąż masz ten sam adres mailowy?
 - Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Kiedy Sam się rozłączył, Remi przysunęła się do niego i spytała:

- Jak ci się podobają nasi nowi współpracownicy? Maribela jest niesamowita, prawda?
 - Kto? Aha, siostrzyczka. Jakoś nie zwróciłem uwagi. Remi dała mu kuksańca.
 - Wiesz, że kiedy kłamiesz, masz taki charakterystyczny błysk w oczach.
 - Komu zamierzasz wierzyć, mnie czy moim kłamliwym ślepiom?
 - Tak tylko mówię... Nie spodziewałam się, że będzie tak wyglądać.
 - No i jeszcze braciszek. Może trochę mniej paskudny niż siostra, ale też nie najpiękniejszy.
- Przez resztę drogi do hotelu oboje milczeli, zatopieni w myślach, które koncentrowały się wokół grobowca mitycznego władcy oraz przeszkód, jakie będą musieli pokonać, aby go odnaleźć.

ROZDZIAŁ 14

Na przedniej szybie chevroleta suburban należącego do Antonia osiadała wilgoć. Poranne mgły były częstym zjawiskiem o tej porze roku w Distrito Federal, DF, jak mieszkańcy nazywali Mexico City. Minęli centrum i teraz przedzierali się przez zakorkowane ulice na północ, do zrujnowanego osiedla López Mateos.

Antonio skręcił i przecnicę dalej trafili na dwa wojskowe pojazdy, obok których stali żołnierze z gotowymi do strzału karabinami M4.

- To nasza ochrona - wyjaśnił Antonio, zdejmując nogę z gazu. - Policjanci wezwali na pomoc wojsko, gdy w nocy ktoś ich ostrzelał. Prawdopodobnie jakieś dzieciaki, ale tu wszyscy siedzą jak na beczce prochu.

Zatrzymał się na popękany chodniku obok narożnego sklepu pokrytego graffiti. Powyginane pręty zbrojeniowe sterczały z rozbitych okien. Podszedł do nich żołnierz z naszywkami sierżanta. Antonio otworzył drzwi i pokazał mu identyfikator. Zahartowany w boju weteran przyjrzał mu się nieufnie, zanim go przepuścił.

Maribela odwróciła się do Amerykanów.

- Pora na przedstawienie, tak się to mówi?
- Dokładnie - potwierdziła Remi.

Pochyłe zejście prowadzące do rozpadliny pod ulicą odgradzała żółta taśma. Sam i Remi wstrzymali oddechy, bo wskutek wycieku z uszkodzonej kanalizacji wszędzie unosił się straszliwy smród. Antonio zniknął w mroku i po chwili rozległ się charakterystyczny odgłos uruchamiania silnika generatora. Wewnątrz rozblęsnęło światło dwóch przenośnych lamp.

- Ruszcie się, trzeba wejść jakieś pięć metrów w głąb. Remi niemal się zakrztusiła, z trudem przełykając ślinę, ale poszła za Maribelą. Sam ruszył za nią.

Znaleźli się na wprost wyłomu w kamiennej ścianie, która częściowo zawałała się do środka. Antonio pierwszy wspiął się do otworu, a pozostali poszli w jego ślady. Przy wejściach do trzech rozchodzących się korytarzy stała na statywie kolejna lampa.

- Każdy korytarz prowadzi do innej komory grobowej - wyjaśnił Antonio. - Najbardziej okazała jest ta na wprost. Zobaczycie w niej naczynia i inne przedmioty, wszystkie ponumerowane. Zostawiliśmy je na miejscach, a w ciągu najbliższych kilku dni przeprowadzimy dokładniejszą oględzinę. Bądźcie ostrożni, bo podłoga jest nierówna.

Weszli do pierwszej krypty. W powietrzu unosił się zapach butwiejącej, wilgotnej ziemi. Antonio schylił się do przełącznika leżącego obok jego stopy. Zestaw lamp oświetlił wejście do

tunelu, ich zimny blask odbijał się od ścian komory.

Remi ledwie stłumiła okrzyk, czując, jak jakiś korzeń przesuwają się po jej ramieniu.

- Trochę tu strasznie, prawda? - powiedział Sam, biorąc ją za rękę.

Pomieszczenie było małe, niecałe cztery na cztery metry. Pod przeciwległą ścianą stało kamienne podwyższenie, miejsce wiecznego spoczynku tolteckiego dostojnika. Po obu jego stronach leżały porzucane garnki, gliniane figurki, maski i narzędzia z obsydianu, nad którymi przeciągnięto biały szpagat, tworząc siatkę umożliwiającą dokładne odwzorowanie pozycji każdego przedmiotu. Największe wrażenie robiły piktogramy, które pokrywały całą powierzchnię ścian. Komora była prawdziwą skarbnicą sztuki tolteckiej.

Sam zatrzymał się przed piedestałem i chłonął wzrokiem zapierającą dech w piersiach ekspozycję. Remi stanęła obok i oboje zaczęli wodzić oczami po tableau.

- Te przedmioty ułożono starannie wokół postumentu, ale przez stulecia trzęsienia ziemi zrobiły swoje - powiedziała Maribela. - Krypta jest zachowana w doskonałym stanie, lecz największe zdumienie budzą rzeźbienia. Są bardzo podobne do tych, które opisywaliśmy na innych tolteckich stanowiskach, ale jeszcze nigdy nie widziałam tak wielkiego ich nagromadzenia.

Fargo podeszli do najbliższej ściany. Sam wyjął z kieszeni małą latarkę. Włączył ją i napotkał spojrzenie mężczyzny o srogiej twarzy. Jego głowę wieńczyły wymyślnie ufrizowane włosy, w jednej ręce trzymał węża, a w drugiej stylizowaną pałkę. Sam oświetlił następną scenę, która przedstawiała prężącego się do skoku jaguara przed frontem świątyni. Obok znajdowała się kolumna maszerujących wojowników, poniżej ludzie prowadzący zwierzęta na powrozach oraz robotnicy wznoszący wielką piramidę. I tak dalej, scena po scenie.

- Zachwycające, prawda? - szepnęła Remi. - Są w doskonałym stanie.

Antonio pokiwał głową.

- Mamy nadzieję, że kiedy zaczniemy kopać, znajdziemy jeszcze więcej. Błoto, które widzicie na podłodze, zostało naniesione przez przeciekającą wodę. Ale cała reszta jest zachowana wręcz idealnie, jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się z takim przypadkiem.

- Kogo pochowano w tych kryptach? Macie już jakieś przypuszczenia?

- Najprawdopodobniej byli to kapłani, bardzo ważni, zapewne przywódcy religijni tamtych czasów. Wciąż jednak pozostaje zagadką, dlaczego pochowano ich tak daleko od Tuli,

- Czy Toltekowie zwykli chować zmarłych przywódców religijnych w tak wyszukanych kryptach?

- Bardzo mało wiemy o ich cywilizacji, dlatego wciąż mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Sporządzenie szczegółowej dokumentacji tego znaleziska potrwa całe miesiące czy nawet lata i to pod warunkiem, że władze miasta nas stąd nie wyrzucą. Problem polega na tym, że górą biegnie ulica. Moglibyśmy kupić jeden z okolicznych budynków i zrobić w nim wejście do podziemi, ale na to trzeba pieniędzy...

Przenieśli się do innej krypty, w której także znajdowały się artefakty i płaskorzeźby. Remi sfotografowała wszystkie w celu szczegółowego zbadania. Była zdumiona ich ogromną ilością. Wytworzenie tego wszystkiego musiało zająć artyście wiele lat.

Po trzech godzinach eksploracji Antonio dał znak, że czas zrobić przerwę i wyjść na powierzchnię.

- Po południu przyjdzie tu grupa studentów, żeby pomóc przy wybieraniu ziemi - poinformowała Fargo Maribela. - Możecie zostać, jeśli chcecie, ale będzie dość tłoczno. Widzieliście już prawie wszystko, więc lepiej pojedźcie do Instytutu i zajmijcie się zgromadzonymi

tam artefaktami. Chętnie was podrzucę. Antonio zostanie tutaj i popilnuje interesu.

- Tak będzie najlepiej - zgodził się Sam. - Nie chcemy wam przeszkadzać. Mamy jeszcze sporo do obejrzenia w podziemiach Instytutu, na pewno nie będziemy się nudzić.

Remi kiwnęła głową na znak aprobaty i cała czwórka wyszła na ulicę. Po porannej mgle nie zostało nawet śladu, a słońce przeświecało przez chmury.

Kiedy podczas jazdy do Instytutu zadzwonił telefon, Sam najpierw spojrzął na wyświetlacz, a dopiero potem odebrał rozmowę.

- No i jak, udało ci się czegoś dowiedzieć? - spytał.

- Chyba mam coś, co może się wam przydać - odpowiedział Haywood - ale są to zarówno dobre, jak i złe wieści.

- Zaczynij od złych.

- Kubańczycy są nie mniej tajemniczy od Chińczyków, więc wszystkie informacje, jakie udało się nam zebrać, opierają się na pogłoskach i przypuszczeniach.

- Co oznacza, że są niewiarygodne.

- Dokładnie.

- Teraz dawaj te dobre.

- W Hawanie, pod kontrolą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, działa magazyn, w którym przechowywane są pamiątki po Hiszpanach. Należy do sieci państwowych muzeów.

- Nie śmiem pytać, skąd się o tym dowiedziałeś.

- Od uciekiniera, który przyplłynął wraz pięćdziesięcioma innymi na prowizorycznej tratwie czterdzieści lat temu.

- Więc to bardzo stara wiadomość.

- Akurat to nie jest waszym największym problemem.

- Podejrzewam, że najciekawsze zostawiłeś sobie na koniec.

- Czy ja naprawdę jestem taki przezroczystry?

- Najlepiej powiedz mi to wprost.

- Magazyn znajduje się w dolnej piwnicy zamku Morro, którego pilnuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę stacjonujący tam kontyngent wojskowy.

- Udało ci się znaleźć jakieś plany tej twierdzy?

- Odbierz maila, którego ci wysłałem. Muszę cię jednak ostrzec, Sam. Kubańczycy z nikim się nie patyczkują, a szczególnie nie lubią Amerykanów. Jeśli więc zamierzasz wyciąć jakiś głupi numer, radzę ci, żebyś tego nie robił.

- Nie brzmi to zachęcająco.

Haywood wypuścił głośno powietrze z płuc.

- Od chwili, kiedy się rozłączę, będziesz zdany tylko na siebie, przyjacielu. Nie zdołam ci pomóc, jeśli nie odpuścisz i wpakujesz się w kłopoty. Dlatego nalegam, nie podejmuj żadnych nierozważnych kroków.

- Przyjąłem. Wielkie dzięki. Masz u mnie dobre piwo.

- Uważaj na siebie, Sam. Jak cię utłuką, nie będę mógł odebrać długu.

ROZDZIAŁ 15

O szóstej wieczorem, po przeanalizowaniu materiałów Instytutu i porównaniu ich ze zdjęciami, Sam i Remi stwierdzili, że na dziś mają już dość, i wrócili do hotelu. Sam zalogował się do swojej skrzynki pocztowej i przez kilka minut studiował maila otrzymanego od Haywooda. W załączniku znalazł kilka schematycznych, odręcznie narysowanych planów zamku Morro oraz informacje na temat kontyngentu wojskowego strzegącego fortu. Twierdza została zbudowana w 1589 roku dla ochrony portu w Hawanie. Z czasem stała się częścią dziedzictwa narodowego, a obecnie udostępniono ją zwiedzającym jako jedną z atrakcji turystycznych miasta.

Remi przysiadła się do Sama, zauważyła rysunki i uniosła brew.

- Samie Fargo, mam nadzieję, że nie przyszedł ci do głowy jakiś szalony pomysł.
- Oczywiście, że nie. Tak sobie tylko pomyślałem, że korzystając z pięknej pogody, moglibyśmy odwiedzić Cancun.
- Które jest oddalone zaledwie o godzinę lotu od Kuby.
- Naprawdę? Co ty powiesz...
- Z taką twarzą byłbyś marnym pokerzystą. Sam kiwnął głową.
- Więc dobrze się składa, że nie grywam w karty.
- Wiedziałaś, że skoro dowiedziałeś się o tajemniczym rękopisie, nic nie zdoła cię powstrzymać.
- Wielka szkoda, że dokument, który może mieć ogromne znaczenie dla Meksykanów, znajduje się w obcych rękach.
- Nie wiemy, czy ma jakiegokolwiek znaczenie. Z tego, co wiadomo, najprawdopodobniej to jakiś przepis.
- Przepis? Ilustrowany prekolumbijskimi rysunkami?
- Albo list jakiegoś żeglarza. Nie wygląda to obiecująco. Podbój Meksyku przez Hiszpanów trwał prawie dwieście lat. Dokument może dotyczyć czegokolwiek, niekoniecznie Tolteków.
- Może i tak, ale czy mamy jakikolwiek inny punkt zaczepienia?
- Na razie nie, ale dopiero zaczęliśmy badać płaskorzeźby. Może jakiś element którejs z nich naprowadzi nas na właściwe tory...
- Płaskorzeźby nam nie uciekną. Możemy się nimi zająć po powrocie.

Remi zasępiła się.

- Jeśli wrócimy.
- O czym ty mówisz? Zamierzam tylko wśliznąć się tam, zrobić kilka zdjęć i zniknąć, zanim ktokolwiek się zorientuje. Nie ma żadnego zagrożenia.
- To jest fort, Sam. Obiekt wojskowy, należący do reżimu najbardziej wrogo nastawionego do Stanów Zjednoczonych spośród wszystkich państw na zachodniej półkuli. Mam przecucie, że jeśli nas złapią, łatwo się z tego nie wypłaczymy.
- Dlatego mój plan nie przewiduje możliwości wpadki. Remi westchnęła.
- Wiedz, że to zły pomysł. Widzę jednak, że jakakolwiek dyskusja z tobą nie ma większego sensu, prawda?
- Może tak będzie lepiej.
- Wiem z doświadczenia, że nic nie będzie lepiej. Odkąd spotkaliśmy się po raz pierwszy, wciąż

to samo.

- Więc polecimy do Hawany, rozejrzemy się po tym forcie i w środku nocy zakradniemy się do skarbcza.
- Świetnie. Powiedz mi jeszcze jedno, jak zamierzasz to zrobić?
- Nie mam pojęcia. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.
- To daj mi znać, kiedy się zastanowisz.

Wieczorem dostali trzy maile od swojej ekipy, ale żaden nie zawierał niczego ponad to, co już wiedzieli. Autor artykułu encyklopedycznego na temat legendy o grobowcu Quetzalcoatla opisywał nefrytową trumnę, góry złota, bezcenne ozdoby oraz Oko Niebios, ale według Sama tekst był tylko fantazją egzaltowanego nastolatka. Wszystkie te dobra miały zostać ukryte w tajnym grobowcu w jakimś świętym miejscu i zabezpieczone przed zbezczeszczeniem przez barbarzyńców, za których Toltekowie uważali wszystkich oprócz samych siebie.

W drugim mailu znajdował się referat pewnego doktoranta na temat ekspedycji badawczej z 1587 roku, która podążała śladami wcześniejszej wyprawy z roku 1521. Odkryto podczas niej wiele azteckich i tolteckich miast, ale żadnego grobowca. Mimo to gorączka wywołana wizją bezcennego skarbu nie ustąpiła. Kolejne pokolenia opanowanych nią awanturników poszukiwały miejsca wiecznego spoczynku Quetzalcoatla, podobnie jak tajemniczych Siedmiu Złotych Miast i południowoamerykańskiego El Dorado, lecz znajdowali jedynie ruiny, choroby, a w końcu śmierć.

Według dołączonego do trzeciego maila artykułu z popularnego czasopisma w początkach trzeciej dekady ubiegłego stulecia jeszcze jedna grupa śmiałków wyruszyła do świętych miast środkowego Meksyku w poszukiwaniu bliżej nieokreślonego skarbu, ale żaden z jej członków nie wrócił z tej wyprawy. Prawdopodobnie wszyscy zostali zabici przez bandytów w kraju, w którym na większości terytorium panowało bezprawie.

Po niespiesznym posiłku w hotelowej restauracji Sam sprawdził loty z Cancun do Hawany i z zaskoczeniem stwierdził, że codziennie jest kilka połączeń. Zapoznawszy się z przepisami obowiązującymi przyjezdnych, odkrył, że mogą bez przeszkód pojechać na Kubę z wetkniętymi w paszporty papierowymi wizami, które zostaną im odebrane przy wyjeździe, więc nie pozostanie żaden ślad, że tam kiedykolwiek byli. Przedstawił plan podróży Remi, a ta zgodziła się, że przynajmniej spróbują zrobić sobie krótkie wakacje na Kubie i przy okazji dokładnie obejrzą zamek Morro.

Nazajutrz Sam rozpoczął dzień od powiadomienia wszystkich w La Jolla o ich planach i poprosił o znalezienie kogoś zaufanego, kto by im pomógł podczas pobytu w Hawanie.

Kolejną sprawą był wyjazd do Cancun. Sam polecił Re-xowi, aby złożył plan lotu na dzisiejszy wieczór. Na koniec zarezerwował miejsca na jutrzejszy lot do Hawany z Cancun, po upewnieniu się, że nie będzie żadnych problemów z uzyskaniem wiz w kubańskim konsulacie w tym mieście.

Popołudnie w Instytucie minęło im szybko. Znali już większość płaskorzeźb z Internetu, więc nic ich nie zaskoczyło. Dojazd na lotnisko przez zatłoczone miasto ciągnął się niemiłosiernie, zabierając im niemal tyle samo czasu co lot do Cancun. Po wylądowaniu i otwarciu drzwi samolotu do kabiny wtargnęło gorące, duszne powietrze o wilgotności dochodzącej do dziewięćdziesięciu procent. Limuzyna przysłana przez hotel Ritz-Carlton w mgnieniu oka przewiozła ich do miejsca zakwaterowania. Zameldowali się i poszli coś zjeść w najbardziej ekskluzywnej hotelowej restauracji Fantino. Remi zamówiła zupę z zielonego groszku i sałaty z przegrzebkami, a na przystawkę wzięła smażoną karbonellę.

Sam na przystawkę zjadł suszonego tuńczyka, a potem filet mignon z borowikami. Spłukali to wszystko butelką adobe guadalupe serafiel cabernet/syrah rocznik 2006.

Kiedy kelner zebrał puste talerze, Sam opadł na oparcie, zamieszał okrężnym ruchem resztę wina w

kieliszku i wziął długi, satysfakcjonujący łyk.

- No proszę, kto by pomyślał, że w Meksyku robią takie dobre wino? Zdumiewające, nieprawdaż?

- Owszem, bardzo syte, mogłoby samo wystarczyć za posiłek - odparła Remi.

Sam dostrzegł refleksy świetlne od żyrandola tańczące w jej oczach.

- Przyznaj, proszę, jak dotąd nasza wyprawa nie jest taka straszna.

- No cóż, przynajmniej nie jest to Ziemia Baffina.

Po kolacji sączyli tequila brandy w barze nad basenem, patrząc na fosforyzujące w świetle księżycy fale, które załamywały się na białej, piaszczystej plaży.

- Jest cudownie, Sam. Mam nadzieję, że jutrzejszy wieczór zakończy się równie przyjemnie, jak dzisiejszy.

- Będziemy w Hawanie. Na pewno znajdziemy jakiś bar, w którym robią wysmienite mojito, i spróbujemy wczuć się w lokalny koloryt miasta. Co może być w tym złego?

- Czy zdajesz sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy wypowiadasz te słowa...

- ..wpadamy w kłopoty - dokończył za nią Sam. - Wycofuję poprzednie zdanie.

- Nic z tego, to tak nie działa. Zostało wypowiedziane i teraz buja gdzieś we wszechświecie.

- Nonsens. Siedzimy sobie na najpiękniejszej plaży na świecie. A ja mam obok siebie najpiękniejszą dziewczynę w mieście.

Remi przysunęła się do męża. Dźwięki barowej orkiestry i harmonijne głosy wokalistów wzmacniały odurzające działanie brandy, którą popijali. Kiedy wrócili do pokoju, ich przyszłość rysowała się jak zwykle niepewnie, za to terażniejszość była tak przyjemna, jak tylko można sobie wyobrazić.

Sam zadzwonił do Selmy, chcąc się dowiedzieć, na jakim etapie są poszukiwania ich kubańskiego przewodnika. Telefon odebrała Kendra.

- Macie szczęście. Ktoś polecił Selmie pewnego lekarza z Hawany, który zgodził się was oprowadzić. Zostałam zapewniona, że jest bardzo przedsiębiorczy.

- Selma za niego ręczy?

- Tak. Podobały mu się jakieś jej artykuły, korespondują ze sobą od lat. Kiedy wyruszą?

- Jutro po południu.

- Powodzenia.

Sam zamilkł na chwilę, po czym spytał:

- Co u Selmy?

- Jakoś się trzyma, ale fizjoterapia kosztuje ją dużo wysiłku.

- Tak bywa. Czy stosuje się do zaleceń lekarzy?

- Chyba tak. Pewnie robi nawet więcej, niż trzeba. Wczoraj mi powiedziała, że chce jak najprędzej stanąć na nogach.

- Przekażesz jej, że myślimy o niej?

- Na pewno.

Jadąc taksówką do kubańskiego konsulatu, zorientowali się, że kierowca nie ma pojęcia, gdzie to jest. Trzykrotnie prosił przechodniów o wskazanie drogi, by wreszcie wysadzić ich dwie przecznice od głównej ulicy, przed zaniedbaną białą willą, która, jak ich zapewniał, miała być „nową” siedzibą trudno osiągalnego kubańskiego przedstawicielstwa.

W poczekalni było gorąco, a staromodny wentylator na stojaku chyba jeszcze pamiętał czasy sprzed wynalezienia silnika spalinowego. Kiedy kobieta z okienka wystawiła wreszcie ich dokumenty podróży, podeszli do niej z ulgą, wnieśli opłatę i ruszyli na wyścigi do wyjścia.

Szli powoli, mijając oddalone od siebie przecznice w palących promieniach tropikalnego słońca. Kiedy dotarli do głównej ulicy, Sam był cały zlany potem. Mimo to rozejrzał się po okolicznych witrynach i wskazał sklep z narzędziami i artykułami metalowymi.

Dziesięć minut później wyszli stamtąd biedniejsi o kilkaset pesos, ale za to z torbą wypchaną zakupami. Złapali taksówkę i wrócili do hotelu.

Lunch nad basenem wraz z finałową margaritą ożywił ich podupadłego ducha. Na lotnisku bez żadnych problemów odprawili swoje bagaże i torbę z zakupami. Pozytywne wspomnienie ubiegłego wieczoru prysło, gdy hostessa linii Cubana Air poinformowała Amerykanów, że z przyczyn bliżej nieokreślonych ich lot będzie opóźniony o godzinę. Jak można się było spodziewać, hali odlotów daleko było do basenu u Ritza, mimo to Sam próbował uprzyjemnić sobie spędzony tam czas zimnym piwem tecate i torbą ziemniaczanych chipsów, podczas gdy Remi popijała wodę z butelki.

Godzina przeciągnęła się do dwóch, więc zanim wreszcie zajęli miejsca w kabinie samolotu, Remi zdążyła kilkakrotnie wspomnieć, że ma złe przeczucia w związku z tą podróżą.

- Spokojnie. Co może... - zaczął Sam i natychmiast ugryzł się w język.

Remi spiorunowała go wzrokiem.

- Ostrzegałam cię. Ściągniesz na nas złą karmę.
- Przecież nic nie powiedziałem.
- Ale pomyślałeś.

Sam nie zdołał zareplikować, więc wyjrzał przez okno na palmy piekące się w słońcu na krawędzi płyty postojowej. Przeszarzały odrzutowiec przeciął ją w poprzek, kołując na start, a potem potoczyli się z hukiem po pasie startowym. Samolot trząsł się alarmująco podczas rozbiegu, jakby nie chciał wzbić się w powietrze.

Międzynarodowy Port Lotniczy imienia Jose Marti był większy, niż przypuszczali. Składał się z trzech terminali, przy których stało mnóstwo samolotów. Remi powiedziała Samowi na ucho, że na zewnątrz jest tak samo paskudnie, jak w szarym betonowym wnętrzu. Naburmuszeni i nieuprzejmi celnicy świdrowali ich przez chwilę wzrokiem, zanim gestem nakazali im przejść dalej.

Sam wymienił w kasie czterysta dolarów na miejscową walutę i upchnął kubańskie banknoty po kieszeniach. Kiedy wyszli na chodnik, kierując się do postoju taksówek, upał uderzył ich jak młotem. Powietrze było jeszcze gorętsze i bardziej wilgotne niż w Cancun. Nawet wiatr nie poprawiał sytuacji, bo wiał od otaczającej ich dżungli. Rząd nowoczesnych taksówek marki Mitsubishi czekał pod przerdzewiałym stalowym daszkiem, gdzie wymizerowany człowieczek w spłowiałym granatowym mundurze dmuchał w gwizdek z entuzjazmem godnym przedsiębiorcy pogrzebowego.

Jechali do Hawany czterdzieści pięć minut, początkowo przez wiejską okolicę, a potem przez przedmieścia. Byli zaskoczeni dużą liczbą nowoczesnych pojazdów. Na podstawie tego, co widzieli na filmach, spodziewali się raczej gruchotów z lat pięćdziesiątych. Najwyraźniej Kubańczycy nie

oglądali tych samych filmów, bo ich apetyt na nissany i hondy był równie nienasycony, jak w Ameryce, choć nadal jeździło sporo dychawicznych fiatów i ład, ciągnących za sobą kłęby niebieskawych spalin.

Portier w uniformie stojący u wejścia do hotelu Iberostar Parque Central otworzył drzwi taksówki od strony Remi, podczas gdy Sam płacił za kurs. Hotel mieścił się w eleganckim budynku w stylu kolonialnym. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się park, a właściwie skwer, który pełnił funkcję śródmiejskiego deptaka, tętniącego życiem wraz z nadejściem wieczora. Saksofonista grał chwytliwy motyw, a wtórował mu jazgot samochodowych silników i wybuchy śmiechu wałęsających się grupek młodych ludzi. Sam zatrzymał się na chwilę, nasłuchując, a potem odwrócił się i dołączył do Remi w hotelowym lobby.

Z pokoju zadzwonił do doktora Lagarde, człowieka poleconego przez Selmę. Po usłyszeniu „hello”, wypowiedzianego przez Sama z trudnym do pomylenia amerykańskim akcentem, Lagarde przeszedł na całkiem znośną angielszczyznę.

- Zapewne przyjaciel Selmy Wondrash? - powiedział pytającym tonem.
- Tak, to ja. Jesteśmy z żoną w mieście. Dzwonię, by nawiązać z panem kontakt i zapytać, jakie ma pan plany na jutro - wyjaśnił Sam.
- Proszę się nie obawiać, dostosuję swoje plany do państwa potrzeb. Mogę sobie na to pozwolić, przynajmniej w pewnym zakresie. Zawiadomię szpital, że nie przyjdę do pracy.
- Dziękuję. Ale nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej uprzejmości.
- Proszę się tym nie przejmować. Przyjaciele Selmy są moimi przyjaciółmi. Cieszy się ona moim najwyższym uznaniem.

Umówili się z doktorem na dziewiątą rano w hotelu.

- Dokąd pójdziemy coś zjeść? - spytała Remi od okna, przez które obserwowała, co dzieje się na skwerze po drugiej stronie ulicy.
- Znalazłem w sieci jakiś lokal z obiecującą nazwą. Proponuję, żebyśmy trochę pospacerowali, wczuli się w atmosferę miasta, a potem zjedli późną kolację, gdzieś około dziewiątej.
- Może być.

Zarezerwowali stolik na kolację i wyszli z hotelu na ruchliwą aleję, która z dwóch stron obramowywała skwer i dochodziła do słynnego bulwaru Malecón, biegnącego brzegiem morza aż do odległych granic miasta. Ruszyli Paseo del Prado w kierunku wybrzeża i wkrótce stanęli nad kanałem portowym, po którego przeciwnej stronie wznosił się cel ich wyprawy - Castillo de los Tres Reyes Magos del Morro.

- Zaiste imponujący - powiedziała Remi, patrząc na wysokie kamienne mury zamku. - Jak się tam dostaniemy?
- Pod kanałem jest tunel dla ruchu kołowego.
- Więc nie musimy pokonywać go w pław?
- Nie dziś.
- Chcesz iść tam teraz?
- Do zamku wybierzemy się jutro. Dziś będziemy zwiedzać miasto, chłonąc jego widoki i odgłosy.

Na Malecón minęła ich grupka młodych kobiet, w powietrzu rozszedł się zapach ich perfum. Sam i Remi ruszyli za nimi, nie mając wytyczonego konkretnego celu. Jakiś czas szli bulwarem na wschód, a potem skręcili w wąską uliczkę prowadzącą na stare miasto. Panował tu ożywiony ruch, mieszkańcy i turyści spacerowali po chodnikach. Spod nadgryzionej zębem czasu warstwy tynku z

fasad domów niczym kości szkieletu wystawały gołe cegły, roztaczając aurę zaniedbania i upadku.

Za kolejnym rogiem nieomal zderzyli się z pomarszczonym mężczyzną w panamie, o skórze ciemnej jak na mocno zużytych siodle, który palił cygaro niewiele krótsze od jego ręki. Starzec rozciągnął wargi w uśmiechu, błysnął różowymi dziąsłami, w których z powodu wieku i warunków bytowych od dawna już nie było zębów, po czym mruknął chrapliwe per-dón i poszedł dalej, ciągnąc za sobą chmurę gryzącego dymu.

- Jesteś pewien, że powinniśmy tu przychodzić? - spytała szeptem Remi.
- Naturalnie. We wszystkich przewodnikach piszą, że ta część miasta jest bezpieczna niczym matczyne łono.

Jakby na potwierdzenie tych słów nadeszli dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi. Rozglądali się dokoła uważnym wzrokiem, lustrując okolicę z gorliwością patrolu ze strefy działań wojennych.

- Czy teraz czujesz się lepiej? - zapytał Sam.
- Czułabym się, gdyby mieli więcej niż szesnaście lat.
- Czepiasz się szczegółów.

Obeszli kałużę wody stojącej w zagłębieniu pomiędzy kocimi łbami.

Remi wskazała niewielki żółty szyld wiszący na ścianie domu pięćdziesiąt kroków dalej.

- Popatrz, to ulubione miejsce Papy Hemingwaya. La Bodeguita del Medio.
- Uważam, że to omen. Wszechświat nakazuje nam zrobić sobie przystanek.
- Według Papy dają tu najlepsze mojito w Hawanie.
- To mi wystarczy. Prowadź.

Bar był mniejszy, niż można się było spodziewać, za to bardzo zatłoczony. Ściany pokrywały autografy niesławnych, sławnych i zapomnianych. Obowiązkowe portrety Che Guevary i Fidela Castro patrzyły na nich z zapuszczonych ram. Sam przepchnął się przez tłum, widząc zwalnający się stółek, i przytrzymał go dla Remi, która usiadła skwapliwie i poszukała wzroku barmana.

- Dos mojitos, porfavor- powiedziała, unosząc w górę dwa palce.

Mężczyzna za kontuarem kiwnął głową i zabrał się do robienia drinków. Z niemal nabożnym skupieniem rozgniół kilka listków mięty i wlał solidną porcję rumu do metalowego shakera. Następnie dodał sok z limonki, syrop z trzciny cukrowej i wodę sodową, po czym intensywnie wstrząsnął miksturę, czyniąc z przygotowania koktajlu przedstawienie dla turystów, którzy powyciągali aparaty i pstrykali zdjęcia zza pleców Remi.

Po chwili na porysowanym drewnianym blacie stanęły gotowe drinki, każdy udekorowany gałązką mięty. Sam uniósł pokrytą rosą szklankę i przepił do Remi, która odpowiedziała mu tym samym.

Na jednym mojito się nie skończyło, więc wkrótce gawędzili z grupą Kanadyjczyków, którzy nazajutrz mieli jechać do Yaradero, nadmorskiego kurortu sto dwadzieścia kilometrów od Hawany, znanego z gościnności i słonecznych plaż. Kiedy w lokalu zaczęło robić się coraz głośniejsze, Sam zerknął na zegarek i gestem poprosił barmana o rachunek.

Po ciemku ulica sprawiała jeszcze bardziej złowrogie wrażenie, niż kiedy tu przybyli o zmierzchu, ruszyli więc szybkim krokiem wraz z innymi turystami w kierunku śródmieścia. Na postoju taksówek obok dużego hotelu Remi podeszła do jednego ze znudzonych kierowców i zapytała go, jak daleko stąd do wybranej przez nich restauracji. Starszy mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów z kamiennym wyrazem twarzy.

- San Cristobal Paladar? Za daleko, żeby iść. Samochodem niecałe dziesięć minut. Zawieźć was tam?

Sam kiwnął głową i wsiedli.

Restauracja mieściła się w kolonialnej kamienicy w środku miasta. Jedzenie było boskie i sprawiło im tym większą, bo nieoczekiwaną przyjemność. Po kolacji właściciel lokalu wezwał dla nich taksówkę i czekał przed drzwiami na jej przyjazd, rozmawiając z Remi o blaskach i cieniach prowadzenia prywatnego interesu w komunistycznym kraju.

Po powrocie do hotelu Sam namówił Remi, żeby wdepnąć do baru w lobby na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem. Muzyk w smokingu przebierał placami po klawiszach fortepianu w atrium, a oni delektowali się aromatem piętnastoletniego rumu Havana Club Añejo Gran Reserva.

- Muszę przyznać, że jak dotąd nie było tak strasznie -powiedziała Remi.
- Dobre jedzenie, dobre trunki, dobre towarzystwo. Całkiem niezłe, jak na mój gust.
- Mam nadzieję, że nie będziemy mieli kaca po tym rumie.
- Jak powszechnie wiadomo, rum pity na wyspie nie powoduje kaca.
- Interesujące. Tego jeszcze nie słyszałam. Zabrzmiało jak kolejny wymysł Sama Fargo.

Przez tych kilka krótkich godzin ich świat był doskonały, nastrój wyciszony, muzyka hipnotyczna, a pasaty jak wiały na zewnątrz od zwrotników, tak będą wiać nadal, po wsze czasy.

ROZDZIAŁ 17

Nazajutrz rano doktor Lagarde czekał na nich w hotelowym lobby. Był niskim, tęgawym mężczyzną po sześćdziesiątce. Nosił gęstą siwą brodę i okulary z okrągłymi szklami. Miał na sobie biały garnitur z cienkiego płótna i błękitną koszulę z rogami kołnierzyka przypinanymi na guziki, a na głowie kapelusz typu panama, najwyraźniej obowiązkowy w tych stronach.

- Jestem wielce zaszczycony, mogąc państwa poznać -powiedział, wymieniając uścisk dłoni najpierw z Remi, a potem z Samem.
- Dziękujemy, że znalazł pan czas, aby pełnić funkcję naszego przewodnika - odrzekł Sam.
- Odwiedziliście państwo moją wyspę. Przynajmniej tyle będę mógł zrobić dla gości.
- To bardzo uprzejme z pana strony. - Remi uśmiechnęła się.
- Bueno. A więc co chcielibyście zobaczyć w pierwszej kolejności? Mamy tu wiele ciekawych rzeczy, w zależności od państwa zainteresowań.
- Tak naprawdę, panie doktorze, przyjechaliśmy tu obejrzeć zamek Morro.
- Jestem Raphael, proszę mi mówić po imieniu.
- Remi i Sam. Możesz nam opowiedzieć o tej twierdzy?
- Oczywiście. To pomnik historii. Wszyscy mieszkańcy Hawany znają dzieje zamku, większość zwiedzała go setki razy. Dawniej wstęp był bezpłatny. - Raphael westchnął i pokręcił głową. - To się niestety zmieniło, jak wiele innych rzeczy, i teraz musimy płacić za oglądanie dziedzictwa narodowego.
- Czy moglibyśmy się tam razem wybrać i poprosić cię, żebyś nas oprowadził?
- Jak najbardziej. Mój samochód stoi tuż za rogiem. Chociaż chyba lepiej pojechać taksówką, bo możemy mieć problem z zaparkowaniem.
- Jak uważasz - zgodziła się Remi.

Siedem minut później wysiedli z taksówki u stóp wzgórza. Twierdza wznosiła się nad ich głowami.

Złowrogie czarne paszcze armat wystawały poza obrys murów, wycelowane w kanał portowy, którym musieliby przepłynąć ewentualni najeźdźcy. Raphael powiódł ich do bramy, gdzie Sam posłusznie zapłacił za wstęp.

Jak w przypadku większości budowli w Hawanie, mury twierdzy zmurszały i popękały, wystawione przez stulecia na działanie sztormów i palącego słońca.

Lagarde zdjął kapelusz i wachlował się nim przez chwilę.

- Forteca została zaprojektowana przez sławnego podówczas włoskiego inżyniera, Juana Bautistę Antonellego. Po zaakceptowaniu projektu przez Hiszpanów w tysiąc pięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku rozpoczęły się prace budowlane. Wcześniej na wzgórzu stało jedynie kilka armat i kamienna chata dla wartowników, co było niewystarczającym zabezpieczeniem dla miasta, które z niewielkiej osady przekształciło się w główny hiszpański ośrodek handlowy w Nowym Świecie. Ze względu na ciągle zagrożenie ze strony piratów po wzniesieniu pierwszej latarni morskiej gubernator zwrócił się do korony o wybudowanie odpowiedniej twierdzy. Prace trwały czterdzieści lat, a w ich wyniku powstał fort uzbrojony w sześćdziesiąt cztery działa.

- Ale w pewnym momencie Anglikom udało się zdobyć miasto, prawda? - spytał Sam, chcąc się upewnić.

- Rzeczywiście, zrobili to w tysiąc siedemset sześćdziesiątym drugim roku. Hawana pozostawała w ich rękach przez prawie rok, po czym została zwrócona Hiszpanom na mocy traktatu kończącego wojnę siedmioletnią. Wkrótce potem rozpoczęła się budowa La Cabañy, jeszcze większego fortu, który możecie zobaczyć nieco dalej, wzdłuż kanału. Ukończono go w ciągu dziesięciu lat i od tej pory Hawana stała się miastem nie do zdobycia.

- Pod murami jest aż gęsto od turystów - zauważyła Remi.

- To jedno z najchętniej odwiedzanych miejsc w Hawanie. Rodzaj świętości. Tym bardziej że co wieczór o dziewiątej oddawany jest symboliczny wystrzał z armaty. Dawniej był to sygnał oznajmiający zamknięcie bram miasta. Obecnie jest pamiątką z czasów panowania Hiszpanów.

Remi wskazała na wejście, wokół którego kłębił się tłum.

- Co to takiego?

- Muzeum. Ekspozycja obejmuje broń i zabytkowe przedmioty związane z tradycją morską.

- Możemy wejść do lochów?

- Oczywiście. Tylko niewielka część podziemi na najniższym poziomie nie jest udostępniona do zwiedzania. Pewnie jakieś stare piwnice.

- Naprawdę? To fascynujące. Musisz nam wszystko pokazać - powiedziała Remi.

Przez cały dzień kręcili się po zabytkowym kompleksie, zjedli też obiad w jednej z dwóch restauracji, w której jakieś trio grało salsę ku uciesze klientów. Sam spróbował kilku gatunków piwa, między innymi jasnego krystała i bursztynowego bucanero. Wrócili do hotelu o czwartej, ogorzali od słońca i zmęczeni, mimo to postanowili wrócić na zamek o dziewiątej na ceremonię strzelania z armaty. Był to wygodny pretekst, aby sprawdzić, jak szybko topnieją zgromadzone tłumy, co miało im pomóc w zaplanowaniu sposobu wejścia do podziemi. Zaznaczone na planach dostarczonych przez Haywooda proste kanały wentylacyjne, które prowadziły z piwnic na wyższe poziomy, dawały szansę dostania się do środka, gdyby nie udało im się sforsować drzwi.

Środki bezpieczeństwa nie były zbyt wyrafinowane, ale obiektu pilnowały patrole wojska i policji, a gdyby choć jeden z nich podniósł alarm, Sam i Remi znaleźliby się w poważnych opałach.

Skrzydło, w którym mieściły się piwnice, było zamknięte. Kamienny korytarz prowadzący do wnętrza zagradzały pokryte rdzą ciężkie metalowe drzwi.

Sam studiował rysunki ponad godzinę, nie chcąc niczego przegapić, mimo to sprawa wyglądała

raczej beznadziejnie. Zamek był kamienną fortecą zaprojektowaną tak, aby jak najbardziej utrudnić wtargnięcie do środka. Nawet gdyby im się to udało, dostanie się do lochów miało wątpliwe szanse powodzenia, choćby nad ranem przy wejściu do piwnic nie było żadnych patroli albo pojawiały się w dłuższych odstępach czasu. Oboje zauważyli kamery monitoringu zainstalowane w korytarzach, choć nie w bezpośrednim sąsiedztwie wzmocnionych drzwi. Tak czy inaczej, oznaczało to, że w przypadku wykrycia ich podobizny zostaną ujawnione wszem wobec, a tym samym szanse na wydostanie się z Kuby spadną do zera.

Za dziesięć dziewiąta pojechali taksówką do zamku Morro i wmieszali się w tłum czekający na główną atrakcję wieczoru. Trawiaste pole, na którym stała armata, tonęło w ciemnościach, bo księżyc skrył się za chmurami. Żołnierze w galowych mundurach, współczesnych i historycznych, odprawiali swój conocny rytuał pośród błysków fleszy i trzasków migawek. Przez tłum przeszła fala poruszenia, gdy ogniomistrz zaczął wykrzykiwać komendy do swych podwładnych, a oni wykonywali wyznaczone zadania ze sprawnością robotów, podczas gdy kolejne grupy żołnierzy wmaszerowywały w zwartych formacjach na murawę.

Ogłuszająca eksplozja wywołała wybuch entuzjazmu, a potem szeregi widzów zaczęły rzednąć. Nikt nie kierował poczynaniami ludzi, każdy musiał na własną rękę znaleźć drogę do jednego z wyjść. Remi zboczyła w stronę drzwi prowadzących do korytarza na dolnym poziomie, po czym rozejrzawszy się, czy nikt nie zwraca na nią uwagi, uchyliła je i przez szparę wśliznęła się do środka. Sam nie ruszył się z miejsca, udając nagle zainteresowanie swoim telefonem komórkowym i ignorując przechodzącego tuż obok policjanta, który nie zwracał na niego uwagi, wpatrzony w kilka młodych dziewczyn w mini.

Minęło pięć minut, dziesięć i kolejne dziesięć. Determinacja Sama zaczynała słabnąć, gdy wreszcie tuż obok zmaterializowała się Remi.

- Już zacząłem się martwić - powiedział z ulgą w głosie.

- Niepotrzebnie. Wszystko przebiegło bez problemów, jeśli nie liczyć uzbrojonego patrolu, przed którym musiałam się ukryć.

Sam spojrzał jej w oczy.

- Żartujesz?

- A wyglądam, jakbym żartowała?

- Chyba nie. Jak ci się udało ich uniknąć?

- Usłyszałam kroki i schowałam się w jednej z cel w korytarzu. Dobrze, że była poza zasięgiem kamer.

- Co zobaczyłaś?

- Na szczęście strażnicy są gamoniowaci i na nic nie zwracają uwagi. Otwór wentylacyjny osłonięty jest kratką, przerdzewiała do tego stopnia, że bez trudu zdołałam odłamać kilka kawałków. Pięć minut pracy łomem albo nożycami do drutu i droga wolna, ale ty raczej się nie przecisniesz. Jeśli mamy skorzystać z przewodów wentylacyjnych, będzie to indywidualne zadanie wyłącznie dla mnie. Trzeba jeszcze pamiętać o kamerach.

Sam potrząsnął głową.

- Nie ma mowy.

- W porządku. Wobec tego, jak rozumiem, wracamy do domu.

- Nie puszcze cię samej. Trzeba znaleźć jakiś inny sposób.

- Przyjrzałam się z bliska, metalowe drzwi są zamknięte na kłódkę pamiętającą czasy kwitnącego komunizmu.

Hartowana stal, więc raczej nie do przecięcia, nawet jeśli zdołamy tam wejść z nożycami, a potem strażnicy nie zauważą rozciętej kłódki i od razu nie zaczną strzelać.

- Już nie raz znajdowaliśmy zarówno wejście, jak i wyjście w dużo trudniejszych okolicznościach. Tym razem też się uda. Jak myślisz, dałabyś radę ją wyłamać?

- Chyba tak, ale nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z radziecką kłódką i może mi to zabrać nieco więcej czasu, przez co nasz precyzyjny plan weźmie w łeb. Poza tym każdy patrol zauważy włamanie, jeżeli wejdziemy tam oboje. Zrobiłam zdjęcie, więc możemy poszukać tej kłódki w Internecie. - Zrobiła krótką pauzę i dodała: - Nadal twierdzą, że kanały powietrzne są najlepszym rozwiązaniem.

- Wykluczone. Nie mam zamiaru stać z rękami w kieszeniach, kiedy ty będziesz się narażać.

Twarz Remi złagodniała.

- To jedna z rzeczy, które tak bardzo w tobie lubię.

- Odwaga? Dżentelmeneria?

- Chodzi o to, że pakujesz nas w naprawdę niebezpieczną sytuację, a potem udajesz, że nic sobie nie robisz z ryzyka. Jestem pewna, że gdyby mnie złapali, nie wyjechałbyś zbyt szybko z tego kraju.

- Kolejny argument za tym, aby nie dać się złapać. Nie czułbym się dobrze w kubańskim więzieniu.

Dotknęła chłodną dłonią jego twarzy.

- Na pewno nie, zwłaszcza z tą twoją śliczną buźką.

- Zawsze potrafisz się znaleźć - powiedział Sam i w tym momencie coś przykuło jego uwagę.

Mężczyzna na końcu ścieżki w bejsbolówce nasuniętej na oczy nagle odwrócił się tyłem do nich i przypalił papierosa, wyraźnie nie chcąc pokazywać twarzy, po czym zniknął za rogiem, zostawiwszy za sobą smugę dymu.

- Gdzieś już widziałem tego faceta. Zdaje się, że doczepiono nam ogon - zawyrokował Sam stłumionym głosem.

- Po co? Przecież nawet my sami nie bardzo wiemy, co tu robimy.

- Może to bez znaczenia. Po prostu mignął mi wcześniej przed oczami, staram się sobie przypomnieć gdzie - odparł Sam, zaniepokojony nagłym zniknięciem mężczyzny. Pomyślał chwilę i wreszcie rzekł z uśmiechem: - Już wiem. Stał na skraju zbiegowiska, a zapamiętałem go, bo gapił się na ciebie. Chodź, spróbujemy go dogonić.

Ruszył szybkim krokiem, a Remi starała się za nim nadążyć. Kiedy wyszli za róg, zobaczyli tylko plecy ostatnich widzów zmierzających do bramy.

- Widzisz go? - spytała.

- Nie. Czekaj... jest. Czarna bejsbolówka. Granatowa koszula z krótkimi rękawami. Jakies trzydzieści metrów, po prawej, obok tego kiosku przy bramie.

Mężczyzna zauważył, że Sam go obserwuje, i zgasił papierosa, po czym wmieszał się w tłum, który zgęstniał przy bramie. Sam przyspieszył, a Remi trzymała się tuż za jego plecami, zastanawiając się, co zamierza zrobić jej mąż, gdy dopadnie faceta.

Nie zdołała się o tym przekonać. Kiedy dotarli do głównej bramy, po mężczyźnie nie było nawet śladu. Sam przebiegł wzrokiem po sylwetkach ludzi schodzących ze wzgórza, ale na próżno. Mężczyzna w bejsbolówce zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Jeszcze dwie godziny spacerowali wokół twierdzy, co kilka minut wracając do zewnętrznej

bramy, by ustalić, jak często przechodzą obok niej wartownicy. Wyszło im, że patrol pojawia się mniej więcej co trzydzieści minut. Pół godziny przed północą ludzka rzeka zmieniła się w wąską stróżkę. Nie licząc ostatnich gości wychodzących z obu restauracji, Sam i Remi byli jedynymi cywilami w forcie. Nawet uliczni sprzedawcy jarmarcznej tandety zwinęli swoje kramy i udali się na spoczynek.

Po powrocie do hotelu Sam wciąż rozpamiętywał zetknięcie ze szpiegującym ich człowiekiem. Remi zaproponowała, aby przemknąć się chyłkiem za róg i ukoić jego zszargane nerwy w innym ulubionym przybytku Hemingwaya, barze El Floridita, gdzie podobno narodziło się mrożone daiquiri.

Usiedli przy barze i złożyli zamówienie, ale Sam nie odrywał czujnego wzroku od drzwi. Dopiero gdy w jego kieliszku ukazało się dno, trochę się odprężył.

- Sam, nie twierdzą, że ten facet się na mnie nie gapił. Skoro tak mówisz, zapewne tak było. Ale po prostu nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby nas śledzić. Może to był kieszonkowiec szukający dzianych turystów?

- Możliwe. Zastanawiam się, kto wie, że tutaj jesteśmy. Nikt. A nawet gdyby ktoś wiedział, to co z tego? Przecież nie odkryliśmy wyładowanego złotem galeonu.

- Właśnie. Chyba jesteśmy tak przewrażliwieni na punkcie bycia śledzonym, że zauważamy rzeczy, których inni nie dostrzegają. Co zresztą nie jest takie złe.

- Może i tak. Poza tym nasi ewentualni prześladowcy mogli się dowiedzieć tylko tego, że zwiedzamy zabytki i szukamy miejsc, w których podają najlepsze drinki w Hawanie. Nie są to zbyt cenne informacje.

- Jeśli tak na to patrzeć, wygląda to całkiem niewinnie - orzekła Remi z uśmiechem. Dopija drinka i westchnęła z zadowoleniem. - Ponieważ byłeś dziś bardzo miły, pójdę teraz z tobą do hotelu. Musimy się zastanowić, jak rozwiązać nasz drobny problem z twierdzą. W przeciwnym razie cała ta wycieczka na nic się nie zda.

ROZDZIAŁ 18

Trzy dni później Sam i Remi wymeldowali się z hotelu, a walizki zostawili na przechowanie u Raphaela. Wymienili je na dwa czarne plecaki, najcenniejsze rzeczy upchnęli w wodoszczelnych torbach i wewnętrznych kieszeniach.

Każde z nich wzięło tylko jedną zmianę ubrań oraz paszport i wizę. Kendra potrzebowała czterdziestu ośmiu godzin, aby załatwić wszystko zgodnie z ich życzeniem. Resztę bagażu Raphael miał przesłać przez kogoś, kto będzie wkrótce leciał do Meksyku.

Opuścili hotel tylnym wyjściem, chcąc pozbyć się podążających za nimi cieni, o czym byli już teraz przekonani.

O ile zdołali się zorientować, śledziły ich na zmianę trzy osoby, dwaj mężczyźni i kobieta, za każdym razem zmieniające wygląd. Remi przekonała męża, że zamiast doprowadzać do konfrontacji, lepiej po prostu im się wymknąć, dlatego Sam zrezygnował ze swego zwykłego wojowniczego sposobu postępowania na korzyść działań bardziej subtelnych.

Na wszelki wypadek dwa razy zmienili taksówki, więc dopiero trzecią pojechali na zamek. Tym razem po ceremonii armatniej zjedli późną kolację w jednej z restauracji na podzamczu. Nie spieszyli się, celebrowali posiłek, czekając na opuszczenie terenu przez widzów.

Po wyjściu z restauracji popatrzyli z uwagą po blankach, wyglądając uzbrojonych patroli. O północy weszli do środka przez ledwie uchylone drzwi. Oczekali chwilę, nasłuchując

jakichkolwiek oznak ruchu, po czym zbiegli piętro niżej do miejsca, w którym znajdował się korytarz odgradzony metalowymi drzwiami. Po drodze przeszli obok kamery, której nie dało się ominąć, ale że wciąż byli w części udostępnionej dla zwiedzających, mieli nadzieję, że nie zaalarmuje to ochrony.

Remi stanęła na czatach, a Sam wyjął z kieszeni dwie odpowiednio uformowane blaszki, wycięte z aluminiowej puszki po coli. Wsunął zaokrąglony koniec jednej z nich do pierwszego zamka, wepchnął do oporu i przekręcił. Usłyszał ciche kliknięcie. Powtórzył tę operację z drugim zamkiem i otworzył kłódkę.

- Zaczynamy zabawę - szepnął. Remi stanęła obok, a on polał olejem zardzewiałe zawiasy i rygiel.

- Gotowy? - spytała, odsuwając rygiel.

- Zawsze.

Pchnęła drzwi, które mimo smarowania zapiszczały jak ranione zwierzę, i wsunęła się do środka. Sam nasłuchiwał, czy nie zbliża się patrol, gdy poczuł wibrację telefonu. To Remi dzwoniła ze środka.

- Nie jest dobrze. W korytarzu przy drzwiach jest kamera, więc już mnie mają. Czas uruchomić plan B. Zawieś kłódkę i zmiataj stamtąd. Spotkamy się w uzgodnionym miejscu.

- Nic z tego. Zmiana planów. Idę do ciebie.

- Sam, musieli mnie widzieć na monitorze. Za chwilę będą tu żołnierze. Nie ma czasu na spory.

- To się nie spieraj. Czy można zamknąć te drzwi od środka?

Na moment zapadła cisza, a potem Sam usłyszał w telefonie szept Remi:

- Tak. Jest rygiel ze skoblem, tak jak po twojej stronie.

- Zaraz się spotkamy. Teraz ruszaj do magazynu. Mam nadzieję, że twoje doświadczenie włamywaczki i tym razem zaprocentuje.

Sam wsunął się do środka, zamykając za sobą drzwi. Założył kłódkę na skobel i zatrzasnął. To powinno zatrzymać strażników przynajmniej na chwilę. Metalowe drzwi wyglądały dość solidnie, choć ich zadaniem nie było barykadowanie korytarza, tylko powstrzymanie turystów od wchodzenia do środka. Poza tym otwierały się na zewnątrz, co dodatkowo utrudniało ich sforsowanie, bo można je było wyważyć tylko razem z futryną. Sam miał nadzieję, że Ku-bańczycy nie będą próbowali ich przestrzelić, ze względu na ryzyko rykoszetów.

W korytarzu panował półmrok, pojedyncza żarówka osłonięta drucianą siatką dawała niewiele światła. Sam podbiegł do Remi, która klęczała przy drzwiach magazynu, minął ją i stanął pod kamerą zawieszoną pod sufitem. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął puszkę czarnej farby w sprayu. Zdjął plastikową nakładkę, popatrzył na kulistą kamerę i spryskał ją obficie.

- Teraz są ślepi - oznajmił. - Jak ci idzie?

- Nie jest to tak skomplikowane, jak myślałam. Za moment otworzę - odpowiedziała Remi.

Doszedł ich tupot żołnierzy biegnących po drugiej stronie drzwi, a potem łoskot metalowej płyty pod gradem kopniaków.

- Najwyższy czas, żebyś otworzyła ten zamek, Remi.

- Daj mi jeszcze chwilę - szepnęła przez zaciśnięte zęby.

Muskała bolce wewnątrz zamka prowizorycznym wytrychem, jednocześnie napinając bębenek odpowiednio wygiętą spinką do włosów. Sam powątpiewał w skuteczność tych prostych, własnoręcznie wykonanych narzędzi, dopóki Remi nie zademonstrowała mu swoich możliwości,

otwierając w piętnaście sekund zamek w drzwiach pokoju hotelowego. Po tym pokazie doszedł do wniosku, że powinien bardziej ufać talentom żony.

- Otwarte - powiedziała, obracając bębenek i słysząc cichy trzask odsuniętej zasuw. Podniosła się z kolan i spytała: - Gotowy?

Łomotanie w drzwi przybrało na sile, uzupełniały je głośne krzyki i odgłos uderzeń kolb karabinów.

- Ty wchodzisz. Ja poczekam tutaj i zajmę się oświetleniem. Lepiej, żeby któremuś z nich nie przyszło do głowy strzelać w głąb korytarza przez dziurę wybitą w drzwiach.

Remi pchnęła drzwi i w tym momencie zawył sygnał alarmowy. Przewidywali możliwość istnienia instalacji alarmowej, cichej lub dźwiękowej, ale ten klakson był naprawdę ogłuszający. Sam wepchnął sobie zatyczki do uszu i podbiegł do lampy, aby pokryć żarówkę farbą w sprayu. Za chwilę w korytarzu zrobiło się ciemno choć oko wykol, jedynym jaśniejszym punktem była odległa szczelina wentylacyjna w trzymetrowym murze.

Za metalowymi drzwiami huknął strzał, po czym rozległ się wrzask i kilka wykrzyczanych rozkazów. Najwyraźniej miękki ołowiany pocisk nie przeszedł na wylot. Sądząc po zamieszaniu, które zapanowało po tamtej stronie, musiał trafić któregoś ze strażników, co najwyraźniej ostudziło zapędy pozostałych do strzelania.

Po dziesięciu sekundach przerwy łomot rozległ się na nowo. Tym razem były to uderzenia stali o stal. Sam przypuszczał, że do akcji weszły topory strażackie z szafek pożarowych wiszących na ścianach fortu. Nie miał złudzeń, że drzwi oprą się nieprzerwanym atakom. Wrócił chyłkiem do magazynu.

- Skończyłaś?! - zawołał przez otwarte wejście i w tym momencie oślepił go błysk flesza cyfrowego aparatu Remi.

- Prawie! Jeszcze trzy fotki i znikamy stąd! - odpowiedziała, a jej głos ledwie się przebił przez jazgot syreny alarmowej.

Od strony metalowych drzwi pojawił się promień światła. Przedziurawili je. Za kilka sekund zaczęła strzelać.

- Przebili się! Uciekamy! Ale już! - zawołał Sam. Remi nie wahała się ani chwili. Pobiegli w głąb korytarza,

który według planu miał skrócić, a później skrzyżować się z innym. Sam modlił się, żeby schemat odpowiadał rzeczywistości i żeby droga ich ucieczki nie została zamurowana przez jakiegoś spryciarza w ciągu ostatnich czterdziestu lat, bo to mogło do reszty popsuć im tę noc.

Już dobiegali do skrzyżowania, gdy za ich plecami rozległy się strzały. Pociski świstały w powietrzu i obijały się z jękiem o kamienne ściany, rykoszetując we wszystkich kierunkach. Natychmiast padli na posadzkę i ostatnie dwa metry przebyli na czworaka, ustanawiając tym samym nowy rekord w wojskowym pełzaniu. Strzelec przerwał ogień, dopiero gdy skończył mu się magazynek.

Sam wskazał ręką ciemną komnatę pięć metrów dalej i wytrwale sunął w jej kierunku, przygięty do podłogi, na wypadek gdyby jakaś zbłąkana kula wpadła do bocznego korytarza. Po chwili, która wydawała się wiecznością, dotarli do wejścia. Powietrze było tu przesiąknięte wonią zgnilizny i rozkładu, ale przebijał się w nim element bardzo pożądany - słony zapach morza. Od przeciwległej strony pomieszczenia dobiegał huk fal rozbijających się o skały u stóp zamku. Wyprostowali się i poszli w kierunku, z którego dochodził ten dźwięk.

W podłodze przy samej ścianie ziały trzy otwory, przez które od biedy powinien przecisnąć się dorosły człowiek, a pod nimi znajdowały się strome pochylnie prowadzące prosto do morza. Kratownice z żelaznych prętów osadzonych w kamieniu u ich wylotów wyglądały na mocno nad-

gryzione rdzą. Sam wyjął z kieszeni miniaturową latarkę, a z plecaka łom i zwój liny. Poświecił dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek zaczepu. Znalazł tylko kamienną umywalkę przymocowaną do ściany. Obwiązał ją liną, na której zaciągnął mocny wspinaczkowy węzeł, i kilka razy szarpnął mocno, by sprawdzić, czy trzyma.

- Usunę te pręty, a kiedy wyjdę na zewnątrz, ty zjedziesz za mną - poinstruował Remi. Położył się na kamiennej podłodze, śliskiej od wilgoci i pleśni, po czym wsunął się głową naprzód do otworu i zaczął zjeżdżać po pochylni, wydając linę lewą ręką, a w prawej dzierząc łom.

Kratownica trzymała się tylko na rdzy. W niecałe pół minuty wybił w niej otwór, w którym mógł się swobodnie zmieścić. Wyłamane pręty poleciały w dół zewnętrznej pionowej ściany i spadły na skały. Sam wysunął się na zewnątrz, obrócił nogami do przodu i zjechał trzynaście metrów niżej na wąski występ skalny, o który uderzały spienione fale, by potem cofnąć się z powrotem w ciemną noc. Zadrżała lina, po której szybko zsuwała się Remi. Odetchnął z ulgą, słysząc plaśnięcie gumowych podeszew jej butów o wilgotną skałę.

- Ostrożnie! Głazy są bardzo śliskie. I nie przewróć się, bo pąkle są ostre jak żyłki! - wykrzyczał, po czym wyciągnął zatyczki z uszu i schował je do kieszeni, zerkając na wznoszącą się nad nimi ponurą ścianę zamku. - Musimy się pospieszyć. Zaraz sforsują drzwi i dowiedzą się, którzy uciekliśmy, a wtedy będziemy musieli ścigać się z kulami.

Zachowując ostrożność, przesuwali się możliwie jak najszybciej wzdłuż brzegu. Remi raz się pośliznęła, ale Sam chwycił ją za ramię i podtrzymał. Pięć minut później zamek został za ich plecami, a oni bieгли szybkim truchtem po kamienistej plaży, kierując się na północ.

- Daleko jeszcze? - spytała Remi, bez trudu utrzymując tempo narzucone przez Sama.

- Będzie ze sto metrów - odpowiedział. - Mieliśmy szczęście, że nie zamurowali tych toalet...

- Lepiej już nic nie mów. Nie wiem, czy dziesięć kąpielii wystarczy, żebym pozbyła się wrażeń, że oblepia mnie coś paskudnego. Wolę nie myśleć, co przed nami zsuwało się tą rynną.

- Nie były używane od bardzo dawna, pewnie od jakichś dwudziestu lat. Wewnętrzne toalety to cudowny wynalazek, prawda?

- Skoro tak twierdzisz.

Nie przestawali biec, chcąc jak najszybciej oddalić się od zamku.

- Jak ci poszło? - spytał Sam, zwalniając i wypatrując czegoś w ciemności.

- Sfotografowałam wszystko, łącznie z manuskryptem, który zaczął mi się rozpadać w rękach, kiedy go rozłożyłam. Wielka szkoda, że nikt nie zadbał o to, by przechowywać go w lepszych warunkach.

- Dobrze, że w ogóle cokolwiek z niego zostało. Czy wyraźnie widać pismo i ilustracje?

- Tak. Ale w tej chwili to chyba nie jest nasz najpoważniejszy problem - powiedziała, widząc błyski latarek u stóp zamku. - Nasi prześladowcy już się połapali. Mam nadzieję, że Selma dotrzymała słowa, bo jeśli nie, będziemy mieli spory kłopot.

- Popatrz! Jest tutaj! - krzyknął Sam, wskazując linę przywiązaną do głazu tuż nad wodą.

Podbiegł do niej i szarpnął z całych sił, przyciągając do brzegu staroświecki czarny ponton.

- To chyba jakiś żart - mruknęła Remi.

- A czego się spodziewałaś? Jesteśmy na Kubie. Zdaje się, że jest dość nowoczesny jak na tutejsze warunki - powiedział Sam, kiedy łagodna fala wyniosła gumową łódkę na piasek plaży.

Wyciągnął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, odciął linę tuż przy kamieniu, zwinął ją i rzucił na dno pontonu.

- Wsiadaj, a ja wypchnę cię poza przybój.

Remi zajrzała do plecaka, by się upewnić, że aparat jest szczelnie zamknięty w wodoszczelnej torbie, a potem pomogła mężowi zepchnąć ponton na wodę i wdrapała się do środka.

Sam poczekał, aż przejdzie kolejna fala, odwrócił ponton rufą w stronę morza i zaczął go spychać na głębszą wodę. Błyski latarek żołnierzy idących ich śladem zbliżały się do plaży. Kiedy stracił grunt pod nogami, wsunął się do pontonu i z lekkim zakłopotaniem popatrzył na doczepny motorek, który pamiętał pewnie lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku. Pociągnął za linkę startera.

Zero reakcji.

Szarpnął jeszcze raz, ale zabytkowy silnik tylko kaszlnął cicho i sapnął wydechem.

- Remi, łap za wiosła i spróbuj odepchnąć nas dalej od brzegu. To może chwilę potrwać.

Remi wykonała polecenia, a Sam wolał się nie odwracać, żeby nie widzieć wyrazu jej twarzy. Skupił się na motorze, który wreszcie za ósmym razem zawarczał żwawo, budząc się do życia.

- No proszę. Mówiłem, że nie będzie żadnych problemów. Remi patrzyła w mrok, ledwie słysząc pokrzykiwania ludzi na plaży. Światło księżyca odbiło się od złotego skarabeusza na jej szyi.

- Lepiej daj pełny gaz, bo wciąż jesteśmy w zasięgu ognia.

Jakby na potwierdzenie jej słów, wodę tuż za nimi przeszył ścieg pocisków, a od strony brzegu dobiegł ich odgłos serii z broni maszynowej.

- Mam nadzieję, że nie używają noktowizorów. Pochyl się jak najniżej - powiedział Sam, przekręcając manetkę do oporu.

Silnik zakrztusił się od nadmiaru paliwa i Sam przestraszył się, że zgaśnie, ale po chwili wkręcił się w obroty i ich mała łódeczka skoczyła rażno do przodu po łagodnej fali. Jeszcze przez chwilę kule padały dość gęsto wokół nich, będąc raczej wyrazem bezsilności strzelców niż skutkiem dokładnego celowania. Wkrótce odgłosy strzelaniny umilkły, a ponton niósł ich dzielnie prosto ku północy.

- Daleko stąd do miejsca spotkania? - spytała Remi. Sam wyjął z plecaka wodoszczelny odbiornik GPS, włączył go i mrużąc oczy, popatrzył na ekran.

- Jakież półtorej mili. Teraz ścigamy się ze zdolnością Kubańczyków do szybkiego poderwania śmigłowca w powietrze. Jeśli będą odstawiać manianę, jak to mają w zwyczaju, dobra nasza. Jest pierwsza w nocy, weekend, a na radarze raczej nas nie widać. Damy radę.

- A co z łodzią, z którą mamy się spotkać?

- Kiedy już do niej dotrzemy, po paru minutach znajdziemy się na wodach międzynarodowych. Wyciąga przynajmniej pięćdziesiąt węzłów na tak spokojnym morzu, a w razie konieczności chyba nawet ponad sto. Poza tym wątpię, żeby Kubańczycy chcieli doprowadzić do międzynarodowego incydentu z powodu dwójki miłośników mocnych wrażeń, którzy włamali się do starego magazynu. W dodatku nic stamtąd nie zginęło, wystarczy zrobić szybki remanent. Miejmy nadzieję, że kiedy to stwierdzą, przestaną się nami interesować.

- Mocno angażujemy nadzieję w nasze działania. Dobrze wiesz, że to nie najlepsza strategia - fuknęła Remi.

- Maksymalna prędkość najszybszego kubańskiego ści-gacza nie przekracza trzydziestu sześciu węzłów, przy założeniu, że maszyny działają bez zarzutu, więc gdyby chcieli nas gonić, będziemy dysponować znaczną przewagą. Nawet się do nas nie zbliżą.

- Ale mogą się do nas zbliżyć ich rakiety. Dobrze by było wiedzieć, gdzie znajduje się najbliższy kubański okręt.

- Nasza łódź chyba ma radar.

- Czyba? Czyli znów mamy na coś nadzieję.
- Jak dotąd nas nie zawiodła.

ROZDZIAŁ 19

Ponton sunął z całkiem przyzwoitą prędkością po półmetrowych falach przy niemal bezwietrznej pogodzie. Sam skierował spojrzenie w stronę hawańskiego portu, wypatrując szybko poruszających się świateł, ale niczego takiego nie dostrzegł, za to po kilku minutach zamajaczył przed nimi ciemny kadłub potężnej pełnomorskiej łodzi wyścigowej.

- Jest - obwieścił Sam, wyciągając rękę w kierunku oczekującej jednostki.

Wkrótce znaleźli się na pokładzie piętnastometrowej łodzi Cigarette Marauder, której trzy silniki Mercury 1075 mrucały cicho na biegu jałowym. Kapitan, wysoki siwowłosy mężczyzna o skrzących się niebieskich oczach, stukał palcami w deskę rozdzielczą, kiedy we trójkę obserwowali pogrążający się w falach ponton. Zapiął lekką wiatrówkę założoną na błękitną hawajską koszulę i przesunął dłonią po włosach, spoglądając na odległe kubańskie wybrzeże.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie do Ławicy Cay Sal? - spytał Sam.

Kapitan zerknął na pomarańczową tarczę swego zegarka i uśmiechnął się.

- Jeśli pogoda nadal będzie dla nas łaskawa, najwyżej dwie godziny. Mamy pełne zbiorniki, a na miejscu będzie czekała druga łódź z zapasem paliwa, żebym mógł zatankować przed powrotem do domu. Oczywiście, gdyby zaczął nas ścigać jakiś okręt, przy pełnej prędkości zajęłoby to nam nieco ponad godzinę. Tak czy inaczej, opuścimy kubańskie wody terytorialne najdalej za dziesięć minut. Przy prędkości osiemdziesięciu węzłów nie zabierze nam to wiele czasu.

- Osiemdziesiąt węzłów? To ustrojstwo chyba lata.
- To nie żarty. Lepiej zapnijcie pasy, bo przy tej prędkości możemy oderwać się od powierzchni.
- Dobry pomysł - stwierdziła Remi. - Ruszajmy już. Nie ma na co czekać.
- Rozkaz, łaskawa pani. Trzymajcie się.

Kapitan załączył napęd i pchnął dźwignie przepustnic do przodu. Zahuczały potężne silniki, łódź drgnęła i zaczęła nabierać prędkości. Trzydzieści sekund śmigali po szczytach fal, robiąc prawie osiemdziesiąt węzłów. Niska owiewka ledwie osłaniała ich przed naporem wichru, kiedy gnali na północny zachód.

Kapitan postukał palcem w ekran radaru, na którego krawędzi widać było migającą plamkę.

- To chyba okręt wojenny! - huknął, przekrzykując ryk silników. - Jakies dwadzieścia dwie mile na zachód. Zobaczymy, czy zwiększy prędkość. Może nawet nie mieć nas na radarze. Nasze maleństwo nie tak łatwo wykryć, zwłaszcza nocą przy średnim stanie morza.

Obserwowali pulsujący impuls, który, odkąd skręcili na północ, wyglądał, jakby stał w miejscu. Kapitan zmrużył oczy i pokręcił głową.

- Wyciąga jakies trzydzieści pięć węzłów, więc zdrowo zasuwają jak na okręt tej wielkości. Tylko że my płyniemy ponad dwa razy szybciej, więc zanim dotrze do granicy wód terytorialnych, będziemy już w połowie drogi na Cay Sal.

Fale zrobiły się trochę większe, kiedy oddalili się na piętnaście mil od brzegów Kuby. Poświata unosząca się nad wyspą migotała na horyzoncie. Kapitan zmniejszył prędkość do pięćdziesięciu pięciu węzłów. Choć nadal płynęli bardzo szybko, po wcześniejszej jeździe wydawało im się, że

prawie się nie poruszają. Łódź podskakiwała na każdej fali, co boleśnie odbijało się na dolnych odcinkach ich kręgosłupów. Zanim kapitan zwolnił do czterdziestu pięciu węzłów, zdążyli poczuć się tak, jakby ktoś obił ich kijami po nerkach. Tymczasem na ich gospodarzu te dzikie podrygi nie robiły żadnego wrażenia. Smagany wiatrem kapitan pochylał się lekko do przodu w oczekiwaniu na kolejną falę.

Po dwóch godzinach podeszli od zawietrznej do Ławicy Cay Sal. Kapitan rozmawiał z kimś ściszym głosem przez radio, wpływając na płyciznę. W ciemnościach rozbłysła latarka. Łódź sterowana wprawą ręką zatrzymała się na spokojnej wodzie tuż obok hydroplanu Cessna T206H Statio-nair.

- Ahoj, kapitanie! - zawołał pilot, przekrzykując terkot pracującego na wolnych obrotach silnika. - A państwa zapraszam do siebie, tylko ostrożnie. Proszę chwycić mnie za rękę.

Sam złapał rzuconą przez niego linę i przyciągnął łódź do samolotu. Na pierwszy ogień poszła Remi, która z łatwością przeskoczyła szczelinę między burtą a pływakiem. Sam zwrócił się do kapitana.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za pomoc.

- Życzę panu i pańskiej pięknej małżonce szczęśliwej podróży. Przyjemnego lotu i miękkiego lądowania.

Sam skinął mu głową, odwrócił się i skupił uwagę na samolocie.

- Uwaga, nadchodzę - zaanonsował ostrzegawczo. Remi patrzyła przez okno, jak skacze na pływak, chwyta

się drzwi i wchodzi do środka. Silniki zawarczały głośniejsze i łódź zaczęła się oddalać, zapewne płynąc na umówione spotkanie, by zatankować zbiorniki przed powrotem do nieznanego portu macierzystego. Sam spojrzął na jej znikającą w mroku pawęż.

- „Kochanka CC”. Dziwna nazwa dla łodzi, nie sądzisz? -skomentowała Remi.

- Po tej przejażdżce powiem tylko tyle, że facet może sobie nazywać łódź, jak mu się żywnie podoba, byle tylko był na podorędziu, kiedy znów będzie trzeba nas wyciągać z jakiegoś bagna.

Pilot, energiczny mężczyzna z ciemną kozią bródką poprzątaną nitkami siwizny, wśliznął się na fotel i zamknął drzwi.

- Witam na pokładzie - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Zapnijcie pasy przed startem.

Podczas rozbiegu wcisnęło ich w fotele. Maszyna przez dłuższą chwilę objęła się o niewielkie fale, by wreszcie wznieść się w powietrze. Mieli przed sobą cztery godziny lotu do Cancun, gdzie czekał na nich własny odrzutowiec.

ROZDZIAŁ 20

Zaraz po powrocie do Mexico City Sam i Remi przystąpili do przeglądania zdjęć, które Remi zrobiła z narażeniem życia w zamku Morro. Większość przedstawiała tamtejsze artefakty, były też cztery fotografie manuskryptu. Tajemniczy dokument okazał się bezładnym zestawieniem przypadkowych liter.

Wysłali zdjęcia do Selmy, żeby ich ekipa spróbowała je przeanalizować, ale zrobili to z mieszanymi uczuciami. Selma zapewne bezgranicznie ufała talentom i przymiotom swojej siostrzenicy, ale Remi miała co do Kendry spore wątpliwości. Wątpliwości te stały się tematem zażartej dyskusji, która doprowadziła małżonków do niewesołych wniosków.

- Tylko oni czworo wiedzieli o naszym pobycie na Kubie, a przecież Selma, Pete i Wendy są poza wszelkim podejrzeniem - powiedziała Remi.
- Był jeszcze Lagarde - przypomniał jej Sam. - Mógł komuś o nas powiedzieć.
- To niewykluczone, ale mam złe przeczucia odnośnie do Kendry, i to od samego początku...
- Przeczucia, które mogą wpływać na twoją percepcję. Nie powinniśmy zakładać, że Kendra informuje kogoś o naszych posunięciach.
- Niczego nie zakładam. Mówię tylko, że nikt inny nie wiedział, gdzie się zatrzymaliśmy ani czego szukamy w zamku Morro.
- Z wyjątkiem Lagarde'a i kogoś, z kim ewentualnie rozmawiał. Zastanów się, Remi, co jest bardziej prawdopodobne: to, że Kendra pracuje dla jakichś złoczyńców, czy to, że ktoś na Kubie ma za długi język?

Ostatecznie każde z nich pozostało przy swoim zdaniu. Remi po dłuższym wahaniu wysłała fotografie manuskryptu z poleceniem, aby sprawdzić, czy nie przypomina któregoś ze znanych szesnastowiecznych szyfrów.

Zdjęcia artefaktów niewiele wniosły do sprawy. Prawdopodobnie piktogramy zostały przewiezione na Kubę w celu przechowania bądź przekazania dalej do Hiszpanii, do czego jednak nie doszło. Przedstawiono na nich orszak wojowników i kapłanów, różne wizerunki boga Quetzalcoatl, dość często używane w symbolice zarówno Tolteków, jak i Azteków, oraz kilka tableau z piramidą, nad którą unosi się słup dymu sięgający nieba.

Ponieważ nic nie wskazywało, żeby miały jakąś szczególną wartość, można było tylko zgadywać, dlaczego właśnie te artefakty zostały zabrane z kontynentu. Podobne piktogramy znajdowano w niemal każdym mezoamerykańskim mieście w Meksyku, Belize i w Gwatemali.

Sam i Remi, wciąż wyczerpani po ucieczce z Kuby, nie mieli żadnych sensownych pomysłów, więc postanowili skończyć pracę wcześniej.

- Założę się, że już nigdy nie zostaniemy zaproszeni na poszukiwanie zatopionych galeonów w pobliżu Hawany - stwierdził Sam w drodze do taksówki czekającej przed Instytutem.
- O ile pamiętam, wcześniej też nam tego nie proponowano - odparła Remi.
- Może zamówimy coś do pokoju i pójdziemy spać? - zaproponował Sam. - Czy to brzmi rozsądnie i logicznie?
- Tak, bardzo przekonująco. Ale najpierw wezmę porządną kąpiel.
- Czegokolwiek pani sobie zażyczy, to się spełni. Od dziś to będzie moje nowe motto - oznajmił Sam, otwierając przed żoną drzwi taksówki.
- Co sądzisz o zdjęciach? - spytała, sadowiąc się na tylnej kanapie.
- Niezła kompozycja, doskonale oświetlenie... Dała mu kuksańca w bok, kiedy usiadł obok niej.
- Dobrze wiesz, co miałam na myśli.
- No cóż, jeżeli chodziło ci o wyrażaną przeze mnie nadzieję, że doprowadzą nas do okrytego tajemnicą miejsca pochówku naszego przyjaciela Quetzalcoatl, raczej trudno je uznać za odpowiednik krzyżyka na mapie.
- Też tak sądzę. Są bez sensu, niczego nowego nie wnoszą - poskarżyła się Remi.
- Powinniśmy je pokazać naszym meksykańskim pomocnikom - zasugerował Sam. - Maribela i Antonio na pewno zdołają określić, czy to artefakty Tolteków, czy Azteków, więc przynajmniej dowiemy się, czy mogą mieć dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

- Niechętnie to przyznaję, ale czuję się kompletnie odmóżdżona.

- Cóż, nie można wykluczyć, że to z powodu niedawnych przeżyć. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin bawiliśmy się we włamywaczy, ścigano nas i ostrzeliwano, przemierzaliśmy ocean wielką motorówką, lecieliśmy nad morzem hydroplanem, a potem odrzutowcem do Mexico City.

- Nie zapominaj o zsuwaniu się rynną do odprowadzania nieczystości z toalet. Nie chciałabym już nigdy więcej...

- Pomyśl o tym jak o zjeżdżalni w parku wodnym, może wtedy będzie ci łatwiej.

Remi zmarszczyła nos.

- Fuj! Obrzydlistwo.

Dalszą drogę spędzili w przyjemniej ciszy. Kolację zjedli w pokoju. Sam zamówił dla żony jej ulubioną margaritę z granatem, a dla siebie tequilę don julio blanco z lodem, solą i limonką. Kiedy skończyli, zadzwonił do Selmy, aby zapytać, jak jej poszło z manuskrypcem. Telefon odebrała Kendra, a wieści nie były budujące.

- Na razie nic nie mamy. Spróbowaliśmy automatycznego sprawdzania, ale bez rezultatów, więc teraz robimy to ręcznie. Niestety, nie wygląda to najlepiej. Pete uważa, że gdyby to był jakiś znany szyfr, test automatyczny powinien cokolwiek wykazać. Możemy mieć do czynienia z czymś, czego jeszcze nikt nie widział, a to całkiem inna para kaloszy.

- Kluczem do szyfru może być jakiś inny dokument, a wtedy nigdy tego nie odczytamy - powiedział Sam.

- Selma przepuści go przez swoje źródła, ma nadzieję, że to coś da. Niestety, większość szyfrów rozpracowano już dawno, a te, z którymi się nie udało... no cóż, nadal skrywają powierzone im sekrety.

- Tak trzymać, Kendro. Odezwę się jutro. Działo się coś jeszcze?

- Przyszła wiadomość o postępach prac w Kanadzie. Niejaki doktor Jennings donosi, że przygotowania przebiegają szybko i sprawnie. Napisał, że będziesz wiedział, o co chodzi. Zamierza wrócić do Montrealu jeszcze w trakcie katalogowania, aby zająć się organizowaniem funduszy na konserwację i restaurację. Prosił, żeby ci podziękować za skontaktowanie go z Warrenem Laschem, który pomagał przy wydobywaniu CSS „Hunley”. Zdaje się, że uważa go za dar niebios.

- Świetnie. Byłem pewien, że pomoc Lascha może mu się przydać - odparł Sam. - Dobrze się spisałaś, Kendro. A co słychać u Selmy?

- Walczy jak lew. Zresztą znasz ją i dobrze wiesz, że nigdy się nie poddaje. Z każdym dniem jest coraz silniejsza i coraz bardziej sprawna, ale na noc musi łykać środki przeciwbólowe, bo trochę przesadza z ćwiczeniami.

- Jest gdzieś w pobliżu?

- Poszła się zdrzemnąć. Mam ją obudzić?

- Ależ nie, niech sobie śpi. To nic pilnego. Po prostu chciałem się z nią przywitać.

~ Okej. Czy to wszystko?

- Tak. Zadzwonię jutro rano, około dziewiątej waszego czasu.

- Będę czekać.

Remi, która obserwowała męża podczas rozmowy, zauważyła, że zmarkotniał. ~ Wciąż nic? - spytała.

- Na razie.
 - Optymista.
- ~ To wyraz mojej dziecięcej naiwności.
- Co z Selmą?
 - Trzyma się mocno - odparł Sam i powtórzył, czego dowiedział się od Kendry.

Remi milczała chwilę, a potem pocałowała go w policzek.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Samie Fargo.
- ~ Znów dałaś mi się nabrać. Mój diabelski plan działa -mruknął i oddał jej pocałunek.
- To raczej skutek zmęczenia i nadmiaru margarity.
 - Chyba polubię tę margaritę...

ROZDZIAŁ 21

Dudnienie potężnych wysokoprężnych silników wprawiało w drgania pokład jachtu. Janus Benedict przechadzał się nerwowo po salonie z kieliszkiem koniaku w dłoni i telefonem komórkowym przy uchu. Wraz z kolejnymi słowami rozmówcy narastała w nim furia. W oddali widać było biało-niebieskie domy na stokach gór greckiej wyspy Mykonos. Jacht zbliżał się do portu, wioząc Benedicta na tygodniowe hulanki i rozmowy biznesowe z bliskowschodnimi klientami, gotowymi zapłacić każdą cenę za trudno dostępne rodzaje broni.

- Dwoje amatorów wyprowadziło w pole twoich zawodowców z kubańskiego wywiadu? Jak to możliwe? Czekam na wyjaśnienia - wycedził Janus przez zęby, gotując się z wściekłości.
- Obserwowali ich dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale Fargo musieli się zorientować, bo dosłownie rozplłynęli się w powietrzu, chociaż wszystko wskazywało na to, że siedzą w hotelu - powiedział Percy.
- To ma być usprawiedliwienie? Wiesz, jak reaguję, kiedy przedstawia mi się wymówki zamiast wyników.
- Wiem i dlatego w możliwie najostrzejszych słowach wyraziłem swoje niezadowolenie z działań miejscowych służb. Agenci nie otrzymają wynagrodzenia.
 - Wolałbym nakarmić nimi rekiny.
- Rozumiem. Obawiam się jednak, że nie byłoby to dobrze widziane nawet na Kubie.
 - Płacenie ciężkiej forsy za nic zaczyna mnie irytować.
- Nie dziwię się - odparł Percy - ale mam też dobre wieści. Z innego kubańskiego źródła otrzymałem ciekawy raport. Otóż tej samej nocy ktoś włamał się do zamku Morro. Na nagraniu z kamer monitoringu widać pańskich przyjaciół w akcji. Kubańczycy są wściekli, że ktoś wystrychnął ich na dudka. Zamek to obiekt umocniony, kontrolowany przez wojsko i policję, a z tego, co zrozumiałem, pańscy amatorzy bez trudu zarówno weszli do środka, jak i zdołali się wymknąć.
- Nie do wiary. Co zabrali?
- To jest właśnie najdziwniejsze. Po sprawdzeniu okazało się, że nic nie zginęło. Zresztą w magazynie, do którego się włamali, są przechowywane tylko jakieś bibeloty, stare dokumenty i jeszcze kilka kamieni pokrytych płaskorzeźbami. Nic poza tym, o ile się orientuję.
- Musiało tam być coś ważnego, skoro zaryzykowali włamanie do twierdzy pilnowanej przez wojsko - orzekł Janus. - Oni niczego nie robią bez powodu. Chcę dostać listę przedmiotów z tego

magazynu. Najlepiej...

- Przewidziałem to - wszedł mu w słowo Percy. - Proszę sprawdzić swoją Docztę elektroniczną. Znajdzie pan tam listę wraz z fotografiami. Niestety, część dokumentów uległa znacznej destrukcji na skutek przechowywania w nieodpowiednich warunkach.

- Czy za Wielką Sadzawką mieszkają sami idioci? Jak mogli, do cholery, trzymać cokolwiek cennego w piwnicy, żeby zgniło?

- Pewnie mieli pełne ręce roboty w związku z rewolucją.

- No dobrze - burknął Janus. - Przejrzę to i później zadzwonię.

Rozłączył się, ale nie zaprzestał swej wędrówki, czując ucisk w żołądku, kiedy rozważał kolejne ewentualności. Jego człowiek z Meksyku doniósł mu już wcześniej, że Fargo wrócili do stolicy i spędzili cały dzień w Instytucie, gdzie przynajmniej mógł ich mieć na oku. Nie zorientowali się, że są obserwowani, pewnie dlatego, że Meksykanie zaangażowali do ich śledzenia większą grupę osób. Zapisał sobie w pamięci, że musi przestrzec swojego „meksykańskiego łącznika”, by nie zrobił niczego, co mogłoby wzbudzić ich podejrzenia.

Wszedł do urządzonego z przepychem gabinetu, sprawdził odebrane maile i z zainteresowaniem przeczytał listę przedmiotów. Musiało być wśród nich coś, dla czego warto było ponieść tak ogromne ryzyko.

Nieważne. Janus miał w zanadru tajną broń, o której nie wiedział nikt, nawet Percy. Dbał o nią długo i starannie, pewien, że kiedyś mu się to opłaci. Teraz wiedział, nad czym pracują Fargo, praktycznie tyle samo co oni, tak jakby mógł ich śledzić na całej kuli ziemskiej.

Wyłączył komputer i dołączył do brata na pokładzie wypoczynkowym. Specjalnie na ten rejs sprowadził na jacht pięć hiszpańskich modelek, z których trzy były blondynkami. Dobrze znał upodobania swoich klientów i wiedział, że w towarzystwie blondynek zawsze łatwiej podejmowali trudne decyzje o zakupie drogiego uzbrojenia. Wspiął się po schodach na górny pokład. Jego ręcznie szyte włoskie mokasyny nie wydawały żadnego dźwięku na drewnianych stopniach. Podszedł do stolika z otwartymi ramionami i szerokim uśmiechem, patrząc łakomym wzrokiem na młode piękności, z którymi mógł robić, co chciał, jeszcze przez kilka godzin, aż do przybycia klientów.

- Moje drogie panie, to niegrzecznie bawić się wyłącznie we własnym towarzystwie. Posuńcie się. Kapitan chce spędzić nieco czasu ze swymi nowymi przyjaciółkami.

Dziewczyny zachichotały nerwowo, zaskoczone nagłym pojawieniem się Janusa, ale natychmiast się uspokoiły, widząc wyraz jego twarzy. Z doświadczenia wiedziały, że oznacza on niepohamowaną żądzę, w której zaspokajaniu były prawdziwymi mistrzyniami.

Maribela i Antonio wpatrywali się z niedowierzaniem w fotografie przywiezione z Kuby przez Amerykanów. Wpadli rano do Instytutu po drodze na stanowisko archeologiczne z nowo odkrytymi kryptami, gdzie trwały już prace wykopaliskowe.

- Wręcz niesamowite. Jak, u licha, udało wam się je zdobyć? - spytał Antonio.

- Łagodną perswazją można zdziałać cuda. Wystarczyło wypowiedzieć tajne hasło, a Kubańcy nie mogli się doczekać, żeby dać nam te zdjęcia - odparł Sam. Oboje z Remi uznali, że trzeba pokazać Maribeli i Antoniowi zdjęcia artefaktów, ale bez manuskryptu.

Remi siedziała obok z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- No cóż, gdybyście tylko chcieli, zrobilibyście karierę w polityce - powiedziała Maribela z uśmiechem, jak na gust Remi, nieco zbyt przymilnym.

- Obawiam się, że mam w sobie o wiele za mało bezwzględności, niezbędnej w tym fachu.

Melodyjny śmiech Maribeli zabrzmiał w uszach Remi jak skrzywienie kredy na tablicy, więc tylko chrząknęła, wstała i stanęła obok Sama.

- Potraficie zinterpretować te piktogramy? - spytała. Antonio przysunął się bliżej i wpatrywał się w zdjęcia.

- Na pewno tolteckie, to nie ulega wątpliwości, ale jeszcze nigdy takich nie widziałem. Będziemy musieli przyjrzeć im się dokładniej.

- Czy ich tematyka z czymś wam się kojarzy?

- Nie bardzo. Pochód, Quetzalcoatl, kapłani lub dostojnicy, jaguary i orły, słowem, to co zwykle. Najbardziej niezwykła jest ta piramida lub świątynia.

- Co ona może oznaczać? - dopytywał się Sam.

- Problem w tym, że większość z tego, co wiemy o Tol-tekach, to tylko interpretacje, które w każdej chwili mogą się zmienić po wyjściu na jaw nowych informacji. Już dokonaliśmy w kryptach kilku odkryć, które zmuszają nas do zweryfikowania dotychczasowych poglądów.

- Chętnie byśmy się dowiedzieli, co udało wam się zrobić podczas naszej nieobecności - powiedziała Remi.

Antonio kiwnął głową.

- Oczywiście. Zaraz tam jedziemy. Czujcie się zaproszeni.

- Wciąż panuje tam trudna sytuacja - wtrąciła się Ma-ribela - ale na części obszaru dotkniętego zniszczeniami przywrócono działanie wodociągów, więc napięcie nieco opadło od czasu, gdy byliście tam poprzednio.

- W takim razie jesteśmy umówieni - oznajmił z zadowoleniem Sam i zatopił wzrok w notatkach, ale nie zdołał uniknąć gniewnego spojrzenia Remi, której oczy przeszyły go jak sztylety.

Kiedy rodzeństwo udało się do swojego gabinetu, Remi odeszła kilka kroków od męża, stukając obcasami po pokrytej linoleum podłodze.

-Dlaczego za każdym razem, kiedy w pobliżu jest Ma-ribela, dzieje się z tobą coś dziwnego? - spytała.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym mówię, Samie Fargo. Zdziwił się.

- Nie wiem, naprawdę.

- Wystarczy, że otworzy usta, a ty się mizdrzysz jak licealista na studniówce.

Sam zrobił wielkie oczy

- Remi, czyżbyś była zazdrosna? Nie wierzę.

- Nie wykręcaj kota ogonem. Przecież widzę, jak się zachowujesz.

- Że niby lecę do niej z łapami?

- To wcale nie jest zabawne. Twarz mu złagodniała.

- Przecież wiesz, że jesteś tylko ty i nikt inny. Popatrzyła na niego nieufnie.

- Mówisz tak tylko po to, żeby nie było mi przykro.

- Gdyby to była prawda, wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem, służyłoby temu, aby nie było ci przykro.

- No widzisz? Właśnie to złości mnie w tobie najbardziej. Nie potrafisz odpowiedzieć wprost na moje pytanie.

- Właśnie to zrobiłem. Czy teraz możemy wrócić do naszego życiowego odkrycia? Nie znaczy to, że nie schlebiałaby mi rola amanta w meksykańskiej telenoweli... - Udał, że podkręca wyimaginowanego węża, a Remi, wbrew sobie, wybuchnęła śmiechem.

Dojazd do stanowiska archeologicznego zatłoczonymi ulicami miasta zabrał im czterdzieści minut. Wsiadając z samochodu, zauważyli, że inny oddział wojska stoi na straży wykopalisk. Powtórzyły się formalności z okazywaniem identyfikatorów, po czym znaleźli się pod ziemią, gdzie armia studentów z namaszczeniem odgarniała miotłkami ziemię z zabytkowych naczyń i fotografowała kolejne znaleziska.

Antonio poprowadził ich korytarzem do największej krypty.

- Jedna z płaskorzeźb z waszych zdjęć przypomina mi niektóre ze znalezionych tutaj. Nie chciałem nic mówić, zanim ich ponownie nie obejrzę. Ciekawe, co wy o tym powiecie.

Rzucił coś po hiszpańsku do trojga studentów numerujących artefakty i ci natychmiast opuścili pomieszczenie, robiąc miejsce dla całej czwórki.

- Która to rzeźba? - spytała Remi.

- Zdaje się... tak, to ta - odparł Antonio, wskazując piktogram. - Popatrzcie. Jest niewielka, więc podejdźcie bliżej, żeby widzieć szczegóły.

Sam i Remi przyjrzeni się z bliska wskazanej scenie. Grupa kapłanów i wojowników była pokłony przed piramidą, nad którą wisiała chmura.

Maribela, zmrużywszy oczy, wpatrywała się w płaskorzeźbę.

- Obraz jest niejednoznaczny. Może przedstawiać cokolwiek.

- Wygląda to na obrzęd religijny albo modlitwę - powiedział Sam. - Jakby zanosili błagania, bijąc pokłony przed piramidą. Czy tego rodzaju motyw jest charakterystyczny dla Tolteków?

Antonio wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Tak samo jak dla Azteków czy Majów. Rzecz w tym, że w tamtych przypadkach mamy zdecydowanie więcej materiału do badań w porównaniu z Toltekami.

Remi przez jakiś czas wpatrywała się w piramidę. Wreszcie odsunęła się i powiedziała:

- Załóżmy, że mamy tu przedstawioną dokładnie tę samą albo podobną historię co na płaskorzeźbach z Kuby. Czy wynika z tego coś istotnego?

- Niestety nie - odpowiedział Antonio i zamilkł na dłuższą chwilę. - Tylko tyle, że ktoś przed pięciuset laty uznał to wydarzenie za tak ważne, aby je utrwalić.

Maribela kiwnęła głową.

- Czy rzeczywiście było ono ważne, to zupełnie inna kwestia. Domyślam się, że nie zdołaliście przekonać Kubań-czyków, aby pokazali wam przechowywany tam rękopis. Macie może chociaż jakieś jego zdjęcia?

Sam zauważył, że Remi zeszywniała, i zdecydował się wkroczyć.

- Próbowaliśmy z całych sił, ale bardzo trudno było od nich cokolwiek wyciągnąć. Powinniśmy się cieszyć tym, co mamy. Jeśli jednak coś się zmieni w tej kwestii, będziesz pierwszą osobą, którą o tym poinformujemy.

Maribela popatrzyła na niego przeciągle, a potem zwróciła wzrok na grupę ludzi uwiecznionych w kamieniu.

- Nie wiemy nawet, czy istniał jakikolwiek związek między tym dokumentem a płaskorzeźbami, więc to chyba jeszcze nie koniec świata. Może był to wyolbrzymiony opis bogactw

Nowego Świata albo prośba do korony o pieniądze...

- Czy to nie ty mówiłaś, że znajdowały się na nim rysunki postaci Azteków lub Tolteków? - spytał Sam.

- Owszem, ale to nic dziwnego, jeśli było to zaszyfrowane sprawozdanie z postępów poszukiwań, a autor sądził, że trafił na istotny ślad, który potem okazał się fałszywym tropem - wyjaśniła Maribela, odwracając się od płaskorzeźby.

Reszta poranka zeszła Samowi i Remi na ślęczeniu nad piktogramami. W południe Maribela odwiozła ich do miasta, a Antonio został, by nadzorować dalsze prace. Kiedy wysiedli z samochodu przed hotelem, Sam zadzwonił do Selmy. Telefon znów odebrała Kendra.

- Dobrze, że dzwonisz, Selma właśnie chciała z tobą porozmawiać - powiedziała. - Jest tu obok mnie.

- Daj ją do telefonu.

Selma nie traciła czasu, od razu przechodząc do rzeczy.

- Postaram się mówić krótko i węzłowato. Przesiedziałam nad tym rękopisem całą noc, bez rezultatu. To nie jest zwyczajny szyfr. Wysłałam małe fragmenty kilku naukowcom specjalizującym się w kryptologii, ale żaden nie zdołał się w tym połapać.

- Na czym stoimy?

- Zastanawiałam się nad tym od samego rana. W końcu zadzwoniłam do twojego dawnego wykładowcy z Cal Te-chu, profesora George'a Milhaupta, i spytałam, czy może on ma jakiś pomysł, co z tym fantem zrobić. Wiem, że parął się amatorsko kryptologią i zna różnych ludzi. Wymienił nazwisko, które, jak sądzę, nie wzbudzi waszego zachwytu. Powiedział, że jeśli ktokolwiek może wam pomóc, to tylko Lazło.

- Lazło Kemp? - upewnił się Sam, czując nagły skurcz w piersi.

- Ten sam.

Zapadła krępująca cisza, jak po opowiedzeniu kiepskiego dowcipu.

- Ale on jest... to znaczy nie jest skłonny do współpracy od czasu tego... niefortunnego incydentu, prawda?

- Owszem, po wybuchu skandalu jakby zapadł się pod ziemię. Pogmerałam trochę tu i tam i zdołałam ustalić, że porzucił szacowne mury akademii na rzecz bezpośrednich działań terenowych. Po raz ostatni słyszano o nim, kiedy wybierał się do laotańskiej dżungli w poszukiwaniu jakiegoś zaginionego skarbu, na którego ślad ponoć trafił.

- Nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło - odrzekł Sam. - Zawsze wyglądał mi bardziej na poszukiwacza skarbów niż naukowca.

- No cóż, może po utracie posady stwierdził, że gorzej już być nie może, i postanowił was naśladować.

- Wspominał o tym od czasu do czasu, ale sądziłem, że to tylko czcze gadanie.

- Jak widać, nie takie czcze, o ile moje informacje są wiarygodne. W każdym razie George powiedział, że tylko on może odszyfrować ten manuskrypt.

- Nie będę się spierał z tą opinią. Lazło faktycznie ma dar - przyznał Sam.

- Próbowałam się z nim skontaktować, ale żaden z jego numerów nie odpowiadał. Rozmawiałam nawet z jego córką, niestety, od lat nie miała od niego żadnej wiadomości. Nawiasem mówiąc, raczej nie była załamana z tego powodu, o czym świadczyło jej ostatnie zdanie, zanim rzuciła słuchawkę. - Selma odchrząknęła i mówiła dalej: - Jeśli zależy wam na poznaniu

treści manuskryptu, będziecie musieli odnaleźć Kempa. Może w Laosie, a może zupełnie gdzie indziej. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Sam wypuścił głośno powietrze i wpatrzył się w sufit, jakby szukał tam pomocy w podjęciu decyzji.

- W porządku, Selmo, dziękuję ci. Uruchom Kendrę i resztę ekipy. Niech szukają jakiegokolwiek wiadomości. Gdzie go ostatnio widziano, kto z nim współpracował, kto go wyekwipował, kiedy po raz ostatni kontaktował się z kimkolwiek...

- Tak przypuszczałam. Już nad tym pracuję.

- Selmo, jesteś boska.

- Przez grzeczność nie zaprzeczę.

- Jak się czujesz? - spytał Sam.

- Zapewniam cię, że wolałbyś się o tym nie przekonać na własnej skórze. Średnia przyjemność. Mam tylko nadzieję, że to już nie potrwa długo.

Kiedy Sam się rozłączył, Remi wpatrywała się w niego z drugiego końca pokoju.

- Chyba się przesłyszałam. Czy w rozmowie padło imię Lazło? - spytała.

- Mój były wykładowca powiedział, że tylko on może odszyfrować rękopis.

- Żartujesz?

Sam przybrał zboląły wyraz twarzy.

- Chciałbym, żeby to był żart.

- Co się z nim działo po tym... incydencie?

- Wyleciał z roboty. Nie ma to jak soczysty skandal. Selma twierdzi, że teraz siedzi w dżungli i szuka jakiegoś skarbu. - Sam wzruszył ramionami. - Dlaczego musiał się... zaprzyjaźnić z córką najpotężniejszego brytyjskiego magnata prasowego? Nie potrafię tego pojąć. To się nazywa błędny proces decyzyjny.

Remi zmarszczyła brwi.

- Zaraz, zaraz, ona chyba miała coś koło osiemnastu lat. A on? Chyba z pięćdziesiąt?

- Trochę mniej, ale czas nie był dla niego łaskawy, zwłaszcza że spędzał go często nad butelką gorzały. Była jego studentką, z pierwszego roku. Niemniej oboje twierdzili, że wszystko odbyło się za jej zgodą...

- Przepraszam cię, Sam, ale Lazło zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało. I mówię to jako osoba, która bardzo go lubiła.

Sam pokiwał głową, zwracając uwagę, że użyła czasu przeszłego.

- W dodatku to pijak - dodał. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Z drugiej strony, prawdziwy spec od starodawnych dokumentów. Dlatego George go polecił.

Remi potrząsnęła głową.

- Tylko mi nie mów, że...

- ... musimy go znaleźć.

- Ten człowiek to zmora. Chodząca katastrofa. Przyciąga nieszczęścia jak magnes. A ty, po tym, jak kazałeś mi mieszkać na lodzie i zsuwać się rynną odprowadzającą nieczystości, masz czelność namawiać mnie na poszukiwania tego egocentrycznego moczymordy w... Mówiłeś, że gdzie go widziano?

- W Laosie.
- Laos to taka gorąca, wilgotna i niebezpieczna dziura na drugim końcu świata. Czy chodzi o ten Laos?
- Słyszałem, że jest tam kilka uroczych miejsc - zaproponował Sam.
- Nie ma mowy. Nawet o tym nie myśl. Nie zbałamucisz mnie żadnymi pięknymi słówkami. Nie pojedę go szukać do Złotego Trójkąta.
- Remi...
- Czyś ty do reszty zwariował? Wybij to sobie z głowy. Koniec dyskusji, Sarnie Fargo. Mówię poważnie.

ROZDZIAŁ 22

Gulfstream zapiszczał oponami, dotykając kołami rozpalonego pasa startowego Międzynarodowego Portu Lotniczego Wattay w Wientianie, stolicy Laotańskiej Republiki Ludowo--Demokratycznej. Lot z Mexico City zajął prawie dwadzieścia cztery godziny, z międzylądowaniem na Hawajach w celu uzupełnienia paliwa. Kendra załatwiła niezbędne zezwolenia na wlot w laotańską przestrzeń powietrzną i pozostanie maszyny na lotnisku tak długo, jak będzie to konieczne. Na ten czas załoga samolotu miała zatrzymać się w hotelu.

Po dopełnieniu formalności celnych wsiedli do samochodu przysłanego przez hotel Salana Boutiaque. Pokój był całkiem przyzwoity, choć skromny, z niezbyt skuteczną, ale działającą klimatyzacją. Oboje zafundowali sobie po długim prysznicu, a potem zjedli lekką kolację i wcześniej położyli się spać, bo wynosząca pół doby różnica czasu między Me-xico City a Wientianem mocno dawała im się we znaki.

Zaraz po przebudzeniu, po jedenastu godzinach nieprzerwanego snu, Sam zadzwonił do Kendry, która znalazła przewodnika mającego zabrać małżonków w laotańskie góry, gdzie ostatnio widziany był Lazło. Zgodnie z tym, co zdołała ustalić, po przyjeździe do Laosu Lazło spędził tydzień w Wientianie. Zajmował się przygotowaniem do wyprawy, odwiedził znajomego z miejscowego uniwersytetu, a potem wyruszył na północ w poszukiwaniu czegoś, co zaprzętnęło jego wyobraźnię. Ostatnim kontaktem Kempa ze światem był telefon - na koszt rozmówcy - do brata, z którym nie utrzymywał bliższych stosunków. Dzwonił z automatu w niewielkim mieście Vang Vieng nad rzeką Nam Song, dokąd właśnie wybierali się Fargo.

Brat z pewnymi oporami powtórzył Selmie treść rozmowy, odbytej dwa i pół miesiąca temu. Lazło błagał go o przesłanie do Wientianu za pośrednictwem Western Union dwóch tysięcy funtów, potrzebnych mu na sfinansowanie poszukiwań i, jak to określił, „wydobycie się z kłopotu”. Zapytany o szczegóły wyjawiał, że wszedł w kolizję z prawem w Vang Vieng i ma zostać przewieziony przez policję do stolicy, gdzie będzie musiał uiścić zasądzoną grzywnę. Brat wysłał mu pieniądze z zastrzeżeniem, że robi to po raz ostatni. Lazło zapewnił, że to mu w zupełności wystarczy, i poinformował, że wkrótce dokona odkrycia, dzięki któremu już nigdy nie będzie miał problemów finansowych i uczyni bogatą całą rodzinę.

Ponieważ po tej rozmowie Lazło więcej się nie odezwał, jego brat obawia się, że wpakował się w sytuację bez wyjścia.

Przewodnik Amerykanów, dwudziestoparolatek imieniem Analu, posługiwał się łamaną, ale zrozumiałą angielszczyzną.

Z dumą zaprowadził ich do swojego auta, dziesięcioletniego SUV-a marki Isuzu z łuszczącym się czerwonym lakierem i łysawymi oponami. Kiedy Sam powiedział mu, że wybierają się do Vang

Vieng, uśmiechnął się, prezentując uzębienie, na którego widok żywiej zabiłoby serce każdego dentysty.

- Wy wędrować z plecakiem? Pływać pontonem?
- Nie, szukamy przyjaciela, który podobno przebywa w okolicy.
- Dużo ludzi wpadać do rzeki. Niektórzy umierać. Każdy rok. Oni chyba byli wariaci.
- Byli? - spytała Remi.
- Tak. Dużo turystów, dużo młodych się bawić. Ale teraz być lepiej.
- A co się stało? - spytał z zainteresowaniem Sam.
- Władze zamknąć wszystkie bary nad rzeką.
- Zakaz picia? - powiedziała Remi z niedowierzaniem. To prawdziwe piekło na ziemi dla Lazło.
- Dalej dużo picia. W mieście. Tak samo, ale inaczej. Nowe bary nad wodą. Przyjaciele policji. Rodzina, kuzyn, brat, rozumiesz?
- Chyba rozumiem. A więc znasz to miasto? - upewnił się Sam.
- Tak, aha. Jasne. Wy chcecie jechać zaraz?
- To daleko stąd?
- Trzy albo cztery godziny. Droga dobra, jak nie padać. Jak padać, nie taka dobra.
- Są tam hotele?
- Jasne, aha. Dużo dobre hotele.
- No to jedziemy - zdecydował Sam. - Nie ma na co czekać.

Zapakowali się do auta. Silnik zaskoczył, buchając chmurą czarnych spalin, i burczał nierówno, bo pracował tylko na trzech cylindrach. Sam zastanawiał się, skąd Kendra wytrzasnęła ich nowego przyjaciela.

Analu włączył się do ruchu, nie zwracając uwagi na innych jego uczestników, co poskutkowało gwałtownymi rykami klaksonów. Natychmiast wcisnął pedał gazu do podłogi i przez otwarte okno wykonał gest, który Sam zinterpretował jako przyjacielskie pozdrowienie. SUV potoczył się do przodu jak przegrywający bokser pod koniec jedenastej rundy i nagle skręcił gwałtownie, by zaledwie o włos uniknąć kolizji z dostawczą furgonetką, co w najmniejszym stopniu nie speszyło Analu.

Dziesięć sekund później czarny nissan stojący pół przecznicy dalej oderwał się od krawężnika i ruszył za isuzu. Pasażerami byli dwaj Laotańczycy o ponurych twarzach, całkowicie pochłonięci obserwowaniem śledzonego SUV-a. Kiedy wjechali na estakadę prowadzącą do drogi numer 13, jeden z nich zadzwonił do kogoś z komórki i po krótkiej rozmowie kazał kierowcy zwolnić i zwiększyć dystans o kolejne pięćdziesiąt metrów.

Po opuszczeniu Wientianu znaleźli się na szosie, po której pętały się całe stada motocykli, zwłaszcza w pobliżu mijanych miejscowości. Nie dość, że stan nawierzchni pozostawiał wiele do życzenia, to żaden z użytkowników drogi nie stosował się do jakichkolwiek przepisów ruchu. Przez pierwsze dwie godziny Amerykanie raz po raz wstrzymywali oddech, ale potem przestali zwracać uwagę na niebezpieczne sytuacje i kierowców z zacięciem kamikaze, którzy pędzili przeciwnym pasem ruchu na czołówkę, by w ostatniej chwili zjechać na bok, tuż przed, wydawałoby się, nieuniknionym zderzeniem.

Z zaskoczeniem stwierdzili, że po obu stronach szosy ciągną się pola uprawne, które tworzyły falującą na wietrze szachownicę różnych odcieni zieleni. Spodziewali się dżungli i lasów deszczowych, tymczasem znaleźli się w rejonie rolniczym.

Szczęśliwie Analu nie zdołał zabić ani ich, ani żadnego innego kierowcy. W dodatku przez całą drogę opisywał mijane miejsca. Niektóre jego uwagi były zabawne, inne smutne, ale wszystkie świadczyły o zmęczeniu życiem w społeczeństwie, w którym ubóstwo jest powszechne, a korupcja to nieodzowny element funkcjonowania jakiegokolwiek władzy.

Kiedy już byli niedaleko celu podróży, Remi wskazała szereg gór o stromych, niemal pionowych zboczach i szczytach strzelających prosto w niebo.

- Popatrz, jakie to piękne! Całkiem jak z filmu.
- To powierzchniowe formacje krasowe - wyjaśnił Sam. - Powstały z wapieni podlegających przez długi czas niszczącemu działaniu wody.

Ruch gęstniał wraz ze zbliżaniem się do miasta. W końcu utknęli na dobre w długiej kolejce aut czekających, aż przez drogę przejdzie wielkie stado bydła.

- Gdzie teraz? Zaraz już miasto - zaświergotał Ana-lu, naciskając raz po raz klakson, by przerwać monotonię oczekiwania.

- Na komisariat policji.

Analu otworzył szeroko oczy i łypnął na Sama w lusterku wstecznym.

- Na pewno?
- Jak najbardziej - potwierdziła Remi. - Będziesz nam potrzebny jako tłumacz, gdyby nie znali angielskiego.

Z wyrazu twarzy Analu można było odczytać żal, że nie wypytał dokładnie, o jakie sprawy chodzi, zanim podjął się tego zadania. Wyrósł w przeświadczeniu, że dobrowolne chodzenie na komisariat jest równie mądre, jak zonglowanie toporami. Zaraz jednak zrobił obojętną minę i kiwnął głową, jakby go to wcale nie obchodziło. Wrażenie byłoby z pewnością bardziej przekonujące, gdyby jego twarz nie zbladła przy tej okazji co najmniej o trzy tonacje.

W centrum Analu skręcił w prawo i przecnicę dalej zatrzymał się na błotnistym parkingu naprzeciwko jednego z niewielu betonowych budynków stojących między drewnianymi zabudowaniami o jarmarcznych barwach.

Kiedy przekręcił kluczyk, silnik zarzęził jak nałogowy palacz, szarpnął mocno i zgasł. Na zewnątrz panowała wilgotna duchota. Sam popatrzył z powątpiewaniem na budynek i uznał, że ledwie zmieści się w nim kilka biurek i najwyżej jedna cela. Skinął na Analu, aby wszedł pierwszy.

Za barierką przy wejściu siedzieli dwaj żyłaści policjanci z tłustymi czarnymi włosami, palący ręcznie skręcane papierosy. Mimo wentylatora na mundurach mieli ogromne plamy potu. Z przenośnego radia stojącego na jednym z biurek dochodziły dźwięki popowej piosenki, która w dowolnym języku brzmiałaby równie nijako. Obaj patrzyli spod półprzymkniętych powiek na Analu. Gdy ten powiedział coś nieśmiało, jeden z funkcjonariuszy zniknął na zapleczu i po chwili wrócił z niskim grubasem po czterdziestce, który sprawiał wrażenie człowieka wyrwanego z głębokiego snu. Oficer zapiął guziki koszuli, po czym warknął krótko jak rozdrażniony buldog, najwyraźniej zadając Analu jakieś pytanie. Ten pośród przepaszających uśmiechów przystąpił do rozwlekłego wyluszczenia powodu, dla którego musiał przerwać panu kapitanowi popołudniową drzemkę.

Kiedy skończył, oficer otarł spoconą twarz brudną chusteczką do nosa, chrząknął głośno i zadał następne pytanie tonem, w którym wyraźnie pobrzmiwała groźba. Analu kiwnął głową jak marionetka i zwrócił się do Sama.

- Chce wiedzieć, co wy tutaj szukać. Ja powiedziec mu zaraz, że wy ważni goście laotańskiego narodu i macie pytania, dobrze?
- Powiedz mu - odparł Sam - że szukamy Anglika, który mniej więcej miesiąc temu albo siedział tu

w areszcie, albo miał do zapłacenia jakąś grzywnę. Ów dżentelmen nazywa się Lazło Kemp.

W chwili, gdy padło imię Lazło, oczy grubasa zmieniły się w szparki. Analu zaczął tłumaczyć, ale kapitan powstrzymał go gestem, a potem zmierzył Sama taksującym spojrzeniem.

- Czego wy chceć z nim? - spytał łamaną angielszczyzną.

- To nasz przyjaciel. Od kilku miesięcy nie wiemy, co się z im dzieje. Martwimy się. Poza tym mamy dla niego ważne wiadomości - wyjaśniła Remi.

Oficer kompletnie ją zignorował, wciąż patrząc wyczekująco na Sama.

- Musimy z nim porozmawiać i mamy nadzieję, że pan wie, gdzie go znaleźć - powiedział Sam. - Będę niezwykle, podkreślam, niezwykle zobowiązany, jeśli nam pan pomoże.

Kapitan zerknął na Remi i znów skupił uwagę na Samie. Teraz na jego twarzy wyraźniej niż rozdrażnienie malowała się przebiegłość.

- Ty przyjaciel?

- Tak. Bardzo hojny przyjaciel, któremu może pan pomóc w rozwiązaniu problemu.

- Jak hojny?

- Sto amerykańskich dolarów.

Na ustach oficera laotańskiej policji zakwitł drwiący uśmiezek i rozpoczęły się negocjacje.

- Tysiąc.

Sam potrząsnął głową. Kwota była groteskowa, podobnie jak domagające się jej indywiduum.

- Sto pięćdziesiąt.

Trzy minuty później Sam odliczył dwieście pięćdziesiąt dolarów i wręczył banknoty kapitanowi, który w najmniejszym stopniu nie krępował się obecnością podwładnych. Wziął pieniądze i sprawdzwszy każdy banknot, pocierając go palcami, jakby podejrzewał, że Sam wydrukował je tego ranka, błyskawicznym ruchem schował łapówkę do kieszeni spodni. Potem wyjął długopis z kieszeni koszuli i zapisał adres i imię na kartce wydartej z notatnika.

- Pogadać z Bane. Może on widzieć Anglik - powiedział i podał kartkę Analu, który patrzył na nią, jakby była żywym skorpionem.

W samochodzie Analu powiedział z niepokojem wypisanym na twarzy:

- To nie być dobre.

- Też tak sędzę, ale musimy znaleźć naszego przyjaciela - odrzekł Sam.

Po kilku próbach Analu udało się uruchomić silnik. Wrócili do szosy i pojechali nią sto metrów dalej, po czym skręcili w polną drogę prowadzącą ku rzece. Po krótkiej jeździe po nierównościach zatrzymali się przed zbiorowiskiem chałup, które wyglądały, jakby przy najlżejszym wietrze miały zawalić się pod własnym ciężarem. Analu wyłączył silnik i ruchem głowy wskazał przed siebie.

- To tu. Trzeba znów płacić za informacje. Ten człowiek bardzo niebezpieczny.

- Remi, zostań tym razem w samochodzie - powiedział Sam, otwierając drzwi.

- Chcesz, żeby najlepsze mnie ominęło?

- Sędzę, że wynegocjuję dużo niższą cenę, jeśli nie będę miał przy sobie pięknej kobiety.

- Nie lubisz przepłacać, prawda?

- Taki już jestem.

- W porządku. Tylko nie daj się zabić. Musiałabym się gęsto tłumaczyć przed Selmą i resztą

ekipy.

Analu zapukał w kawałek cienkiej sklejkі udającej drzwi. Po pełnej minucie oczekiwania do wejścia podszedł pomarszczony starzec z długimi siwymi włosami i postrzępioną brodą i gapił się na nich ze środka. Analu powiedział coś po laotańsku, a tamten burknął parę słów w odpowiedzi. Przyjrzał się dokładnie Samowi, otworzył prowizoryczne drzwi i odsunął się, wpuszczając ich do środka.

W półmroku Sam ledwie dostrzegł kilku ludzi leżących na brudnych pryczach pod ścianami. W izbie było gorąco jak w piecu, ale śpiącym najwyraźniej to nie przeszkadzało. Przeszli do kolejnego pomieszczenia, gdzie dwaj mężczyźni siedzieli przy składanym, stoliku do gry w karty, na którym stała metalowa kasetka i leżało kilka fajek. Analu zgiął się w pełnym szacunku ukłonie i powiedział, o co chodzi. Jeden z siedzących, wyschnięty na wiór staruch przypominający ptaka, zacisnął wargi i zlustrował Sama od stóp do głów.

Po długich targach, podczas których Analu trzy razy zbierał się do wyjścia, Sam wręczył staremu studolarowy banknot, jakby to był bilet pierwszej klasy do Nowego Jorku. Handlarz opium wyciągnął kościstą rękę i obejrzał go pod światło, ledwie sącząc się przez zapaskudzone okno, mrucząc coś przy tym do swego towarzysza. Dziadek, który wpuścił ich do środka, zarechotał, wydając odgłos, który skojarzył się Samowi z waranem z Komodo. Analu zadrżał odruchowo.

Stary handlarz pochylił się do przodu i z jego gardła, zrujnowanego przez pięćdziesiąt lat palenia opium, dobył się charkot, w którym dało się jednak rozpoznać całkiem znośną angielszczyznę.

- Zwariowany Anglik zatrzymał się u Lulu. Kawałek stąd na północ. Przypuszczalnie jest tam teraz - rzekł z namaszczeniem, niczym kapłan wygłaszający mowę pogrzebową.

Sam zwrócił się do śmiertelnie przerażonego Analu.

- Wiesz, gdzie to jest?
- To złe miejsce.

Sam kiwnął głową handlarzowi i podziękował mu za pomoc. Wracając do samochodu, słyszeli przez cienkie jak papier ściany dobiegający ze środka rechot kilku mężczyzn.

- Myślę, że poszło mi całkiem nieźle - powiedział Sam do Remi, zajmując miejsce w rozpalonej blaszanej puszcze.

- Wydaje mi się, że słyszałam śmiech. Co ich tak rozbawiło?

- Kto powiedział, że jeśli siedzisz przy pokerze od piętnastu minut i wciąż nie wiesz, który z graczy jest frajerem, to sam nim jesteś.

Remi popatrzyła na chałupę.

- Jakiś bardzo mądry człowiek.

Silnik zaskoczył za trzecim razem i po kilku minutach zatrzymali się przed prostokątnym barakiem krytym strzechą, przy którym najgorsze rudery na świecie wyglądałyby jak pałace. Przy drzwiach stały dwa motocykle wsparte na zardzewiałych nóżkach, a obok spacerował kogut, kręcąc głową w poszukiwaniu czegokolwiek jadalnego. Ze środka sączyła się muzyka, słychać też było kobiecy śmiech przeplatający się z melodią. Sam odniósł wrażenie, że brzmi to jak recital małego wykonawcy, któremu słoń nadepnął na ucho, w połączeniu ze skrzeczeniem zirytowanego latającego drapieżcy. Wymienili spojrzenia z Remi, a potem Sam wziął żonę za rękę i poprowadził do ciemnego wejścia. Wiszący nad nim sfatygowany jasnozielony szyld obwieszczał, że znajdują się U Lul. Ostatnie „u” przy jakiejś okazji zostało zatarte.

Chociaż obskurny wygląd zewnętrzny zajazdu wskazywał, że w środku raczej nie będzie lepiej, Remi dosłownie odrzuciło. Na zaśmieconym brudną słomą klepisku stało sześć plastikowych

stolików, przy których nie siedział żaden klient. W głębi pogrążonego w półmroku pomieszczenia majaczył kontuar, sklecony z desek i bambusa, za którym siedział chudy jak szczapa pięćdziesięcioletni mężczyzna oglądający czarno-białą telewizję. Za odbiornikiem stały dwie rozpadające się lodówki. Po przeciwnej stronie miejscowa kobieta w jaskrawoczerwonych obcisłych spodniach siedziała przy drewnianym stole zastawionym pustymi butelkami po piwie. Towarzyszył jej biały mężczyzna o niezdrowej żółtawej cerze włóczęgi, gapiący się na nowo przybyłych mętnym spojrzeniem człowieka, któremu wydaje się, że ma halucynacje.

- Cześć, Lazło. Świetnie się tu urządziłeś - powiedział Sam z udawaną radością, podchodząc do stołu.
- Dobry Boże, to niemożliwe! Sam Fargo. Co, u licha, tutaj robisz? - wymamrotał Lazło. - O ile się nie mylę, wraz z prześliczną Rami.
- Remi - poprawiła go - ale poza tym rzeczywiście się nie mylisz.

Lazło podjął śmiałą próbę podniesienia się z miejsca, ale ten ambitny zamiar okazał się ponad jego siły. Ograniczył więc galanterię do powitalnego gestu dłonią.

- Siadajcie, proszę. Barman, daj wszystkim coś do picia! - zawołał.

Człowiek zza kontuaru podniósł wzrok, jakby po raz pierwszy zauważył nowych gości, i uniósł brew.

- Piwo - rzucił Sam przez ramię, a Remi tylko potrząsnęła przecząco głową. Analu stał niepewnie w drzwiach, gotów czmychnąć w dowolnym momencie. Skrzypiący wentylator z popękkanymi plastikowymi łopatkami zwieszający się z belki pod sufitem wirował leniwie, kierując dym z cygara Kempa prosto na kobietę, która mogła mieć dwadzieścia parę lat, ale wyglądała na sześćdziesiąt.

Barman otworzył bliższą z lodówek i wyciągnął butelkę beerlao original, po czym przyczłapał bosą do stołu i postawił ją przed Samem, nie zawracając sobie głowy sprzątaniami tych opróżnionych. Lazło uniósł niedopite piwo w czymś na kształt toastu. Sam stuknął się z nim swoim, przy czym zauważył jego rozszerzone źrenice, a także trzy osuszone szklaneczki stojące obok pustych butelek.

O dziwo, piwo było zimne. Sam pociągnął długi łyk i odstawił butelkę na stół, czekając na pytanie Kempa, co tutaj robią. Ten zaś dopił piwo trzema łykami, wrzucił tłącego się papierosa przez szyjkę na dno, przyjrzał się, jak gaśnie z sykiem, po czym postawił butelkę obok opróżnionych. Remi poruszyła się sztywno na krześle, a Lazło najwyraźniej zrozumiał, o co jej chodzi. Popatrzył na swoją przyjaciółkę i zagadał do niej szybko po laotańsku. Kobieta dopiła piwo, wstała i odeszła w stronę baru, chwiejąc się na wysokich obcasach, które nie pozostawiały złudzeń co do jej profesji.

- Cieszę się, że cię widzę, stary druho. Naprawdę. Kto by pomyślał... - zaczął Lazło, ale szybko uszło z niego powietrze. - Chwilowo jestem troszkę zawiany, więc język lekko mi się płacze.

- Zauważyłem, przyjacielu. Też się cieszę - powiedział Sam, prostując się na krześle, i posłał mu karcące spojrzenie. - Jak taki subtelny Anglik jak ty trafił w to miejsce?

Lazło zdobył się na niewesoły uśmiech i zaczął grzebać w kieszeni koszuli w poszukiwaniu papierosów, ale zaraz zrezygnował.

- To długa i paskudna historia.
- Przemierzyliśmy pół świata, żeby cię odnaleźć, więc nie spiesz się i opowiadaj.

Lazło odchrząknął.

- Zapewne słyszeliście o moim małym... uchybieniu - powiedział, rzucając Remi ostrożne spojrzenie. - Tak, musieliście o tym słyszeć. Popeniłem kolosalny błąd, pod wieloma względami. Ale mniejsza o to. Kiedy już się z tym wszystkim... pogodziłem, postanowiłem, że tak powiem,

zmienić coś w swoim życiu. Okazja często puka do drzwi tych bardziej dociekliwych spośród nas, a ja akurat przeglądałem jakieś khmerskie zwoje. Zawsze chciałem wyruszyć w świat i znaleźć fortunę. Niestety nie wyszło i tak trafiłem tutaj.

- Trafiłeś tutaj - powtórzyła Remi.
- Co się stało? - spytał miękko Sam.

Lazło znów pogrzebał w kieszeni na piersi i wydobyl pogniecioną paczkę z ostatnim papierosem. Fargo zauważyli, że trzęsły mu się ręce, kiedy go przypalał.

- Początki były dość obiecujące - podjął, zaciągawszy się. - Ustaliłem kilka obiecujących miejsc, miałem też trzech ludzi do pomocy. Szukaliśmy kilka miesięcy... i nic. Mimo to nie chciałem zrezygnować. Zastawiłem mieszkanie, żeby mieć fundusze na tę wyprawę, więc nie mogłem się poddać. Ale bogowie mi nie sprzyjali.

- Czego szukaliście?

- Jak to czego? Skarbu. Kiedy w piętnastym wieku upadało khmerskie imperium, znaczne ilości złota i drogich kamieni zostały wywiezione z terenów dzisiejszej Kambodży i ukryte w jaskini gdzieś tu, w Laosie. Tyle przynajmniej zdołałem ustalić z przekazów. Byłem pewien, że potrafię je znaleźć. Ale wyszło na to, że przesadziłem z optymizmem -zakończył Lazło łamiącym się głosem. - A teraz znaleźliście mnie tu... za moje grzechy...

- Dlaczego tutaj? - spytał Sam.

- A dlaczego nie? To miejsce jest równie dobre jak każde inne, by zмагаć się ze swymi demonami. Dlaczego nie na laotańskim zadupiu? Czy gdzie indziej byłoby lepiej?

- To wszystko? Poddajesz się? A może odkryłeś, że nie było żadnego skarbu?

- Nie poddawałem się, bo to nie leży w mojej naturze. Miałem wszystko pod kontrolą, ale kiedy kończyły mi się pieniądze, a nie zbliżyłem się nawet na krok do znalezienia khmerskiego skarbu, znów wpadłem w objęcia mojej cierplivej kochanki: wody. Wkrótce z zawziętego poszukiwacza skarbów przedzierzgnąłem się w nałogowego palacza opium, które popijałem miejscową ryżową wódką lao-lao. Jest tania jak barszcz, niecały funt za butelkę. - Lazło spojrział na Sama wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. - Dwa funciaki za pokój w pensjonacie, garść miedziaków za nocną dostawę opium... Przy tak kuszących cenach można się tu zaszyć na długo.

Sam pochylił się do przodu.

- Stać cię na więcej, Lazło.

- Już nie. - Lazło potrząsnął głową. Obawiam się, że już nie. Dawne czasy minęły. Nie da się cofnąć wskazówek zegara.

Remi odchrząknęła.

- Mamy dla ciebie propozycję. Lazło zaśmiał się lubieżnie.

- Pochlebia mi to. Przynajmniej tak mi się zdaje... Remi zignorowała niezdarną aluzję.

- Pracujemy nad pewnym projektem. Potrzebna jest nam twoja wiedza. Ale jest jeden warunek: musisz być trzeźwy. W takim stanie nie zdołasz nam pomóc.

- Co to za projekt?

- Znaleźliśmy na Kubie hiszpański rękopis - wtrącił się Sam. - Jest napisany szyfrem i nie potrafimy go odczytać.

- Prawie wszystkie szyfry zostały już złamane.

- Ten nie przypomina niczego, z czym mieliśmy dotąd do czynienia.

Lazło wypuścił obłok dymu w wentylator i zamknął oczy.

- Chyba już nie potrafię, Sam.
- Bzdura. Oczywiście, że potrafisz. Za bardzo się nad sobą rozczulasz, to wszystko. Wykańczasz się, ty, jeden z najbystrzejszych umysłów w swojej dziedzinie, bo za dużo pijesz i popełniasz głupstwa.

Lazło otworzył oczy i uśmiechnął się rzewnie.

- Jestem winny, przyjacielu. Winny wszystkich postawionych mi zarzutów. Więc lepiej zostawcie mnie, żebym odsiedział swój wyrok w tym przedsionku piekła. Ja już nie jestem sobą.
- Czy to znaczy, że aż tak bardzo zgłupiałeś, że nie potrafisz rozwiązać zagadki? A może nie chcesz, bo będziesz musiał stąd wyjechać?
- Po trosze jedno i drugie, jak sądzę...
- Lazło, popatrz na mnie - poprosiła Remi. - Powiedziałam, że chcemy ci coś zaproponować. Nie jesteś ciekaw co?

Zgasił papierosa i w końcu spojrzał jej w oczy.

- Już dobrze, młoda damo, niech będzie. Więc o czym chcieliście porozmawiać, jeśli nie o moim spektakularnym upadku?
- Odczytaj ten manuskrypt, a my pomożemy ci w twoich poszukiwaniach. Ty nam pomożesz znaleźć nasz skarb, my pomożemy ci znaleźć twój. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował. Pieniądze, ludzi... Możemy nawet wyprawić się z tobą w środek dżungli. Co ci zależy? To uczciwa propozycja, żadna ze stron nic nie traci. Daj nam to, czego potrzebujemy, a my damy ci to, czego ty potrzebujesz. Patrz na mnie. Słuchaj, co do ciebie mówię. Pomóż nam, a my zrobimy wszystko, żeby twoje marzenie się spełniło.

Lazło wyprostował się na krześle. Widać było, jak jego zamroczony alkoholem mózg boryka się z przetrawieniem tego, co przed chwilą usłyszał.

- Mówisz... mówisz poważnie? - wyjąkał wreszcie.
- Śmiertelnie poważnie - potwierdziła Remi. - To twoja ogromna szansa na to, żeby zacząć wszystko od nowa. Poprowadzić wyprawę z prawdziwego zdarzenia. Dokonać wielkiego odkrycia. Pieniądze nie grają roli. Taka szansa trafia się w życiu tylko raz.

Sam pokiwał głową z aprobatą.

- Tylko głupiec by nie skorzystał z czegoś takiego. A ty, kimkolwiek jesteś, to na pewno nie głupcem.
- Kilku dziennikarzy zdecydowanie by się nie zgodziło z tym stwierdzeniem.
- Tamto już było i minęło - powiedziała Remi łagodniejszym tonem. - A to dzieje się teraz. Jesteś nam potrzebny. Powiedz „tak”, a zabierzemy cię stąd, wyszorujemy i zaprzęgniemy do roboty. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował.

Lazło pokręcił głową.

- To może nie być takie łatwe. Tkwię w tym już od dłuższego czasu.
- Znajdziemy dobrą klinikę odwykową. Pomogą ci z tym skończyć. Zanim się zorientujesz, będziesz czysty jak noworodek. To się nie musi tak skończyć, Lazło. Możesz odzyskać wszystko, co straciłeś, jeśli dokonasz prawidłowego wyboru.

Twarz Kempa wykrzywiła się w drwiącym uśmiešku.

- Chociaż raz. To właśnie zamierzałaś powiedzieć, prawda?
- Nie. Ale jeśli w ten sposób będzie ci łatwiej, powiem to. Chociaż raz dokonaj prawidłowego

wyboru.

Lazło zamilkł na dłuższą chwilę. Nagle zatrząsły mu się ramiona. Ukrył twarz w dłoniach, a kiedy po dłuższej chwili podniósł wzrok, jego oczy były czerwone i wilgotne.

- Nie zasługuję na to. Jesteście za dobrzy dla kogoś takiego jak ja.

Sam potrząsnął głową.

- Nikt tu nie jest lepszy czy gorszy. Tak się po prostu zdarzyło, że możemy ci pomóc, a ty możesz pomóc nam. To prosty układ. Każdy dostaje to, czego potrzebuje. Podstawowa zasada wszelkiej współpracy.

Remi odsunęła się, a Lazło otarł łzy brudnym rękawem koszuli.

- Bądź ostrożny ze swoimi pragnieniami, Sam. Sam uśmiechnął się i pochwycił spojrzenie Remi.

- Zawsze jestem ostrożny.

ROZDZIAŁ 23

Okazało się, że obecne miejsce zamieszkania Kempa to rozpadająca się chałupa w pobliżu rzeki, jakby żywcem przeniesiona z najbiedniejszych dzielnic Kalkuty. Sam pomógł mu zapakować skromny dobytek do samochodu i po chwili ruszyli wyboistą drogą z powrotem do Vientiane. Lazło zasnął po kilku minutach jazdy i obudził się, dopiero gdy Sam złapał wreszcie zasięg w komórce i zostawił Kendrze wiadomość z prośbą o zlokalizowanie w okolicy centrum odwykowego, które zajmowałoby się zarówno alkoholizmem, jak i uzależnieniem od opium. Dwie godziny później oddzwoniła do niego Selma - w Kalifornii była piąta na ranem.

- Znalazłam coś w Bangkoku, o ile dacie radę go tam dostarczyć. Rozumiem, że udało wam się go odnaleźć? - spytała.

- Selma! - Sam nie mógł ukryć zaskoczenia. - Spodziewałem się Kendry i to dopiero za ładnych parę godzin.

- Zobaczyłam, że świeci jej się lampka przy automatycznej sekretarce, i pozwoliłam sobie odsłuchać wiadomość, domyślając się, że to coś od was. Tak czy siak, zdążyłam już wstać. Ale przejdźmy do rzeczy. Ten ośrodek cieszy się bardzo dobrą opinią. Wygląda na to, że podobne problemy co Kempa spotykają również znaczną część najbogatszych obywateli Tajlandii. Na zdjęciach w Internecie przypomina to raczej pięciogwiazdkowy hotel, a poza tym zakład funkcjonuje przy jednym z najlepszych szpitali w Bangkoku.

Selma przedstawiła mu wszystkie szczegóły, a Sam powtarzał je na głos, żeby Remi mogła wszystko zapamiętać.

Uprzedzili załogę swojego prywatnego odrzutowca, że muszą natychmiast lecieć do Bangkoku, po czym Analu zawiózł ich na lotnisko. Gdy tam dotarli, silniki maszyny były już na chodzie. Sandra jak zwykle powitała ich z szerokim uśmiechem. Sam zadzwonił jeszcze do kliniki, by upewnić się, że będą w stanie przyjąć Anglika. Lekarz wyjaśnił mu pokrótce, jak będzie wyglądała terapia, i doradził, by pacjent napił się alkoholu przed startem, żeby uniknąć napadu drgawek podczas lotu, ale nie więcej niż jeden mocny koktajl.

Sandra przygotowała dla niego podwójną wódkę z tomkiem. Lazło wypił drinka duszkiem, jak człowiek, który ostatni miesiąc spędził na pustyni. Wyraźnie poprawiło mu to humor i przez całą podróż samolotem, a później czekającym na lotnisku samochodem gawędził niezobowiązująco z Samem i Remi.

Zakład zwalczania uzależnień okazał się równie imponujący na żywo, jak w opisie Selmy. Po

wypełnieniu i podpisaniu bardzo długiego formularza Lazło został odprowadzony przez personel w głąb budynku, a tymczasem dyrektorka placówki, Azjatka w granatowej marynarce, wyjaśniła Fargo przebieg terapii.

- Wbrew pozorom uzależnienie od opium to zwykle najmniejszy problem. Leczymy je, podając pacjentowi silne środki uspokajające oraz oczyszczające organizm z opiatów, więc jeśli państwa przyjaciel pali dopiero od kilku miesięcy i nie wprowadzał narkotyku dożylnie, powinniśmy zwalczyć jego nawyk w ciągu kilku godzin. O wiele bardziej skomplikowana jest kwestia alkoholu. Wygląda na to, że pacjent nadużywa alkoholu od wielu lat, więc pozbycie się tego nałogu może być znacznie trudniejsze.

- To prawda, Lazło pił dużo, odkąd go znam, czyli co najmniej od dziesięciu lat - potwierdził Sam.

- W takim razie przez najbliższych kilka dni czekają go bardzo ciężkie chwile. Używamy podtlenku azotu i dużych dawek witamin, by osłabić efekty odstawienia, ale u każdego pacjenta terapia przebiega inaczej. A uporanie się z objawami fizycznymi to dopiero początek. Przez co najmniej trzydzieści dni będzie wymagał stałego nadzoru i powinien zapisać się do grupy wsparcia.

- Zaczęliśmy już organizować dla niego dalszą pomoc w Meksyku. Zadbamy, żeby był cały czas pod dobrą opieką - zapewniła Remi.

- Bardzo dobrze. Czy na czas terapii zostają państwo w mieście?

~ Tak. Wynajmujemy pokój w hotelu Mandarin Oriental - odparł Sam. - Podałem numer do nas w formularzu przyjęcia.

Kobieta wstała i podała im dłoń na pożegnanie.

~ Proszę się nie martwić, dołożymy wszelkich starań, by zapewnić mu możliwie największy stopień komfortu przez cały okres leczenia - powiedziała i zawahała się na chwilę. - Ale nie powinni państwo go odwiedzać w okresie odtruwania. Nie pozwalamy pacjentom na przyjmowanie gości, dopóki ten etap nie zostanie zakończony.

- Rozumiem - rzekła Remi, kiwając głową. Ona i Sam zapoznali się z dostępnymi w Internecie informacjami na temat odwyku alkoholowego po drodze do kliniki, więc mieli już pewne pojęcie, dlaczego przez pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny od przyjęcia nie dopuszczano nikogo do pacjenta.

Następne cztery dni minęły błyskawicznie. Każdy posiłek stanowił okazję, by wypróbować jedną z restauracji polecanych przez hotelowego konsjerżę. Drugiego dnia pobytu urządzili sobie wycieczkę po mieście, a później, jeśli tylko nie padało, spędzali długie godziny, spacerując po tętniącym życiem centrum. Gdy wrócili do kliniki, dyrektorka zaprowadziła ich do pokoju i zostawiła sam na sam z pacjentem.

- I jak ci poszło? - spytał Sam.

- Dużo gorzej, niż się spodziewałem - odparł Lazło, patrząc na nich pełnym zakłopotania, ale za to w pełni przytomnym wzrokiem. - Wolałbym już nigdy tego nie powtarzać. Było trochę tak, jakby pieczono mnie na wolnym ogniu, a potem przeciągnięto po rozbitym szkłe. Choć cały czas zastanawiam się, czy to nie byłoby mniej nieprzyjemne.

Sam pokiwał głową.

- Na szczęście już nigdy nie będziesz musiał przez to przechodzić, jeśli tylko będziesz ostrożny. Jak się teraz czujesz?

- Nie najlepiej, ale i nie najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Dają ci jakieś leki?

- Valium. Mówią, że też może być uzależniająca, więc trochę się denerwuję. Ale z drugiej strony, łagodzi najgorsze objawy odwyku.
- Mówili ci, kiedy będziesz w stanie wyjechać? - spytała Remi.
- Nie pytałem. Sądziłem, że będę pracował stąd. Mylę się? Fargo popatrzyli po sobie.
- Chyba byłoby lepiej, gdybyś poleciał razem z nami do Meksyku - odparł Sam.
- Wielkie nieba! Do Meksyku? Jakoś nigdy nie miałem okazji odwiedzić tego kraju. - Lazło był wyraźnie zachwycony. - Liczyłem na to, że dostarczycie mi komputer ze skanami waszego dokumentu, abym mógł zacząć jeszcze za kratkami. Wiecie, nie zapewniają tu zbyt wiele rozrywek.
- Mam zdjęcia na dysku przenośnym - powiedziała Remi. Zajrzała do torebki, wyjęła z niej laptop i wykrzyknęła, udając bezbrzeżne zdziwienie: - Kto by pomyślał! Komputer! Spodziewaliśmy się, że będziesz chciał zacząć jak najszybciej.

Położyła laptop na łóżku, dysk na stojącym obok stoliku i sięgnęła do torebki po kabel zasilający.

- Presto! Stanowisz teraz jednoosobowy zakład kryptologiczny na kółkach.
- Świetnie! Wybornie! - ucieszył się Lazło. - Muszę jeszcze tylko znaleźć włącznik.

Ręce mu drżały, gdy układał sobie komputer na kolanach, ale nie było to zaskakujące, biorąc pod uwagę, w jakim stanie został przyjęty do kliniki. Sam i Remi wiedzieli, że przez najbliższy czas Lazło będzie bardzo osłabiony, i zdążyli już zamówić dla niego dodatkową opiekę na czas leczenia w placówce w Meksyku.

Posiedzieli z nim jeszcze kilka minut, po czym zostawili go przy nowym zajęciu, obiecawszy, że następnego popołudnia przyjdą znowu. Przed wyjściem zamienili jeszcze kilka słów z dyrektorką, która zgodziła się wypisać Kempa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i potwierdziła, że może lecieć do Meksyku, o ile tylko zadbają, by na pokładzie nie było żadnego alkoholu, który mógłby stanowić dla pacjenta pokusę. Fargo nie mieli nic przeciwko temu i w drodze do hotelu przekazali odpowiednie wytyczne Sandrze.

Dwa dni później okazało się, że do wypisania Kempa niezbędne będzie wypełnienie całej góry papierów. Cała trójka czuła ogromną ulgę, gdy wreszcie mogli opuścić klinikę i ruszyć na lotnisko. Chociaż dla Sama i Remi ten niezamierzony kilkudniowy przestój był całkiem przyjemny, oboje niecierpliwie czekali na powrót do Meksyku, czując, że czas goni ich coraz bardziej. Lazło, jak to miał w zwyczaju, nie zdradził im nic na temat swoich postępów w pracy z manuskrypcją, ale że co jakiś czas uśmiechał się pod nosem jak dziecko, któremu udał się jakiś psikus, Fargo byli dobrej myśli.

Dzięki silnemu wiatrowi od ogona lot nad Pacyfikiem trwał o godzinę krócej niż w drugą stronę, ale schodząc na ląd w Mexico City, i tak czuli się wycieńczeni. Na lotnisku powitał ich przedstawiciel kliniki, w której Lazło miał kontynuować leczenie. Zawiózł całą trójkę do placówki, mieszczącej się w jednym z droższych rejonów centrum, tuż obok dzielnicy bankowej. Sam i Remi wrócili do hotelu, gdzie już na nich czekały bagaże odesłane z Kuby.

Wieczorem zjedli kolację z Carlosem Ramirezem, który okazał się wyjątkowo przyjaznym gospodarzem. Zabrał ich do Pujol, jednej z najlepszych restauracji w mieście, gdzie wybierali potrawy z listy specjalności szefa kuchni i popijali je najrzadszymi markami tequila.

Carlos powiedział Fargo, że z powodu niesprzyjającej aury prace przy nowym znalezisku postępują bardzo wolno. Po ich wyjeździe nad Meksyk napłynął potężny front atmosferyczny, przynosząc ze sobą trzy dni ulewnych deszczy, które zalały teren wykopalisk. Wąskie uliczki, przez które w normalnych warunkach trudno się było przecisnąć, stały się całkowicie niedostępne, w związku z czym Maribela i Antonio zdołali wznowić prace dopiero poprzedniego dnia. Carlos był zachwycony zdjęciami przywiezionymi przez Sama i Remi z Kuby i przyznał, że udało mu się

znaleźć jeszcze kilka podobieństw pomiędzy artefaktami z krypt a kamiennymi rzeźbami z Hawany.

Gdy kolacja dobiegła końca, Sam i Remi byli syci i - dzięki zaangażowaniu Kempa - pełni optymizmu co do dalszych poszukiwań. Żegnając się z Carlosem, podziękowali mu za wspaniały wieczór i zapewnili, że mają wielkie szczęście, że pomaga im ktoś taki jak on. Carlos życzył im dobrej nocy i zaproponował podwiezienie do hotelu, ale grzecznie odmówili, chcąc jeszcze dopić swoje drinki. Gdy niedługo później wychodzili z restauracji, Sam przytrzymał drzwi dla Remi i skorzystał z okazji, by podziwiać jej czarną wieczorową suknię Herve Leger, a zwłaszcza to, jak materiał ciasno opinał się na krągłościach jej ciała.

- Nieziemska kiecka. Doskonały wybór, jak zawsze.

- Bardzo dziękuję. Nie sądziłam, że zwrócisz uwagę.

- Żartujesz? W tej chwili zazdrości mi każdy mężczyzna w mieście. Te buty również są niezwykle - dodał, w nadziei na dodatkowe punkty.

- Czerwone, zwężające się baletki od Jimmy'ego Choo.

- No właśnie! Czerwone! - powiedział Sam i wybuchnął śmiechem.

ROZDZIAŁ 24

Janus Benedict odstawił filiżankę kawy na tekowy stolik i popatrzył na widniejące za lewą burtą wyspy, których strome wybrzeża od wieków dzielnie dawały odpór zarówno erozji, jak i działalności człowieka. Zeszłego wieczoru zwiedzał je razem ze swoimi gośćmi - trzema jegomościami z Syrii, niezmiernie zainteresowanymi oferowanymi przez niego rakietami ziemia-powietrze oraz śmigłowcami Ka-50 Black Shark, które regularnie rozprawdzał jako przedstawiciel rosyjskiego producenta. Negocjacje, rzecz jasna, musiały być długie, a w ich trakcie żadne przekonania religijne nikomu nie przeszkadzały w korzystaniu ani z luksusów oferowanych na greckich wysepkach, ani z rozrywek zapewnionych przez samego Janusa, i tych chemicznych, i cielesnych.

Benedict wciąż czuł lekki szum w głowie po dwóch ostatnich szklaneczkach grappy, które wypił już bez przyjemności. Dbanie o dobre samopoczucie gości wymagało wiele poświęcenia, ale to się zwykle opłacało. Janus był pewien, że w tym przypadku też tak będzie. Syryjczycy zakończyli wieczór w wyjątkowo dobrych nastrojach, które niebawem powinny się przełożyć na znacznie wyższą cenę za zamówione uzbrojenie, niż byliby skłonni zapłacić, gdyby podjął ich kanapkami i wodą mineralną.

Rzucił okiem na ekran swojego iPada, by się upewnić, że wszyscy trzej wciąż odsypiają wczorajsze szaleństwa w swoich kabinach. Ukryte kamery były bardzo przydatne nie tylko jako środek bezpieczeństwa - pomagały mu również odgrywać rolę oddanego gospodarza i z wyprzedzeniem spełniać wszelkie zachcianki jego gości.

W kabinach Syryjczyków panowała kompletna cisza. Janus uznał, że ma jeszcze co najmniej godzinę, zanim znów będzie musiał włożyć maskę wodzireja.

Do stolika podszedł chwiejnie Reginald, w okularach przeciwsłonecznych Dolce & Gabbany chroniących jego przewrażliwione oczy przed nieubłaganymi promieniami porannego słońca i z papierosem zwisającym z ust. Zwalił się ciężko na krzesło stojące naprzeciwko brata i uniósł filiżankę. Z salonu wynurzył się bezszelestnie steward w białym uniformie. Napełnił filiżankę gorącą czarną kawą i reagując na nieznaczne skinienie głowy Janusa, wrócił do kuchni, by po chwili przynieść kieliszek likieru Baileys i dolać jego zawartość do kawy.

- Widzę, że nie muszę cię pytać, jak się miewasz - zagaił Janus, obserwując, jak młodszy brat unosi filiżankę do ust drżącą ręką.

- To była pracowita noc. Ta Sophie...

- Rozumiem, możesz darować sobie szczegóły. Robimy wszystko, co konieczne, aby nasi goście czuli się tu jak w domu. I muszę przyznać, że tym razem spisaliśmy się na medal. Sądzę, że nasi towarzysze już dojrżeli do przyjęcia rozsądnych warunków.

- Lepiej, żeby tak było, bo zmarnowaliśmy na nich masę koki - mruknął Reginald, a jego przekrwione oczy jednoznacznie wskazywały, że sam nie odmawiał sobie zeszłej nocy narkotycznych uciech.

- Pod koniec wieczoru odnosili się całkiem przychylnie do naszej ceny za helikoptery, które przecież sprowadzamy dla nich prosto z fabryki.

- Sami nigdy nie dostaliby się do producenta.

- Pamiętaj, że najważniejsze nie jest uświadomienie im oczywistych faktów, ale sprawienie, by poczuli się w pełni zadowoleni z ostatecznej transakcji. A biorąc pod uwagę ich wczorajszy entuzjazm i stopień upojenia, podejrzewam, że odejdą stąd tak szczęśliwi, jak to tylko możliwe dla ludzi w ich sytuacji. Pieniądze, którymi dysponują, nie są przecież ich własnością. Cała zabawa jest jak finezyjny taniec. Oni muszą zapewnić swoich mocodawców, że znaleźli dla nich najkorzystniejszą ofertę. My z kolei musimy im w tym pomóc, przy okazji zapewniając jak najwięcej rozrywki.

- A więc zadanie wykonane.

- Owszem. I jeszcze jedna dobra wiadomość, braciszku. Nie będziesz musiał narażać zdrowia przy kolejnej sesji gier i zabaw. Po śniadaniu Simon odstawi cię na brzeg i odleci z wyspy pierwszym samolotem. W Atenach już czeka odrzutowiec, który zabierze cię do Meksyku.

- Do Meksyku? Słodki Jezu! Dlaczego niby miałbym tam lecieć? To paskudne miejsce, pełne bandytów. - Reginald skrzywił się, wyraźnie nie podzielając entuzjazmu brata co do podróży przez Atlantyk.

- Paskudne czy nie, jeden z naszych tamtejszych klientów, który kupuje lwią część naszych produktów i rozwija swoje strefy interesów na całym świecie, życzy sobie osobiście złożyć nowe zamówienie. Poza tym niedawno ponownie zjawily się tam dwie pluskwy, niejacy państwo Fargo. Jeśli uda im się coś znaleźć, chcę się o tym dowiedzieć natychmiast, a nie zamierzam marnować czasu na podróż. Dlatego polecisz rozmówić się z kartelem Los Zetas, a przy okazji będziesz na miejscu, gdyby problem Amerykanów wymagał podjęcia jakichś szczególnych kroków. - Janus przerwał na chwilę, by wypić łyk kawy. - i pamiętaj, Reginaldzie, to niezwykle ważni klienci. I dość nerwowi, pozwolę sobie dodać. Będziesz na ich terenie, jak oni to nazywają, więc

radzę ci zachować ostrożność. Pod żadnym pozorem nie mów ani nie rób niczego, co mogłoby ich rozniewać, jeśli nie chcesz, żeby to była nasza ostatnia rozmowa.

- Cudownie. Wysyłasz mnie do tej wiochy zabitej dechami na rozmowy z bandą krwiożerczych, uzbrojonych po zęby szaleńców.

- No, nie są aż tacy straszni. A przede wszystkim zapewniają dużą część naszych zysków, więc choćby z tego względu zasługują na odrobinę uwagi i taktu z twojej strony. Jestem pewien, że jeśli tylko utrzymasz emocje na wodzy, dogadacie się bez problemu. Natomiast co do Fargo, nie rób nic nieprzemyślanego. Jeśli uznasz, że wymagają bardziej aktywnego nadzoru, skonsultuj to ze mną. Czy wyraziłem się jasno?

- Nie musisz mnie instruować jak pięciolatka - odparł Reginald. Dopił swoją kawę i skinął na stewarda, prosząc o dolewkę. - Wszystko rozumiem. Mam być grzeczny dla wymoczków i

obchodzić się z Amerykanami jak z jajkiem. Jeśli pojawią się jakieś komplikacje, myślenie zostawiam tobie. Coś pominąłem?

- Nie ironizuj, bo tu nie ma miejsca na żarty. Tym razem nie możesz sobie pozwolić na żadne wpadki. Traktuj to jak sprawę osobistą. Nie spaprąj jej.

- Przyjąłem do wiadomości. Postaram się, żeby wymiana paciorków z tubylcami odbyła się w atmosferze wzajemnego szacunku. Nawet nie poznasz, że to ja, obiecuję.

Janus dłuższą chwilę patrzył na brata spod przymrużonych powiek, wreszcie kiwnął głową. Wiedział, że na więcej powagi ze strony Reginalda liczyć nie może. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że te ironiczne zapewnienia okażą się szczerze. Reginald szukał okazji do wykazania się, ale przeszkadzała mu w tym młodzieńcza impulsywność, z której jakoś nie potrafił wyrosnąć. Z drugiej strony, szef Los Zetas w Meksyku był niewiele starszy od niego, więc może dwaj młokosi znajdą wspólny język. No i dobrze będzie mieć na miejscu zaufanego człowieka, na wypadek gdyby Fargo rzeczywiście coś znaleźli.

Gdy następnego ranka Sam golił się w łazience, zadzwonił telefon stojący na stoliku przy łóżku. Dźwięk dzwonka obudził Remi, która przekręciła się na bok, by podnieść słuchawkę.

- Słu...słucham? - spytała, powstrzymując ziewanie.

- Remi, tu Lazło. Czy wiesz, że jest już po siódmej? Dziwi mnie, że pozwalasz sobie spać tak długo, kiedy w grę wchodzi poszukiwanie skarbu...

- Eee... dzień dobry, Lazło.

- Jak szybko możemy się spotkać w tym moim nędznym więzieniu?

- W więzieniu? Wydawało mi się, że jest ci tam całkiem wygodnie.

- To bez znaczenia. Kiedy możecie przyjechać? Remi spojrzała na zegarek.

- Jeśli nie będzie dużych korków, powinniśmy dotrzeć w ciągu godziny - odparła, siadając na łóżku. - Ale o co właściwie chodzi?

- Och, o nic wielkiego. Po prostu sądziłem, że będziecie ciekawi, co porabiałem w godzinach nocnych.

- A co porabiałeś?

- Dumałem nad moim marnym losem, z naprawdę szczerą skruchą i niemałą ilością niepokoju. A przy okazji odszyfrowałem treść manuskryptu.

- Żartujesz?!

- Bynajmniej. Chociaż to wy będziecie musieli wykombinować, o co w tym wszystkim chodzi. Jest tu coś o jakiejś świątyni i węzach ze skrzydłami. Ci Hiszpanie to dziwni goście.

Sam wyszedł z łazienki. Remi przywołała go gestem dłoni i oddała mu słuchawkę.

- Lazło?

- Jak się miewasz w ten piękny poranek, młodzieńcze? - spytał Lazło, całkiem znośnie imitując irlandzki akcent.

- Znakomicie - odparł Sam. - Słyszę, że ty też masz dobry humor.

- Odczytałem manuskrypt i pozwoliłem sobie zaprosić twoją lepszą połowę na wspólną lekturę przy filiżance kawy. Możesz także wpaść, o ile nie masz innych planów.

Sam był pod wrażeniem.

- To wspaniałe wieści. Jesteś prawdziwym czarodziejem. Będziemy u ciebie tak szybko, jak to możliwe.

- Nie musicie lecieć na złamanie karku. Mój grafik stał się o wiele luźniejszy, odkąd zachowuję czystość godną ministranta.

- Chyba raczej trzeźwość.

- To też. Do zobaczenia.

Sam odłożył słuchawkę i zwrócił się do Remi:

- Nie uznaj mnie za zrzędę, ale może dzisiaj dasz radę uwinąć się z prysznicem trochę szybciej?

- Będę gotowa za pięć minut - odpowiedziała, już w połowie drogi do łazienki. - Sama nie mogę się doczekać. Wreszcie wszystko zaczyna składać się w jedną całość. To mój ulubiony moment.

- Mój też - przyznał Sam z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 25

Zastali Lazło siedzącego na niewielkiej brązowej kanapie w swoim pokoju. Podniósł się, by ich powitać, po czym podszedł do okrągłego stolika w rogu, na którym stał laptop z uruchomionym wygaszaczem ekranu.

- Siadajcie, proszę. Zgaduję, że spędzicie nad tym trochę czasu - powiedział, wskazując im dwa składane krzesła, które najwyraźniej zamówił na ich wizytę.

- Wyglądasz już dużo lepiej, Lazło - stwierdziła Remi, przyglądając się uważnie jego twarzy i dostrzegając jego bystre, klarowne spojrzenie.

- Dzięki. Masz niezwykle skuteczny dar perswazji... w najlepszym znaczeniu tego słowa, oczywiście.

- Co dla nas masz? - spytał Sam, siadając obok niego.

- Od czego tu zacząć? Może od szyfru. To szyfr substytucyjny, a oryginalny tekst został napisany po łacinie, a właściwie co drugie jego słowo, na przemian z hiszpańskim. To dość rzadko spotykana metoda, więc podejrzewam, że autor nie był konkwistadorem, raczej przedstawicielem kleru lub dobrze wykształconym szlachcicem. Nie będę was zanudzał szczegółami, dość powiedzieć, że na coś podobnego w tekstach pochodzących z tego okresu natrafiłem do tej pory tylko raz, w dokumencie adresowanym do papieża. Dołączyłem ten szyfr do swojej listy z czystego przyzwyczajenia i teraz był jak znalazł. Program rozpoznał wzorzec zastosowany przez szyfrującego. Reszta była już tylko formalnością.

- Interesujące. Więc ten tekst napisał ksiądz? - spytała Remi.

- To pozostawiam już do waszej oceny.

- A czemu nasze oprogramowanie nie wyłapało tego szyfru?

- Bo w przeciwieństwie do mnie nie spędziliście ostatnich dwudziestu lat na kolekcjonowaniu wszystkich znanych w historii metod szyfrowania wiadomości - odparł Lazło ze skromnym uśmiechem.

- Więc co to właściwie jest?

- Kiedy przetłumaczyłem wszystkie łacińskie słowa na hiszpański, okazało się, że to zapis pewnej przekazywanej ustnie legendy, którą autor usłyszał od azteckiego więźnia wysokiego pochodzenia, kogoś w rodzaju kapłana. Być może jednego z najważniejszych w ich religii. Tak czy siak, ten więzień opowiedział autorowi o ogromnym skarbie złożonym w świętym miejscu. Miały się tam znajdować drogocenne kamienie, rzadkie ikony oraz coś, co jego przodkowie otrzymali od jednego z ich bogów.

- Od jednego z bogów?

- Tak tu jest napisane. W wolnym tłumaczeniu nazywają to Okiem Boga.

Remi wyprostowała się na krześle.

- Nie. Tu chodzi raczej o Oko Niebios, choć nigdy nie stwierdzono, żeby Toltekowie w jakikolwiek sposób wiązali swoje wierzenia z niebem. Nie wiemy jednak wystarczająco wiele na ich temat, by móc cokolwiek przyjmować za pewnik. Nie dziwi mnie natomiast, że chrześcijanin, mówiąc o takich rzeczach, jak życie pozagrobowe, posiłkował się słownictwem najbliższym jego własnym wierzeniom.

- Bóg, niebios, jak dla mnie, to na jedno wychodzi.

- Czy w tekście znajdują się jakieś wskazówki, gdzie można znaleźć to Oko Niebios? - spytał zawsze konkretny Sam.

- Bardzo zawoalowane, ale owszem. O ile wszystko dobrze zrozumiałem, zostało złożone w grobowcu jednego z ich bóstw z niewymawialnym imieniem.

- Quetzalcoatl - mruknęła Remi.

- Mniej więcej tak to brzmiało.

- A czy autor podaje, gdzie znajduje się ten grobowiec?

- W pobliżu świętego miejsca poświęconego temu bóstwu, rzecz jasna.

- Tak tu jest napisane?

- No, niedosłownie. To raczej sugestia, poparta jakimiś wynurzeniami o skrzydlatych wężach i temu podobnych. Nie mam zielonego pojęcia, czy uda wam się coś z tego zrozumieć, ale na wszelki wypadek zapisałem kopię mojego tłumaczenia na waszym dysku przenośnym. Mam nadzieję, że to naprowadzi was na właściwy trop, choć i tak oddacie cały skarb miejscowym, zamiast porządnie się nim nacieszyć jak rozsądni ludzie.

- Zgadza się. Nam nie chodzi o pieniądze. Dowolny procent wartości odnalezionego skarbu, jaki władze Meksyku postanowią nam wypłacić, o ile oczywiście w ogóle coś znajdziemy, trafi do naszej fundacji charytatywnej - powiedziała Remi.

- A czy wasza fundacja obejmuje patronatem również zrujnowanych i skompromitowanych byłych akademików?

- Niestety, na razie staramy się wspierać bardziej potrzebujących - odparł Sam z uśmiechem.

- Możesz to z nami przeanalizować, zdanie po zdaniu? - poprosiła Remi, a Lazło skinął głową.

Pół godziny później wszyscy przeciągnęli się na krzesłach. Na twarzy Sama malował się wyraz konsternacji, Remi pozostawała niewzruszona, a Lazło aż promieniał z poczucia dobrze spełnionego obowiązku.

- Nie mówi nam to, gdzie konkretnie szukać grobowca - stwierdził Sam.

Lazło się roześmiał.

- A co, spodziewałeś się czegoś w stylu: Przejdź pięćdziesiąt kroków na północny zachód spod starego dębu i kiedy ujrysz rozbity kamień, zacznij kopać? Niestety, nie ma tak dobrze.

- Chyba nie ma zbyt wielu świątyń poświęconych Que-tzalcoatlowi - myślała głośno Remi.

- Obawiam się, że może być ich całkiem sporo - odparł Sam. - Wierzyli w niego zarówno Toltekowie, jak i Aztecy oraz Majowie. Więc, w zależności od tego, kiedy powstał sam grobowiec, ciało mogło zostać złożone do istniejącej już krypty albo do zbudowanej specjalnie w tym celu. W manuskrypcie nie podano czasu pochówku, zgadza się?

- Nie. Napisano tu tylko „komnata pod piramidą” - powiedział Lazło, wskazując odpowiednią linijkę tekstu.

Sam pokręcił głową.

- Są dziesiątki albo nawet setki potencjalnych miejsc, a może też chodzić o świątynię, której do dziś nie odnaleziono. Na Jukatanie co roku wykopują nowe ruiny Majów.

- Może to także być jedna ze świątyń, które zostały zniszczone. Jak Chulula - dodała Remi.

- Nie chcę jeszcze bardziej psuć wam nastroju - powiedział Lazło - ale mogły też wystąpić jakieś przekłamania przy tłumaczeniu słów więźnia na hiszpański. Może wcale nie chodziło o świątynię poświęconą Quetzalcoatlowi, lecz o święte miejsce, w którym czczono go razem z innymi bóstwami.

- Więc czego tak naprawdę się dowiedzieliśmy? - spytała Remi.

- Że musicie kopać pod jedną z setek meksykańskich piramid - odparł Lazło. - Przynajmniej tyle wiemy na pewno; w tekście wyraźnie napisano, że komnata znajduje się pod piramidą, a nie za jedną ze ścian.

- O ile sam tekst jest w pełni wiarygodny. Wygląda na to, że sam Aztek nie był do końca pewien, gdzie dokładnie znajduje się ten grobowiec.

- Też racja - przyznał Lazło. - Autor zaznacza na wstępie, że treść jest oparta na przekazie ustnym. Jak zresztą w przypadku większości tego typu relacji.

Sam westchnął z rezygnacją i wstał.

- Nikt nie twierdził, że to będzie proste. Tak czy siak, odwalileś kawał pierwszorzędnej roboty, Lazło. Jestem pod wrażeniem.

- Bardzo mi miło, przyjacielu. Ech, gdyby tylko w tym moim schronieniu dopuszczali odrobinę ginu z tonikiem na potrzeby wznoszenia toastów... Niestety, podejrzewam, że pielęgniarkom by się to nie spodobało.

- To dla twojego dobra - powiedział łagodnie Sam.

- Obawiam się, że nawet gdybym miał umrzeć za tydzień, odczułbym to jak całą wieczność z suchym gardłem - droczył się Lazło, ale po chwili spoważniał i popatrzył na swoich gości z wyrazem ponurej akceptacji. - Dziękuję wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

- Mieliliśmy w tym pewien interes. Liczyliśmy na to, że zgodzisz się nam pomóc w odnalezieniu grobowca. Może zechciałbyś rzucić okiem na zdjęcia z miejsca, w którym doszło do trzęsienia ziemi, i powiedzieć, czy zgadzasz się z naszą interpretacją tamtejszych piktogramów?

- Z przyjemnością. Jestem na wasze usługi.

- I to mi się podoba.

Gdy ich taksówka zbliżała się do Instytutu, Remi chwyciła Sama za rękę i powiedziała:

- Nie martw się. Rozgryziemy to.

- Tak, zwykle w końcu nam się udaje.

- Mamy w tym sporo wprawy.

- Otóż to. Ale w tym przypadku nie zaszkodzi odrobina pomocy z zewnątrz. Co myślisz o wtajemniczeniu Carlosa we wszystko?

- Wolabym z tym jeszcze poczekać. Najpierw przekonajmy się, do czego zdołamy dojść na własną rękę. I nie zapominaj o naszej tajnej broni, niezrównanym Lazło - odparła Remi, choć w jej głosie słychać było nutę powątpiewania.

Sam kiwnął głową i lekko ścisnął jej dłoń.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie skierować nas we właściwą stronę, z pewnością są to Maribela i Antonio... - przerwał i spojrział w boczne lustro. Robił to co jakiś czas, odkąd ruszyli spod kliniki.
- Możesz poprosić kierowcę, żeby nie zatrzymywał się pod Instytutem? - spytał żonę.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Jedźcie za nami samochód, który widziałem już wcześniej, gdy jechaliśmy w tamtą stronę. Czarna toyota. Możemy być śledzeni i chciałbym się przekonać, czy rzeczywiście tak jest.

Remi pochyliła się do przodu i powiedziała do taksówkarza kilka zdań po hiszpańsku. Mężczyzna pokiwał głową i ruszył dalej na południe.

- Co mu powiedziałaś? - spytał Sam.

- Żeby zawiózł nas do restauracji, w której serwują najlepsze śniadania w okolicy.

- Świetny pomysł.

- I smaczny, mam nadzieję. Mam wielką ochotę na jajka i filiżankę gorącej kawy - oznajmiła Remi. Spojrzała w boczne lustro i dodała: - Co zrobimy, jeśli rzeczywiście ktoś nas śledzi?

- Dobre pytanie. Może spróbujemy zwabić ich do jakiegoś zaułka i wypytać, dla kogo pracują i czego chcą?

- Do tej pory ta metoda nie przynosiła najlepszych rezultatów.

- No dobrze. Więc co ty proponujesz?

- Na razie po prostu róbmy swoje. Postaramy się ich zgubić, kiedy będziemy się zajmować czymś naprawdę ważnym. Nie sądzę, aby informacje, że mieszkamy w hotelu i prowadzimy badania w Instytucie, mogły się komuś przydać. I tak wszyscy w Meksyku wiedzą, kim jesteśmy.

- Dobrze, że ktoś w naszym zespole potrafi myśleć rozsądnie. Ja zawsze w pierwszej chwili szykuję się do bitki - przyznał Sam.

- To też się przydaje w pewnych okolicznościach. Ale tym razem nie wiemy, na co byśmy się porywali, a nie mamy nawet broni.

- Zawsze musisz wylać kubel zimnej wody na moją gorącą głowę, co?

- Od tego mnie masz.

Kilka minut później taksówkarz zatrzymał się pod jedną z bardzo popularnych restauracji, sądząc po liczbie klientów. Gdy tylko Amerykanie weszli, hostessa zaprowadziła ich do stolika pod panoramicznym oknem. Salę wypełniał smaczkowy zapach przygotowywanych potraw i aromat świeżo parzonej kawy. Sam poczuł ślinkę napływającą mu do ust. Jeden rzut oka przez okno wystarczył, by się upewnić, że czarna toyota zaparkowała pięćdziesiąt metrów dalej, i tym samym pozbyć się wszelkich wątpliwości co do intencji jej kierowcy.

- Sam, wiem, że to, co teraz powiem, ci się nie spodoba, ale tylko jedna osoba wiedziała, że wybieramy się na Kubę, a teraz wróciliśmy do Meksyku.

- Nieprawda. - Sam pokręcił głową. - Wiedział też La-garde. Przesłał tu nasze rzeczy, czyż nie?

- To nie może być on. Jestem pewna, że to Kendra.

- Przyjmijmy, że masz rację. Stawiałoby nas to w bardzo nieciekawym położeniu.

- Co możemy zrobić?

- Przestać korzystać z pomocy z domu, dopóki Selma ponownie nie przejmie swoich obowiązków.

- A dlaczego nie każemy Kendrze po prostu się wynieść? - powiedziała Remi. - Jestem wściekła na samą myśl, że mogła nas szpiegować. Przecież ona i Selma to rodzina...

- Pomyśl, jak poczułaby się Selma, gdybyśmy zwolnili jej siostrzenicę? Nie, lepiej zachowajmy nasze podejrzenia dla siebie i starajmy się przekazywać Kendrze jak najmniej informacji. Nie chcę łamać Selmie serca.

Do stolika podeszła kelnerka i Remi zamówiła dwie kawy. W tym czasie Sam udawał, że czyta menu.

- Już wiesz, co zjemy? - spytała Remi.
- Huevos rancheros. To chyba musi być w menu, prawda?
- Może byłoby ci łatwiej, gdybyś nie trzymał karty do góry nogami.
- Nie przesadzaj, mój hiszpański nie jest aż tak zły.
- Skoro tak twierdzisz. Ale może lepiej ja zamówię śniadanie, bo jeszcze skończysz z pieczonym świńskim ryjem na talerzu.
- Bardzo lubię bekon.
- Więc nie zwalniamy Kendry?
- Nie - potwierdził Sam. - I nie zamawiamy świńskiego ryja.
- Fuj!

ROZDZIAŁ 26

Sam i Remi spędzili większość dnia w Instytucie, studiując kolekcję zebranych artefaktów w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, które mogłyby im ułatwić znalezienie właściwej świątyni. Zmierzchało już, kiedy niespodziewanie dołączyła do nich Maribela. Remi stała akurat przy komputerze męża, wskazując mu coś na zdjęciu jednej z budowli, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że na własnym komputerze zostawiła otwartą kopię manuskryptu. Zanim zdążyła wrócić i wyłączyć podgląd dokumentu, Maribela wpatrywała się w niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Znaleźliście go! - zawołała do nadbiegającej Remi. - Jesteście niesamowici! Myślałam, że już nigdy go nie zobaczymy.

Remi posłała Samowi zrezygnowane spojrzenie, po czym zwróciła się do Maribeli.

- Tak, czasem dopisuje nam szczęście. Kubańczycy byli zaskakująco pomocni. Być może wszystko zależy od odpowiedniego podejścia...

- Od razu poznałam, że to właśnie ten manuskrypt. Ale wciąż jest nie do odczytania. Złamanie tego szyfru może zająć lata.

- Właściwie to już go złamaliśmy - oznajmiła Remi z wyraźną nutą dumy w głosie.

- Naprawdę? Niesamowite! Prawdziwi z was cudotwórcy. Więc co tu jest napisane? Coś ciekawego?

- Właśnie nad tym pracujemy. W skrócie, jest to legenda o ukrytym grobowcu Quetzalcoatl'a i złożonych w nim skarbach, spisana przez hiszpańskiego księdza lub dobrze wykształconego szlachcica.

Maribela była wyraźnie zaskoczona.

- Spotkaliśmy się już ze wzmiankami o tej legendzie w innych tekstach. Czyżby ten

manuskrypt dotyczył wyłącznie jej?

- Tak, choć napisano go typowym dla epoki, bardzo mętnym językiem. Grobowiec został wykopany pod jedną z piramid. Tylko tyle udało nam się do tej pory wywnioskować.

- Zamierzaliśmy poprosić ciebie i Antonia o pomoc w dalszej analizie tekstu - powiedział Sam, który dołączył do kobiet. - Może zdołacie ustalić, o którą piramidę chodzi. O ile, rzecz jasna, nie przeszkodzi to wam w pracy...

- Ależ oczywiście! Jestem pewna, że mój brat będzie tego samego zdania. Z największą przyjemnością przeczytamy manuskrypt i podzielimy się z wami naszymi wnioskami. Antonio jest w swoim gabinecie, zaraz go przyprowadzę.

Maribela wyszła pośpiesznie, a Remi usiadła na swoim krześle i wbiła ponury wzrok w monitor komputera.

- Dałam płamę - mruknęła.

- Sami i tak tylko kręciliśmy się w kółko - powiedział Sam, próbując ją pocieszyć. - Może jeszcze wyjdzie nam to na dobre.

- Więc dlaczego czuję, że nawaliłam?

- Jesteśmy zwierzętami terytorialnymi i mamy silny instynkt rywalizacji. Mnie też nie zachwyca perspektywa dzielenia się „naszym” znaleziskiem.

- Na razie to żadne znalezisko. Udało nam się zaledwie odczytać manuskrypt, który równie dobrze może prowadzić donikąd.

- Więc pokazanie go innym w niczym nam nie zaszkodzi - orzekł Sam, wzruszając ramionami. - Zresztą gdybyśmy nawet coś odkryli na własną rękę, właśnie Antonio i Maribela zajmowałyby się pracami wykopaliskowymi. Powiem więcej, jeśli ten grobowiec rzeczywiście istnieje, będziemy potrzebowali pozwolenia meksykańskiego rządu na rozpoczęcie wykopalisk w pobliżu miejsca o wartości historycznej. Nie możemy tak po prostu wjechać koparką do obiektu będącego dziedzictwem ich kultury narodowej.

Maribela wróciła w towarzystwie Antonia i wszyscy czworo pochylili się nad laptopem Remi. Sam nie mógł nie zauważyć, że nawet po całym dniu spędzonym na pracy w terenie Maribela wyglądała, jakby dopiero co zeszła z wybiegu w Mediolanie. Remi najwyraźniej czytała mężowi w myślach, bo zanim wyświetliła na ekranie odszyfrowany tekst manuskryptu, posłała mu chmurne spojrzenie.

Przez następne dwie godziny czytali i dokładnie omawiali każde zdanie.

- To był ciężki dzień - rzekł wreszcie Sam, przeciągając się i spoglądając na zegarek. - Może wrócimy do tego jutro?

- Nie ma sprawy. Czy przeszkadzałoby wam, gdybyśmy skopiowali zdjęcia manuskryptu i odszyfrowany tekst, żeby popracować nad nim jeszcze w domu? - spytał Antonio, wyciągając z kieszeni pendrive'a.

- Ależ skąd - odparła Remi. - Tylko pamiętajcie o zachowaniu ścisłej tajemnicy. Ten tekst może nas doprowadzić do niezwykle cennego znaleziska, o ile zdołamy ustalić, o którą piramidę chodzi.

- Oczywiście. Tylko my z siostrą będziemy mieli wgląd w te pliki. No i jeszcze Carlos. Jest dyrektorem, więc potrzebujemy jego zgody, jeśli chcemy się tym zajmować w godzinach pracy.

- W porządku. Czy złapiemy go jeszcze w Instytucie? - spytał Sam.

- Nie, ale jutro będziemy tu z samego rana i wszystko mu wyjaśnimy. - Antonio zerknął na swój zegarek. - O której chcecie się z nami spotkać? Może o dziewiątej?

- Dziewiąta będzie idealna - odpowiedziała Remi, posyłając mu szeroki uśmiech.
- Zrobię wam te kopie - zaproponował Sam, sięgając po pendrive'a.

Kwadrans później Fargo wsiedli do taksówki. Gdy kierowca ruszył, Sam uśmiechnął się do Remi i spytał:

- Wolisz zjeść w hotelu czy poszukać czegoś na mieście? Mnie wszystko jedno, ale decyduj się szybko, bo jestem głodny jak wilk. Mógłbym zjeść konia z kopytami.
- I pewnie tak by było, gdybyś sam sobie coś zamówił - odparła. - Śniadanie mnie nie zachwycało.
- To pewnie przez ten świński ryj.
- Tak, chyba nie był najświeższy.
- Nie znoszę nieświeżych ryjów - przyznał Sam i oboje wybuchli śmiechem. - Wciąż żałujesz, że zdradziliśmy im nasz sekret?
- Nie, już się z tym pogodziłam. Przyznaję to niechętnie, ale chyba miałaś rację. Zachowywałam się jak samolubne dziecko.
- Nie przesadzaj. Ja w takiej sytuacji zareagowałbym identycznie.
- Ale po tobie spodziewam się dziecinnych odruchów.
- To element mojego młodzieńczego uroku.
- A żebyś wiedział.

Obiad w hotelowej restauracji, smaczny i obfity, poprawił im nastrój, zwłaszcza gdy Remi uznała, że jedna margaryta jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Kiedy jednak wrócili do pokoju, znowu zaczęli się zastanawiać, czy aby na pewno dobrze zrobili, oddając efekty swojej ciężkiej pracy w ręce obcych ludzi, i czy ostatecznie cokolwiek z tego wyniknie.

Następnego ranka obudziło ich stukanie ulewnego deszczu w okienne szyby.

- Myślałem, że w Meksyku panują wieczne upały i zawsze świeci słońce - mruknął Sam.
- Jak do tej pory na pewno było cieplej niż w domu - zauważyła Remi.
- Ale padało więcej niż w Seattle.
- Pewnie taka pora roku. Zdążymy jeszcze napić się kawy i zjeść coś na szybko?

Sam spojrzął na zegarek i wszedł za żoną do łazienki.

- Chyba tak, o ile nie będę golił nóg - odparł.
- Dzisiaj mogę ci to darować.

Jazda do Instytutu była wyjątkowo długa. Ulice spływały wypłukanymi śmieciami, a z przepelnionych studzienek lała się woda. Gdy wreszcie dotarli na miejsce, było wpół do dziesiątej. Maribela czekała na nich z wyrazem podekscytowania na twarzy. Widać było, że ma do powiedzenia coś ważnego.

- Dzień dobry, Maribelo - przywitał się Sam, przeczesując palcami włosy, przemoczone podczas biegu z taksówki.
- Dzień dobry.
- Jak minęła wam noc? - spytała Remi.
- Niewiele spaliśmy, ale mamy dobre wieści. Antonio sądzi, że wie, o którą piramidę może chodzić.
- Naprawdę? To świetnie! - ucieszył się Sam. - Jak do tego doszedł?

- Odrzucił wszystkie świątynie Majów, które nie pasowały do opisu albo były poświęcone jakiemuś bóstwu zapożyczonemu od Azteków. Aztekowie mieli sporadyczne kontakty z Majami, poza tym podróż stąd na Jukatan była w tamtym czasie niezwykle trudna i żadnej większej pielgrzymki na tej trasie nie udałoby się utrzymać w tajemnicy. No i jeśli ciało nie zostało odpowiednio spreparowane, musiało zostać złożone do grobu krótko po śmierci Quetzalcoatl, oczywiście władcy, nie bóstwa. To w znacznym stopniu zawęża zakres możliwości.

- Brzmi bardzo rozsądnie - orzekła Remi.

- Pozostają więc piramidy, które istniały już w chwili jego śmierci - ciągnęła Maribela. - Dokładna data nie jest znana, ale szacujemy, że zmarł między rokiem dziewięćset osiemdziesiątym a tysiąc setnym. To daje zaledwie kilka możliwości i żadna z tych piramid nie należała do Azteków.

- A co, jeżeli grobowiec wybudowano później i przeniesiono do niego ciało? - spytał Sam.

- Teoretycznie mogło tak być, ale tekst raczej to wyklucza - odparła Maribela. - Autor manuskryptu spisał opowieść azteckiego kapłana, więc musiał ją przełożyć na hiszpański, a żadne tłumaczenie nie jest w pełni wierne oryginałowi. Nie wszystko da się przełożyć dosłownie.

Remi skinęła głową.

- Rozumiemy. Ale ponieważ to wasza specjalność...

- No właśnie. Jesteśmy w stanie wywnioskować, co mogło przepaść w tłumaczeniu. Jeśli się nie mylimy, a to nie jest wykluczone, właściwa piramida znajduje się pośród ruin na północ lub na wschód od stolicy Meksyku.

- Czyli w grę wchodzi Teotihuacan, Cholula i Tuła, zgadza się?

- Nie, Cholula leży na południu, niedaleko Puebla.

- I jesteście całkowicie pewni, że nie chodzi o któreś z miast Majów?

- Na tyle, na ile można czegokolwiek być pewnym w takiej sytuacji. Opieramy się głównie na założeniu, że Toltekowie nie zdołaliby utrzymać w tajemnicy budowy sekretnej grobowca pod świętą piramidą. To musi być albo Teotihuacan, które w momencie śmierci Quetzalcoatl było już opuszczone, albo Tuła, gdzie sprawował rządy, dopóki nie został wygnany pod koniec swojego panowania. Bardziej prawdopodobne wydaje się Teotihuacan, bo nikt już tam nie mieszkał i prace pod świątynią mogły być prowadzone w tajemnicy.

- Na pewno wymagały dużej liczby robotników - stwierdził Sam.

- Tak, ale w manuskrypcie wspomniany jest tajny zakon, który uznawał Quetzalcoatl za wcielenie boga, a po jego śmierci zajmował się strzeżeniem jego świętego grobowca. Jeśli ci ludzie byli wierni swojej regule, z pewnością mogli zbudować grobowiec i zamieszkać w mieście, utrzymując wszystko w tajemnicy przez wiele pokoleń.

- Więc interesuje nas Świątynia Pierzastego Węża w Teotihuacan? - upewniła się Remi - Brałiśmy już ją pod uwagę, ale uznaliśmy, że to byłoby zbyt oczywiste.

- Często najciemniej jest pod latarnią, zwłaszcza jeśli chce się ukryć coś szczególnie ważnego. W tej chwili prowadzimy wykopaliska w tym rejonie. Odkryliśmy system tuneli pod świątynią, ale został zasypany około roku dwieście pięćdziesiątego i odkopywanie go idzie bardzo wolno.

- Czyli w końcu odnaleźlibyście grobowiec i bez naszej pomocy, o ile rzeczywiście tam jest - zauważyła Remi.

Przyszedł Antonio i do nich dołączył.

- Maribela właśnie przedstawiła nam twoją teorię co do położenia grobowca - powiedział Sam.

- Cóż, to tylko spekulacje, ale gdybym musiał wybierać, rozpocząłbym poszukiwania pod

Świątynią Pierzastego Węża - potwierdził Antonio.

- Ale przecież po odkryciu tunelu przeprowadzono badania sonarem i nic więcej nie znaleziono - przypomniała Remi. - Może właśnie sam tunel prowadzi do grobowca?

- Wątpię. Te wykopaliska prowadzi nasz dobry znajomy i gdyby coś znaleźli, już dawno byśmy o tym wiedzieli. Badania sonarem przeprowadzono tylko w jednym rejonie, po odkryciu ostatniego tunelu. Jeśli grobowiec znajduje się gdzieś indziej na terenie wykopalisk albo jeszcze głębiej, pod tunelami, mogłyby minąć dziesiątki lat, zanim byśmy się na niego natknęli.

- A w jaki sposób znajdziemy go teraz? - spytał Sam.

- Według naszej interpretacji w manuskrypcie znajdują się wskazówki dotyczące kilku konkretnych miejsc wewnątrz piramidy. Ale że dla szesnastowiecznych odkrywców znalezienie samej piramidy okazało się niewykonalne, ówczesne poszukiwania w końcu zarzucono.

- Jak możemy zdobyć pozwolenie na prowadzenie wykopalisk?

- Musicie się zwrócić do ministerstwa. Właśnie omawiałem tę sprawę z Carlosem. On złoży odpowiedni wniosek i postara się nadać sprawie szybszy bieg.

- Ile to może potrwać? - spytała Remi.

- O ile nie będzie żadnych opóźnień, około tygodnia - odparła Maribela.

- Pozostaje jeszcze kwestia funduszy na wykopaliska - dodał Antonio. - W Instytucie zawsze brakuje pieniędzy, a ostatnie odkrycie pochłonęło całe nasze rezerwy finansowe.

Fargo uśmiechnęli się jednocześnie.

- Możemy przekazać datek na rzecz Instytutu, jeśli to przyspieszy przygotowania - zaproponował Sam. - Powiedzcie tylko, ile będziecie potrzebować, a my zajmiemy się resztą. Sfinansowaliśmy już niejedną ekspedycję archeologiczną, więc czemu nie mielibyśmy pomóc i tym razem? To znalezisko będzie miało znacznie wyższą wartość niż koszt niewielkiej ekipy wykopaliskowej...

- Jesteście bardzo hojni - rzekł Antonio. - Może od razu powiecie o tym Carlosowi. To on zajmuje się finansami Instytutu.

Sam i Remi weszli na piętro, gdzie znajdował się gabinet Carlosa, i zapukali do drzwi. Otworzył im z szerokim uśmiechem i zaprosił do środka. Najpierw przedstawili mu przesłanki wskazujące, że grobowiec może się znajdować pod Świątynią Pierzastego Węża, co przyjęli z dużą dozą entuzjazmu. Gdy poruszyli temat logistyki i ich udziału w wykopaliskach, unikał podania konkretnej daty rozpoczęcia prac. Dopiero kiedy Sam zaproponował, że sfinansuje przedsięwzięcie z własnej kieszeni, wyraźnie się ożywił.

- To niezwykła hojność z waszej strony - powiedział. - Myślę, że otrzymamy pozwolenie z ministerstwa znacznie szybciej, jeśli będziemy mieli zapewnione środki finansowe.

- Na to liczymy - przyznał Sam. - Nie chcemy zwlekać dłużej, niż to konieczne. Powiedz tylko, ile potrzebujecie, a pieniądze trafią na konto Instytutu. Możemy je przelać choćby jutro.

- Nie powinna to być duża kwota, skoro skupiamy się na konkretnym miejscu. Będziemy potrzebowali kilku robotników, nadzorca, trochę sprzętu do kopania...

~ Skaner też może się przydać - wtrąciła Remi.

- Raczej nie, ale na pewno nie zawadzi dopisać go do budżetu. Powinniśmy się zmieścić w pięćdziesięciu tysiącach dolarów amerykańskich, wliczając w to koszt wydania pozwolenia. Skaner będziemy musieli sprowadzić ze Stanów, razem z wykwalifikowanym operatorem.

- Załatwione.

Kiedy wrócili do swojego tymczasowego biura, Antonio przyglądał się zdjęciu satelitarnemu przyszełego miejsca prac, a Maribela wskazywała na nim jeden z rogów piramidy.

- To jest najbardziej prawdopodobne miejsce - powiedziała, stukając palcem w monitor. - Są tu wszystkie elementy wspomniane w manuskrypcie...

- Może to niemądre pytanie - odezwał się Sam - ale czy ta piramida jest pusta w środku?

- Sprawia wrażenie pustej, ale jądro jest zbyt głęboko, żeby dało się do niego dotrzeć z zewnątrz - odparła Maribela, prostując się na krześle. - Na pierwotnej piramidzie wzniesiono kilka następnych. Archeolodzy przekopali się do środka i znaleźli w każdym z jej rogów ponad dwieście szkieletów. Przeprowadzono też pomiary sonarem i nie znaleziono żadnej komnaty.

- Co jeszcze nie znaczy, że jej tam nie ma - stwierdził Sam. - Sonary mają swoje ograniczenia.

- A co z tą dodatkową platformą z przodu piramidy? Czy grobowiec nie może znajdować się pod nią? - zapytała Remi.

- Tę platformę zbudowano później niż samą piramidę - odpowiedział Antonio. - Prawdopodobnie miała zastąpić świątynię jako miejsce modłów. Wprawdzie manuskrypt o niej nie wspomina, ale możesz mieć rację, niewykluczone, że grobowiec znajduje się pod nią. Równie możliwe jest, że popełniliśmy błąd przy odczytywaniu tekstu i grobowca nie ma w żadnym z tych miejsc.

- Ale według was Świątynia Pierzastego Węża jest najbardziej prawdopodobna? - podsumował Sam.

- Tak nam się wydaje - potwierdził Antonio.

- Warto by tam pojechać i się rozejrzeć, jeszcze zanim otrzymamy pozwolenie na prowadzenie wykopalisk - zasugerował Sam.

- Może kiedy przestanie padać - odparła Remi, wyglądając przez okno. - To chyba nie jest daleko?

- Jakieś czterdzieści kilometrów stąd.

- Więc tak zrobimy - postanowiła. - Chyba że ktoś z was ma inny pomysł?

Sam pokręcił przecząco głową.

- To dobry plan. Pozostaje nam tylko liczyć na to, że wkrótce się przejaśni.

ROZDZIAŁ 27

Deszcz padał przez cały następny dzień, więc Sam i Remi spędzali czas, zapoznając się ze wszystkimi dostępnymi informacjami na temat Teotihuacan, a zwłaszcza Świątyni Pierzastego Węża. Historia miasta była niezwykła, podobnie jak szybkość, z jaką stało się kompletnie wyludnione w pewnym okresie było największym miastem na świecie, ale około roku 700 zostało opuszczone, a pięćdziesiąt lat później spłonęło w pożarze. W Teotihuacan, które miało więcej mieszkańców niż starożytny Rzym, nie ostała się żywa dusza. O założycielach miasta było wiadomo równie mało jak o Toltekach, którzy mieli swoją siedzibę niecałe sto kilometrów na północ.

Fargo nie rozmawiali z Carlosem, ale domyślali się, że pracuje w swoim drugim gabinecie i skontaktuje się z nimi w sprawie funduszy na wykopaliska, gdy tylko uzyska pozwolenie z ministerstwa. Czas im się dłużył i o piątej postanowili wrócić do hotelu.

Następny rano przyniósł upragnione słońce i tym samym możliwość wyjazdu do Teotihuacan. Chcieli zobaczyć teren przyszłych prac i obiekty, które do tej pory znali tylko ze zdjęć. Choć widzieli już setki wspaniałych zabytków, kiedy wysiedli z taksówki przy wielkim kamiennym posągu stojącym koło wejścia na teren muzeum, byli pod wrażeniem.

Dołączyli do grupki niemieckich turystów i weszli na długą i szeroką Aleję Zmarłych, która przecinała całe miasto i kończyła się u stóp Piramidy Księżyca. Świątynia Pierzastego Węża znajdowała się na drugim końcu nieodkopywanej jeszcze sekcji miasta, a między oboma budowlami wznosiła się imponująca Piramida Słońca - trzecia co do wielkości piramida świata, po tych w Egipcie i Cholula.

- Naprawdę wspaniałe - powiedział Sam, wskazując gestem okoliczne budowle. - Jak zaawansowana musiała być cywilizacja, która je wzniosła. Są ogromne i piękne, ale najbardziej niewiarygodne jest to, z jaką precyzją zostały zaprojektowane i rozmieszczone. Frontowa ściana Piramidy Słońca wskazuje miejsce, w którym słońce zachodzi podczas równonocy, a Aleja Zmarłych punkt, w którym Plejady znikają za horyzontem. Astronomia odgrywała ogromną rolę w życiu tych ludzi.

- Nie spodziewałam się, że będzie tu tak koszmarnie gorąco - powiedziała Remi, ujmując męża pod ramię. - I pomyśleć, że narzekałam na zimno na Ziemi Baffina. Za mrozem może nie tęsknię, ale przydałoby się trochę cienia.

Kontynuowali przechadzkę w milczeniu, a gdy dotarli do połowy alei, Sam wyjął z kieszeni swój telefon komórkowy i uniósł wysoko, jakby szukał zasięgu.

- Nie odwracaj się - powiedział przyciszonym głosem - ale wygląda na to, że mamy ogon. Trzyma się twardo jakieś dwieście metrów za nami.

- Jesteś pewien?

- Sama zobacz.

Gdy udawał, że szuka zasięgu, nagrywał wbudowaną w telefon kamerą obraz zza swoich pleców. Teraz przewinął nagranie o kilka sekund i podał komórkę żonie. Obraz kołysał się na wszystkie strony, ale wyraźnie widać było idącego samotnie Latynosa pod trzydziestkę, który nie pasował do reszty turystów. Miał na sobie grubsze ubrania niż oni i zdecydowanie dawało mu się to we znaki.

- Chyba nie jest w najlepszym humorze - zauważyła Remi.

- Pewnie sądził, że cały dzień spędzi w samochodzie, a nie na wycieczce krajoznawczej.

- Wiesz, pomyślałam, że powinniśmy zwiększyć tempo i spędzić tu więcej czasu, niż planowaliśmy - oznajmiła Remi, oddając mężowi telefon.

- Facet wybrał sobie kiepski dzień na śledzenie nas - skomentował Sam.

- Postarajmy się, żeby musiał ciężko zapracować na swoje pieniądze.

- Jesteś bezwzględna, Remi Fargo.

- Owszem, mój drogi. Nie inaczej.

Przed nimi rozpościerał się widok na ogromną Piramidę Księżyca i dwie mniejsze świątynie stojące po obu jej bokach. Zatrzymali się przy Pałacu Jaguarów, odsapnęli chwilę w cieniu rzucanym przez stojące nieopodal zadaszenie z blachy falistej, po czym ruszyli w stronę Pałacu Quetzalpapalotla, który został niedawno odnowiony i odzyskał swoje pierwotne piękno. Nie spieszyli się ze zwiedzaniem, wiedząc, że ich prześladowca musi na nich czekać w prażącym słońcu. Kiedy wreszcie dał za wygraną i wszedł do środka, opuścili pałac i skierowali się do Piramidy Księżyca. Latynos, chcąc nie chcąc, ruszył w ich ślady.

- Prawie mi go szkoda - powiedział Sam, gdy razem z kilkorgiem szczególnie wytrwałych

turystów wspinali się po schodach prowadzących do świątyni.

- A mnie wcale - odparła Remi. - Nikt go nie zmusza do chodzenia za nami.

- To zdecydowanie nie jest jego szczęśliwy dzień. Zauważyłaś, że ma czarne skórzane półbuty? Zdziwiłbym się, gdyby jutro był w stanie przejść więcej niż pięć kroków.

- A jeszcze tyle musimy zobaczyć. O rany, co za widok! - Remi wyciągnęła z kieszeni komórkę i zrobiła kilka zdjęć całego miasta, rozpościerającego się w tej chwili pod ich stopami. Oboje podziwiali fascynującą panoramę budowli, drżących w unoszącym się znad ziemi gorącym powietrzu.

- To dokąd teraz? - spytał Sam.

- Musimy odwiedzić Piramidę Słońca. A potem przejdziemy do Cytadeli, sekcji, w której na samym końcu wznosi się Świątynia Pierzastego Węża.

- Dobrze, że zjedliśmy porządne śniadanie, bo nie wyjdziemy stąd przed drugą, a może nawet trzecią.

- Do tego czasu nasz ogon pewnie będzie się czołgał. Czy mamusia go nie nauczyła, jak ważne jest dobre obuwie?

- I krem przeciwsłoneczny. Niewątpliwie żałuje, że nie założył chociaż kapelusza. Czeką go sporo paskudnych poparzeń. Jesteśmy ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza.

- Ojej, teraz i mnie zrobiło się go trochę szkoda - przyznała Remi. - Ale nie na tyle, by pozwolić mu odpocząć. Czy dobrze pamiętam, że przed zniszczeniem miasta na szczycie każdej z tych mniejszych piramid stała świątynia? - spytała, wskazując rząd budowli po lewej.

- Tak się przypuszcza.

- Na myśl o tym można się poczuć naprawdę malutkim i niewiele znaczącym. Przecież to wszystko istniało tu i tętniło życiem półtora tysiąca lat przed naszym narodzeniem. A teraz z miasta została tylko wielka kupa gruzu.

- Wszyscy kiedyś umrzemy. Dlatego trzeba korzystać z danego nam czasu, dopóki wciąż świeci słońce. A dzisiaj świeci wyjątkowo mocno, co najlepiej może potwierdzić nasz tajemniczy towarzysz.

- Chodźmy do wielkiej piramidy - powiedziała Remi, biorąc męża za rękę. - Nasz przyjaciel dość już leniuchował. Jeżeli dalej będzie się przyglądał wszystkim innym budowliom w okolicy, wszyscy się zorientują, że coś z nim jest nie tak. Przecież właśnie ta piramida jest tu główną atrakcją i wszyscy oprócz niego weszli na górę.

Piramidy wydawały się niewielkie, bo niemal całkowicie pochłonęła je ziemia. Przed rozpoczęciem wykopalisk zaledwie w kilku miejscach wystawały najwyższe fragmenty niektórych budowli. Zupełnie jakby sama ziemia starała się zatrzeć wszelkie ślady po wspaniałym niegdyś mieście Teotihuacan.

Weszli po schodach na szczyt Piramidy Słońca i popatrzyli w dół na miasto, znajdujące się teraz sześćdziesiąt metrów pod nimi.

- Biedny Quetzalcoatl, jego piramida wydaje się naprawdę skromna w porównaniu z tą. Najwyraźniej już w tamtych czasach nie umieli uszanować pierzastych węży - zażartował Sam, czując na twarzy orzeźwiający powiew chłodniejszego powietrza.

- Wejźmy do muzeum, na pewno mają tam klimatyzację - zaproponowała Remi. - Odpoczniemy trochę w środku i wreszcie pójdziemy do pana węża.

- Podoba mi się twój plan. Zwłaszcza ta część o klimatyzacji.

W muzeum znajdowało się mnóstwo artefaktów znalezionych podczas trwających od stu lat prac archeologicznych, a także plan miasta i komputerowa symulacja przedstawiająca, jak wyglądało w okresie swojej świetności. Fargo przez kwadrans podziwiali ekspozycję, rozkoszując się przyjemnym chłodem panującym w pomieszczeniu, po czym ruszyli do części miasta nazwanej przez Hiszpanów Cytadelą. Konkwistadorzy myśleli, że znajduje się tu fort obronny, ale w rzeczywistości był to plac, na którym wznosiła się Świątynia Pierzastego Węża.

Piramida była znacznie mniejsza od dwóch poprzednich, więc z daleka nie wyglądała imponująco. Dopiero gdy Fargo weszli po schodach na zbudowaną przed świątynią platformę, ujrzeli zdobiące ją misternie wyrzeźbione węzowe łąby i malunki węży oplatających każdy poziom piramidy.

- Ktoś tu miał słabość do węży - skomentował Sam.
- Dobry wąż nie jest zły. To od dzisiaj moje nowe motto - oznajmiła Remi.
- W takim razie nie mogłaś lepiej trafić. Tutaj wszystko kręci się wokół węży.
- Ale z piórami. Nie zapominaj o ich bogatym upierzeniu.
- Gdzieżbym śmiał.
- Sama piramida jest zamknięta dla zwiedzających - zauważyła Remi. - Pewnie cały czas pracują nad resztą węzowych posągów.
- Coś mi mówi, że z taką piramidą jest jak z mostem. Cały czas trzeba coś naprawiać.
- Więc to tutaj znajdowało się centrum miasta?
- Tak twierdzą badacze. Reszta budowli leży teraz pewnie pod tymi polami uprawnymi.
- I pod tym centrum handlowym.
- A nasz grobowiec znajduje się pod tylną ścianą? - Remi wycelowała palec w stronę piramidy. - Możemy przejść dookoła?

- Chyba nie, przejście jest ogrodzone. Ale kiedy już dostaniemy pozwolenie, będziemy tu spędzać całe dni i chodzić, gdzie nam się spodoba. Teraz na pewno nie ma tam nic oprócz piachu.

Dwadzieścia minut później opuścili Cytadelę i skierowali się do głównego wejścia na teren kompleksu, gdzie na wycieńczonych morderczym upałem turystów czekał cały rząd taksówek. Gdy wsiadali do jednej z nich, Remi obejrzała się przez ramię, by zobaczyć, jak ich prześladowca pędzi, ile mu jeszcze sił zostało w nogach, do zaparkowanego w oddali samochodu.

- Poczekamy na niego? - spytała.
- Nie - odparł Sam. - Po co mu ułatwiać robotę?
- Ciekawe, kto to jest. A raczej dla kogo pracuje.
- Dla kogoś, kto wkrótce będzie mocno wkurzony. Nie martw się, zgubimy ich, gdy już dostaniemy pozwolenie na rozpoczęcie wykopalisk. W okolicy jest mnóstwo małych hoteli, w których nikt nas nie wytropi. Ślad urwie się wraz z pozostawioną w pośpiechu pustą walizką.
- Obyś miał rację.

Jazda powrotna trwała godzinę. Po zjedzeniu późnego lunchu w jednej z pobliskich restauracji Fargo udali się do Instytutu. Przed budynkiem stały dwa radiowozy otoczone przez grupkę ciekawskich studentów.

- O co może chodzić? - zastanawiała się Remi, wchodząc do środka.

Przy biurku ochroniarza stała Maribela. Rozmawiała z policjantem, ale na widok Amerykanów przeprosiła funkcjonariusza i ruszyła w ich stronę.

- Co się stało? - spytał Sam.

- Carlos zniknął - odparła. - Policja twierdzi, że został porwany.
- Porwany?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Remi. Maribela kiwnęła głową.
- Niestety tak. W Mexico City porwania zdarzają się nagminnie.
- To potworne. Co robi policja?
- Przeszukują jego gabinet w nadziei, że znajdą tam coś, co ich naprowadzi na ślad porywaczy. Ale to tylko rutynowa procedura. Takie akcje przeprowadzają zwykle duże, zorganizowane gangi, a ich ofiarami padają osoby bogate lub wpływowe. Niestety, Carlos jest po trosze jednym i drugim. Pochodzi z bogatej rodziny i ma kontakty w sferach rządowych.
- Czy... czy porywacze krzywdzą swoje ofiary?
- Czasami to się zdarza. - Maribela westchnęła ciężko. -Ale będziemy się modlić, żeby sprawa szybko się rozwiązała i Carlos wrócił do nas cały i zdrowy. Obawiam się, że to wszystko, co możemy zrobić.

ROZDZIAŁ 28

Okazało się, że wraz ze zniknięciem Carlosa w bezbrzeżnej otchłani meksykańskiej biurokracji zniknął także wniosek o pozwolenie na prowadzenie wykopalisk. Bez wsparcia szefa Instytutu sprawa utknęła w martwym punkcie. Antonio złożył nawet wizytę w ministerstwie, by spytać o ewentualne postępy, ale wrócił z markotną miną.

- Nikt nic nie wie o naszym wniosku, więc pozwoliłem sobie złożyć jeszcze jeden. Tak czy siak, jesteśmy do tyłu co najmniej o tydzień.
- To niedobrze, ale chyba nic innego nie możemy zrobić - stwierdził Sam.
- Niestety, tak działa system. Jest dziurawy i pełen wad, a nie ma innej drogi.
- Jak długo potrwa rozpatrywanie nowego wniosku?
- Możemy czekać nawet miesiąc. Powiedziałem, że otrzymaliśmy propozycję przekazania funduszy na prace wykopaliskowe, więc może to choć trochę przyspieszy sprawę.
- Miesiąc to zdecydowanie za długo. Carlos twierdził, że załatwi pozwolenie w tydzień.
- I pewnie by to zrobił, ale teraz go tu nie ma, a sami nie jesteśmy w stanie wykorzystać jego kontaktów w ministerstwie. Carlos mógł zaprosić odpowiednią osobę na przyjacielski lunch, a ja nie wiem nawet, do kogo miałbym się zwrócić. Całe życie spędziłem w Instytucie albo na wykopaliskach.

Remi poprawiła się na krześle.

- Czy możemy jakoś przyspieszyć ten proces? - spytała.
- Naprawdę chciałbym, żeby coś dało się zrobić, ale nic nie przychodzi mi do głowy - odparł Antonio, po czym pożegnał się i pojechał na miejsce ostatniego znaleziska.

Sam wrócił do przeglądania zdjęć tuneli odkrytych pod Świątynią Pierzastego Węża, a Remi analizowała piktogramy z krypt odsłoniętych podczas trzęsienia ziemi. O pierwszej zrobili sobie przerwę na lunch. Potem Sam zadzwonił do kliniki, w której przebywał Lazło. Telefon odebrała dyrektorka zakładu, Isabella Benito. Po wymianie formułek grzecznościowych Sam przeszedł do rzeczy.

- Jak się miewa pacjent? - spytał.
- Fizycznie szybko nabiera sił i jest już w niezłej formie. Przytył trzy kilo i codziennie

ćwiczy.

- A psychicznie?
- Niestety, to zawsze wymaga znacznie więcej czasu i wysiłku. Psychiczne uzależnienie od alkoholu jest bardzo silne, a on boryka się z nim już od wielu lat.
- Rozumiem.
- Musi dokonać ewaluacji całego swojego dotychczasowego życia, by móc zacząć planować przyszłość bez alkoholu. To właśnie jest najtrudniejsza część leczenia. Niestety, wielu pacjentów nie przechodzi tego procesu i wcześniej czy później pada ofiarą starych nawyków.

Sam westchnął, po czym zadał kluczowe pytanie:

- Czy pani zdaniem jest w wystarczająco dobrym stanie, by pomóc nam przy pewnym projekcie?
 - To zależy od tego, czym miałyby się zajmować. Jeśli chcą państwo znaleźć mu jakieś dodatkowe zajęcie na czas rekonwalescencji, jestem gotowa się zgodzić. To mogłoby mieć nawet walory terapeutyczne.
 - A czy mógłby do nas dołączyć przy pracach w terenie?
 - W terenie? Ma pan na myśli opuszczenie kliniki przed zakończeniem terapii?
 - Tylko na krótkie okresy. Raz na jeden dzień, innym razem może na dwa. Co pani o tym myśli?
- Benito milczała chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.
- Zbliżamy się do etapu, w którym chcielibyśmy zacząć wprowadzać go na nowo do świata zewnętrznego - rzekła wreszcie. - Należy to jednak robić stopniowo i bardzo ostrożnie. W ściśle określonych warunkach i pod stałym nadzorem.
 - Więc przyznaje pani, że może już zacząć powrót do świata?
 - Tak, ale ja mam na myśli wyjścia do restauracji z grupą pacjentów i pod opieką terapeuty czy robienie zakupów.

Odnoszę wrażenie, że panu chodzi o coś bardziej... wymagającego.

- Señora Benito, Lazlo jest przede wszystkim naukowcem. Większość życia poświęcił swoim badaniom. Stymulacja intelektualna jest mu potrzebna jak powietrze. Ja proponuję zapewnienie mu pracy, która w stu procentach przykuje jego uwagę. Da mu nowy cel w życiu.
- Jeśli taka jest pańska decyzja, nie będę się sprzeciwiać, ale musi pan wziąć na siebie całą odpowiedzialność za jego stan.
- Oczywiście. Jeżeli dobrze zrozumiałem, próbuje mi pani dać do zrozumienia, że prawdopodobnie jest już gotowy podjąć takie wyzwanie, ale nie może mi pani zagwarantować, że... nie zejdzie z powrotem na złą drogę.
- Nie dostrzegam żadnych potencjalnych niebezpieczeństw w tym, co pan proponuje - kobieta starannie dobierała słowa - ale nikt nie jest w stanie przewidzieć reakcji pacjenta na zmianę otoczenia, zwłaszcza na tak wczesnym etapie leczenia.
- Będę miał to na uwadze. Dziękuję pani za szczerość.
- Bardzo proszę.
- Po południu przyjedziemy go odwiedzić.

Sam rozłączył się i streścił rozmowę Remi, która w międzyczasie zamknęła swój laptop i zaczęła się pakować.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała z zatroskaną miną. - Wprawdzie już wykonał dla nas kawał dobrej roboty, odszyfrowując tekst manuskryptu, ale z tego, co mówisz, wynika, że zagrożenie wciąż istnieje.

- To nie ulega wątpliwości. Uważam jednak, że praca z nami mogłaby mu pomóc, a nam przyda się jeszcze jedna para doświadczonych oczu. Co w tym złego?

- Znowu zaczynasz.

- Przepraszam. Remi westchnęła.

- Chodźmy coś zjeść, a później odwiedzimy go, zobaczymy, jak się czuje, i zdecydujemy na miejscu. Jeśli wszystko z nim w porządku, niech jedzie. Może być?

- W porządku - zgodził się Sam. - Ale na wszelki wypadek przygotuj mały zestaw poglądowy dla Lazła.

- Czytam ci w myślach - odparła Remi, unosząc w dłoni dysk przenośny.

W pełni świadomi, że są śledzeni, pojechali na drugi koniec miasta do kliniki uzależnień. Gdy weszli do pokoju Kempa, ten siedział na łóżku i czytał książkę.

- I jak ci się podoba życie pozbawione trosk? - spytał Sam, podchodząc do niego i podając mu dłoń na przywitanie.

- Zaczynam już chodzić po ścianach od tej ugrzeczniejszej diety. Kto by pomyślał, że kultywowanie cnoty może być takie nudne?

- Dobrze wyglądasz - zauważyła z uśmiechem Remi.

- Pochlebstwem możesz u mnie dużo wskórać, młoda damo. Siadajcie, proszę. - Lazło wskazał im kanapę. - Jestem bardzo ciekawy, jak postępują poszukiwania zaginionego grobowca. Czy mogę wam zaproponować szklankę wody? Obawiam się, że na nic lepszego nie możemy tu liczyć, chyba że chcecie, abym zamówił wam kawę. Już dawno straciłem resztki nadziei na kubek porządnej herbaty.

Opowiedzieli mu o swoich domysłach. Lazło słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając krótkie pytania, rzeczowe i konkretne. Po półgodzinnej dyskusji Fargo wymienili spojrzenia. Sam nieznacznie skinął głową, a Remi pochyliła się do przodu, krzyżując ręce na kolanach.

- Lazło, przydałaby się nam twoja pomoc - zagaiła. - Czy mógłbyś obejrzeć wszystko, co do tej pory znaleźliśmy, i przedstawić nam swoją opinię?

- Cóż, nie wiem, dlaczego moja opinia miałaby być lepsza od waszej, ale jeśli mogę w czymkolwiek pomóc, zrobię to z przyjemnością. I tak nie mam tu nic ciekawego do roboty.

Remi wyjęła z torebki dysk przenośny.

- Tutaj są zdjęcia zebranych do tej pory materiałów. Piktogramy z odkrytego niedawno grobowca Tolteków, wszystko, co udało nam się znaleźć w zbiorach Instytutu, linki internetowe, mapy, cały zestaw.

- Wygląda na to, że przez najbliższe parę godzin będę miał zajęcie. - Lazło wziął od niej dysk. - Kiedy zaczynacie wykopaliska?

- Wciąż czekamy na pozwolenie. Pojawiły się pewne komplikacje - odpowiedział Sam.

- To znaczy?

Opowiedzieli o porwaniu Carlosa i spowodowanym przez nie opóźnieniu w rozpatrzeniu wniosku. Lazło westchnął i pokręcił głową.

- Wyjątkowy pech. Więc na razie sprawa utkwiała w martwym punkcie?

- Niestety, wszystko na to wskazuje - potwierdził Sam.
- Jedyna pociecha w tym, że będę miał więcej czasu na zapoznanie się z waszymi dotychczasowymi odkryciami -orzekł Lazło.
- Słusznie. Ale mamy nadzieję, że wkrótce dostaniemy zgodę na rozpoczęcie prac - powiedziała Remi. - Chcielibyśmy, żebyś nam towarzyszył.
- I myślicie, że moi strażnicy się na to zgodzą? - spytał Lazło, unosząc brew.
- Tak, o ile tylko obiecasz, że będziesz grzeczny.
- Do tej pory najgrzeczniejszy bywałem dopiero po kilku głębszych...
- Ale teraz jesteś nowym człowiekiem, przyjacielu. -Sam uśmiechnął się szeroko. - A pomagając nam, będziesz miał szansę zastąpić mocno wyblakłą opinię pracownika naukowego nową sławą badacza w terenie.
- No cóż, jeśli tylko zdołacie poskromić pilnującego mnie smoka, czemu miałbym odmówić?
- Miałem nadzieję, że się zgodzisz. A tymczasem przejrzyj wszystko dokładnie i odezwij się, jeśli tylko coś przyjdzie ci do głowy. Potraktuj to jak rozgrzewkę
 - Nie ma sprawy - odparł Lazło z uśmiechem, po czym spowaźniał i dodał: - Dziękuję wam za wszystko, co dla mnie robicie.
 - Przecież ty też nam pomagasz. - Remi posłała mu pokrępiący uśmiech. - To działa w obie strony.

Lazło spojrział w stronę okna, gdzie w promieniach popołudniowego słońca unosiły się w powietrzu kłęбки kurzu.

- Nie zawiodę was - obiecał.

Jazdę do hotelu uprzyjemniało im samochodowe radio, nadające koncert jakiegoś kubańskiego zespołu. Głos wokalisty ścierał się z trąbkami mariachi, a ostateczny efekt sugerował, że zdążyli zdrowo się nasaczyć. Remi spojrzała w boczne lusterko i pochyliła się do Sama.

- Wciąż za nami jadą.
- Są nad wyraz konsekwentni.
- Co myślisz o Lazło? - zapytała, marszcząc brwi. - Jak dla mnie wyglądał kwitnąco.
- Słyszałaś, co mówiła dyrektorka, na dwoje babka wróżyła. Ale jestem gotowy dać mu szansę. Sądzę, że zaczyna pragnąć nowego sposobu na życie... i to może być to. A już z pewnością to będzie o wiele lepszy początek niż zapadnięta chata pośród błota.
- Obyś miał rację.

Kiedy szykowali się do wyjścia na obiad, zadzwoniła Selma, bardzo podekscytowana.

- Właśnie rozmawiałam ze znajomą z Departamentu Stanu, która zna kogoś, kto kogoś zna - zaczęła niezbyt składnie. - Jutro skontaktują się z właściwymi ludźmi w meksykańskim ministerstwie i postarają się załatwić wasze pozwolenie poza kolejką.
- To wspaniałe wieści, Selmo! Szybko się uwinęłaś.
- Ale będzie nas to kosztowało skrzynkę dobrego szampana. Ona jest prawdziwą smakoszką, więc żadna taniocza nie wchodzi w grę.
- Jeśli rzeczywiście zdoła nadać sprawie bieg, to dostanie dom perignon.
- Oj, nada, o to się nie martw. Ma sporo do powiedzenia w kwestii programów pomocowych dla innych państw, w tym dla Meksyku. Wszyscy zainteresowani chcą być z nią w dobrych stosunkach.

Sprawa na pewno zostanie załatwiona tak szybko, jak to możliwe.

- W takim razie będzie miała tyle szampana, ile dusza zapragnie.
- Zajmę się tym. Dobrze jest znowu robić coś pożytecznego.
- I nie martw się o koszty, Selmo.
 - Jasne. Dobrej nocy.

-Tobie również - powiedział Sam z uśmiechem.

Fargo zjedli lekki obiad i postanowili położyć się wcześniej niż zwykle. Kilka godzin później w pokoju rozległ się irytujący świergot komórki Sama. Półprzytomny, sięgnął w poszukiwaniu włącznika lampki, a gdy udało mu się zapalić światło, odebrał telefon.

- Słucham? - zapytał schrypniętym głosem.

- Cześć, Sam! Przejrzałem jeszcze raz tłumaczenie manuskryptu, dokładnie obejrzałem zdjęcia waszych piktogramów i muszę powiedzieć, że nie do końca zgadzam się z wnioskami, na podstawie których zamierzacie szukać grobowca właśnie w tym miejscu.

- Lazło, masz pojęcie, która jest godzina?

- Żadnego. Przepraszam, jeśli dzwonię trochę za późno. Sądziłem, że chcielibyście usłyszeć złe wieści jak najszybciej.

- Możemy omówić to dokładnie rano? - Sam zmrużył oczy, starając się dojrzeć godzinę na wyświetlaczu stojącego przy łóżku budzika. - A najlepiej wczesnym przedpołudniem.

- Oczywiście. Chciałem tylko dać wam znać. Poza tym bardzo bym chciał odwiedzić te odsłonięte krypty i obejrzeć tamtejsze malunki. Zdjęcia nie oddają wszystkiego.

- Będę pamiętał. Zadzwoń do ciebie, jak już wzejdzie słońce.

- Wspaniale. Nie mogę się doczekać.

Sam wyłączył lampkę, a Remi obróciła się na łóżku i przysunęła do niego.

- Nadal uważasz, że to był dobry pomysł? - mruknęła.

Ale Sam już twardo spał.

ROZDZIAŁ 29

Poobijana, wyładowana balami drewna niebieska ciężarówka marki Ford z lat siedemdziesiątych przejechała po wyboistej polnej drodze, która biegła wzdłuż kompleksu magazynów materiałów budowlanych na obrzeżach Mexico City. Za wysokim betonowym murem otaczającym teren kompleksu stały trzy samochody - czarny cadillac escalade, biały lincoln navigator i bordowy H2 hummer z podniesionym zawieszeniem i ponadwymiarowymi kołami.

W jednym z mniejszych budynków na terenie obiektu znajdował się Carlos. Był przywiązany do drewnianego krzesła i nagi od pasa w górę. Jego twarz przypominała krwawą miazgę, a krępujące go sznury zostały zaciśnięte tak mocno, że niemal uniemożliwiały mu oddychanie. Przed nim przechadzał się nerwowo Reginald, z papierosem w ustach i ledwo powstrzymywaną furią w oczach, ważąc w głowie to, co właśnie usłyszał.

Nagle doskoczył do Carlosa i po raz kolejny uderzył go w twarz. Jego czarne samochodowe rękawiczki były już śliskie od krwi. Carlos tylko zacharczał, ledwo rejestrując nowy cios po kilkudziesięciu, które otrzymał wcześniej.

- Mówiłeś, że wniosek o wydanie pozwolenia na rozpoczęcie prac nie zostanie rozpatrzony. Okłamałeś mnie. I pożałujesz tego - wysyczał Reginald, a każde jego słowo ociekało groźbą dalszych tortur.

Carlos przechylił głowę i splunął na ziemię, zaledwie parę centymetrów od robionych na zamówienie butów Reginalda.

- Powiedziałem... prawdę. Kiedy mnie porwaliście... sprawa powinna była... utknąć w miejscu - wyjąkał, na wpół przytomny z bólu.

- Ale nie utknęła. Wiemy z pewnego źródła, że wniosek o pozwolenie złożony przez Amerykanów i Instytut jest właśnie rozpatrywany w trybie priorytetowym.

- To musi być... inny wniosek... nie mój. Trzymacie mnie tutaj... już kilka dni. Musi... być... nowy - wymamrotał Carlos, po czym głowa opadła mu na pierś i stracił przytomność.

Reginald uderzył go na odlew w bok głowy i potrząsnął dłonią, którą zdążył już mocno nadwerżyć. Wpatrując się w omdlałego archeologa, poczuł, że jego gniew słabnie. Jeszcze przez chwilę krążył po pomieszczeniu, a potem zdjął rękawiczki, rzucił je z odrazą na podłogę i skierował się do sąsiedniego pokoju.

Siedzący za tanim metalowym biurkiem dziobaty Latynos po trzydziestce wbił w niego świdrujące spojrzenie. Dwaj młodszy mężczyźni, którzy stali przy drzwiach z kałasznikowami, patrzyli prosto przed siebie.

- No i jak? Dowiedziałeś się czego? - zapytał Ferdinand Guerrero, szef kartelu Los Zetas na Mexico City. Był to najpotężniejszy gang w kraju, a jego macki sięgały do wielu państw w Afryce, Europie i Ameryce Południowej oraz do wszystkich większych miast w Stanach Zjednoczonych.

- Nie. Twierdzi, że to musi być inny wniosek.

- Może mówi prawdę? - zasugerował Guerrero. Łagodny ton jego głosu kontrastował z kartoflowatym, wielokrotnie łamanym nosem i drwiącym wyrazem twarzy.

- To bez znaczenia. Mielśmy za mało czasu na zdobycie własnego pozwolenia - warknął Reginald i skontrapunktował swoje słowa mocnym kopnięciem w inne, stojące w pobliżu metalowe biurko, wywołując huk podobny do niewielkiej eksplozji.

Od swojego współpracownika dostali zdjęcia manuskryptu wraz z tłumaczeniem tekstu, a łapówka przekazana uzależnionemu od narkotyków urzędnikowi, który miał spory dług u Guerrero, zaowocowała kopią zatrzymanego wniosku o pozwolenie, dzięki czemu wiedzieli, gdzie dokładnie w Teotihuacan muszą szukać.

- I co z nim teraz zrobić? Puścić go wolno? - zastanawiał się Guerrero. - Skoro już na nic nam się nie przyda... - urwał, pochylił się za biurkiem i wbił spojrzenie w srebrne czubki swoich bordowych kowbojskich butów ze strusiej skóry.

Reginald resztkami sił starał się trzymać nerwy na wodzy, wreszcie machnął ręką w nonszalanckim geście.

- Domyślam się, że macie wypróbowane metody pozbywania się takich jak on - powiedział i po chwili dodał: -Facet może mnie rozpoznać.

- Tak, mamy swoje metody - potwierdził Guerrero i zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było wesołości. - Jakies preferencje co do czasu zgonu?

- Na wszelki wypadek zaczekajmy do końca tygodnia. Niech to wygląda na spartolone porwanie. Właściwie to gdybyś kazał któremuś ze swoich ludzi zażądać od jego rodziny okupu, mógłbyś przy okazji na tym zarobić - zasugerował Reginald. - Łatwy sposób na pokrycie kosztów własnych.

Oczy Guerrero zwęziły się.

- Mówiłem ci już, ile to będzie kosztowało.

- Oczywiście. - Reginald wyczuł groźbę i natychmiast zmienił ton. - Bardzo chętnie odejmiemy tę kwotę od ceny waszego najbliższego zamówienia. Miałem na myśli, że w ten sposób mógłbyś zarobić coś ekstra. Coś w rodzaju premii.

Guerrero znów się roześmiał i uderzył dłonią w blat biurka.

- Ha! Zabawny z ciebie facet. O wiele bardziej niż twój brat. Chociaż obaj mówicie w podobny sposób. Premia, dobre sobie.

Dwaj strażnicy, nie wiedząc, co tak rozbawiło ich szefa, uśmiechnęli się głupawo, ale nie odważyli roześmiać się na głos. Guerrero słychał z nagłych zmian nastroju. Jeśli doszedł do wniosku, że któryś z podwładnych go obraził, mógł się to skończyć nawet śmiercią delikwenta. Wrodzona popędlivość, spotęgowana dodatkowo ogromnymi ilościami kokainy i metamfetaminy, czyniła z niego człowieka równie niebezpiecznego, jak odbezpieczony granat.

Guerrero skinął głową i Reginald wreszcie pozwolił sobie na blade uśmiech, z trudem opierając się poczuciu grozy, jakie wzbudzało w nim zabójcze spojrzenie szefa gangu.

- Więc postanowione. Tak jak mówiłem, wstrzymajcie się do końca tygodnia, a potem zróbcie z ciałem, co uważacie za stosowne.

- No problemo, jefe - odpowiedział Guerrero spokojnym już głosem.

- Właśnie.

Reginald podszedł do drzwi i przystanął, aż jeden ze strażników wstał i otworzył je przed nim. Idąc do wypożyczonego mu wspaniałomyślnie przez Guerrero SUV-a, dumał nad sposobem utrzymania swojego planu w tajemnicy przed starszym bratem, który pewnie dostałby szau, gdyby dowiedział się o porwaniu. Zdaniem Reginalda Janus był zbyt mało elastyczny. W pewnych sytuacjach jedynym rozsądnym wyjściem jest płynne dostosowywanie się do zastanych warunków. Jeżeli wszystko przebiegnie zgodnie z jego zamierzeniami, powinni otrzymać pozwolenie na rozpoczęcie wykopalisk na długo przed Amerykanami, a on będzie mógł osobiście nadzorować wydobywanie skarbu z grobowca.

Nie dostrzegł żadnych słabych stron tego planu, o ile tylko Guerrero nic nie powie Janusowi. A że jego brat nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę z socjopatycznym mordercą z Los Zetas, to zagrożenie wydawało się mało prawdopodobne. Potem Reginald przedstawi bratu do zatwierdzenia ostateczną cenę, pomniejszoną o obiecaną bandziorem zniżkę, i zapewni, że to najlepsza oferta, jaką udało mu się wynegocjować, a uzyskaną w ten sposób „provizję” przeleje na swoje prywatne konto. Byli braćmi, ale Janus całe życie traktował Reginalda jak kapryśne dziecko i lata upokorzeń zrobiły swoje.

Wreszcie wyszedł z mrocznego magazynu na świeże powietrze. Założył okulary przeciwsłoneczne i przez chwilę przyglądał się swoim obtartym knykciom. Potem zerknął na swój zegarek Patek Philippe World Timer z białego złota i ruszył różnym krokiem do stojącego nieopodal lincolna, nucąc pod nosem melodię, którą zeszej nocy grali mariachi, gdy podejmował sprowadzoną mu przez Guerrero szesnastoletnią tancerkę.

Wszystko wskazywało na to, że czekało go bardzo przyjemne popołudnie.

Dwa dni później Antonio i Maribela wparowali do laboratorium, w którym pracowali Fargo, z takimi minami, jakby dostali wysokie podwyżki.

- Pozwolenie wydano. Możemy zaczynać choćby dzisiaj - oznajmiła Maribela, pokazując trzymaną w ręku kartkę papieru.

- To wspaniale -- ucieszyła się Remi. - Czy zamierzacie pomóc nam przy pracach? - spytała.

- Naturalnie. Potencjalne znalezisko jest zbyt ważne, by oddać nadzór nad wykopaliskami komukolwiek innemu.

- A co z waszym obecnym projektem?

- Badanie krypt potrwa jeszcze miesiące, a może i lata. Jeden z naszych kolegów przejmie dowodzenie w tamtym zespole, więc jesteśmy do waszej dyspozycji - odparła Maribela z uśmiechem.

Remi obróciła w palcach zawieszony na szyi złotego skarabeusza i odwzajemniła uśmiech, ale wciąż nie mogła pozbyć się nieufności wobec młodej archeolog.

- Piękny naszyjnik - zauważył Antonio, przyglądając mu się z niekłamany zachwytem. - Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

- Dziękuję. To mój szczęśliwy talizman, z Hiszpani - wyjaśniła Remi.

- No, to bierzmy się do pracy - powiedział Sam tonem, który zdradzał, że nie jest zachwycony uwagą, jaką Antonio poświęca biżuterii jego żony. - Każę natychmiast przelać pierwszą partię pieniędzy na konto Instytutu. Musimy przygotować listę niezbędnego sprzętu i personelu. Jeśli przelew dotrze jeszcze dzisiaj, to jutro powinniśmy zdobyć wszystko, czego potrzebujemy, a pojutrze będziemy mogli wyruszyć na miejsce wykopalisk.

- Mam wrażenie, jakbym od miesiący czekała na ten moment - wyznała Remi. - Wiem, że minęło raptem dziesięć dni, ale...

- Doskonale cię rozumiem - wszedł jej w słowo Antonio. - Żałuję tylko, że Carlos nie może być teraz z nami. Na pewno zrobiłby sobie przerwę w swoim napiętym harmonogramie, żeby do nas dołączyć i być przy tak wielkopomnym odkryciu.

- Czy są jakieś wieści na jego temat? - spytał Sam, ostrożnie dobierając słowa.

- Nie, zupełnie nic. To trwa już zbyt długo. Jego żona odchodzi od zmysłów, jak pewnie potraficie sobie wyobrazić.

- Czy to normalne, żeby porywacze zwlekali tak długo z przedstawieniem swoich żądań? - spytała Remi.

- Nie. Zwykle chcą pieniędzy jak najszybciej - odpowiedziała Maribela. - Zwłoka w niczym im nie pomaga, a jedynie zwiększa niebezpieczeństwo wykrycia przez policję. To bardzo dziwne.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, którą przerwał w końcu Antonio.

- Nie ma sensu skupiać się na czymś, na co nie mamy żadnego wpływu - rzekł. - Lepiej zajmijmy się tym, co mamy do zrobienia.

- Słusznie - zgodził się Sam, spoglądając na wyświetlacz swojego iPhone'a. - Wydam polecenie przelewu. Mam numer konta od Carlosa.

- W takim razie tę część przygotowań zostawiamy w waszych rękach - podsumował Antonio.

Resztę popołudnia zajęło im przygotowanie listy niezbędnego sprzętu oraz planowanie prac. Chcieli jak najprędzej dokopać się do grobowca, ale musieli postępować z należytą ostrożnością, żeby przypadkiem nie uszkodzić żadnego artefaktu.

Dwa dni później Fargo wymeldowali się z Four Seasons i opuścili hotel tylnym wyjściem, przed którym już czekała na nich taksówka. Wynajęli pokój w motelu El Oasis, znajdującym się sześć przecznic od starożytnego miasta Teotihuacan. Wyposażenie było bardzo skromne, ale klimatyzacja i prysznic działały, co i tak wykraczało poza ich oczekiwania.

Teraz Sam i Remi stali w cieniu rzucanym przez brezentową płachtę rozpiętą na tyłach świątyni Quetzalcoatl. Towarzyszyli im Antonio, Maribela oraz Lazło, szczęśliwy, że wreszcie mógł choć

na kilka godzin opuścić klinikę. Wszyscy obserwowali robotników, którzy w pocie czoła zarabiali na swoje skromne pensje, kopiąc w wyznaczonym rejonie przy podstawie piramidy.

Machali łopatami od dziesięciu godzin i brygadzysta już miał dać sygnał do zakończenia pracy, kiedy jeden z robotników, mężczyzna w mokrym od potu żółtym T-shircie, zawołał ze swojego stanowiska. Wszyscy podbiegli do niego i spojrzeli do prawie trzymetrowego wykopu. Remi, widząc kamienną płytę wykonaną bez wątplenia ludzkimi rękami, na chwilę wstrzymała oddech.

- To jest to - wyszeptała.

Sam przyniósł stojącą nieopodal chwiejną drabinę i cała piątka zeszła do wykopu. Antonio powiedział coś po hiszpańsku i robotnik zaczął ostrożnie oczyszczać płytę z piachu, a po chwili przyłączyło się do niego jeszcze dwóch innych.

Godzinę później oczom wszystkich ukazał się trzymetrowy fragment łukowatego stropu podziemnej komnaty.

- Niedługo zrobi się ciemno, a robotnicy ledwo stc ją na nogach ze zmęczenia - powiedziała Maribela. - Możemy kontynuować jutro.

Remi pokręciła głową.

- Jesteśmy już tak blisko. Nie wiem jak ty, ale ja na pewno nie zasnę, dopóki chociaż nie spróbujemy dostać się do środka. A robotnicy powinni już skończyć, zasłużyli na odpoczynek.

- Poradzimy sobie bez ich pomocy - poparł żonę Sam. -Mamy spore doświadczenie w takiej pracy.

- W porządku - rzekł Antonio i zwrócił się do brygadzysty, który stał przed nim z kapeluszem w dłoniach, niczym pokorny petent w obliczu królewskiego majestatu.

Gdy robotnicy zbierali swoje narzędzia, Sam przyglądał się chwilę kamiennej płycie, a potem podniósł wzrok na ciemniejące niebo.

- Czy możemy oświetlić wykop? - zapytał Lazło.

- Oczywiście - odparła Maribela i wyszła po drabinie na powierzchnię.

- Potrzebujemy latarek, kilku łomów i zwój liny - zawołał za nią Sam.

Dziesięć minut później wszyscy badali strop, szukając miejsca, w którym dałoby się bezpiecznie poluzować jeden z kamieni. Wkrótce Antonio przywołał pozostałych.

- Da radę wcisnąć tu łom? - spytał, wskazując podłużną szczelinę powstałą wskutek pęknięcia krawędzi stykających się kamieni.

Remi wsunęła w szczelinę końcówkę łomu.

- Ty też spróbuj, Sam - zwróciła się do męża.

Sam usiłował wsunąć swój łom, ale szczelina była za wąska. Zaczął więc wydłubywać zaprawę ostrym końcem i po półgodzinie udało mu się poluzować kamień. Dołączyli do nich Lazło i Antonio i wspólnymi siłami, zapierając się na łomach, zdołali usunąć kamień, odsłaniając ciemną, wilgotną czeluść. Remi skierowała do otworu promień światła latarki i zmrużyła oczy, starając się cokolwiek wypatrzeć.

- Dajcie linę. Zejdę na dół i się rozejrzę.

- Nie. - Sam pokręcił głową. - Ja pójdę.

- Sądzisz, że zdołasz się precyzyjnie? Może być odrobinę za wąsko.

- Jestem wysportowany. Dam radę.

- Jedyne sporty, jakie ostatnio uprawiasz, to podnoszenie szklanek z tequilą i jedzenie

enchilady. Ale skoro chcesz spróbować... - droczyła się Remi, podczas gdy Antonio już rozwijał nylonową linę.

- Tam mogą być węże - powiedział do Sama, wręczając mu koniec liny. - Wiele gatunków spotykanych w tym rejonie jest jadowitych, podobnie jak skorpiony i pająki. Bezpieczniej byłoby zaczekać do jutra. Będziemy mogli wziąć robota do eksploracji podziemnych komnat.

- Miałbym zrzec się całej chwały na rzecz maszyny? Nie ma mowy - zaprotestował Sam. - Właśnie dla takich wyzwiań żyję.

- Ale węże... - usiłowała ostrzec go Maribela.

- Węże jadam na śniadanie.

- Miejmy nadzieję, że żaden z nich nie pomyśli podobnie o tobie, przyjacielu - wtrącił Lazło.

Remi przewróciła oczami, a Sam owinął się dwukrotnie liną w pasie.

- Przywiążcie ją do czegoś, co utrzyma mój ciężar, może do zderzaka któregoś z samochodów. Będę się opuszczał, a kiedy dotrę do podłoża, zacznę powoli oddawać linę. Gdybym wrzasnął, potraktujcie to jak umówiony sygnał, żeby mnie wyciągnąć i szybko zaaplikować antytoksyny.

- Nie mamy żadnych antytoksyn - stwierdził Antonio.

- Cóż, każdy plan ma jakieś słabe punkty. Ale ta część o wyciąganiu jest całkiem niezła.

- Bądź ostrożny, Tarzanie - poprosiła Remi, ściskając jego dłoń.

- Zawołałbym jak on, ale mógłbym obudzić węże.

- I przerazić wszystkich ludzi w okolicy. Nie wyłączając żony - powiedział Lazło.

Antonio chwycił drugi koniec liny i wyszedł na powierzchnię. Wróciwszy chwilę później, oznajmił:

- Jesteś zabezpieczony.

- No dobra, komu w drogę, temu czas, jak mawiał Evel Knievel.

- Założę się, że nigdy czegoś takiego nie powiedział - stwierdziła Remi.

- Pod nosem - odciął się Sam.

Przysiadł na krawędzi otworu i wsunął nogi do środka. Szarpnął jeszcze linę, by się upewnić, że jest dobrze przymocowana, i zaczął opuszczać się w ciemność. Remi podeszła do szczeliny i poświęciła na niego latarką.

- Widzisz jakieś węże? - zapytała, przyglądając się promieniom ich latarek tańczącym po posadzce.

- Nie. Ani żadnych prawników.

- Więc musi tam być dużo bezpieczniej niż tutaj. Wreszcie Sam poczuł grunt pod stopami. Rozejrzał się

powoli i popuścił jeszcze trochę liny, aby ruszyć wzdłuż kamiennego korytarza.

Obok Remi stał Antonio, a za nim dwaj strażnicy, którzy z ciekawością zaglądali do dziury. Maribela krążyła od jednego końca wykopu do drugiego, gryząc paznokcie. Niebo było już prawie całkiem ciemne, z pojedynczymi świetlistymi punktami gwiazd.

Po minucie lina napięła się ponownie i usłyszeli wołanie Sama:

- Wciągnijcie mnie.

Antonio powiedział coś jednemu ze strażników, a ten pobiegł do ciężarówki i zaczął ją cofać, wyciągając Sama z podziemnej komnaty. Gdy ten był już na górze, Antonio zawołał do strażnika i

ciężarówka stanęła. Sam podciągnął się na rękach, wstał i rozwiązał linę. Włosy miał pokryte kurzem, a na twarzy kawałki pajęczyny.

- No i? - zapytała zniecierpliwiona Remi

- Nie mam dobrych wieści. Wygląda na to, że rabusie znaleźli to miejsce przed nami. Kilkaset lat temu. Wyraźnie widać, w którym miejscu wybili kamienie. To musiało nastąpić, zanim całe miasto zniknęło pod powierzchnią ziemi, jeszcze w czasach prekolumbijskich. Może nawet tysiąc lat temu.

- Sam pokręcił głową. - Jeśli to rzeczywiście był sekretny grobowiec, to okazał się niewystarczająco sekretny. Nie ma tam żadnego skarbu, w ogóle nic, nawet szkieletów. Tylko kilka pustych komnat i parę wyrytych na ścianach znaków, to wszystko.

Remi wyraźnie zmarkotniała, podobnie jak Lazło.

- Nie znalazłeś żadnych węży? - spytała.

- Ani jednego.

- Więc to jedno wielkie rozczarowanie - mruknęła, otrzepując jego koszulę, podczas gdy Sam próbował pozbyć się pajęczyn z twarzy.

- Tylko jeśli spodziewałaś się czegoś więcej niż pustej dziury w ziemi.

- Wiele hałasu o nic - podsumował Lazło. - No, ale cóż, tak też się zdarza.

- Wciąż możemy się czegoś tu dowiedzieć - stwierdził Sam, spoglądając w ciemną czeluść. - Ale gdybyście mnie spytali, czy warto było zrezygnować dziś z obiadu, musiałbym przyznać, że absolutnie nie.

- Mój wielki, dzielny odkrywca. - Remi uśmiechnęła się. - Domyślam się, że po tych wszystkich wrażeniach jesteś bardzo głodny?

- I spragniony. Nie zapominaj o napojach.

Lazło parsknął, ale próbował zamarkować to kasznięciem. Remi zwróciła się do Antonia.

- Czy w okolicy są jakieś fajne knajpki? Możemy zostawić tu na noc strażnika i kontynuować badanie komnaty jutro.

- Tak, jest kilka bardzo dobrych tradycyjnych meksykańskich restauracji. - Podał adresy dwóch najpopularniejszych lokali i wspięli się po drabinie na powierzchnię, wszyscy wyraźnie podupadli na duchu.

- To co, umyjemy cię, nakarmimy, a potem posiedzimy przy kilku margaritach i zastanowimy się, co właściwie poszło nie tak? - zaproponowała Samowi Remi, po czym zwróciła się do pozostałych: - Antonio, Maribelo, będzie nam bardzo miło, jeśli się przyłączycie. I ty również, Lazło.

Antonio popatrzył na siostrę.

- Nie, my podziękujemy, musimy wrócić do miasta. Ale spotkamy się tu jutro rano, powiedzmy o dziewiątej?

- Jasne - zgodził się Sam. - Teraz już nie ma do czego się spieszyć. Znaleźliśmy, co było do znalezienia.

- Mnie życie nauczyło, by nigdy nie odmawiać posiłku - powiedział Lazło. - O ile, oczywiście, nie będzie wam przeszkadzało moje trzeźwe towarzystwo.

- Wręcz przeciwnie - odparł Sam.

Mexico City

Ciemnobrązowy sedan z wyłączonymi światłami jechał wolno jedną z pustych o tej porze ulic Cerro de Xaltepec, należącej do najbardziej niebezpiecznych rejonów miasta. Przemoc, handel narkotykami i żywym towarem oraz zabójstwa były tu na porządku dziennym, a tymi ostatnimi miejscowa policja zajmowała się bardzo niechętnie. Wśród mieszkańców panowało przekonanie, że jeżeli ktoś trafił w tę okolicę, to albo prosił się o kłopoty, albo był bezwzględnym drapieżnikiem, więc zasługiwał na to, by zostać tu na zawsze. Samochód jeszcze zwolnił, mijając dom o szarych betonowych ścianach i z dachem z blachy falistej. Ściany były niemal w całości pokryte graffiti, a w żadnym z okien ani nigdzie w okolicy nie paliło się światło.

Tylne drzwi pojazdu otworzyły się i ze środka wypadł na ziemię jakiś kształt. Gdy po chwili drzwi zatrzasnęły się z głośnym łoskotem, kierowca gwałtownie przyspieszył, minął dwie przecznice, skręcił w prawo w większą ulicę i dopiero wtedy zapalił reflektory.

Martwe oczy Carlosa wpatrywały się w nocne niebo. Minie jeszcze wiele godzin, zanim na miejsce przyjedzie furgonetka koronera, by zabrać zwłoki. Będzie eskortowana przez kilka opancerzonych samochodów z ciężko uzbrojonymi funkcjonariuszami policji, mającymi dopilnować, aby nikt nie przeszkadzał technikom w pracy. Ciało zostanie zidentyfikowane dopiero dwa dni później, co jest normą w jednym z najludniej szych miast na świecie, w którym policjanci zarabiają marne grosze i posługują się sprzętem uznanym za przestarzały już w ubiegłym stuleciu.

Teotihuacan

Gdy dwaj strażnicy, którym Antonio kazał pilnować terenu wykopalisk, postanowili urozmaicić sobie nużącą nocną służbę i oddalili się od wykopu, podjechał do nich czarny SUV. Mężczyznom zaproponowano sowitą zapłatę w zamian za półgodzinną przechadzkę po innych rejonach starożytnego miasta. Obaj przyjęli pieniądze, uznawszy, że równowartość miesięcznej pensji to nader atrakcyjna oferta, a marne pół godziny nieuwagi nie może nikomu zaszkodzić.

Ledwo się oddalili, Janus Benedict wysiadł z miejsca obok kierowcy i podszedł na skraj wykopu, gdzie po chwili dołączył do niego Reginald. Kierowca został w samochodzie.

- Nie wygląda to zbyt interesująco - stwierdził Reginald, bardzo niezadowolony, że został obudzony o czwartej nad ranem i musiał opuścić luksusowy apartament w pięciogwiazdkowym hotelu, by jechać na jakieś kompletne pustkowie.

- Rzeczywiście - przyznał Janus. - Najwyraźniej Fargo wreszcie trafili na fałszywy trop. Niezmiernie mnie to cieszy i zarazem intryguje. - Westchnął. - No cóż, nawet najlepszym zdarza się czasem pobłądzić. To nieuniknione.

- Naprawdę musieliśmy tu przyjeżdżać? - maru dził Reginald.

Janus jeszcze raz powiódł wzrokiem po wnętrzu wykopu, pokręcił głową i zawrócił w stronę samochodu.

- Skoro już przyleciałem tu z drugiego końca świata, uznałem, że warto chociaż zobaczyć po co - odparł.

- No to zobaczyłeś - mruknął Reginald. - Jak dla mnie to wygląda na zwykłą dziurę w ziemi.

Janus przeszył brata spojrzeniem.

- Twoja spostrzegawczość nie przestaje mnie zaskakiwać - warknął, wsiadając na swoje miejsce z przodu auta.

Reginald zmełł w ustach przekleństwo, wściekły na brata, ale zarazem na tyle rozsądny, by nie sprzeciwiać mu się otwarcie. Nie chciał ryzykować kłótni z rozdrażnionym po długiej podróży Janusem.

Spod kół trysnął piach i samochód ruszył, a gdy piętnaście minut później strażnicy wrócili na swoje stanowisko, w okolicy było cicho i spokojnie.

ROZDZIAŁ 30

Co się dzieje? - spytał Sam, gdy następnego ranka jechali taksówką na miejsce wykopalisk.

- Nie jestem pewna. Po prostu coś mi tu nie pasuje. Trudno mi uwierzyć, że to, co wczoraj znaleźliśmy, to już wszystko. Mam wrażenie... sama nie wiem... jakbyśmy coś przeoczyli.

- Ostateczny efekt okazał się dość rozczarowujący, ale nie zmienia to faktu, że udało nam się rozszyfrować treść manuskryptu i odnaleźć sekretny grobowiec.

- I właśnie o to mi chodzi. Wcale nie jestem przekonana, że to nasz grobowiec. Znaleźliśmy ukrytą komnatę, ale skąd pewność, że to właśnie ta komnata, o której mówi manuskrypt? Mogliśmy coś źle zinterpretować.

- Ale przecież na podstawie naszej interpretacji wyznaczyliśmy konkretne miejsce i rzeczywiście znaleźliśmy w nim komnatę.

- Właściwie to nie była nasza interpretacja, tylko Antonia i jego siostry. Może to oni coś pomylili?

- A na nieznaną wcześniej kryptę trafiliśmy przypadkiem?

- Co roku znajdują tu jakiś tunel lub pomieszczenie. Prawdopodobnie nikt do tej pory nie sprawdzał akurat tego miejsca. Kopaliśmy na sporej powierzchni, co zwiększa szanse na znalezienie czegoś nowego. A do czego udało nam się dokopać? Do dawno zrabowanego grobowca. Tylko tyle wiemy. Czy znalazłeś w środku cokolwiek, co by wskazywało, że właśnie tutaj złożono ciało władcy uważanego za wcielenie boga?

- No cóż, jak się nad tym zastanowić, to wszystko wyglądało raczej skromnie.

- Czy gdybyś planował budowę sekretnego grobowca, w którym zamierzasz pochować jednego z najwybitniejszych władców twojego ludu razem z niewyobrażalnym skarbem, zdecydowałbyś się na skromny wystrój pomieszczenia?

- Słuszna uwaga - rzucił Lazło z przedniego siedzenia.

- I dlatego jesteś niespokojna? Bo wewnątrz grobowca okazało się zbyt mało imponujące? - spytał Sam, uważnie przyglądając się żonie.

- Szczerze mówiąc, od początku niespecjalnie podobała mi się koncepcja Antonia i Maribeli. Już kiedy przedstawiali swoje pierwsze wnioski, miałam wątpliwości. I nie pyta

dlaczego. To było po prostu przecucie, jakby coś z tyłu głowy szeptało mi: „Nie, to wcale nie tak”. Musiałam coś zobaczyć, nie mam pojęcia co, i to utwierdziło mnie w przekonaniu, że prawdziwe rozwiązanie zagadki leży gdzie indziej. Po latach przygód nauczyłam się ufać swojej intuicji.

- Zaczekaj. - Sam wyraźnie spoważniał. - Możesz to powtórzyć?

- Czemu, nie usłyszałeś mnie?

- Nie o to chodzi. Powiedziałaś, że nie masz pojęcia, co takiego zobaczyłaś.

- Zgadza się - potwierdziła Remi, całkiem zbita z tropu.

- No właśnie. Gdzie mogłaś zobaczyć cokolwiek, co dałoby ci powody, by sądzić, że Antonio i Maribela się mylą?

Remi zastanawiała się dłuższą chwilę, wreszcie pokręciła głową.

-- Nie wiem. Tak mi się po prostu powiedziało.

- Dobrze cię znam, kochanie. Zawsze wyrażasz się bardzo precyzyjnie, może nawet sama nie wiesz, jak bardzo. Powiedziałaś wyraźnie, że coś zobaczyłaś. Chciałbym wiedzieć, co to było.

- Sam, naprawdę próbuję sobie uzmysłwić, co mogłam mieć na myśli, ale nic nie przychodzi mi do głowy. To bardzo dziwne.

- Więc porzuć te próby i poczekaj, aż odpowiedź przyjdzie sama - poradził. - Ludzki umysł często funkcjonuje w ten sposób.

- Nie miałam pojęcia, że tak dobrze wiesz, jak funkcjonuje ludzki umysł - powiedziała Remi, unosząc brwi.

- Wiem tylko, jak to się odbywa w moim przypadku - odparł Sam. - Uznałem, że u ciebie może być podobnie.

- Gdyby to było takie proste...

Lazło nie uczestniczył w rozmowie, zatopiony we własnych myślach. Gdy taksówka się zatrzymała, rozejrzał się gwałtownie dookoła, jakby czegoś się przestraszył, i dopiero po chwili wysiadł z samochodu.

Sam zapłacił kierowcy i ruszyli spod bramy do świątyni. Chłodny poranny wietrzyk i niewielkie zachmurzenie dawały odrobinę ulgi od bezwzględnego meksykańskiego słońca. Dotarłszy na miejsce, ujrzeli stojącego pod brezentowym zadaszeniem Antonia, który przyglądał się obrazowi na dużym monitorze.

- Co to? - spytał Sam, podchodząc bliżej.

- O, dzień dobry. To przekaz wideo z robota, którego zdołałem wykraść na kilka godzin jednemu z moich kolegów po fachu. Używają go od jakiegoś czasu przy pracach nad najnowszym tunelem, ale uznałem, że zebranie dokładnych zdjęć wnętrza komnaty znacznie przyspieszy naszą robotę.

- Świetny pomysł. A gdzie twoja siostra?

- Jest w wykopie, steruje robotem. Sygnał idzie po kablu, więc musiała zejść niżej.

Wszyscy zaczęli wpatrywać się w migający przekaz z ekranu. Lazło potrząsnął głową, oglądając wyryte na ścianach znaki.

- Co o nich sądzisz? - zapytał Antonia.

- Dość powszechny widok w Teotihuacan.

- Czy wyglądają na dzieło Tolteków? - podjęła temat Remi.

- Raczej nie - stwierdził Antonio, przyglądając się uważniej - ale nie będziemy mieć pewności, dopóki...

- Więc twoje pierwsze wrażenie jest takie, że te zdobienia są podobne do innych w Teotihuacan? - weszła mu w słowo Remi.

- Do czego zmierzasz? - Antonio obrócił się w jej stronę.

- Coś mi mówi, że to odkrycie, aczkolwiek interesujące, nie jest tym, czego szukamy.

- Co takiego? - spytał, szczerze zdumiony.

Opisała mu swoje przeczucia, przedstawiając kolejne etapy jej procesu myślowego. Gdy skończyła, Antonio wyglądał na znacznie mniej zadowolonego z siebie, niż kiedy się z nimi witał.

- I nie wiesz, co takiego zobaczyłaś, że zaczęłaś wątpić, że grobowiec znajduje się w tym miejscu? - upewnił się.

- Na razie nie. - Remi zmarszczyła czoło. - Ale z każdą chwilą narasta we mnie przekonanie, że to nie tutaj.

Tymczasem Sam podszedł do wykopu.

- Dzień dobry! - zawołał do Maribeli, która obserwowała obraz z mniejszego monitora, ustawionego na kartonowym stoliku obok wejścia do krypty, i za pomocą dźwigni kierowała ruchami robota. Usłyszawszy głos z góry, wcisnęła guzik na pilocie i obróciła się z uśmiechem.

- Buenos dias wszystkim.

- Nie znalazłaś jakiegoś ogromnego skarbu, kiedy nas nie było?

- Nie. Cokolwiek wartościowego tam było, zostało wyniesione bardzo dawno temu.

- Co sądzisz o znakach wyrytych na ścianach? Ja wczoraj widziałem tylko kilka.

- Za wcześnie, aby cokolwiek wyrokować.

- Czy twoim zdaniem są godne żyjącego boga?

- Co masz na myśli?

- Wczoraj odniosłem wrażenie, że są dość skromne.

- Hm... skromne... - powiedziała bez przekonania. Do Sama podeszli Remi i Lazło.

- Już wiem, co to było - oznajmiła Remi. Maribela popatrzyła na całą trójkę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Co takiego? - spytał Sam.

- Znaki na Kubie. W piramidzie. Pod tą chmurą. Zarówno tam, jak i na tym znalezionym pod Meksykiem była jeszcze druga budowla.

- Naprawdę?

- Tak. Mniejsza świątynia.

- No i?

- No i zastanawiałam się, dlaczego wyryto tę drugą świątynię.

- Domyślałam się, że zaraz mi powiesz. Ale odpowiedź padła z ust Lazła.

- Dlatego, że piramida stanowi punkt odniesienia, a nie miejsce ukrycia grobowca.

- Skąd ten pomysł? - spytała z powątpiewaniem Maribela.

- Na obrazach widać piramidę i chmurę - wyjaśniła Remi, podchodząc bliżej do wykopu. - Ale za chmurą jest jeszcze księżyc. Niemal całkiem zakryty, więc niewidoczny na pierwszy rzut oka, jednak wyraźnie zaznaczony.

- Aha...

- Nasza interpretacja była błędna - ciągnęła Remi. - To Piramida Księżyca jest miejscem ukrycia grobowca. Tak bardzo uchwyciliśmy się faktu, że to grób Quetzalcoatl, że myśleliśmy tylko i wyłącznie o węzłach. A same obrazy są dwuznaczne, podobnie jak tekst manuskryptu.

- I jesteś tego pewna? - spytał Sam.

- Na sto procent - odparła Remi, patrząc mu w oczy. - Kopaliliśmy w złym miejscu.

- Najwyższa pora, żebyśmy wybrał się do tych krypt odkrytych po trzęsieniu ziemi i obejrzał tamtejsze piktogramy - orzekł Lazło. - Nie chcę niczego sugerować, ale zanim znowu chwycimy za łopaty, lepiej się upewnić, że nie umknęło nam nic więcej.

- Jestem za - powiedziała Remi i zwróciła się do Antonia: - Myślisz, że moglibyśmy pojechać

tam jeszcze dzisiaj?

- Nie widzę przeciwwskazań. Zadzwoń tylko do tamtejszej ekipy i dam im znać, że ich odwiedzimy. Mogę prowadzić.
- Ja zostanę tutaj i przypilnuję robotników - zaproponowała Maribela, rozglądając się po terenie wykopalisk.
- W porządku, mogę zadzwonić z samochodu - zdecydował Antonio, spoglądając na zegarek.
- Nie ma co tracić czasu.

ROZDZIAŁ 31

Na drodze do Lopez Mateos były jeszcze poranne korki. Potężny SUV powoli mijał uszkodzone budynki, by wreszcie dotrzeć do centrum dzielnicy, w dużej mierze już odbudowanego po trzęsieniu ziemi. Wąska uliczka, przy której znajdowało się wejście do podziemnych tuneli, była nadal zamknięta dla ruchu i strzeżona przez oddział żołnierzy. Antonio pokazał jednemu z nich swoje dokumenty i żołnierz pozwolił im przejść dalej.

Wkrótce znaleźli się w tunelu. Antonio przywitał się z kolegą, który kierował pracami, uściskiem dłoni. Zamienili kilka zdań po hiszpańsku i mężczyzna minął grupę, wychodząc na słońce. Antonio zmrużył oczy, pozwalając, by dostosowały się do półmroku, po czym zwrócił się do Lazło i Amerykanów.

- Sam, Remi, byliście już na dole, więc wiecie, na co trzeba uważać. Większa część krypty została odgradzona, aby maksymalnie ograniczyć ryzyko uszkodzenia wnętrza podczas wydobywania i dokumentowania artefaktów. Byłbym ci wdzięczny, Lazło, gdybyś przestrzegał tych ograniczeń i powstrzymał się od dotykania czegokolwiek. Ekipa zrobiła sobie przyspieszoną przerwę obiadową, więc przez najbliższe dwie godziny cała krypta pozostanie do twojej wyłącznej dyspozycji.

- Oczywiście. Nawet nie zauważycie, że tam byłem -zapewnił Lazło.
- Jeszcze raz wielkie dzięki, że zgodziłeś się nam pomóc - powiedziała Remi.
- Miejmy nadzieję, że dowiemy się czegoś nowego -rzekł Antonio i gestem zaprosił ich do środka.

Dotarłszy do rozwidlenia korytarzy, skęcili w ten, który prowadził do największej krypty. Antonio zapalił kilka dodatkowych lamp, aby piktogramy były lepiej widoczne, i odsunął się na bok.

- Uważajcie na miejsca oznaczone kredą i wbitymi palikami. Znajdują się tam jeszcze nieodkopane artefakty -poinstruował, a pozostała trójka zgodnie kiwnęła głowami.

Podeszli do piktogramu, który zajmował niemal całą ścianę.

- Tu jest procesja, widzisz? - powiedziała Remi, wskazując odpowiedni fragment. - Dokładnie tak jak na zdjęciu.
- Na żywo robi o wiele większe wrażenie - odparł Lazło. Dłuższą chwilę podziwiał cały piktogram, po czym podszedł bliżej, by móc przyjrzeć się detalom. - Wyrycie tego musiało trwać lata. Fenomenalna robota.
- To bez wątpienia Świątynia Pierzastego Węża. - Sam wskazał misternie przedstawioną sześciopiętrową piramidę schodkową.

Remi zaczęła fotografować piktogramy, na wypadek gdyby okazało się, że za pierwszym razem coś pominęła. Sam podszedł do przeciwległej ściany przyjrzeć się tamtejszym obrazom. Lazło jeszcze kilka minut dokładnie studiował procesję, po czym do niego dołączył.

- Takie obrazy są we wszystkich kryptach? - zapytał.

- Tak.
- Więc rzucę na nie okiem, skoro już tu jestem.
- Poproś Antonia, żeby cię zaprowadził.
- Jasne. Nie chciałbym zabłądzić i wylądować przypadkiem w jednym z miejscowych barów.

Lazło i Antonio poszli do pozostałych krypt, a Remi wciąż wpatrywała się w wyryte na ścianach piramidy, jakby miała nadzieję, że wreszcie dostrzeże to coś, co wskaże im miejsce ukrycia grobowca Quetzalcoatl.

- Po tym, co zobaczyliśmy w Teotihuacan, wydaje się oczywiste, że grobowiec musi być gdzieś tam, nie sądzisz? - spytał Sam, podchodząc do żony.

- Tak, a to znaczy, że jesteśmy blisko - odparła.
- To pewnie Piramida Słońca.
- Też tak myślę - zgodziła się Remi. - Świątynia Pierzastego Węża nie może być właściwym miejscem. Spójrz na to ustawienie.

- Wid[^],ale to Antonio i Maribela są ekspertami w tej dziedzinie, a ich zdaniem...

Zanim Sam zdążył skończyć myśl, do krypty wpadł Lazło, wyraźnie podekscytowany.

- Wreszcie to rozgryzłem - oznajmił. - Chwilę mi to zajęło, ale trudno się dziwić, bo ktokolwiek wykonał te piktogramy, był niesamowicie zmyślny. Nie do zauważenia, jeśli się nie wie, czego szukać. A już na pewno nie na fotografii, bez urazy.

- No dobrze, ale co takiego zauważyłeś? - spytała Remi.
- Obrazy w poszczególnych kryptach różnią się od siebie. Nieznacznie, ale jednak.
- Jesteś pewien? - zapytał Sam.
- Całkowicie. Chodźcie, pokażę wam. Zaprowadził Sama i Remi do sąsiedniej krypty.
- Patrzcie tutaj. - Wskazał palcem fragment piktogramu. - Dostojnicy idący w procesji znajdują się w innym miejscu, podobnie jak budowle. Piramida jest bardziej na prawo.
- To może być naturalne odchylenie - stwierdził Sam. - Kwestia dostępnych materiałów albo umiejętności twórcy. Bez znaczenia.
- Masz rację. Ale przejdźmy do kolejnej komnaty. Tam są jeszcze inne drobne różnice.
- Jeżeli obrazy wyryto na podstawie rysunku, a najprawdopodobniej tak było, drobne odstępstwa są zupełnie normalne - wtrącił Antonio, wynurzając się z korytarza.

- W innych okolicznościach na pewno bym się z tobą zgodził. Ale pozwólcie mi zająć wam jeszcze pięć minut. Chodźmy do trzeciej krypty.

Ruszyli za Kempem i po chwili znaleźli się w trzeciej komnacie, oświetlonej przez dwie mocne lampy. Wszyscy czworo podeszli do piktogramu, który przedstawiał procesję przed świątynią.

- Widzicie różnice? - spytał Lazło.

Remi kiwnęła głową i zrobiła kilka nowych zdjęć.

- Owszem - odparła. - Ale co z tego wynika?
- W tym sęk - rzekł Lazło z chytrym uśmieszkiem. - Żeby poznać odpowiedź, musisz się najpierw zagubić.

Fargo popatrzyli po sobie, kompletnie skołowani.

- Wybacz, ale nie rozumiem twojej zagadki - powiedział Sam.
- Chcąc upewnić się co do tych różnic, przeszedłem do czwartej komnaty. W nieoświetlonym przedsionku zauważyłem znaki wyryte tuż pod sufitem, powyżej linii oczu. Było tam mało światła i nie mogłem dojrzeć, co przedstawiały, więc pożyczyłem latarkę od Antonia. I jak myślicie, co znalazłem?
- Współrzędne geograficzne? - spytał Sam, unosząc kpiąco brew.
- Ha, blisko! Chodźcie i przekonajcie się sami. Poprowadził ich do ostatniej części grobowca i zatrzymał się przed wejściem do komnaty. Remi skierowała światło latarki na fragment ściany, który wskazał.
- Wygląda znajomo? - spytał.
- To kolejny obraz procesji - odparła.
- Nie inaczej. Ale przyjrzyjcie się uważnie. Czy widzicie coś, czego nie ma na pozostałych? Sam podszedł bliżej i przyjrzał się piktogramowi.
- A niech mnie... - mruknął. - Gwiazdy i planety.
- Otóż to. - Lazło pokiwał głową. - Kierując się mapą ciał niebieskich, będziemy w stanie dokładnie określić położenie grobowca Quetzalcoatl.

ROZDZIAŁ 32

Antonio zwrócił uwagę na obraz procesji w drugiej komnacie.

- Tu również widać niewyraźne zarysy księżyca i kilku gwiazd. Ale wyglądają na dodane zupełnie od niechcienia.
- Tak, zauważyłem to na jeszcze jednym z większych obrazów. Niestety, konstelacje różnią się za każdym razem - powiedział Lazło.
- W takim razie nie rozumiem. W jaki sposób ustalimy, który obraz przedstawia właściwe ustawienie gwiazd?

Lazło zastanawiał się chwilę.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coś się kryje za faktem, że obrazy powtarzają się w każdej komnacie. Zgaduję, że to jakiś zapis astronomiczny: wskazówka przeznaczona dla tych, którzy mają doświadczenie w obserwowaniu gwiazd. Może... może położenie budowli na każdym piktogramie jest inne, bo mają ukazywać to samo miejsce w różnych porach roku. W momentach przelomowych, jak przesilenia letnie i zimowe...
- Ale jak my mamy to odczytać? - spytała Remi. W oczach Lazło pojawił się błysk.
- Macie jeszcze zdjęcia manuskryptu i piktogramów z Kuby, prawda?
- Oczywiście. Ale zostały w motelu.
- Więc teraz to im musimy się przyjrzeć - orzekł Lazło.
- Po co?
- Bo o ile się nie mylę, to w nich kryje się ostatnia wskazówka, która pozwoli nam rozwiązać zagadkę. Remi, zrób jeszcze serię zdjęć wszystkich obrazów, w kolejności od pierwszej do ostatniej komnaty. Postaraj się za każdym razem fotografować je z tego samego kąta. Na koniec strzel

jeszcze fotkę naszemu nowemu odkryciu w przedsiönku.

Dziesięć minut później jechali do Teotihuacan. Po drodze wpadli do motelu, skąd Remi zabrała swój dysk przenośny.

Dotarłszy na miejsce swoich wykopalisk, zbrali się wokół monitora, na którym Lazło długo przyglądał się zdjęciom kubańskich piktogramów i manuskryptu. Nikt sianie odzywał, gdy doświadczony kryptolog uważnie studiował kolejne fotografie.

- Obraz z Kuby i tekst manuskryptu wskazują, że właściwe położenie zostało ukazane w drugiej komnacie - oznajmił, kiedy skończył. - Widzicie Księżyc? Znajduje się w tej samej pozycji co na piktogramie z Kuby. Obrazy w pozostałych komnatach służą tylko zmyleniu tropu.

- Masz rację. Tu rzeczywiście jest Księżyc, chociaż bardzo niewyraźny. W życiu bym go nie zauważył pośród tylu innych znaków, ale tobie się udało - przyznał Antonio.

- Teraz pozostaje jeszcze pytanie, o którą świątynię chodzi. Tę mniejszą, tutaj? - Sam wskazał niewysoką budowlę po prawej.

Lazło odsunął się od komputera i rzekł:

- To nie takie trudne, kiedy już wiemy, czego szukać.

- Więc oświeć nas - ponagliła Maribela.

- Teotihuacan zostało wybudowane według bardzo precyzyjnego planu, opartego na ruchu ciał niebieskich. Wschodach i zachodach Słońca, Księżyca i gwiazd.

- To wiemy.

- Spójrzcie na niebo na obrazie z drugiej komnaty. Powyżej Księżyca. Ta gwiazda jest większa od pozostałych, więc musi to być Polaris, Gwiazda Polarna.

- To by się zgadzało, biorąc pod uwagę inne piktogramy Tolteków, które do tej pory poznaliśmy - zgodził się Antonio.

- Niestety, tutaj zaczynają się schody - powiedział Lazło i westchnął. - Będziemy musieli przeprowadzić symulację ruchu gwiazd i Księżyca, aż osiągniemy takie samo ustawienie jak to na obrazie. Dopiero wtedy będziemy mogli ustalić położenie grobowca.

- To wcale nie musi być takie trudne - stwierdził Antonio.

Skonsultowawszy się z Kempem, zapisał kilka szczegółów w notesie, po czym zaczął pisać na klawiaturze komputera. Pozostali przyglądali się, jak usuwa jedno słowo z ekranu i wpisuje w puste pole wyszukiwarki inne, po czym wciska kombinację klawiszy.

- Mam program, który jest w stanie przeanalizować położenie Księżyca, gwiazd i Słońca na podstawie przybliżonych współrzędnych. Lazło uważa, że ostatni obraz procesji przedstawia jakiś kluczowe wydarzenie astronomiczne. Coś szczególnego, godnego największego władcy wszech czasów. Wprowadziłem więc do programu wszystkie oczywiste możliwości. Równonocę i inne ustawienia gwiazd, które były ważne w kulturze mezoamerykańskiej.

Na ekranie pojawił się schemat graficzny. Antonio i Lazło przyjrzeni mu się uważnie, a potem nałożyli go na plan Teotihuacan. Po wypróbowaniu kilku kombinacji Antonio odsunął się od komputera.

- To nasza świątynia - powiedział Lazło, wskazując budowlę na monitorze. - Pierwsza po prawej od Piramidy Księżyca.

- Czy w jej pobliżu przeprowadzano jakieś wykopaliska? - zapytała Remi Antonia.

- Nie przypominam sobie - odparł. - Pomijając usunięcie ziemi, żeby odsłonić całą budowlę. Mniejsze piramidy uznano za mniej interesujące, więc prace badawcze skupiają się wokół tych

największych.

- Więc nigdy ich dokładnie nie przeszukano?
- Mamy ograniczone środki... - wtrąciła Maribela. Antonio przerwał jej w pół słowa, unosząc dłoń.
- Nie wydaje mi się, żeby Remi zarzucała nam niedbalstwo. Raczej chciała się upewnić, że mniejsze piramidy są wciąż niezbadane.
- No właśnie, a w takim razie jest tym bardziej prawdopodobne, że tam może się znajdować grobowiec Quetzal-coatla. Pod nią lub w jej pobliżu.
- Zauważcie, że tylna ściana świątyni pokrywa się z osią gwiazd - powiedział Antonio.
 - Jak długa jest ta ściana? - spytał Sam.
- Wszystkie ściany mają po trzydzieści sześć metrów. Po waszemu to będzie dwieście dwadzieścia stóp.
 - Niewiele mniej niż w przypadku Świątyni Pierzastego Węża.
- O ponad połowę mniej, ale to i tak spory kawałek.
 - Chodźmy obejrzyć ją z bliska - zaproponował Sam. - Czy będziemy potrzebowali nowego pozwolenia na rozpoczęcie robót?
 - Na szczęście nie.

Wszyscy wsiedli do samochodu Antonia i ruszyli Aleją Zmarłych, mijając po drodze grupki turystów podziwiających niecodzienne widoki. Gdy dotarli pod świątynię, zaczęli się przyglądać jej tylnej ścianie, jakby mieli nadzieję, że przy odpowiednio dużym wysiłku woli zdołają dostrzec miejsce, w którym ukryto sekretne grobowiec.

- Będziemy musieli kopać na odcinku około trzydziestu metrów. Dałoby się użyć do tego koparki? - zapytała Remi.
 - Sądzę, że nie powinno być z tym problemu - powiedział Antonio. - W okolicy jest kilka punktów, w których można wypożyczyć ciężki sprzęt wraz z wykwalifikowanym operatorem. Może da się to załatwić jeszcze dzisiaj. A przy odpowiednio dużym napiwku operator powinien się zgodzić pracować do późna. Po jakichś dwóch dniach dotarłby do poziomu gruntu i można by przerzucić się na łopaty.
 - A więc oznaczmy miejsce do oczyszczenia. Koparka zjawiała się o drugiej po południu i pracowała bez przerwy do dziewiątej, po zachodzie słońca przy świetle reflektorów. Sam, Remi i Lazło opuścili Teotihuacan razem z operatorem koparki. Pojechali taksówką do tej samej restauracji, w której jedli poprzedniego wieczoru. Racząc się wybornymi daniami, rozmawiali z ożywieniem, pełni nadziei na dokonanie przełomowego odkrycia.

Nazajutrz prace rozpoczęły się o ósmej rano i już o wpół do trzeciej teren na tyłach piramidy był gotowy do bardziej precyzyjnej operacji, wykonywanej przez zespół robotników uzbrojonych w łopaty i kilofy. Ekipa pracowała w pocie czoła aż do zmierzchu.

Kolejnego ranka kopali dalej, w prażącym bezlitośnie słońcu. O szóstej po południu ostrze kilofa przebiło glinianą skorupę, odsłaniając szczelinę prowadzącą do podziemnej komnaty. Otwór szybko poszerzono, by można było dostać się do środka. Tym razem Remi uparła się, że wejdzie pierwsza. Wysłuchawszy takich samych rad, jak Sam kilka dni temu, wzięła mocną lampę oraz przenośne radio i została opuszczona w głąb krypty.

- Co widzisz? - spytał Sam po trzydziestu sekundach.
- Prosty tunel biegnący pod świątynią.

- Jak daleko?
- Właśnie próbuję się przekonać - powiedziała Remi z lekką irytacją.

Sam powstrzymał się od dalszych pytań, pozwalając żonie przeszukać podziemne pomieszczenie w spokoju. Kilka minut później odbiornik wydał z siebie kilka trzasków, po czym znowu usłyszeli jej głos.

- Znalazłam kamienne wejście wyrzeźbione o wiele dokładniej niż jakiegokolwiek inne w okolicy - oznajmiła. - Niestety jest przysypane stertą ciasno upchniętych kamieni. Nie da się przez nie przekopać gołymi rękami. Powinniśmy też zabezpieczyć tunel, chociaż skoro nie zawalił się przez stulecia, na razie jest stosunkowo bezpieczny.

Antonio, który stał razem z Lazło przy otworze, wydał dyspozycje robotnikom. Ich szef przyniósł wysoką drabinę i po chwili trzej byli już na dole. Pozostali podawali im drewniane belki i deski, by zbudować prowizoryczne plomby.

- Schodzę - powiedział Sam, sięgając po kilof, łom i latarkę. Zszedł po drabinie, a Lazło, Antonio i Maribela za nim,

podobnie wyposażeni. Szli tunelem przy świetle latarek, aż dotarli do miejsca za zakrętem korytarza, gdzie zatrzymała się Remi. Ścianę z ciosanych kamieni otaczał misternie rzeźbiony kamienny łuk. Wryte w kamieniu sceny przypominały te, które widzieli w kryptach znalezionych w Lopez Mateos.

- Patrzcie. Piramida z Księżycem i procesja - powiedziała Remi, wskazując obraz na szczycie łuku. - To musi być tutaj. Po prostu musi.
- Odsuń się - ostrzegł Sam, unosząc kilof. - Spróbujemy się przebić na drugą stronę.

Wszyscy stanęli kilka kroków za nim. Sam wziął szeroki zamach i uderzył w ścianę kilofem. Kawalek kamienia odpadł. Zamachnął się po raz drugi i odłupał kolejny fragment, znacznie większy.

- Dam radę, ale trochę to potrwa - orzekł.
- Niech zajmą się tym robotnicy - zaproponowała Maribela.
- Jeszcze czego! - Sam pokręcił głową. - Po prostu dajcie mi parę minut.

Wrócił do pracy i po kilkunastu uderzeniach kilofem jeden z kamieni wypadł na drugą stronę wejścia.

- Udało się! - wydyszał Sam. - Wybiję jeszcze kilka, żebyśmy mogli wcisnąć łomy.

Wkrótce szczelina poszerzyła się o kolejne dwa kamienie, a chwilę później o jeszcze jeden. Sam odłożył kilof i sięgnął po łom. Lazło i Antonio podeszli bliżej i wszyscy trzej wsunęli swoje łomy do otworu. Po kilkunastu mocnych ruchach dolna część kamiennych drzwi zapadła się, tworząc bezładny stos pod ich nogami. W powietrzu uniosła się chmura pyłu!

- Myślę, że Remi powinna iść przodem - stwierdził Sam.
- Oczywiście - zgodził się Antonio.

Remi uniosła lampę, pochyliła się do nowo utworzonego przejścia i rozejrzała.

- To krypta - oznajmiła, po czym weszła do środka. Usłyszeli, jak nagle wstrzymuje oddech.
- Wszystko w porządku? - spytał zaniepokojony Sam, kierując światło latarki na przejście.
- Jak najlepszym - usłyszał w odpowiedzi. - Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że znaleźliśmy grobowiec Quetzalcoatl. Jest tu ciało ułożone na kamiennym podeście i pokryte nefrytami, a wokół kilka stosów ofiarnych. Są bardzo zakurzone, ale wciąż błyszczą, więc to najprawdopodobniej złoto. I jadeitowe maski.

- Złoto? - zdziwiła się Maribela. — Toltekanie nie mieli złota.
- Może za coś je przehandlowali - odparła Remi. - Jest tu też obsydian. I naczynia, zdecydowanie w stylu Tolteków.
- Czy mogę do ciebie dołączyć? - spytał Sam.
- Tak, ale bądź ostrożny. To bardzo bogate znalezisko i lepiej, żebyś niczego nie uszkodził, pakując się tutaj z gracją słonia.

Sam wsunął się do komnaty. Maribela i Lazło dołączyli do niego, a Antonio wszedł ostatni.

Znajdowali się w pomieszczeniu o powierzchni szesnastu metrów i ścianach pokrytych pięknymi piktogramami. Remi obeszła dookoła jeden z leżących na ziemi stosów i pochyliła się, trzymając lampę wysoko przed sobą. Komnatę wypełniło diodowe światło, zalewając wnętrze białą poświatą. Remi wzięła ze stosu niewielką figurkę i uniosła ją do światła.

- Złoto - potwierdziła.

Sam i Lazło podeszli do mumii leżącej na podeście. Skóra, całkiem wysuszona, miała barwę kawy i fakturę podobną do suszonej wieprzowiny. Lazło przyjrzał się uważnie mumii i wykonał w myślach krótkie obliczenia.

- Miał około półtora metra wzrostu - powiedział - więc nie bardzo pasuje do opisywanego w legendach brodatego kolosa.

Maribela stanęła obok niego i również obejrzała ciało.

- Ale za to strój się zgadza - stwierdziła. - Według legendy Quetzalcoatla złożono do grobu w szacie z białej zwierzęcej skóry. Szata godna proroka...

- Albo boga-szepnął Antonio.

- Nigdzie nie widać Oka Niebios - zauważył Sam.

- Cóż, zapewne ta część legendy została wyolbrzymiona z czasem - uznała Maribela. - Nietrudno sobie wyobrazić, że w opowieściach powtarzanych z pokolenia na pokolenie ogrom skarbów złożonych w grobowcu stawał się coraz większy, podobnie jak wzrost Quetzalcoatla.

Remi odeszła od stosów ofiarnych i skupiła się na piktogramach.

- Spójrzcie, na prawie wszystkich są węże. A tu jest procesja, ale tym razem mężczyźni niosą ciało upierzonego węża. Orszak pogrzebowy.

Spędzili w krypcie jeszcze godzinę, podczas gdy robotnicy zabezpieczali wnętrze tunelu belkami. W końcu Remi postawiła lampę na posadzce i przeczesała dłonią mocno zakurzone włosy.

- To był bardzo pracowity dzień, nie sądzicie? Najwyższy czas przekazać jego owoce w ręce ekspertów.

- To jedno z największych znalezisk w ciągu ostatnich stu lat - przyznał Antonio. - Możecie być z siebie dumni, właśnie zostaliście odkrywcami grobowca Quetzalcoatla. To zaszczyt móc pracować razem z wami.

- Tak, to niezwykle osiągnięcie - dodała z uśmiechem Maribela. - Naród meksykański ma wobec was ogromny dług wdzięczności. Kolejny - zaznaczyła, mając na myśli Kodeks Majów, który Fargo odnaleźli raptem kilka miesięcy temu.

- To raczej nas spotkał zaszczyt - powiedział Sam - że mogliśmy prowadzić poszukiwania w tak wspaniałym mieście. I wam również należą się gratulacje. To będzie wielkie wydarzenie w świecie archeologii. Legendarny skarb Quetzalcoatla i jego ciało do kompletu. Rzadko komu udało się znaleźć tyle wartościowych zabytków przez całe życie.

Remi zakasłała, bo unoszący się w komnacie pył drapał ją w gardło.

- Nigdy nie odnaleźlibyśmy tego grobowca bez waszej pomocy - powiedziała uprzejmie, choć prawda wyglądała trochę inaczej.

Lazło w dalszym ciągu przyglądał się mumii, raz po raz kręcąc głową.

- Co jest, Lazło? - spytał Sam.

- Wciąż coś mi się tu nie zgadza. Nie wiem co, ale jestem tego pewien.

- Osiągnęliśmy cel naszych poszukiwań - powiedziała Maribela. - To, że nie jesteś w pełni usatysfakcjonowany tym, co znaleźliśmy, jeszcze nie znaczy, że coś jest nie w porządku.

- Być może. Ale chciałbym dokładnie zbadać całą komnatę. Udało nam się odnaleźć to miejsce dopiero po ponownym dokładnym przestudiowaniu piktogramów z Lopez Mateos. Teraz też mam przeczucie, że jeszcze nie poznaliśmy całej historii.

- Przeprowadzimy gruntowną analizę znaleziska, centymetr po centymetrze - zapewnił Antonio. - Zdążyłem się przekonać, że nie należy ignorować przeczucia Lazła. Niewykluczone, że Quetzalcoatl nadal skrywa przed nami jakieś tajemnice.

Gdy wyszli na powierzchnię, wykonał krótki telefon, by ściągnąć na teren wykopalisk dodatkowych strażników. Komnata pełna złota i bezcennych artefaktów była ogromną pokusą dla rabusiów, a że kilkunastu robotników widziało, co znajduje się w grobowcu, plotki o skarbie rozejdą się w ciągu kilku godzin na pół kraju. Grupa uzbrojonych ochroniarzy była w tej sytuacji konieczna.

Zanim Antonio zdążył schować komórkę do kieszeni, zadzwoniła. Odebrał połączenie i przez kilka chwil tylko słuchał, z każdą sekundą blednąc coraz bardziej. Gdy skończył i wrócił do pozostałych, był wyraźnie poruszony.

- Co się stało? - spytała Remi.

- Właśnie... znaleźli ciało Carlosa.

Wszyscy zamilkli, a panujący jeszcze przed momentem radosny nastrój prysł. Antonio przekazał im skąpe informacje, które właśnie uzyskał, a z których nie wynikało nic konkretnego. Kolejna bezsensowna śmierć w świecie nieznaną litości, kolejny dobry człowiek pozbawiony życia zupełnie bez powodu. Wraz z nadejściem zachodu słońca pośród ruin zerwał się gorący wiatr, zawodząc między otaczającymi ich budowlami niczym pieśń żałobna. Sam i Remi pakowali swoje plecaki, a rodzeństwo Antonio i Maribela instruowali znajdujących się już na miejscu strażników. Gdy skończyli, Antonio podszedł do Sama i Remi, wciąż bardzo przygnębiony.

- Poczekam tu na przyjazd pozostałych strażników. Poprosiłem o oddział żołnierzy z pobliskiej bazy wojskowej - powiedział i spojrzął na zegarek. - Powinni się zjawić za godzinę. Wy już wracacie do motelu?

- Przyjedziemy jutro, żeby zobaczyć, co jeszcze uda wam się odkopać, o ile to nie problem - odparła Remi.

- Bynajmniej, będzie nam bardzo miło.

Sam, Remi i Lazło ruszyli za ostatnią grupą turystów wzdłuż Alei Zmarłych, stawiając kroki niemal automatycznie. Nie odezwali się ani słowem przez całą drogę do motelu.

ROZDZIAŁ 33

Następnego ranka Lazło, Remi i Sam podjechali pod Piramidę Księżyca na wypożyczonym dla nich z Instytutu wózku golfowym. Kilku robotników rozstawiało namiot dla archeologów, a Antonio

wyjaśniał coś grupce studentów, którzy słuchali go w skupieniu. Maribela stała na skraju grupy. Jej oczy zaiskrzyły wesoło na widok przybyłych.

- Hola! - zawołała, ruszając w ich stronę sprężystym krokiem. - Wcześniej przyjechaliście.

- Nie mogliśmy się doczekać, żeby jeszcze raz obejrzeć nasze znalezisko - odparł Sam z uśmiechem.

- Doskonale. Właśnie omawiamy plan prac z resztą zespołu. Przydzielono nam dwunastu pomocników. Chcemy być absolutnie pewni, że podczas dokumentowania artefaktów nic nie ulegnie uszkodzeniu.

- Możemy wejść do środka i zrobić trochę zdjęć, zanim zaczniecie wszystko przekładać i wynosić?

- Oczywiście. Chodźcie ze mną, dam wam rękawiczki i szczotki, na wypadek gdybyście chcieli coś oczyścić z pyłu.

- Dzięki, ale zależy nam głównie na piktogramach. Może wśród nich znajdziemy wyjaśnienie, dlaczego w legendach Quetzalcoatl został przedstawiony jako wysoki biały mężczyzna z brodą. Mumia z krypty w niczym nie przypomina tego opisu...

- Ach, te legendy - mruknęła Maribela.

- Nie zaszkodzi sprawdzić, czy coś się za nimi nie kryje - powiedziała spokojnie, ale stanowczo Remi.

Lazło wyczuł napięcie między kobietami i postanowił je rozładować.

- Ile jeszcze twój brat będzie zabawiał młodziaków? - spytał Maribelę.

- Rozmawia z nimi już od piętnastu minut, więc lada chwila powinien kończyć.

Antonio rzeczywiście wkrótce wysłał studentów do wyznaczonych zadań i dołączył do Sama, Remi i Lazła, witając ich jak najdostojniej gości.

- Już jesteście! Przyszliście napawać się swoim wspianym odkryciem?

- Zamierzamy sfotografować znalezisko, zanim rozpoczniecie swoją pracę - odparł Sam i rzucił okiem na sześciu pilnujących wykopalisk żołnierzy, uzbrojonych w karabiny M4. Żaden nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. - Widzę, że ściągnąłeś tu ciężki sprzęt. Dosłownie.

- Nie chcielibyśmy, żeby skarb Quetzalcoatl wymknął nam się z rąk, prawda?

Kilka następnych godzin Fargo spędzili, fotografując piktogramy. W wielu miejscach czyścili szczoteczkami wyryte obrazy, aby nie umknął im żaden detal. Kiedy skończyli, zmęczony wszechobecnym pyłem Sam wyszedł na powierzchnię i dołączył do Lazła, który siedział pod brezentowym zadaszeniem przed dużym monitorem i dokładnie oglądał każde kolejne zdjęcie. Mimo panującego gwaru był tak skupiony, że zupełnie nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

- Sądzisz, że mamy już wszystko? - zapytał Sam żonę, która po chwili do nich podeszła.

- Na to wygląda, ale wciąż nie potrafię pozbyć się wątpliwości - odparła. - Ofiary złożone w tym grobowcu są dość skromne w porównaniu z innymi słynnymi skarbami.

- Toltekowie nie byli szczególnie bogatym ludem - zauważył Sam.

- Niby tak, ale to, co znaleźliśmy, ma się nijak do wspianiałości opisywanych w legendach - powiedziała Remi, bawiąc się naszyjnikiem ze złotym skarabeuszem. - Może to mój talizman przekazuje mi sceptyczne myśli.

- Do tej pory przyniósł nam sporo szczęścia. I bez względu na jego obecne podszepty możemy śmiało przyznać, że dokonaliśmy niesłychanego odkrycia. Rozwiązaliśmy kolejną zagadkę

sprzed setek lat. Całkiem niezłe jak na kilka tygodni pracy - uznał Sam, po czym zwrócił się do Lazło: -Mam rację, Lazło?

Dopiero usłyszawszy swoje imię, kryptolog zauważył, że przy nim stoją.

- Wciąż czegoś tu brakuje - rzekł. - Nie wiem czego, ale jestem tego pewien.
- Zgadza się z Remi w tak wielu sprawach, że zaczynam być podejrzliwy - zażartował Sam. - Dajmy już sobie na dzisiaj spokój, to był męczący dzień. Do zdjęć możemy wrócić jutro, a ciebie pewnie już bolą oczy od wgapienia się w monitor. Nie wrzuciłabyś czegoś na ruszt, Remi?
- Jasne. Ale sądząc po tym, jak wyglądasz, powinniśmy się najpierw porządnie umyć.
- To prawda, mam na sobie chyba z kilogram kurzu.

Pożegnali się z Antoniem i Maribela, a że już rano wymeldowali się z motelu, pojechali do St. Regis w Mexico City, po drodze zostawiając Lazło pod kliniką. Umówili się, że wrócą na teren wykopalisk następnego ranka.

W Teotihuacan o trzeciej w nocy panowała kompletna cisza. Piramidy były prawie niewidoczne na tle czarnego nieba, a główna aleja przypominała nierówną kreskę narysowaną atramentem. Sierp księżycy z rzadka wylaniał się zza chmur, ale nawet w jego bladym świetle pilnujący terenu wykopalisk żołnierze nie byli w stanie rozróżnić rysów twarzy kolegów stojących obok. Bogaty w lata i doświadczenie sierżant przechadzał się pewnym krokiem wokół świątyni, upewniając się, że żaden z jego dwunastu podkomendnych nie ucina sobie drzemki. Chociaż tętniąca życiem stolica znajdowała się zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów stąd, tu był zupełnie inny świat. Wątle światła pobliskiego San Martin de las Piramides w niczym nie przypominały oślepiających neonów stolicy.

Do otaczającej teren barierki podszedł kapral i zaczął opowiadać jednemu z szeregowców jakiś dowcip. Urwał w pół słowa i wyprężył się, widząc zbliżającego się sierżanta. Ich dowódca miał opinię twardego i zasadniczego. Służył w armii od piętnastu lat i odwiedził wszystkie zakątki Meksyku w okresie największego nasilenia wojny z kartelami narkotykowymi. Obecne zadanie, wartę na środku pustkowia, traktował niezwykle poważnie, podczas gdy dla jego ludzi, którzy w większości dopiero zaczynali się golić, był to kolejny z nużących i pozbawionych sensu przydziałów.

Sierżant już miał zrugać kaprala, gdy nagle coś porwało jego czapkę wysoko w górę, razem z połową czaszki. Kapral dopiero po chwili zrozumiał, co się właśnie stało, ale była to ostatnia chwila jego życia. Na jego piersi zatańczyła niewielka czerwona kropka, a sekundę później przebiły ją dwa pociski. Słuchający dowcipu szeregowiec uniósł karabin, by strzelić w stronę niewidocznych napastników, zanim jednak nacisnął spust, kolejna kula rozorała mu gardło. Chłopak osunął się na ziemię, charcząc i drżąc w przedśmiertnych konwulsjach, a bezużyteczny już karabin upadł koło jego stóp.

Z ciemności wychylnęło osiem ubranych na czarno postaci, postępujących naprzód niemal bezszelestnie. Padły jeszcze trzy strzały z wytłumionych pistoletów kaliber 9 mm i trzech kolejni żołnierze pożegnali się z życiem. Gdy chwilę później jeden z pozostałych strażników wszczął alarm, natknąwszy się na ciało kolegi na skraju barierki, dowódca nacierającego oddziału wydał szeptem rozkaz przez mikrofon i cała ósemka otworzyła ogień w stronę reszty żołnierzy, zabijając wszystkich w mgnieniu oka.

Bitwa była skończona, jeszcze zanim na dobre się zaczęła. Żaden ze strażników nie zdążył oddać ani jednego strzału. Dowódca napastników opuścił swoją kryjówkę i przeszedł się po polu walki, przystając co jakiś czas, by dobić strzałem w głowę pojękujących rannych. Gdy się upewnił, że wszyscy są martwi, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął klawisz szybkiego wybierania.

Dwie minuty później na miejsce zajęły trzy duże samochody z wyłączonymi światłami.

Pojazd prowadzący kolumnę zatrzymał się przy samej barierze, po czym wszystkie jego drzwi otworzyły się jednocześnie. Guerrero wysiadł i czekał na Reginalda, który dołączył do niego po chwili.

- Załatwione. Ale musimy się pospieszyć. Nie mam pojęcia, czy nie dostali rozkazu, by regularnie kontaktować się z bazą - ostrzegł Guerrero, rozglądając się po usłanej zwłokami okolicy zupełnie bez emocji. Widok martwych Meksykanów był stałym elementem jego życia.

- Każ swoim ludziom przygotować torby - polecił Reginald. - Zabieramy złoto, ale także wszystkie ozdoby i wyroby ceramiczne. Takie rzeczy są bardzo chodliwe, o ile ma się dojścia na właściwym rynku.

- A ty oczywiście takie dojścia masz - dokończył Guerrero z ironicznym uśmiechem, a światło księżyca odbiło się w jego złotym siekaczu, co dało demoniczny efekt na tle wszechobecnej śmierci.

- I właśnie dlatego jestem dla ciebie idealnym partnerem w tym interesie. Te rzeczy mogą być warte fortunę.

- Więc chodźmy zobaczyć, ile zarobimy. Prowadź -zaordynował szef kartelu.

Reginald ruszył w stronę zejścia do grobowca, omijając leżące na drodze ciała. W środku zapalił przenośną lampę, a Guerrero poszedł w jego ślady, tak jak reszta jego ludzi, którzy zeszli do krypty. Czterej zostali na górze, by dopilnować, żeby nikt im nie przeszkadzał podczas wnoszenia artefaktów. Reginald wszedł do komnaty i przyklęknął przy jednym z trzech stosów ofiarnych. Uniósł leżącą na nim złotą statuetkę, stęknął z zadowoleniem, ważąc ją w dłoni, po czym zawiązał figurkę w ręcznik i włożył do swojej torby.

- Nie jest tu tego tak dużo, jak się spodziewałem, ale sama ta figurka waży jakieś dwa kilo - powiedział. - Bez wątplenia to będzie owocna noc. Zabierzcie wszystko, powinno się zmieścić w czterech czy pięciu torbach, więc miejsca nie zabraknie. Tylko pamiętajcie, o czym wam mówiłem. Postępujcie z każdym przedmiotem delikatnie i pod żadnym pozorem nie wrzucajcie ich na pałę do worków. Najpierw musicie każdy artefakt dokładnie owinać materiałem. Spiszemy wszystkie po powrocie.

Ludzie Guerrero zabrali się do pracy. Jeden podnosił bezcenne znaleziska, a pozostali owijali je sumiennie szmatami i pakowali do toreb. W ciągu dwudziestu minut cała krypta była dokładnie wyczyszczona. Reginald rzucił jeszcze okiem na mumię, po czym zerknął na zegarek.

- Nasza praca tutaj dobiegła końca - powiedział, ostatni raz rozglądając się dookoła. Gdy się upewnił, że wszystko spakowali, dołączył do Guerrero, który wspaniałomyślnie zaoferował się ponieść jego torbę.

- Ile to może być warte? - zapytał, przekładając w dłoni ciężki pakunek.

- Na razie nie da się tego stwierdzić, ale podejrzewam, że parę ładnych milionów. Ostateczna wartość będzie zależała od rynku i od tego, ile będziemy musieli czekać, aż sprawa kradzieży przycichnie wystarczająco, żeby można było złożyć ofertę mniej praworządnym kolekcjonerom.

- Nie łatwiej byłoby po prostu przetopić to wszystko i wymienić na gotówkę?

- Słodki Jezu, nigdy w życiu! - Reginald pokręcił głową z niedowierzaniem. - Wartość tych przedmiotów wynika przede wszystkim z ich znaczenia historycznego. Ich cena będzie tysiąckrotnie wyższa od ceny samego złota.

- Pamiętaj, dzielimy się pół na pół. - Guerrero popatrzył na Reginalda z powątpiewaniem. - Spróbuj nas wykiwać, a znajdziemy cię w najczarniejszej dziurze na końcu świata.

- Taka była umowa i tego będę się trzymał - zapewnił Reginald, starając się uspokoić podejrzliwego dzikusa. W rzeczywistości, bez względu na ostateczną wartość skarbu, zamierzał zachować dla siebie i Janusa przynajmniej siedemdziesiąt procent. Guerrero nigdy nie pozna

szczegółów żadnej transakcji, a on w razie konieczności na pewno zdoła załatwić kilka dodatkowych wypłat pod stołem, aby na jego koncie nie został żaden ślad.

Nie mógł się doczekać, aż zobaczy minę Janusa na widok tego znaleziska. Podczas gdy starszy brat smacznie spał, Reginald przejął inicjatywę i zdobył dla nich całą górę złota. Przeszło mu przez myśl, by wyłączyć Janusa z całej sprawy, ale szybko pogodził się z faktem, że bez jego kontaktów i doświadczenia w handlowaniu antykami nie zdoła upłynnić towaru. Może za parę lat pozna już wszystkie grube ryby w tym interesie, ale na razie starszy brat pozostawał niezaprzeczalnym przywódcą, czy mu się to podobało, czy nie.

Przy odrobinie szczęścia zdążą wrócić do stolicy, zanim władze ustawią blokady na drogach i rozpoczną poszukiwania złodziei.

Reginald wyobrażał sobie reakcję Amerykanów, gdy rano przekonają się, że zwinął im sprzed nosa cały skarb, zmieniając ogromny sukces w kompletną katastrofę. Przywołując w myślach wyraz ich twarzy, uśmiechnął się z satysfakcją. Odpłacił im z nawiązką.

ROZDZIAŁ 34

Gdy następnego ranka Fargo podjeżdżali taksówką pod klinikę, Lazło już na nich czekał przy wejściu. Ledwie Sam wysiadł z samochodu i zamachał, niemal biegiem rzucił się w jego stronę. Kilka minut później cała trójka siedziała wygodnie przy stoliku w pobliskiej restauracji.

Zamówiwszy śniadanie, zaczęli rozmawiać o grobowcu Quetzalcoatla,

- Chciałbym dokładnie obejrzeć każdy skrawek - powiedział Lazło, pociągając solidny łyk kawy.
- Wasi meksykańscy przyjaciele trochę za prędko osiedli na laurach, jak na mój gust.
- Po prostu nie mają twojej wrodzonej podejrzliwości.
- To rzecz nabyta, efekt wielu lat arogancji i cynizmu - przyznał Lazło.

Gdy podawano im jedzenie, zadzwoniła komórka Sama. Zanim odebrał, spojrzął zdziwiony na wyświetlacz, a tymczasem Remi i Lazło zabrali się do swoich sadzonych jajek. Po krótkiej rozmowie Sam odłożył telefon na stół, obok swojego talerza. Jego twarz była biała jak ściana.

- Co się stało? - spytała Remi.
- Dzwonił Antonio. Na terenie wykopalisk doszło do napadu. Wszyscy żołnierze nie żyją, a skarb zniknął.
- Jak to możliwe? - wyszeptał wstrząśnięty Lazło.
- W nocy ktoś wymordował strażników i opróżnił grobowiec. Wszystkie artefakty zostały skradzione, co do jednego.
- Ilu żołnierzy pilnowało krypty? - dopytywał Lazło.
- Dwunastu. Antonio jest kompletnie zdruzgotany, czemu trudno się dziwić.

Na dłuższą chwilę zapadła ponura cisza. Pogodzenie się z faktem, że ich triumf przerodził się w klęskę, nie było łatwe.

- I nic nie zostało? - odezwała się w końcu Remi.
- Złodzieje nie zabrali mumii - odparł Sam.
- Kto wiedział o tym odkryciu? Czy zostało już zgłoszone władzom? - spytał Lazło.
- Nie. - Remi pokręciła głową. - Ale najwyraźniej ktoś powiedział o nim jednej osobie za dużo. To mógł być któryś z robotników, studentów, może nawet któryś z żołnierzy. Wystarczająco

wiele osób wiedziało o sprawie, żeby wiadomość rozeszła się po okolicy.

- Antonio mówił, że na miejscu aż się roi od Federales i dziennikarzy. Powiedział, że możemy przyjechać, ale powinniśmy poczekać do wieczora, żeby policja mogła skończyć swoją robotę.

- To wprost nie do wiary. Przecież to raptem rzut beretem od stolicy... - mruknęła Remi.

- Czy mają jakieś podejrzenia, kto może za tym stać? - zapytał Lazło.

- Któryś z gangów, karteli. Jest w czym wybierać. Ale ktokolwiek to zrobił, musiał być bardzo dobrze przygotowany. Napad został wykryty dopiero rano, gdy na miejsce przybyła poranna zmiana warty. Innymi słowy, ktoś zdołał zabić tuzin uzbrojonych żołnierzy w absolutnej ciszy. Żaden ze strażników nie zdążył nawet wystrzelić. To musiało się odbyć błyskawicznie.

- Wygląda na robotę komandosów. Nieprawdopodobne.

- Zabezpieczają odciski opon, ale Antonio wątpi, żeby to coś pomogło - rzekł Sam. - Obawiam się, że tutejsi Fede-rales mają niewiele wspólnego z Grissomem z CSI.

- Zapewne - przyznała Remi.

- Całkiem straciłem apetyt - powiedział Sam, zwieszając głowę.

- Ja też. - Remi odsunęła talerz z niedokończonym jajkiem i wzięła duży łyk kawy.

Tymczasem Lazło spokojnie dokończył swoje śniadanie, a gdy ostatni kawałek jajka zniknął z jego talerza, oparł się wygodnie na krześle i zaczął wyglądać przez panoramiczne okno na przejeżdżające ulicą samochody.

- Wiecie, wczoraj w nocy sporo czytałem o grobowcach takich jak ten, który znaleźliśmy - odezwał się po dłuższej chwili. - Kiedy próbujesz coś ukryć przed ludźmi, robisz wszystko, żeby zachować to w tajemnicy. Ale każda tajemnica może zostać zdradzona. Więc jeśli chcesz ukryć wspaniały, z niczym nieporównywalny skarb, pochowany razem z twoim ukochanym władcą, co robisz?

- Przyznaję, że nie mam zielonego pojęcia.

- Cóż, historia zna przypadki fałszywych grobowców. Budowano je, aby ewentualni łowcy skarbów po ich znalezieniu zaprzestali dalszych poszukiwań. Było w nich zawsze dość kosztowności, żeby przekonać ewentualnych znalazców, że odkryli to, czego szukali. Cwane gapy z tych Tolteków, musicie przyznać.

- Więc sądzisz, że nasz grobowiec to właśnie taka zmyłka?

- Nie wiem, ale to możliwe, prawda? Zwłaszcza że to, co znaleźliśmy w środku, nie do końca odpowiadało temu, czego się spodziewaliśmy.

- Rzeczywiście - przyznała Remi. - Oglądałeś zdjęcia. Czy to, co na nich widać, wyglądało jak ofiara godna króla? Nawet biorąc pod uwagę ograniczone możliwości Tolteków?

- Nie bardzo. I właśnie dlatego mam wątpliwości. Ty chyba też.

- Ale jeśli to nie był prawdziwy grobowiec, dlaczego wskazały go piktogramy?

- Też się nad tym zastanawiałem. Być może wszystkie wskazówki odczytaliśmy prawidłowo, bo krypta, którą znaleźliśmy, od początku była przeznaczona do tego, żeby ktoś ją odnalazł, a potem zaprzestał poszukiwań prawdziwego grobowca Quetzalcoatl. - Lazło westchnął. - Tak właśnie się stało, czyż nie?

Remi pokiwała głową, po czym zwróciła się do męża:

- A nie mówiłam, że to prawdziwy geniusz?

- Może nie posuwałbym się aż tak daleko, ale... - odparł z uśmiechem Sam.

- Mówię zupełnie poważnie.

- To ciekawy pomysł i brzmi całkiem rozsądnie. Ale obawiam się, że rząd Meksyku nie będzie zachwycony, jeśli zaczniemy rozkopywać przypadkowe miejsca w okolicy, licząc na to, że się nam poszczęści. Nie mamy żadnego tropu, żadnej wskazówki, gdzie wznowić poszukiwania.

- Musi być jakiś sposób.

- Nie twierdzę, że nie ma sposobu, tylko że władze nie pozwolą nam kopać w ważnym miejscu historycznym na podstawie samego przeczucia.

- Ale masz jakiś pomysł, co moglibyśmy teraz zrobić? -zapytała Remi, przyglądając mu się uważnie.

- Owszem - potwierdził Sam. - Podczas rozmowy Antonio wspomniał, że wreszcie dotarł nasz spóźniony sonar. Stwierdził, że już się nam nie przyda, ale ja jestem innego zdania.

Zapłacił rachunek i wyszli na ulicę. Remi przywołała taksówkę i zaczęła chwilę, aż kierowca zdoła zatrzymać się przy krawężniku w potoku pędzących samochodów.

- A więc nasz luksusowy pobyt w St. Regis dobiegł końca? Wracamy do motelu pod Teotihuacan? - spytała.

- Tylko jeśli na pewno chcesz spróbować jeszcze raz.

- Jasne, że tak. Mam takie samo wrażenie jak Lazło. Tak czy siak, są tylko dwie możliwości: albo znaleźliśmy właściwy grobowiec, a cała reszta to po prostu nic niezna-czące, rozdmuchane legendy, albo padliśmy ofiarą perfidnego podstępów Tolteków.

- Ludzka natura nie zmieniła się zbyt wiele przez ostatnie tysiąc lat. Każdy normalny człowiek po znalezieniu tej krypty i leżących tam stosów złota odtrąbiłby sukces i wrócił do domu - powiedział Lazło.

Sam otworzył tylne drzwi taksówki i puścił Remi przodem, a Lazło usadowił się obok kierowcy.

- Ale my nie jesteśmy całkiem normalni, prawda? -powiedziała Remi.

- Na szczęście nie - odrzekł Sam z uśmiechem. - Inaczej dawno umarlibyśmy z nudów.

La Jolia, Kalifornia

Kendra przeciągnęła się na krześle, skończywszy kolejny długi dzień pracy, i zerknęła na Pete'a, który właśnie wyłączał swój komputer. Wendy wyszła już pół godziny wcześniej.

- Jakież sukcesy? - spytał Pete, wstając zza biurka. Na jego twarzy widniały wyraźne efekty dwóch dni bez golenia. Odgarnął z czoła chłopięcy loczek i uśmiechnął się do Kendry, gdy ta pokręciła przecząco głową.

- Nic a nic, ale nie wierzymy przecież w cuda. To musi potrwać. Na razie nie doznałam żadnego olśnienia.

- Pewnie dlatego nazywają to pracą.

- Na pewno lepsze to niż smażenie hamburgerów.

- Mówisz na podstawie własnego doświadczenia? - spytał Pete, podchodząc do jej stanowiska.

- O nie, nie wyciągniesz ze mnie wszystkich sekretów. - Kendra zatrzepotała rękami. - Kobieta musi mieć swoje tajemnice...

Pete chyba się trochę zawstydził, bo przestąpił kilka razy z nogi na nogę, po czym odchrząknął nerwowo. Kendra czekała na jego odpowiedź z uniesioną brwią.

- Masz już jakieś plany na wieczór?
 - Chciałam sobie zrobić nowy tatuaż. A czemu pytasz? To zbiło go z tropu, ale skoro już zaczął, musiał kontynuować.
 - A, nic takiego. Zastanawiałem się po prostu, czy nie moglibyśmy się przejść na stare miasto i napić piwa w tym nowym pubie. Czytałem o nim w Internecie. Podobno po dają tam świetną pizzę.
 - Jestem weganką i nie piję alkoholu - powiedziała Kendra, ale po chwili uśmiechnęła się szeroko. - Zawsze byłam ciekawa, jak to jest powiedzieć komuś coś takiego. Sama słyszałam to już tyle razy, że miałam ochotę udusić kilka osób. Teraz już wiem.

Było jasne, że Pete jest całkiem skołowany, więc Kendra dodała pośpiesznie:

- To był taki żart. Uwielbiam pizzę i piwo. Jaka rodowita Amerykanka mogłaby odrzucić taką propozycję?
- Więc rezygnujesz z tatuażu na dzisiaj? - zapytał z wyraźną ulgą w głosie, nie posiadając się z radości, że jego zaproszenie zostało przyjęte.
 - To zależy od tego, ile wypijemy. Ty stawiasz?
 - Pierwszą kolejkę.

Wcisnęła ikonę na pulpicie i ekran jej monitora zgasi. Wstała, zarzuciła na ramię torebkę i ruszyła do wyjścia.

- Jestem gotowa. Nie noszę ze sobą wielu rzeczy, czy je dziemy osobno?
- Jak wolisz. Mogę cię później odwiedzić do domu, jeśli nie chce ci się samej prowadzić.
- Pasuje. Prowadź. Szczerze mówiąc, umieram z głodu. Tak jakby zapomniałam zjeść dzisiaj lunch.
 - Myślałem, że tylko mnie się to tutaj zdarza.
 - Najwyraźniej mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziliśmy.

Gdy zbliżali się do drzwi, Kendra przyłożyła palec do ust i szepnęła:

- Selma.

Przeszła ostrożnie po nieoświetlonym korytarzu do drzwi pokoju ciotki. Widząc wydobywające się spod nich światło, zapukała. W środku rozległo się ostrzegawcze szczekanie Zoltana, a po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich Selma, uśmiechając się na widok siostrzenicy.

- Chciałam tylko dać znać, że już wychodzę - wyjaśniła dziewczyna. - Chcesz, żebym coś ci przywiozła rano?
- Nie, kochanie, dziękuję. - Selma pokręciła głową. - Niczego mi nie brakuje. Miłego wieczoru. Tylko pamiętaj włączyć alarm przed wyjściem.
 - Jasne. Czujesz się już lepiej?
 - Jest takie powiedzenie: „Co nas nie zabije...”
 - Cokolwiek by o nim mówić, Nietzsche potrafił bawić się słowami.
 - Owszem. Uważaj na siebie, Kendro - powiedziała Selma i dopiero w tym momencie dostrzegła drugą postać stojącą za drzwiami. - Ach, to ty, Pete. Jeszcze tu jesteś, o tej porze?
 - Tak. Właśnie odprowadzałem Kendrę.

Selma rzuciła siostrzenicy porozumiewawcze spojrzenie, po czym zwróciła się do Pete'a:

- To bardzo miło z twojej strony. No dobra, dzieciaki, dla mnie to już najwyższa pora na spoczynek. Bawcie się dobrze.
- Trzymaj się i śpij dobrze. - Kendra nachyliła się i ucałowała ciotkę w policzek.

ROZDZIAŁ 35

Mexico City

Słuchając buńczucznej opowieści Reginalda o przeprowadzonym ostatniej nocy zbrojnym napadzie i patrząc na jego pełną samouwielbienia minę, Janus z trudem powstrzymywał zalewającą go od środka falę wściekłości. Był pewien, że podniecenie brata nie jest wywołane tylko resztkami adrenaliny i radością z wykradnięcia skarbu tuż spod nosów Sama i Remi.

Zbliżając się do końca relacji, Reginald wyraźnie ograniczył figury stylistyczne i dramatyczne pauzy, zdążył już bowiem zauważyć zimny wyraz oczu Janusa. To spojrzenie dobrze znał, w przeciwieństwie do przyczyny, dla której starszy brat nie był zadowolony z przyniesionych mu wieści.

Gdy wreszcie skończył, Janus zamyślił się głęboko, unosząc oczy ku pysznie ozdobionemu sufitowi willi, którą wynajął na ten tydzień w Mexico City.

- No i czemu nic nie mówisz? - Reginald nie był w stanie znieść jego przedłużającego się milczenia. - Zagarnęliśmy skarb.
 - Tak. Ale to tylko jeden element wczorajszych wydarzeń. Oprócz tego do spółki z kartelem Loz Zetas wziąłeś udział w nocnym napadzie, w wyniku którego zginęło dwunastu żołnierzy.
 - Zgadza się. Ale załatwiliśmy to czysto, żadnych świadków.
 - Czysto... Zabiłeś dwunastu ludzi i jeszcze wciągnąłeś w to mnie.
 - W co cię niby wciągnąłem? Tylko tyle, że przyniosłem ci skarb.
 - Tak, skarb. Niezbyt imponujący, sądząc po tych twoich zdjęciach. Gdzie dokładnie się teraz znajduje, jeśli mogę spytać?
 - Już mówiłem. Słuchałeś mnie choć przez moment? Guerrero trzyma go w bezpiecznym miejscu.
- Janus wstał z fotela i podszedł do okna wychodzącego na pobliski port. Gdy po dłuższej chwili się odwrócił, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.
- Ty zupełnie nie zdajesz sobie z prawy, w co nas wpakowałeś, prawda? - spytał beznamiętnym tonem.
 - Ależ owszem, jak najbardziej zdaję sobie sprawę, że wpakowałem nas w wartą grube miliony kolekcję artefaktów.

- Mylisz się. W rzeczywistości wszedłeś w konszachty z grupą maniakałnych morderców najgorszego sortu i wziąłeś udział w masakrze, po której meksykański rząd poruszy niebo i ziemię, by odnaleźć tę kolekcję artefaktów. Nie tylko przekreśliłeś jakiekolwiek szanse na jej sprzedanie, ale na dokładkę wpakowałeś mnie do łóżka z barbarzyńcami, dla których wyrwać komuś serce to to samo co obrać jajko. Dzięki twojej inwencji z neutralnego sprzedawcy, dostarczającego im to, czego sobie zażyczyli za rozsądną cenę, przestoczyłem się w ich wspólnika. A wisienką na tym przepysznym torcie jest perspektywa, że gdyby któryś z tych bydlaków wpadł w ręce policji i postanowił potargować się o swoje życie, będzie miał do zaoferowania nie tylko brudy swojego szefa, o nie, teraz będzie mógł sprzedać również ciebie, a w konsekwencji i mnie.

- Ja... nie myślałem... - jękał się Reginald. Wyjaśnienie brata spadło na niego niczym kubek zimnej wody.

- Nareszcie powiedziałeś coś sensownego. Nie myślałeś. Nie poświęciłeś nawet jednej chwili, by zastanowić się nad tym, co zamierzasz. Gdyby było inaczej, skonsultowałbyś to ze mną, a ja mógłbym ci w porę wytłumaczyć, dlaczego cała ta maskarada jest idiotyczna i skrajnie niebezpieczna. Dopilnowałbym, żeby napad przeprowadzono bez twojego udziału, żeby nasza rola ograniczyła się do spijania samej śmietanki. O ile cała akcja zakończyłaby się powodzeniem, no i bez żadnych nadziei na szybki zysk.

- A czy to by tak wiele zmieniło?

- Owszem, bo widzisz, ja znam tych pasożytów i wiem, że wkrótce zaczną się domagać obiecanych pieniędzy. Nie będzie ich interesowało, dlaczego to musi potrwać kilka lat. Teraz, jako ich wspólnik, będę musiał im zapłacić z własnej kieszeni, żeby nie narazić się na ich zemstę. A więc nie tylko naraziłeś całe nasze przedsięwzięcie na niepowodzenie, zarówno teraz, jak i w przyszłości, ale jeszcze pozbawiłeś mnie pieniędzy, których być może nigdy nie będzie mi dane odzyskać.

- Ale przecież mamy...

- Chryste Panie Za Nasze Grzechy Umarły! Gównu mamy, zakoduj to sobie wreszcie! Los Zetas mają gdzieś schowany zestaw złotych bibelotów, których przez najbliższą dekadę nikt nie weźmie do rąk, a przez które ty możesz resztę życia spędzić w więzieniu. Mamy klientów, którzy teraz uważają się za naszych pełnoprawnych wspólników. Mamy potencjalne zagrożenie, że któryś z nich, o ile w końcu nie wszyscy, trafi za kratki i wyda cię w zamian za złagodzenie wyroku. I wiesz co? Większość krajów na świecie zgodzi się na ekstradycję wielokrotnego zabójcy bez mrugnienia okiem.

- Ale przecież ja nikogo nie zabiłem!

- To tylko twoje słowo przeciwko ich słowu. Zamierzasz powtarzać je w nieskończoność, gnijąc w meksykańskim więzieniu? Nie mieści mi się w głowie, jak mogłeś pomyśleć, że to dobry pomysł.

- No cóż, stało się i nic już tego nie zmieni - stwierdził zadziornie Reginald.

- Żałuję, że w ogóle dopuściłem cię do swoich interesów. Szczerze. Nie masz zielonego pojęcia, co robisz, a mimo to cały czas uważasz się za najmądrzejszego pawiana w stadzie. Niewiarygodne.

- Widzisz, Janus? Właśnie tego nie mogę znieść. Cały czas mówisz do mnie, jakbym był tępym dzieciakiem.

- Ty nie możesz tego znieść? - Janus prawie się zachłysnął, po czym, z trudem powstrzymując drżenie rąk, wykonał kilka głębokich wdechów, czekając, aż serce przestanie walić mu jak młot pneumatyczny. - W ciągu jednej krótkiej nocy doprowadziłeś nas na skraj katastrofy. I, pomijając wszystko inne, nie masz nawet bladego pojęcia, co planują Fargo.

- Jak to „co planują”?

- Oni wciąż tu są. W Meksyku. I wiem z pewnego źródła, że dziś znowu pojechali do ograbionego grobowca. Po co mieliby to robić, gdyby uważali, że znaleźli to, czego szukali?

- Ale tam już przecież nic nie ma, poza kilkusetletnim trupem. Może po prostu zbierają swoje rzeczy albo chcieli jeszcze raz rzucić okiem przed odlotem do Stanów?

- Może. Gdyby nie twoje nocne wybryki, moglibyśmy w spokoju ich obserwować, zachowując dla siebie element zaskoczenia. Teraz już wiedzą, że ktoś depcze im po piętach, i z pewnością będą o wiele ostrożniejsi. A to nie wróży niczego dobrego.

Reginald zapalił papierosa, podszedł do barku i nalał sobie sporą porcję szkockiej. Opróżnił szklankę w dwóch łykach i odwrócił się ponownie do brata.

- Przepraszam, Janus. Myślałem, że zrobię ci niespodziankę...
- To akurat ci się udało - warknął Janus i pokręcił bezsilnie głową. Zapewniam cię, że czegoś takiego się nie spodziewałem. Dzwon do Guerrero. Chcę jak najszybciej spotkać się ze swoim nowym współnikiem i omówić z nim nasze dalsze działania.

Teotihuacan

Teren wokół Piramidy Księżyca został odgradzony przez policję falującą na wietrze żółtą taśmą. Lazło, Sam i Remi podeszli do stojącej w pobliżu mniejszej świątyni. Wyglądało na to, że funkcjonariusze już kończą swoją pracę. Ciała zostały przewiezione do kostnicy, a wszystkie ewentualne dowody zebrane i skatalogowane. Kilku pozostałych na miejscu policjantów nie miało praktycznie nic do roboty. Początkowa ekscytacja niecodzienną sprawą już dawno minęła i teraz wyczekiwali tylko końca swojej zmiany.

Kiedy Remi wytłumaczyła funkcjonariuszom, co tutaj robią, i całej trójce udało się dostać na teren wykopalisk, podeszła do nich Maribela. Zaprowadziła ich do namiotu, w którym przybity Antonio siedział na niebieskim składanym krześle. Studenci zostali odesłani do domu jeszcze rano, gdy tylko się pojawili.

- O, jesteście. Policja już właściwie skończyła. Niebawem będziemy mogli zejść na dół i oszacować straty. Zadbaliśmy, żeby mumia została przetransportowana do Instytutu jeszcze dzisiaj, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, by nie uszkodzić pokrywającego ją jadeitu. Lepiej wynieść z krypty wszystko, co zostało, na wypadek gdyby ktoś przeczytał o dzisiejszej tragedii w gazecie i postanowił sprzedać szczątki Quetzalcoatl na czarnym rynku.

- Tak, to dobry pomysł - przyznał Sam. - A więc poza mumią została nam goła krypta?

- Niestety. Wprawdzie komnata sama w sobie stanowi ważne odkrycie, podobnie jak piktogramy na ścianach, ale ich nie zdołamy nijak wynieść. Możemy zamontować zamykaną bramę w ciągu kilku dni. Postawiono już takie w kilku innych tutejszych budowlach i jak do tej pory spełniają swoje zadanie.

- A jak się zabezpieczycie na najbliższych kilka nocy? - spytał Lazło.

- Sprowadzimy kolejny oddział żołnierzy, ale tak naprawdę nie zostało nic do zabrania, więc to tylko pokaz siły. Jutro każę robotnikom zabrać się do stawiania bramy, a kiedy będzie gotowa, wystarczy nam miejscowa ochrona.

- Czyli co konkretnie? - zainteresowała się Remi. - Jak wygląda ta ochrona?

- Kilka samochodów i wózków golfowych oraz sześciu pieszych strażników. Teotihuacan to spory teren, więc rola ochroniarzy właściwie ogranicza się do zapobiegania aktom wandalizmu. Ich obecność odstrasza ewentualnych dowiecpińsiów, niewiele więcej.

- To nie oni znaleźli ciała?

- Nie, wojsko zabroniło im zbliżyć się do tego miejsca, żeby przez przypadek ktoś ich nie zastrzelił. W końcu przysłali tu uzbrojonych żołnierzy i na nic się to zdało.

- Policja domyśla się, kto to mógł zrobić? - spytał Lazło.

- Jeśli nawet, mnie o tym nie mówili. W końcu jestem tylko jajogłowym, który zarabia na życie, kopiąc dołki w piasku. Nikt mi nic nie mówi - użalał się Antonio.

- To akurat za chwilę ulegnie zmianie - powiedziała Remi. - Poczekajmy tylko, aż wyniosą się stąd osoby postronne.

Maribela i Antonio popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

- Czy to nasz sonar? - spytał Sam, wskazując dwa duże pudła z napisem „Ostrożnie”.
- Tak. W jednym kartonie jest monitor i czujniki, a w drugim wózek.
- Dawno nie widziałem tego na własne oczy - powiedział Sam, otwierając pudła.
- Używaliśmy ich już przy kilku innych obiektach. Ma ograniczony zasięg. Detektory mionów są dużo skuteczniejsze.
- Ale sonar pokaże nam, co się znajduje do dwunastu metrów pod ziemią. Takie są oficjalne parametry, prawda?
- Tak. Niestety jutro chcą go mieć z powrotem. Po południu przyjedzie ciężarówka, żeby go odebrać.

Sam i Lazło wymienili spojrzenia.

- To powinno w zupełności wystarczyć.
- Wystarczy? Do czego? - spytała Maribela, podchodząc bliżej.
- Wszystko wam wyjaśnię, jak tylko zabiorą się stąd ci policjanci - zapewnił Sam i wrócił do oglądania sonaru. Co jakiś czas wymieniali z Lazło jakieś uwagi przyciszonymi głosami.

Antonio popatrzył na Remi, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Ja nic nie wiem. Wysłałam za kompletnego wariata. Federales odjechali kwadrans po szóstej, a parę minut

później dotarł dżip z sześcioma żołnierzami. Mocno podenerwowani w związku z nocnym napadem, trzymali swoje karabiny w pogotowiu, mimo że w okolicy nie było widać żadnego potencjalnego źródła zagrożenia.

Gdy słońce zaczęło chować się za horyzontem, Sam przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Antonia i Maribe-li, a Lazło i Remi wyświetlili na monitorze ostatnie zdjęcia z krypty. Sam przedstawił meksykańskim archeologom swoją koncepcję i wyjaśnił, że zamierza wykonać badanie sonarem w poszukiwaniu kolejnego ukrytego grobowca.

- Musimy to zrobić w tajemnicy, jeśli nie chcemy ryzykować kolejnego wycieku informacji. Zbyt wielu ludzi widziało, co znaleźliśmy w poprzedniej krypcie. Ktoś się wygadał. Jedyne rozwiązanie, by mieć pewność, że tajemnica pozostanie tajemnicą, to zachować ją wyłącznie w naszym gronie.
- Naprawdę sądzisz, że istnieje drugi grobowiec? - spytała Maribela z wyraźnym niedowierzaniem.
- Myślę, że to możliwe. A skoro mamy okazję rozejrzeć się po okolicy z sonarem bez żadnych zbędnych obserwatorów, dlaczego nie spróbować? Jeżeli nic nie znajdziemy, stracimy tylko kilka godzin. Ale jeśli trafimy na to, o czym mówią legendy... Po prostu nie chcę wracać do domu bez pewności, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.
- To jak się do tego zabierzemy? - spytał Antonio, kiwając głową.
- Zniesiemy sonar do grobowca i tam zaczynamy go prowadzić - powiedział Sam. - Wszelkie puste obszary pod ziemią zostaną zarejestrowane jako niestandardowe załamanie sygnału. To prosta metoda, ale powinna nam w zupełności wystarczyć.

Wózek sonaru, z jednym kołem z przodu i dwoma z tyłu, przypominał lekko przerobiony wózek dziecięcy. Między uchwytami na dłonie znajdowała się konsola sterownicza, a samo urządzenie było zawieszona tuż nad ziemią, blisko przedniego koła. Gdy toczyli wózek po rampie do grobowca, żołnierze przyglądali się ich poczynaniom z wyraźnym zainteresowaniem. Antonio przystanął i wyjaśnił, że chcą tylko przeprowadzić kilka pomiarów w krypcie, więc nie mają się czym przejmować. Nikt nie wyraził sprzeciwu i chwilę później Sam zajmował się kalibracją czułości

sonaru.

- Widzicie? To twardy grunt - powiedział, wskazując ekran, na którym widniała typowa telewizyjna kasza.

- Jak poznamy, że znajdujemy się nad pustym miejscem albo nad kamienną konstrukcją? - spytała Remi.

- Na tym właśnie polega cała sztuka. Wszystko zależy od wycucia osoby kierującej urządzeniem.

Zaczęli powoli przemieszczać się wzdłuż tunelu w stronę grobowca, a Sam cały czas manewrował pokrętłami. Gdy pokonali trzy czwarte odległości, zatrzymał się i przyjrzał obrazowi na wyświetlaczu.

- Coś znalazłeś? - zainteresowała się Maribela.

- Tak, wygląda na to, że coś pod nami jest. - Sam wskazał ekran. - Widzicie to zakrzywienie pola? To pusty obszar, jaskinia albo tunel.

- Jaskinia? - zdziwiła się Remi.

- Znaczną część miasta zbudowano nad jaskiniami - wyjaśnił Antonio. - Pod Piramidą Słońca znajduje się naturalna grota, w której odprawiano najświętsze rytuały.

- Więc po czym poznamy, czy to coś pod nami powstało naturalnie, czy też zostało zbudowane przez ludzi?

- Łazło, możesz zaznaczyć to miejsce kredą? - poprosił Sam, wskazując puszkę żółtego proszku. - Wrócimy tu jeszcze.

Łazło narysował na ziemi duży krzyżyk i cała piątka kontynuowała wędrówkę do krypty. Stąpali bardzo ostrożnie, żeby nie zmazać znaku. Tuż przed wejściem do komnaty ubitą ziemię zastąpiła kamienna posadzka, więc Sam musiał zmienić ustawienia sonaru.

Weszli do środka i zaczęli badać kryptę centymetr po centymetrze, ale nie natrafili na żadne puste obszary. Po dwudziestu minutach skanowania Sam otarł przedramieniem spocone czoło i rzekł:

- Jedyne nieregularne sygnały znajduje się w korytarzu. To musi być to.

- Nie wyglądało to na duże pomieszczenie - zauważyła Maribela.

- Nie, raptem kilka metrów.

- Na jakiej głębokości? - spytał Łazło.

- Jakies dwa, może dwa i pół metra. Dokładną głębokość będę mógł podać, gdy tam wrócimy - odparł Sam.

Pchnął wózek z powrotem na korytarz i zatrzymał w miejscu zaznaczonym kredą.

- No i jesteśmy. Pomieszczenie znajduje się dokładnie dwa metry pod nami i ma kształt prostokąta. Może to nic szczególnego, ale z pewnością możemy to sprawdzić.

- Co masz na myśli? - Remi uniosła brwi.

Sam jeszcze raz spojrzął na ekran i wyłączył sonar.

- Sądzę, że odrobina ćwiczeń fizycznych dobrze nam zrobi - odparł.

Sam, Antonio i Lazło przez pół godziny stukali zawzięcie kilofami w twardą glinę, postępując z wysiłku, ale w zgranym rytmie. Dwa razy musieli przerwać, by odgarnąć kupki przekopanej ziemi, i teraz, stojąc w niemal metrowym zagłębieniu, byli mniej więcej w połowie drogi do tajemniczego pomieszczenia. Remi i Maribela przenosiły przekopany grunt pod ścianę tunelu, żeby łatwiej było zasypać dziurę, kiedy już zaspokoją ciekawość.

Nagle ziemia pod stopami mężczyzn zadrżała i nim zdążyli wydostać się z zagłębienia, polecili w dół wraz z zapadającym się podłożem. Upadli na twardą kamiennej posadzkę, porządnie się przy tym objając. Z góry dobiegł ich głos Remi:

- Jesteście cali?

Sam usiadł i otrząpał się z piachu, po czym sprawdził, czy na pewno wszystkie jego żebra cało przetrwały lądowanie.

- Ja chyba tak - zawołał w odpowiedzi. - Lazło? Antonio?

- Nic mi nie jest - powiedział Antonio, podnosząc się obok niego. -- Tylko trochę... oszołomiony.

- Niezbyt sympatyczna forma witania gości - mruknął Lazło, ścierając grudki ziemi z twarzy.

- Myślałem, że będziemy mieli więcej czasu na reakcję, nim ziemia się zapadnie - powiedział Sam.

- Nie wszystko da się obliczyć z dokładnością co do sekundy.

Sam odkaszlnął i spojrzał w górę.

- Remi? Możesz rzucić nam latarki?

Poczuł, jak coś ociera się o jego nogę, i zadrżał bezwiednie, przypominając sobie ostrzeżenia przed węzami sprzed kilku dni. Usłyszał szuranie nóg na górze, a po chwili głos żony:

- Uwaga! Lecą!

Trzy aluminiowe latarki wylądowały na kupie piasku obok nich. Głos Remi odbijał się echem od ścian pomieszczenia, w którym się znaleźli.

- No i jak? Co tam jest?

Sam włączył latarkę i poświęcił nią dookoła. W powietrzu unosiło się bardzo dużo pyłu.

- Wygląda na kolejny tunel - odparł.

Antonio i Lazło uruchomili swoje latarki. Tunel miał niecałe trzy metry szerokości i ciągnął się w niezbadaną ciemność.

- Czekajcie, idę do was - zawołała Remi.

Obok Sama opadła końcówka liny i po chwili zeszła po niej jego małżonka, wywołując przy tym kolejny niewielki deszcz piachu.

- Miło, że wpadłaś - powiedział Sam, świecąc na jej brzuch. - Do czego przywiązałyście linę?

- Do podestu mumii. Maribela zostanie na górze, na wypadek gdybyśmy potrzebowali pomocy. Nie powinniśmy schodzić tu wszyscy, nie mając pewnego sposobu na wydostanie się na górę.

- Maribelo? - zawołał Antonio do siostry.

- Tak?

- Możesz poprosić żołnierzy, żeby przynieśli tu drabinę? Możliwie jak najdłuższą?

- Nie - odradził Sam. - Lepiej nie mieszać do tego żadnych zbędnych osób.

Antonio kiwnął głową i ponownie spojrzął w górę.

- Sam ma rację. Możesz sama przynieść tę wysoką aluminiową drabinę? Nie jest zbyt ciężka. I jeszcze kilka lamp, jeśli dasz radę. Tylko bez żołnierzy, musisz iść sama.

- Dobrze - odpowiedziała Maribela.

Z góry dobiegł odgłos jej kroków, których echo po chwili ucichło i zapadła głucha cisza, przerywana wyłącznie szmerem ich oddechów. Remi poświeciła latarką po ścianach tunelu, po czym wskazała w prawo.

- Widzicie to?

- Tak. Wygląda jak przedsionek jakiejś większej komnaty - odrzekł Sam.

- Popatrzcie na znaki wyryte na ścianach. To na pewno dzieło Tolteków. Bardzo podobne do tych w grobowcu - powiedziała Remi, kierując się do większego pomieszczenia na końcu tunelu.

Na kamiennym obramowaniu przejścia znajdowały się piktogramy, które ukazywały tę samą scenę co w poprzednich grobowcach, ale zawierały dużo więcej szczegółów.

- Tu również jest procesja pogrzebowa. Piramidy też te same, ale tym razem Księżycyca nie zasłaniają żadne chmury. A Quetzalcoatl... Spójrzcie! Przedstawiono go tu zupełnie inaczej niż na pozostałych obrazach. Ma długie włosy i brodę.

- Zapowiada się obiecująco - stwierdził Sam. Remi spojrzała w głąb korytarza.

- Budowniczości porządnie się napracowali, sądząc po długości tunelu i staranności wykonania piktogramów.

- Ciekawe, co się znajduje na drugim końcu tego korytarza? - zapytał Sam, zerkając przez ramię na Lazło, który trzymał się z tyłu.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - orzekła Remi.

Zawróciła i dołączyła do Lazła, który stał kilkanaście metrów dalej, oświetlając latarką kupę kamieni i gruzu w miejscu, gdzie tunel się urywał.

- Wygląda na to, że budowniczości po skończeniu pracy zasypali tunel - powiedział, przyglądając się zablokowanemu przejściu. - Musiało im bardzo zależeć, aby nikt się tu nie dostał.

- Najwyraźniej - zgodził się Sam. - Zawalili albo zakopali przejście, a potem wyrównali podłoże nad nim, żeby nikt nie zauważył różnicy.

Aż podskoczyli, gdy za ich plecami rozległ się szczeł opuszczanej przez Maribelę drabiny. Antonio zablokował jej podstawę w ziemi, wszedł na kilka pierwszych szczebli, by upewnić się, że jest stabilna, i dopiero wtedy dał siostrze znak, że może schodzić. Maribela trzymała się drabiny tylko jedną ręką, bo w drugiej trzymała mocną lampę, której używali wcześniej w krypcie na górze.

Jaskrawe białe światło rozświetliło tunel niczym reflektory pędzącego pociągu. Rodzeństwo dołączyło do Amerykanów w przedsionku. Maribela podziwiała piktogramy bez słowa komentarza. Lazło przepchnął się między nimi i ruszył w głąb tunelu. Remi przywołała gestem pozostałych i poszli w jego ślady. Podziemny korytarz ciągnął się pod przejściem znajdującym się nad ich głowami, a następnie zakręcał w kierunku piramidy.

- Zatrzymajmy się na chwilę - zawołał Sam, gdy zbliżali się do zakrętu.

Wszyscy przystanęli, a Remi podeszła do męża.

- O co chodzi? - spytał zdezorientowany Lazło, odwracając się w stronę pozostałych.

- O ten kawałek podłogi - odparł Sam, wskazując niewielkie zagłębienie w podłożu. - Widziałem już kiedyś coś podobnego. To pułapka. Toltekowie układali wiązki trzciny nad wykopanymi dołami, a potem przysypywali je ziemią. Przez stulecia gravitacja zrobiła swoje i fałszywe fragmenty

posadzki osunęły się poniżej poziomu podłogi, ale mimo wszystko...

Lazło natychmiast zrobił krok w tył. Sam klęknął przy zagłębieniu o wymiarach półtora na półtora metra i zwrócił się do Remi.

- Masz może przy sobie nóż? - spytał. - Zdaje się, że zostawiłem swój w motelu - wyznał zakłopotany.

- Dobrze wychowana panna nigdy nie zapuszcza się do podziemnych tuneli bez noża - odpowiedziała, podając mu składany nóż.

Sam rozłożył go, pochylił się do przodu i oparłszy jedną rękę o skraj zagłębienia, wbił w podłoże ostrze trzymane w drugiej. Weszło całe, bez większego oporu. Sam usiłował przeciąć sztuczny fragment podłogi, ale po kilku nieudanych próbach odsunął się i oddał nóż żonie.

- Cokolwiek to jest, nie da się tego przeciąć - powiedział.

Przekręcił w rękę latarkę i zaczął tłuc jej końcem w ziemię. Rozległo się głucho dudnienie, świadczące, że pod spodem znajduje się pusta przestrzeń. Sam uderzył w zagłębienie jeszcze raz, dla efektu, po czym wstał i kiwnął głową.

- Przynieśmy kilka desek z namiotu i rozłóżmy na ziemi. Założę się, że po drugiej stronie jest bardzo dużo obsydiano-wych ostrzy albo włóczni. To typowa zapadnia.

Antonio i Sam poszli po deski, które zostały po pracach zabezpieczających górny tunel, a Lazło, Maribela i Remi czekali na nich przy zagłębieniu. Kilka minut później przynieśli cztery deski wystarczająco długie, by zakryć całą zapadnię. Lazło pomógł ułożyć je na ziemi, a Sam wypróbował prowizoryczny most, przechodząc na drugą stronę.

- Tylko się nie potknij, bo możesz sobie stłuc więcej niż buźkę - ostrzegł Lazło.

Dotarłszy do końca tunelu, znaleźli się przed przejściem zablokowanym kamieniami, które, inaczej niż w przypadku wejścia do krypty powyżej, były starannie wykonane i precyzyjnie ułożone. Antoni i Lazło poszli po niezbędne narzędzia i niebawem wrócili z kilofami.

Mur okazał się solidniejszy niż poprzedni, ale po półgodzinie udało im się usunąć pierwszą cegłę, a niedługo później kilka kolejnych. Pokrzepieni sukcesem zdwoili wysiłki i niebawem szczelina w barierze była na tyle duża, by można było precyzyjnie się na drugą stronę. Remi i Lazło ruszyli pierwsi, a Maribela za nimi, niosąc lampę. Sam i Antonio zostali z tyłu, odpoczywając po ciężkiej pracy.

- O kurczę... Wygląda na to, że wreszcie trafiliśmy pod właściwy adres - powiedziała Remi przyciszonym głosem, który niósł się wyraźnie w zamkniętej przestrzeni i dotarł do Sama.

Słowa żony zmobilizowały go, by dołączyć do reszty. Remi wpatrywała się w pysznie zdobiony sarkofag ustawiony na kamiennym podeście, który, w odróżnieniu od poprzedniego, był pokryty piktogramami. Sam stanął obok żony, a Lazło rozejrzał się po pomieszczeniu, poza sarkofagiem całkiem pustym, i przeniósł wzrok na piktogramy zdobiące sarkofag.

- Kto mi pomoże otworzyć tę skrzynkę? - zapytał Sam. Antonio i Lazło stanęli po przeciwnej stronie sarkofagu i kiwnęli głowami.

- Daj tylko znak, przyjacielu - powiedział Lazło, odkładając na ziemię swoją latarkę. - Wygląda na to, że nie będzie lekko.

- Maribela i ja też możemy pomóc - zapoferowała Remi i podeszła do męża, podczas gdy Maribela dołączyła do mężczyzn po drugiej stronie.

Na znak Sama wszyscy chwycili wieko. Pokrywa przesunęła się o kilka centymetrów. Spróbowali drugi raz, a potem trzeci, za każdym razem odsuwając ją trochę dalej. Gdy udało im się przepchnąć pokrywę o jakieś pół metra, Remi poświeciła do środka i zachłysnęła się haustem

powietrza. Sam gwizdnął cicho i przysunął się bliżej.

- Więc legendy nie kłamały - powiedział, kładąc rękę na ramieniu żony.

Ciało było zmumifikowane, ale rude włosy i takąż broda, zaplecione w warkoczyki ozdobione klejnotami, pozostały nienaruszone. Zmarły mężczyzna miał na sobie koszulę kolczą, tradycyjny hełm wikingów, a w dłoniach trzymał miecz i włócznię. Obok ciała leżał topór bojowy, a nogi zakrywała tarcza.

- Jak myślicie, ile mógł mieć wzrostu? - zastanawiał się Antonio. - Chyba jakiś metr osiemdziesiąt.

- Chyba nawet więcej - powiedział Sam. - Tak czy owak, na pewno był wysoki. Prawdziwy wiking.

- Mówisz, jakbyś miał stuprocentową pewność - zauważyła Maribela.

- Bo mam - odparł i opowiedział o drakkarze znalezionym na Ziemi Baffina.

Oczy meksykańskich archeologów zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Więc to dlatego tak upieraliście się przy legendzie - rzekł Antonio. - Mielście dowód, że mogła być prawdziwa.

- Owszem - przyznał Sam. - A teraz mamy kolejny. Dwie całkiem odmienne i odległe kultury zetknęły się w stopniu, o jakim nie śniło się historykom.

- Spójrzcie tutaj. - Lazło poświecił latarką na spód wieka trumny. - Tu jest jakaś inskrypcja.

- Potrafisz ją odczytać? - spytała Remi.

Lazło przez dobrą minutę przyglądał się runom.

- Nie jestem pewny, bo sporo zapomniałem z alfabetu runicznego, ale na pierwszy rzut oka wygląda mi to na coś w rodzaju błogosławieństwa - rzekł wreszcie. - Musiałbym zobaczyć cały tekst, żeby wykonać porządne tłumaczenie.

- Dasz radę zrobić to ze zdjęć? Mogę sfotografować te runy - zaproponowała Remi.

- Tak, zdjęcia powinny mi wystarczyć - odparł Lazło i cofnął się, robiąc jej miejsce przy sarkofagu.

Remi wsunęła swój telefon do środka i zrobiła kilka zdjęć, to samo powtórzyła przy odsuniętej na bok części pokrywy, a na koniec sfotografowała cały sarkofag. Potem dołączyła do pozostałych, którzy przyglądali się piktogramom na ścianach.

- Trochę zaskakujące, że nie ma tu żadnych kosztowności, nie sądzicie? - powiedział Lazło. - Czy w legendzie nie było przypadkiem mowy o szmaragdzie wielkości mini coopera?

- Owszem, była - potwierdził Sam. - Ale może akurat ten szmaragd został dodany później, dla wzmocnienia efektu.

- To niewykluczone - przyznał Antonio.

Maribela skierowała światło lampy na serię płaskorzeźb.

- Wygląda to na przedstawienie podboju jakiegoś miasta Majów przez Quetzalcoatla. Może chodzić o Chichen Itza.

Antonio wskazał kolejny szereg obrazów.

- Będziemy musieli dokładnie je przeanalizować, ale mam wrażenie, że pokazują przeniesienie stolicy Tolteków, czy może siedziby władcy, do tego miasta Majów. - Powiódł wzrokiem wzdłuż ściany i po chwili zawołał: - Patrzcie na te! Tu jest scena wygnania Quetzalcoatla ze stolicy, a tu jego śmierci.

- Lazło, jesteś niezrównany - powiedziała Remi. - Po prostu genialny.
- Nigdy nie mam dość słuchania pochwał, choćby były odrobinę przesadzone - odparł, lekko się rumieniąc.
- Nam nigdy nie przyszłoby do głowy, że tamten grobowiec mógł być podpuchą. - Sam poparł żonę.
- To naprawdę niesamowite - powiedział Antonio, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Im dłużej przyglądam się piktogramom, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nie wiem prawie nic na temat Tolteków. Ich kontakty handlowe były najwyraźniej znacznie szersze, niż sądziliśmy.

Remi postukała w sarkofag.

- Pamiętajcie, że według legendy po wygnaniu z Tol-lan Quetzalcoatl przez wiele lat wędrował po nieznanymi łąkach - powiedziała.
- Analiza i interpretacja tych obrazów będzie spełnieniem naszych najskrytszych marzeń, dziełem życia zarówno moim, jak i mojej siostry - oznajmił Antonio.
- Rzeczywiście, wygląda na to, że będziecie mieli zajęcie na ładnych parę lat - skomentował ze śmiechem Lazło.

Podziwiali płaskorzeźby jeszcze kilka minut, po czym Sam spojrzął na zegarek i powiedział:

- Proponuję, żebyśmy na dziś odtrąbili fajrant. Wrócimy jutro rano i dokładnie sfotografujemy wszystkie piktogramy. Bo poza nimi niestety nic tu nie ma.
- Ano nie ma - przyznał Antonio. - Ale dla nas to i tak prawdziwy skarb, nawet bez Oka Niebios. Dzisiejsze odkrycie odmieni historię naszego narodu.
- Bez dwóch zdań - zgodził się Lazło, a gdy to mówił, zaburczało mu w brzuchu. - Bardzo przepraszam za te efekty dźwiękowe, ale mój organizm domaga się posiłku.
- Skoro tak, trzeba cię nakarmić - orzekła Remi. Sam pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko.
- Przyznaję, że od tego całego biegania po tysiącletnich kryptach ja też zrobiłem się głodny.
- Więc chodźmy, zanim któryś z was zasłabnie.
- Stawiam pierwszą kolejkę coli - zaferował Lazło. Gdy znaleźli się z powrotem na powierzchni, Remi skopiowała zrobione telefonem zdjęcia na dysk przenośny, a Antonio wydał dyspozycje żołnierzom, nakazując im nie dopuszczać absolutnie nikogo w pobliże krypty. Potem zaproponował Samowi, Remi i Lazło podwiezienie do motelu, na co chętnie przystali. Ruszyli Aleją Zmarłych, zostawiając za sobą odkrycie stulecia, a drogę oświetlał im księżyc w pełni. Dotarłszy do motelu, umyli się dokładnie i poszli spacerkiem do najbliższej restauracji.
- Zgaduję, że dzisiejszej nocy wolałabyś nie rozstawać się ze zdjęciami wieka sarkofagu, prawda, Remi? - spytał Lazło, gdy kelner zbierał ze stołu opróżnione talerze.
- Po raz kolejny czytasz mi w myślach, Lazło. Musisz z tym skończyć - odparła z uśmiechem.
- Po co się spieszyć? Myślę, że po dzisiejszym przełomowym odkryciu wszyscy troje możemy z czystym sumieniem porządnie się wyspać - powiedział Sam.
- W sumie racja, nigdzie mi się nie spieszy. - Lazło wzruszył ramionami. - Po prostu uznałem, że jesteście ciekawi, gdzie ukryto skarb.

- Co takiego?!

- Mój staronordyjski wcale nie jest taki zły, jak mówiłem. Remi natychmiast wręczyła mu dysk przenośny.

- Co tam wyczytałeś, Lazło?

Powiodł po nich wzrokiem dla zwiększenia dramaturgii chwili i zaczął mówić:

- Jeżeli nie macie nic przeciwko, po powrocie do mojego kurortu wezmę się do tłumaczenia i postaram się dostarczyć je wam, zanim kolejna fala studentów i robotników zacznie okupację naszej najnowszej krypty. Nie chciałbym wam robić niepotrzebnych nadziei, ale w inskrypcji z pewnością była mowa o Oku Niebios. A biorąc pod uwagę, gdzie ją znaleźliśmy, na mój nos okaże się to ichnim odpowiednikiem mapy prowadzącej do skarbu.

ROZDZIAŁ 37

Nazajutrz przy śniadaniu Lazło nie wyglądał najlepiej. Miał zapadnięte, podkrążone oczy, z którymi przypominał wy-mizerowanego szopa. Było jasne, że niewiele spał minionej nocy. Gdy wypił trzecią filiżankę kawy, rozparł się na krześle i popatrzył na przyjaciół zmęczonym wzrokiem.

- Odpowiedź na wasze nieme pytanie brzmi „tak” -oznajmił. - Przetłumaczyłem inskrypcję. I rzeczywiście, jej treść jest niesamowita. Niestety nie ma tam informacji, gdzie znaleźć Oko Niebios.

- Więc co tam napisano? - spytała Remi.

Lazło wyjął z kieszeni kartkę i rozłożył ją na stole. Sam i Remi pochyłili się i zaczęli czytać:

Oto ciało Knuta Eldgrima, syna Bjorna i Sigrid. Przybyłem tu z Gotlandu z 200 ludźmi i 4 okrętami. Byłem ich przywódcą i nawigatorem. Po 30 dniach na spokojnym morzu dobiliśmy do nieznanego piaszczystego lądu, niedaleko skalistego klifu u stóp góry, która sięgała samego nieba. Wszystko wokół pokrywały bujne lasy. Napotkaliśmy ludzi, jakich żaden z nas nie widział nigdy wcześniej. Byli przyjaźnie nastawieni i poprowadzili nas daleko w głąb lądu do swojej wioski. Pomogłem wyleczyć wielką ranę na prawej nodze ich wodza, zadaną przez jaguara. Użyłem do tego lekarstw, które zabraliśmy z sobą na wypadek, gdybyśmy musieli stanąć do walki. W podziękcie król uczynił mnie swoim najwyższym doradcą. Opatrywałem i leczyłem wielu innych mieszkańców wioski. Moi towarzysze otrzymali wiele niezwykłych przedmiotów i drogocennych kamieni w zamian za wykopanie kanału doprowadzającego do wioski wodę z pobliskiej rzeki. Po roku król umarł. Na chwilę przed tym wyznaczył mnie na nowego przywódcę swojego ludu i nadał mi imię Topiltzin Ce Acatl Quetzalcoatl. Przekazał mi nakrycie głowy boskiego pierzastego węża. Ofiarował mi również amulet, symbol władzy królewskiej i boskiej, oraz ogromny zielony kamień z południa, który błyszczy z mocą słońca: Oko Niebios. Przez następne lata nauczyłem lud wytapiać żelazo, stawiać kamienne budowle, rzeźbić w kamieniu, uprawiać ziemię oraz budować drogi i kanały.

Pod moimi rządami nasze imperium rosło w siłę. Podbiliśmy miasto Majów Chichen Itza. Przeniosłem tam stolicę naszego państwa i wybudowałem świątynię pierzastego węża, podobną jak w Tollan.

Gdy spoczywałem na łożu śmierci, ludzie tego kraju płakali i mówili, że mój brat, bóg Tezcatlipoca, wygnał mnie, ale pewnego dnia do nich powrócę.

Moi towarzysze odплыnęli do naszego kraju z ładunkiem cudów tej ziemi i zamiarem powrotu. W miejscu, gdzie nasze statki przybiły do lądu, wybudowano znacznik. Gdy moi towarzysze powrócą z Gotlandu, przyniosą ludziom tego nowego lądu Oko Niebios, zwiastując mój powrót.

Lazło przyglądał się uważnie Amerykanom, kiedy zastanawiali się nad znaczeniem ostatniego zdania. Wreszcie Sam uniósł głowę, a na jego twarzy malował się wyraz takiej samej frustracji, jaką czuł Lazło podczas pracy nad tłumaczeniem.

- A więc mamy szukać znacznika w pobliżu klifu znajdującego się u stóp jakiejś góry lub wzgórza? Łatwizna. Wystarczy sprawdzić kilkanaście tysięcy kilometrów wschodniego wybrzeża

Meksyku i Ameryki Środkowej. Nie mówiąc już o tym, że cały ten znacznik mógł zostać zniszczony setki lat temu - stwierdził kwaśno Sam.

- O ile nie pochłonęło go jedno z trzęsień ziemi, które przez minione tysiąc lat przekształcały linię brzegową i rujnowały meksykańskie miasta - dodała Remi.

- Albo huragan, nie zapominajmy o huraganach.

- W tekście powiedziane jest, że znacznik „wybudowano”. Nie „postawiono” albo „wryto”. Jak dla mnie to musi znaczyć, że chodzi o jakąś budowlę wzniesioną w miejscu, gdzie statki przybiły do brzegu - rzekł Lazło.

- A, w takim razie cofam swoje pesymistyczne słowa. Szukamy przecież znacznika, który został zbudowany tysiąc lat temu. Co w praktyce może oznaczać cokolwiek, od kupy kamieni po sama już nie wiem co - odparła Remi.

Sam zamyślił się. Wziął łyk kawy i nagle zamarł z filiżanką przyłożoną do ust. Po chwili zwrócił się do Remi.

- Na wikińskiej łodzi na Ziemi Baffina znaleźliśmy kamień z runami. Masz jeszcze jego zdjęcie?

- Chyba tak. Ale nie pamiętam gdzie. Pewnie na którymś z pendrive'ów.

- W końcu nigdy nie sprawdziliśmy, co jest na nim napisane.

Remi poderwała się od stołu.

- A niech to...

- Gdybyście byli tak mili, chętnie rzuciłbym okiem na to zdjęcie, możliwie jak najszybciej - powiedział Lazło.

Remi pobiegła na górę do pokoju. Kiedy kelnerka zebrała naczynia, a Sam właśnie kładł na stole kilka meksykańskich banknotów o wysokich nominałach, wróciła zdyszana, ściskając w rękę niebieski dysk przenośny.

- Ile zajmie ci tłumaczenie? - zapytała, wręczając go Lazło.

- To zależy od tego, ile jest tam tekstu. Jak duży był ten kamień?

- Jakiś metr na pół metra. W pierwszej chwili pomyślałam, że to tylko balast.

- Zabieram się do pracy. Nie powinno to potrwać dłużej niż godzinę czy dwie. Zwłaszcza po ostatnim ćwiczeniu.

- Będziemy czekać tutaj.

- Nie musicie. Jeśli wolicie jechać na miejsce wykopalisk, dołączę tam do was, kiedy będę już coś miał.

- Jeszcze jedno - powiedziała Remi, kiwając głową. - Sądzę, że na razie powinniśmy zachować ścisłą tajemnicę. Ten tekst może nam wskazać miejsce ukrycia Oka Niebios. Nie chcę, żeby ta informacja poszła w eter i wokół nas zaczęły zbierać się hieny. Albo żeby ktoś nas uprzedził. A więc na razie buzie na kłódkę.

- Będę milczał jak grób - obiecał Lazło, wstając. - Na wypadek gdyby któreś z naszych znajomych poczuło palącą potrzebę podyskutowania ze mną o cenach herbaty, możecie im powiedzieć, że odsypiam zarwaną noc.

- Każdy zasługuje na porządny odpoczynek po ciężkiej pracy - zgodził się Sam.

- Powodzenia, Lazło - powiedziała Remi.

Antonio i Maribela byli już przy grobowcu, nadzorując całe zastępy archeologów i techników z Instytutu, ubranych w białe laboratoryjne kitle. Teren otaczał oddział żołnierzy. Gdy Sam i Remi

podeszli bliżej, Antonio pomachał w ich stronę i dopiero wtedy strażnicy pozwolili im przejść.

- Dzień dobry. A gdzie wasz kolega? - spytała Maribela, uśmiechając się uroczo.
- Powinien do nas niebawem dołączyć - odpowiedział Sam. - Jakie macie plany na dziś?
- Zamierzamy rozpocząć pomiary odkrytych pomieszczeń oraz zbadać ostatnią kryptę sonarem, na wszelki wypadek, zanim będziemy musieli go oddać - rzekł Antonio. -Przed chwilą wyjaśniłem wszystkim zasady sporządzania fotografii i materiałów wideo.
- Wygląda na to, że macie wszystko pod kontrolą -stwierdziła Remi.
- O tyle, o ile można utrzymać kontrolę nad tego typu przedsięwzięciem. Ten projekt potrwa wiele lat. Wszystkie inne prace wykopaliskowe, jakie prowadzimy w tej chwili, to pryszcz w porównaniu z tym.
- Przydzieliliście już kogoś do przetłumaczenia inskrypcji z wieka sarkofagu? - spytał Sam.
- Zajmiemy się tym w odpowiednim momencie.
- W tym akurat możemy wam pomóc - zaproponowała Remi.
- Dziękujemy, ale chyba sami przyznacie, że już zrobiliście dla nas więcej niż dużo - powiedziała Maribela. Ton jej głosu był bardzo grzeczny, ale wyraz oczu mówił zupełnie coś innego. - Swoją drogą, przypomniałam sobie, że w ciągu dnia organizujemy konferencję prasową i byłoby nam niezmiernie miło, gdybyście zechcieli wziąć w niej udział.

Zanim Sam lub Remi zdążyli się odnieść do tej propozycji, do namiotu wpadł zziębnięty naukowiec, ściskający w dłoniach podkładkę do pisania i radio. Sam i Remi wykorzystali chwilę zamieszania, by wyjść na zewnątrz. Sam osłonił oczy przed prążącym niemiłosiernie porannym słońcem i przyglądał się mrówczej pracy odbywającej się przy wejściu do krypty.

- Masz ochotę na konferencję prasową? - zwrócił się do Remi
- Tylko, jeśli ktoś mi przyłoży pistolet do skroni.
 - Więc dajemy drapaka?
- No pewnie. Zawsze możemy później wyjaśnić, że któreś z nas dostało biegunki.
 - Działa za każdym razem. Rzucimy monetą?
 - Nie trzeba, tym razem mogę to wziąć na siebie.

Pół godziny później przyjechał Lazło i przedarłszy się przez kordon wojskowy, ruszył w stronę małżonków z wyrazem ledwo skrywanego podniecenia na twarzy. Sam wyszedł mu na spotkanie, żeby nie zdążył przypadkiem niczego zdradzić.

- Muszę wam powiedzieć... - zaczął Lazło, ale Sam natychmiast wszedł mu w słowo.
- Sporo tu ludzi, ktoś może coś usłyszeć. Zróbmy sobie spacer wokół piramidy, a ty zaczniesz opowiadać, co wyczytałeś z kamienia, gdy oddalimy się o kilkadziesiąt metrów.
- Ach, racja. Przejdźmy się. Wybacz. Nie chciałem się wygadać.

Nic się nie stało. Remi, przyłączysz się do nas?

 - Z chęcią.

Gdy odeszli poza zasięg niechcianych uszu, Lazło zaczął mówić:

- Runy dają bardzo dokładną instrukcję, jak odnaleźć Oko Niebios. Sama nazwa nie pada w tekście, ale za to jest w nim powiedziane, że największa duma Nowego Świata spoczywa pod świątynią. Potem wymienione są kolejne znaki na trasie. Szczyt wznoszący się na południe od świątyni, Laguna w pobliżu. Klify. Niewielka wyspa. Jest tego dość, żeby rozpocząć poszukiwania z prawdziwego zdarzenia. Jeśli przeprowadzimy dokładną analizę wybrzeża wokół Zatoki

Meksykańskiej, powinniśmy znacznie zawęzić rejon poszukiwań, o ile, rzecz jasna, te znaki przetrwały próbę czasu.

- To wspaniałe wieści, Lazło. - W oczach Remi zaigrały wesołe ogniki. - Spisałeś może tekst tłumaczenia?

- Naturalnie. - Podał jej złożoną kartkę.

Remi schowała ją do tylnej kieszeni spodni, spojrzała na Sama i ponownie zwróciła się do Lazła.

- Zamierzamy się stąd wynieść, powołując się na problemy żołądkowe - wyjaśniła. - Ty możesz zostać, chyba że wolisz dołączyć do nas w stolicy i pomóc w poszukiwaniach.

- Wprawdzie uwielbiam prażyć się w słońcu, ale w tym przypadku chyba jednak zabiorę się z wami. O ile nie macie nic przeciwko.

- Bynajmniej.

Fargo poszli do centrum dowodzenia i w krótkiej rozmowie z Antoniem wyłgali się od spotkania z mediami, tłumacząc, że muszą wrócić do motelu. Jeden z asystentów Antonia odwiózł ich na miejsce i już w południe Lazło był z powrotem w swojej klinice, a oni po raz kolejny przekwaterowali się do St. Regis.

Kiedy tylko wnieśli rzeczy do pokoju, Sam zadzwonił do Selmy. Ta potwierdziła gotowość do odebrania przetłumaczonego tekstu i przekazania go reszcie zespołu, by mogli zacząć szukać opisanego w nim miejsca. Remi szybko wpisała tekst do komputera i wysłała, a gdy pojawiło się potwierdzenie nadania wiadomości, zwróciła się do Sama.

- Najdalej za kilka dni Antonio i Maribela będą mieli własne tłumaczenie inskrypcji - powiedziała.

- To prawda, ale tekstu z drakkaru nie ma nikt oprócz nas.

- Co myślisz o Antoniu i jego siostrze? Uważasz, że warto ich wtajemniczyć? - spytała Remi

- Uważam, z decyzją możemy poczekać do czasu, gdy będziemy już wiedzieli coś konkretnego. A na razie im mniej osób ma w rękach wszystkie elementy układanki, tym lepiej. Już i tak zbyt wiele informacji dotarło do niepowołanych uszu. Po co kusić los?

ROZDZIAŁ 38

Isla Mujeres, Meksyk

Janus Benedict z namaszczeniem zapalił cygaro marki Cohiba, które przygotował sobie na sjętę po lunchu, i delektując się aromatycznym dymem, cieszył oczy widokiem turkusowych wód otaczających Isla Mujeres. W oddali połyskiwały refleksy słońca, odbite w szklanych wieżowcach Cancun. W pewnej chwili podszedł do niego steward i przepaszając wylewnie za najście, położył na tekowym stoliku telefon komórkowy, a następnie pospiesznie się oddalił. Janus uniósł aparat do ucha.

- Tak?

- Fargo wyciągnęli kolejnego królika z kapelusza - oznajmił głos w słuchawce, po czym przeszedł do opisu odnalezionego przez nich grobowca wikinga, kończąc informacją o planowanej na dzisiejsze popołudnie konferencji prasowej.

Janus przetrwał nowiny w zupełnej ciszy, wydmuchał potężną chmurę dymu i wydał kilka poleceń. Gdy się rozłączył, jego twarz nie zdradzała żadnych oznak zdenerwowania. Przypadkowy

obserwator uznałby, że jest zamożnym turystą cieszącym się z luksusów i pięknych widoków.

Janus znał Sama i Remi na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jeśli jest jeszcze jakiś skarb do odnalezienia, to poruszą niebo i ziemię, by tego dokonać. Jemu pozostawało tylko być cierpliwym i uważnie ich obserwować. Mógł dotrzeć do dowolnego miejsca w Meksyku w ciągu kilku godzin, więc kiedy tylko się dowie, że Fargo dokądś się wybierają, nie będzie miał najmniejszego problemu z przechwyceniem ich, zanim osiągną swój cel.

Reginald nadal przebywał w stolicy, bardzo blisko zwierzyny. Janus zamierzał czekać i obserwować, pozwalając, by ta irytująca para odwaliła całą robotę za niego. Reginald już wystarczająco skomplikował ten stosunkowo prosty plan i Janus nie zamierzał ponownie na nim polegać, o ile nie okaże się to absolutnie konieczne. Konieczność współpracy z Guerrero bardzo mu ciążyła i stanowiła źródło zupełnie niepotrzebnego ryzyka, ale brutalność meksykańskiego bandyty wkrótce mogła się okazać użyteczna.

Janus skupił uwagę na parze krążących za oknem kajuty pelikanów, wypatrujących ryb. Żerujące drapieżniki. Naturalny porządek rzeczy.

Prawa natury są niezmiennie i natrętni Amerykanie wkrótce przekonają się o tym na własnych skórkach.

Mexico City

Następnego dnia do Sama zadzwoniła Selma. Jej głos brzmiał rażniej niż przez ostatnie tygodnie - znów był to głos starej dobrej Selmy, kipiący energią i zapalem do pracy.

- Szukaliśmy miejsca, którego opis przysłaliście, i sporządziliśmy listę kilku potencjalnych lokalizacji. Jedna znajduje się na Karaibach, niedaleko Belize, druga na Jukatanie na północ od Cancun, a trzecia nad Zatoką Meksykańską na północ od Veracruz.

Sam zamknął oczy i przywołał w myślach obraz mapy Meksyku i okolic.

- Jak daleko od Teotihuacan znajduje się to miejsce w pobliżu Belize?
- Jakies tysiąc dwieście kilometrów.
- Zgaduję, że po drodze jest głównie dżungla.
- I się nie mylisz.
- A to na Jukatanie?
- Trochę dalej.
- Wątpię, żeby oddział wikingów mógł pokonać taką odległość na piechotę, w dodatku przez dżunglę. A ty jak uważasz?
- Wszystko jest możliwe, ale sądzę, że musieliby mieć wyjątkowo dobry powód.
- Hm... A co z tym trzecim miejscem, na północ od Veracruz?
- To około dwustu pięćdziesięciu kilometrów od Teotihuacan. Ale po drodze znajduje się łańcuch górski, naturalna bariera, można powiedzieć.

Sam zastanawiał się chwilę.

- Myślę, że o wiele łatwiej by im było przejść przez góry, zwłaszcza z doświadczonym przewodnikiem, niż przedrzeć się przez ogromną, gęstą dżunglę.

- W takim razie miejsce pod Veracruz to wasza najlepsza szansa... - Selma zawiesiła głos.

- Coś mi mówi, że jesteś innego zdania - zgadywał Sam.
 - Cóż, jest pewien drobny problem.
 - A jakież to?
 - To miejsce znajduje się na terenie albo w pobliżu elektrowni atomowej.
- Cisza na linii przeciągała się, gdy Sam próbował przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszał.

- Żartujesz - powiedział wreszcie.
- Wiesz, że nie mam tego w zwyczaju.
- Niestety wiem - westchnął.
- Nie jest wykluczone, że nasze miejsce znajduje się poza chronionym terenem, ale nie mogę tego zagwarantować. Przeanalizowałam wszystkie dostępne zdjęcia satelitarne i nie zdołałam stwierdzić nic pewnego. Musicie po prostu tam pojechać i zobaczyć.

- Dobrze, że to niedaleko.
- Tak, to już jakiś plus. Niestety jest też kolejny minus: ten rejon uchodzi za bardzo niebezpieczny.

- Bardziej niż stolica?
 - Dużo bardziej. Na północ wzdłuż wybrzeża biegnie tylko jedna autostrada, z Veracruz, a jest to również największy port na wschodnim wybrzeżu kraju. Właśnie stamtąd trafia do Meksyku lwią część produkowanej w Kolumbii kokainy. Innymi słowy, to główny kanał dystrybucji narkotyków na północ do przygranicznych stanów, w których jeszcze do niedawna faktyczne rządy sprawowały kartele.

- I to już wszystko?
 - Uznałam, że wolałbyś wiedzieć, na co się piszecie.
 - Dzięki, Selmo. Domyślałam się, że wyprawa na własną rękę i prowadzenie wykopalisk bez rządowego pozwolenia nie wchodzi w grę, biorąc pod uwagę pobliską elektrownię?
 - Sądzę, że domyślasz się prawidłowo.

Godzinę później Remi wróciła ze spa i Sam przekazał jej, czego się dowiedział.

- Spójrz na to z jaśniejszej strony - powiedziała, gdy skończył. - Przynajmniej wiemy, gdzie najprawdopodobniej znajduje się świątynia.

- Owszem. Dokładnie między terenem kontrolowanym przez gangi narkotykowe a reaktorem jądrowym. No i możemy dać sobie spokój z naszymi tajemnicami. Będziemy musieli poprosić o pomoc Antonia i Maribelę, inaczej nigdy nie dostaniemy pozwolenia na prowadzenie poszukiwań.

Remi usiadła na łóżku i przeczesła dłońmi swoje kasztanowe włosy.

- Wygląda na to, że nie mamy innego wyjścia - przyznała. - Ale nie musimy im mówić, że szukamy właśnie Oka Niebios. Możemy po prostu powiedzieć, że mamy nowy trop i chcemy tam poszukać ruin dawnej budowli.

- Jaki trop?
 - No, trop związany z wikingami. Powiemy im, że podejrzewamy, że właśnie w tym miejscu wylądowali w Ameryce, i chcemy poszukać jakichś dowodów potwierdzających tę hipotezę. Nie musimy zdradzać wszystkich szczegółów - dodała, wstając. - Wezmę teraz prysznic. Pomyśl o tym, a potem zadzwonimy do Antonia. Po tym, jak dzięki nam znaleźli grobowiec Quetzalcoatlą, na pewno zgodzi się pomóc.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale nie wątpię również, że będzie chciał nam towarzyszyć. To stosunkowo blisko, a do tej pory robiliśmy wszystko razem.

- Obawiam się, że masz rację. A to znaczy, że będzie z nami także jego siostra.
- Do tej pory byli nierozłączni.
- Nie chce mi się tego komentować.

Po południu Remi zadzwoniła do Antonia. Był bardzo uprzejmy, ale powściągliwy. Wciąż pracował w Teotihu-acan i nie zamierzał się stamtąd ruszać, dopóki nie będzie pewien, że wszystko przebiega zgodnie z planem i może z czystym sumieniem przekazać nadzór nad wykopaliskami któremuś z kolegów.

- Będę musiał sprawdzić, jakie ograniczenia tam obowiązują. Mówimy o departamencie nadzoru nad energią atomową, a oni w praktyce tworzą własne prawo. Częściowo leży to w gestii firmy energetycznej, ale ze względu na zagrożenia związane z reaktorami atomowymi...

- Rozumiem, Antonio - weszła mu w słowo Remi. -Gdybyś jednak zechciał spróbować, byłibyśmy wdzięczni.

- Już teraz mogę was uprzedzić, że jeżeli interesujący was teren znajduje się w granicach elektrowni, będzie niezwykle trudno cokolwiek wskórać. Pomyślcie, jakby to wyglądało, gdybyście próbowali rozpocząć wykopaliska pod elektrownią atomową w waszym kraju...

- Cóż, miejmy nadzieję, że ruiny znajdują się poza terenem elektrowni. I tak przekonamy się o tym, dopiero kiedy tam pojedziemy. Załóżmy, że interesuje nas okolica po drugiej stronie ich płotu. Czy w tym przypadku coś da się zrobić?
- Być może. Dajcie mi trochę czasu, zadzwonię w parę miejsc i zobaczę, z czym to się je - odparł Antonio i po chwili spytał: - Jak bardzo wam na tym zależy? Czy to coś ważnego?
- Cóż, po prostu chcielibyśmy sprawdzić to miejsce i mieć to z głowy, dopóki jeszcze jesteśmy w Meksyku -powiedziała Remi, mając nadzieję, że jej lekki ton rozwieje jego wątpliwości.
- Czułbym się paskudnie, gdybym zawiódł damę. Odezwę się do was, gdy tylko czegoś się dowiem.

- Dziękujemy, Antonio.

Remi rozłączyła się i uśmiechnęła do Sama.

- Zrobi wszystko, co będzie w jego mocy.
- Jakoś mnie to nie dziwi.
- A cóż to, panie Fargo, czyżbym usłyszała nutę zazdrości w pańskim głosie? - spytała, przyglądając mu się uważniej.
- Ależ skąd. Po prostu wciąż czuję się trochę nie bardzo po tym zatruciu.
- To było na niby.
- A, tak. Racja.
Remi przysunęła się do męża i wzięła go za rękę.
- Jesteś moim jedynym łowcą skarbów na świecie, Samie Fargo.
- Mówisz to pewnie wszystkim podróżnikom.
- Tylko tym, którzy są gotowi przebrać się za kurczaka - powiedziała i pocałowała go w policzek.
- O tak, w tym jestem całkiem dobry.

- I to mi w zupełności wystarczy - oznajmiła i pocałowała go znowu.

ROZDZIAŁ 39

Veracruz, Meksyk

Koła samolotu zetknęły się z powierzchnią lotniska Vera-cruz International i wkrótce maszyna zatrzymała się przy prywatnym terminalu na południowym końcu pasa. Lazło uśmiechnął się do siedzącej naprzeciwko Maribeli. Zamiast odwzajemnić uśmiech, wyjrzała przez okno na spowite w porannej mgle lotnisko. W odpowiedzi na zakłopotane spojrzenie Lazło Antonio wzruszył tylko ramionami. Sam i Remi odpięli pasy i już po chwili wszyscy byli w terminalu. Antonio odbył krótką rozmowę przez komórkę, po czym zwrócił się do towarzyszy:

- Nasze samochody będą tu za pięć minut.
- Samochody?
- Tak. Cóż, musiałem jakoś się dogadać z firmą energetyczną. Ustaliliśmy, że przez cały czas będzie nam towarzyszyć trzech policjantów. Ma nam to zapewnić bezpieczeństwo i jednocześnie zagwarantować, że nie będziemy się kręcić po terenie elektrowni. Jeśli się okaże, że jednak musimy wejść na ich ziemię, zaczną się schody.
- Nie przeszkadza nam towarzystwo policjantów, o ile nie rozpowiadzą kolegom, czym będziemy się zajmować - stwierdził Sam.
- I tak nie mogłem się nie zgodzić - powiedział Antonio. - A biorąc pod uwagę przestępczość w tym rejonie, sądzę, że jest to dla nas korzystne.
- Czy dobrze usłyszałem, że mówiłeś coś o przestępstwach? - spytał Lazło, wyraźnie błędąc.
- To nic takiego - powiedziała uspokajająco Remi. - Ostatnio znaleźli tu parę obciętych głów, nic więcej.
- Było też kilka strzelanin - dodał Sam.
- A, i jeszcze wybuch granatu. Czy to nie tutaj? - Niepewność w głosie Remi była prawie przekonująca.
- Jestem pewien, że całe to przedsięwzięcie dobrze mi zrobi - rzekł Lazło, któremu cała krew zdążyła już odpłynąć z twarzy. - O tak. Świetna zabawa, bez dwóch zdań.
- Daj spokój, żyje się tylko raz - powiedziała Remi.
- I właśnie dlatego bardzo cenię swoje życie, nawet jeśli ma się toczyć w całkowitej abstynencji. Nie chciałbym, żeby po podjęciu tak przełomowej decyzji zostało przedwcześnie zakończone ostrzem maczety.

Antonio zamachał do nich spod oszklonych drzwi terminalu.

- Już są.

Przy krawężniku stały dwa srebrne chevrolety subur-ban, a przy samochodach - trzech policjanci z pistoletami maszynowymi na ramionach. Ich postawa zdradzała napięcie, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku. Na widok uzbrojonych funkcjonariuszy Lazło i Amerykanom wszelkie dowcipy momentalnie wywietrzały z głów.

- Pojadę pierwszym samochodem z policjantami i Lazło - zarządził Antonio. - Ty, Maribelo, pojedziesz drugim z Remi i Samem.

Zapakowali swoje bagaże i piętnaście minut później wyjechali z Veracruz na północ, szosą

biegnącą równoległe do wybrzeża. Po drodze mijali połacie zielonej trawy, kołyszącej się na wietrze wiejącym znad oceanu, i pola uprawne ciągnące się do podnóży pobliskich gór. Wkrótce łąki i pola ustąpiły miejsca ogromnym piaskowym wydmom barwy kawy.

- Niesamowite. Całkiem jak widokówka z Sahary - powiedziała Remi.

Zza jednej z najbliższych wydm wyjechał nagle niewielki buggy z napędem na cztery koła. Wyskoczył w powietrze, wzbijając chmurę piachu, przeleciał równoległe do szosy, po czym skręcił z powrotem w stronę brzegu.

Dziesięć minut później minęli lagunę. Woda lekko falowała pod wpływem wiatru, a wzdłuż brzegu ciągnął się równy rząd palm, między którymi widać było kilka krytych strzechą domków z żużłobetonu. Sam wskazał w lewo na wznoszący się w pobliżu szczyt przypominający monolit.

- Wygląda obiecująco. W inskrypcji opisano go całkiem dokładnie. Musi być idealny na ćwiczenie wspinaczki, o ile ktoś to lubi.

Maribela spojrzała na górę w lusterku wstecznym.

- To El Cerro de los Metates. Bardzo znany w Veracruz. W Quiahiztlan niedaleko stąd znajdują się grobowce Totona-ków i sporo ruin na wzgórzu. Dajcie znać, gdybyście chcieli je zobaczyć. Zaraz będzie zakręt w tamtą stronę.

Remi pokręciła przecząco głową, a Sam odparł:

- Może jak już skończymy przeszukiwanie wybrzeża. Czy Totonakowie mieli tu swoje siedziby, gdy około tysięcznego roku przybył tu Quetzalcoatl?

- Bez wątplenia. Te ziemie były zamieszkane już kilka tysięcy lat temu - powiedziała Maribela.

- Ciekawe. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że nigdy nie mieszkało tu zbyt wielu ludzi.

- Cóż, to w dużej mierze kwestia semantyczna. Znajdowały się tu miasta, ale były niewielkie w porównaniu z dzisiejszymi standardami.

- A więc było tu raczej pusto?

- Można tak powiedzieć, jeśli nie liczyć osad rybackich.

Dziewięć kilometrów dalej na horyzoncie zamajaczyły budynki elektrowni atomowej Laguna Verde. Maribela obróciła głowę do tyłu.

- Nasz cel znajduje się po drugiej stronie elektrowni - wyjaśniła. - Jak widzicie, zajmuje ona spory teren. Uruchomiono ją w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Kiedy minęli elektrownię, Maribela wskazała zielono-niebieską lagunę między szosą a Zatoką Meksykańską.

- To Laguna Verde, czyli zielona laguna, od której wzięto nazwę elektrowni. Nasza droga prowadzi na północ, w stronę brzegu.

Samochód na przedzie zasygnalizował skręt w prawo, po czym zjechał na drogę gruntową, wzbijając chmurę kurzu. Maribela ruszyła za nim. Minęli kilka domostw, ponownie skręcili w prawo i dalej jechali już prosto. Gdy droga zmieniła się w wąską ścieżynkę, SUV Antonia zatrzymał się przy gęstych zaroślach i archeolog wysiadł wraz z uzbrojoną eskortą. Chwilę później drugi samochód również zaparkował.

Wszyscy stanęli przy bagażniku i czekali, aż Antonio przekopie się przez zestaw kilofów, łopat, łomów i lamp, by dobrać się do mniejszych przedmiotów, które rozdał pozostałym. Sam zważył w rękę otrzymaną maczetę i wypróbował ostrze, po czym wsunął ją z powrotem do pochwy.

- W porządku. - Antonio odchrząknął. - Panowie policjanci zostaną przy samochodach, by dopilnować, że nic im się nie stanie. Wszyscy dostali bukłaki z wodą i maczety. Uważajcie na węże.

Jest tu sporo grzechotników, więc patrzcie, gdzie stawiacie nogi. Nie spieszcie się. One boją się was dużo bardziej niż wy ich, ale z węzem nigdy nic nie wiadomo, więc na wszelki wypadek starajcie się na żadnego nie nadepnąć.

- O węzach też mi nikt nic nie mówił - mruknął Lazło, co Sam zbył wzruszeniem ramion i krótkim komentarzem:

-- Właśnie ktoś ci powiedział.

- Szukamy ruin świątyni. - Remi przejęła iluzoryczną mównicę po Antoniu. - Pod wpływem zjawisk atmosferycznych mogły z nich zostać tylko skromne resztki. Nie mamy pewności, czego szukamy, więc jeśli tylko zauważycie coś, co wygląda na wykonane przez człowieka, krzyczcie. Proponuję iść w odległości dziesięciu metrów od siebie i kierować się na południe od tego miejsca.

- Mogę prosić o przypomnienie, jak sprawić, żeby nie ugryzł mnie wąż? - jęknął Lazło.

- Musisz iść bardzo powoli i uważnie patrzeć pod nogi - pospieszył z odpowiedzią Antonio.

- Modlitwa też nie zaszkodzi - dodał Sam.

- Wszyscy gotowi? - spytała Remi.

Ruszyli pod górę w stronę szczytu. Chcąc nie chcąc, poruszali się bardzo wolno, bo zarośla, nietknięte ludzką ręką, tworzyły istny gąszcz. Gdy późny poranek przeistoczył się w popołudnie i słońce zaczęło swą wędrówkę ku górom Sierra Mądre, Remi zawołała:

- Mam tu coś!

- Idę! - krzyknął Sam, ruszając w jej kierunku.

- Jest całe zarośnięte, ale wygląda na fragment ściany.

Lazło dołączył do Sama i wspólnie przedzierali się do Remi, podczas gdy Antonio i Maribela nadeszli od strony lądu. Po chwili wszyscy stali przed prawie pionowym wzniesieniem pokrytym roślinnością.

Remi popukała w domniemaną ścianę ostrzem maczety i rzeczywiście, rozległ się dźwięk metalu uderzającego o kamień.

- Miałam rację, że to mur. Na oko ma ponad cztery metry wysokości.

- W sam raz dla niewielkiej świątyni - zauważył Antonio. - Po tysiącu lat zostałyby z niej kamienna bryła częściowo zakopana w ziemi, dokładnie tak jak tu.

Sam podszedł bliżej i odsunął garść splątanych pnączy, odsłaniając zbitą ziemię.

- Przydałyby się łopaty i kilofy z samochodu - orzekł. Antonio i Lazło poszli po narzędzia, a Sam, Remi i Maribela

zaczęli wycinać maczetami krzaki otaczające kamienną bryłę.

Gdy mężczyźni ze sprzętem wrócili, cała trójka była już mocno zmęczona, więc postanowili chwilę odpocząć przy przyjemnej bryzie wiejącej od klifu, znajdującego się raptem kilkanaście metrów dalej.

- Ta wieża była dobrze widoczna z morza. Załogi nadpływających statków musiały ją zauważyć. Zwłaszcza jeśli, a mogę się założyć, że tak było, strażnicy świątyni codziennie zapalali ogień sygnałowy - powiedział Sam.

- Tak, to brzmi prawdopodobnie - przyznała Remi. -Może również wyjaśniać, dlaczego na niektórych piktogramach nad piramidą pojawiała się chmura. To mógł być dym symbolizujący tę konkretną świątynię.

- Powiecie nam wreszcie, co takiego znaleźliśmy? -spytała Maribela, spoglądając na nią z ukosa.

- Lazło zdołał przetłumaczyć zapis runiczny z kamienia, który znaleźliśmy na drakkarze - wyjaśniła Remi. - Opisuje on zbudowaną na brzegu świątynię mającą doprowadzić wikingów z powrotem do Nowego Świata, aby mogli go skolonizować w imieniu swojego przywódcy, który został tu pochowany. Jeżeli to ta świątynia, powinniśmy w niej znaleźć artefakty, które uzupełnią naszą wiedzę o historii wikingów w Ameryce.

Sam wstał i sięgnął po łopatę.

- Uprzątnijmy trochę tego piachu i przekonajmy się, co się pod nim kryje.

Antonio dołączył do niego z kilofem i zaczęli pracować na środku jednej ze ścian pagórka, a Maribela i Remi kopały z drugiej strony. Po godzinie Sam odsunął się o kilka kroków i zawołał do żony:

- Remi, chodź to zobacz. Wygląda na wejście, ale zostało zablokowane. Na pewno będziesz chciała zrobić kilka zdjęć do naszej kolekcji.

Remi podeszła i oparła swoją łopatę o nieodsłoniętą część pagórka. Maribela, która nadeszła tuż za nią, aż sapnęła z zaskoczenia, widząc, co wskazuje Sam.

Na granitowym obramowaniu nad zablokowanym wejściem została wyryta trupa czaszka zwieńczona hełmem, który ozdobiono wizerunkiem skrzydlatego węża z wyszczerzonymi kłami, gotowego do ataku.

ROZDZIAŁ 40

Bezbrzeżnie zdumiona Maribela spojrzała na brata.

- Nic nie rozumiem... To w niczym nie przypomina żadnego znanego nam artefaktu Tolteków.

- Tak, bardziej przypomina coś, co mogli zostawić wikingowie - powiedziała Remi, fotografując płaskorzeźbę pod różnymi kątami. - Przyjrzyjcie się tej czaszce. Przecież ona ma brodę. Sądzę, że to pierwszy w historii archeologii przykład ikonografii wikingów znaleziony w Meksyku.

-Połączenie motywów indiańskich i wikiriskich jest... niesamowite. - Maribela pokręciła głową.

- I raczej nie zachęca do wizyty w środku - dodał Lazło.

- Na pewno zmusza do zastanowienia się, czy warto ryzykować - powiedział Sam. - Ciekawe, dlaczego zamurowali wejście do świątyni?

- Może mieli już dość czekania na powrót drakkarza? -podsunął Lazło. - A może z zupełnie innego powodu? Na razie możemy tylko zgadywać.

- Mam przeczucie, że odpowiedź znajdziemy w środku - oznajmił Sam i zwrócił się do Antonia:

- Jak myślisz, będziemy mieli jakieś problemy, jeśli spróbujemy się przebić na drugą stronę?

- Raczej nie - odparł meksykański archeolog. - A gdyby nawet, to i tak warto zaryzykować, bo jak do tej pory intuicja cię nie zawiodła.

- Wobec tego bierzmy się do dzieła. Zobaczmy, ile jest warte to starodawne spoivo.

Przez stulecia zaprawa zrobiła się twarda jak skała, więc zanim przebili się na wylot, słońce zdążyło już niemal zniknąć za widniejącymi w oddali górami. Widok otworu zmobilizował ich do dalszej pracy, a jego poszerzanie poszło im dość sprawnie, więc w kilka minut zdołali oczyścić całe wejście.

Maribela zabrała ze sobą latarki z samochodów. Sam wziął od niej jedną, włączył i zajrzał do

środku. Remi ustawiła się tuż za nim i skierowała promień własnej latarki do wnętrza budowli.

- Nie spodziewałam się czegoś takiego - powiedziała, odsuwając się i robiąc miejsce Antoniowi i Maribeli. Lazło zajrzał do środka ponad ich ramionami.

- To kolejna nowość. Nigdy dotąd nie spotkałam się z masowym grobem wewnątrz świątyni. Ile tu jest tych szkieletów? - zastanawiała się głośno Maribela, podczas gdy jej brat zaczął liczyć cicho po hiszpańsku.

- Dwanaście - powiedział. - Zwróćcie uwagę, co mają na sobie - dodał, robiąc krok naprzód i wchodząc do świątyni.

Maribela ruszyła za nim, podobnie jak Lazło. Sam i Remi popatrzyli na siebie, jednocześnie skinęli głowami i również wkroczyli do środka. Pomieszczenie było większe, niż mogło się wydawać z zewnątrz - miało prawie czterdzieści metrów kwadratowych. Wszystkie szkielety usadowione były pod ścianami, jakby na coś czekały. Każdy miał na sobie kolczugę, a na większości czaszek, szczerzących popsute zęby, tkwiły wikińskie hełmy. Na ziemi obok zwłok leżały miecze i topory.

- Patrzcie! O, tutaj - powiedziała Remi, wskazując kilka przedmiotów koło stopnia prowadzącego do świątyni. Światło jej latarki padało na długie drewniane koryta i leżące przy nim narzędzia. - To stąd brali zaprawę.

- O, do diabła! - wykrzyknął Lazło. - Zamurowali się od wewnątrz!

Zapadła cisza. Świadomość tego, co tu się stało, powoli docierała do każdego z nich. Nie sposób było się dowiedzieć, ilu ludzi wciąż żyło, gdy wyjście zostało zamurowane, ale leżące na ziemi narzędzia świadczyły, że co najmniej jeden, a najprawdopodobniej kilku było jeszcze na tyle przytomnych, by dokończyć ponure zadanie, tym samym skazując się na straszną śmierć.

- Patrzcie na piktogramy. Są raczej nieudolne w porównaniu do poprzednich, ale spójrzcie, co przedstawiają - powiedziała Remi, spoglądając nad ludzkimi szczątkami na ściany.

Brodaty wojownik, pół wąż, pół ptak, mordował grupę ludzi atakujących świątynię. Nad jej szczytem unosiła się chmura. Obrazy były bardzo drastyczne: ciała zostały pokrojone na kawałki, wielu odcięto głowy. Z oczu wojownika tryskały pioruny, podpalając okoliczne drzewa i kilka innych postaci.

- Niezbyt to wesołe, co? - szepnął Lazło - Pachnie trochę Apokalipsą świętego Jana. Ale sam przekaz jest dużo bardziej oczywisty.

- Zakładam, że to ostrzeżenie dla kogokolwiek, kto odważyłby się wejść do świątyni - stwierdził Sam, kiwając głową.

- Czyli w tej chwili dla nas - powiedziała Remi. Wszyscy umilkli, a Antonio zbliżył się do wejścia.

- Ściemnia się. Powinniśmy pozbierać sprzęt i poprosić policjantów, żeby pilnowali tego miejsca przez noc. Porozmawiam z nimi.

- Nie chcę jeszcze odjeżdżać - oznajmiła Remi. - Przyniesmy lepiej przenośne lampy z samochodów.

- Nie ma tu nic, co nie mogłoby poczekać do jutra - zaprotestowała Maribela.

- Nie chce mi się jeszcze spać. Skoro policjanci mogą tu zostać przez noc, to my również. Nie byłby to dla nas pierwszy raz. Baterie powinny wytrzymać do rana.

- Słyszeliście szefową. Ja tylko wykonuję jej polecenia - powiedział Sam, posyłając Antoniowi utrudzone spojrzenie.

- Nie rozumiem, po co ten pośpiech. Jutro wszystkie te trupy będą tak samo martwe. - Maribela nie dawała za wygraną.

- Tu nie chodzi o samą świątynię - odrzekła Remi, spoglądając na męża.
- Co masz na myśli? - spytał Antonio.
 - Sądzimy, że ukryto tu Oko Niebios. Miało czekać w tym miejscu na powrót wikingów, aby mogli razem z nim przedstawić się tubylcom jako następcy ich wielkiego wodza.
 - Mówisz poważnie? - Maribela zamruwała kilka razy, nie dowierzając.
 - Woleliśmy nic nie mówić, dopóki nie znajdziemy właściwego miejsca.
 - A więc gdzie jest Oko Niebios? - spytała Maribela.

- Problem w tym, że słowa przekazu nie były zbyt konkretne - powiedział Sam. - Na kamieniu z drakkaru napisano po prostu „pod świątynią”, co może oznaczać krytą pod tym pomieszczeniem albo jaskinię u stóp urwiska, albo skrytkę za ścianą. Może w tych piktogramach kryje się jakaś wskazówka. Jak do tej pory nic w tej historii nie było proste i oczywiste i wątpię, żeby na tym etapie miało się to nagle zmienić.

- Teraz już wiecie, dlaczego tak nam zależy na pośpiechu i zachowaniu tajemnicy - kontynuowała Remi, stając na środku pomieszczenia. - Spotkało nas już kilka nieszczęść podczas dotychczasowych prac i wolelibyśmy uniknąć kolejnych problemów, zwłaszcza tu, na zupełnym pustkowiu. Wszyscy, którzy wiedzą o tej świątyni, znajdują się w tej chwili w jej wnętrzu. Im więcej czasu zajmie nam szukanie klejnotu, o ile w ogóle istnieje, tym większa szansa, że nagle stanie się coś niedobrego.

- Rozumiem - kiwnął głową Antonio. - Przyniesiemy lampy i dogadamy się z policjantami, żeby pozwolili nam zostać tu przez noc. Jutro możemy się postarać o silniejszą ochronę. Funkcjonariusze, którzy nas tu eskortowali, będą w końcu musieli wrócić do domów, a tam zapewne opowiedzą bliskim i znajomym, czym się zajmowali, co może spowodować kłopoty. Wszyscy wiemy, jak niebezpieczna stała się ta okolica w ostatnich czasach. - Antonio wołał nie wdawać się w szczegóły.

- Nie wspominając już o węzłach - dodał Lazło, poprawiając odrobinę humory pozostałym.

Pół godziny później w świątyni stały na statywach trzy lampy, jeden z policjantów pełnił wartę na zewnątrz, a jego towarzysze wypatrywali wszelkich nadjeżdżających pojazdów, siedząc w zaparkowanych przy drodze samochodach. Lazło chodził w kółko przy wejściu, drapiąc się w zamyśleniu po głowie, podczas gdy Remi i Sam ostukiwali podłogę - on ręką, ona maczetą, a ona latarką. Antonio i Maribela fotografowali wyryte symbole.

Nagle Lazło zatrzymał się w pół kroku i wbił wzrok w jedną ze ścian.

- Sam, chyba coś zauważyłem - powiedział.
- Co takiego? - spytał Sam, nie przestając badać podłogi.
 - Te ściany sięgają głębiej niż podłoga.
 - Co ty wygadujesz?
- Popatrzcie uważnie. Postawiono je z równych kamiennych bloków. Ale te leżące na samym dole są dużo niższe od pozostałych. To znaczy, że albo podłoga nie opiera się na skale, albo że ściany wzniesiono w zagłębieniach, co w roku tysięcznym byłoby mało prawdopodobne.
 - Do czego zmierzasz?
- Chodzi mi o to, że podłoga znajduje się wyżej, niż powinna, więc coś może pod nią być. Pod podłogą, czyli pod świątynią, jak mówi kamień runiczny.

Lazło wyjął z pochwy swoją maczetę i zaczął zdrapywać z podłogi naniesioną przez setki lat warstwę ziemi.

- Jeśli cała podłoga jest pusta w środku, to stukając, nie usłyszysz różnicy - powiedział. - Jestem gotów się założyć, że w każdym miejscu dźwięk będzie dokładnie taki sam.

Sam spojrzął na Remi i kiwnął głową. Po chwili wszyscy byli już na kolanach, zawzięcie oczyszczając podłogę. Po godzinie Antonio zawołał do pozostałych:

- Znalazłem kołek!

- Kołek? - zapytała Remi, podchodząc do niego Antonio ostukał fragment podłogi, przy którym klęczał.

- Masz może swój nóż?

Gdy Remi podała mu nóż, czubkiem ostrza zdrapał fragmenty ziemi i po kilku chwilach ich oczom ukazał się okrąg w podłodze o promieniu piętnaście centymetrów.

- Spotykaliśmy się już z czymś takim w ruinach Majów - powiedziała Maribela. - Budowniczości montowali ruchomą płytę i mocowali ją kamiennym kołkiem, żeby nie przemieszczała się samoistnie. Powinniśmy znaleźć jeszcze kilka podobnych.

Antonio wsunął ostrze w szczelinę i mocno nacisnął. Kołek zaczął się ruszać.

- Czy ktoś jeszcze ma nóż? Z jednym nie mam szans.

Sam podał mu swój składany nóż SOG Ae-04 Aegis. Antonio zdołał unieść kamienny kołek na kilka centymetrów, a Sam chwycił za krawędzie i go wyciągnął. Przez chwilę trzymał kołek w ręku, podziwiając precyzyjnie wygładzony stożek, po czym położył go na ziemi.

- Poszukajmy pozostałych.

Po godzinie i wykopaniu siedmiu innych kołków widzieli już wyraźnie krawędzie kamiennej płyty o wymiarach dziewięćdziesiąt na sto dwadzieścia centymetrów. Lazło i Antonio wyszli na zewnątrz poszukać gałęzi, które mogłyby posłużyć jako prowizoryczne wałki, a Maribela przyniosła butelkę oleju silnikowego, by naoliwić krawędzie płyty, co miało ułatwić jej wysunięcie. Gdy Antonio wrócił z dwoma sporymi kawałkami drewna, a zaraz za nim Lazło z kolejnymi dwoma, odłożyli gałęzie na ziemię i chwyciwszy za łomy, wsunęli je przy krawędziach płyty.

- Spróbujcie unieść tę stronę, a ja postaram się odepchnąć ją od siebie - poinstruował Sam.

Zabrali się do dzieła. Remi i Maribela posługiwały się łopatami, a mężczyźni pracowali łomami. Po chwili jedna z krawędzi płyty się uniosła.

- Świetnie. Przytrzymajcie ją tak... trzymajcie... - Sam zaparł się na swoim łomie i pchnął płytę o kilka centymetrów, a po chwili o następnych kilka. - Lazło, wsuń pod nią pierwszy wałek. Tylko uważaj na palce!

Lazło wykonał polecenie i wszyscy opuścili powoli swoje narzędzia, kładąc tym samym płytę na wałku. Antonio szybko przysunął pozostałe gałęzie, żeby przesuwana płyta toczyła się po kolejnych wałkach. Lazło dołączył do Sama i wspólnymi siłami pchnęli kamienny blok ponownie, przesuując go jeszcze dalej. Pot zalewał im oczy, więc Sam zrobił sobie krótką przerwę, by otrzeć czoło.

- Myślałem, że masz chory kręgosłup - powiedział do Lazła.

~ To prawdziwy cud, nie uważasz? Czuję się jak młody bóg.

- Niestychane. Dobra, pozbadźmy się wreszcie tej płyty i zobaczymy, co jest na dole.

Znów naparli na kamienny blok, a Maribela zużyła resztkę oleju, by choć trochę ułatwić im zadanie. Remi wsunęła się pomiędzy mężczyzn i zaczęła pchać razem z nimi. W końcu cała płyta spoczęła na gałęziach, odsłaniając szeroki otwór. Maribela i Antonio przetoczyli ją i zsunęli w pobliżu jednego ze szkieletów. Sam wyciągnął zza pasa aluminiową latarkę i poświecił w dół.

Panującą w świątyni nabożną ciszę przerwały dopiero słowa Lazło.

- Mam nadzieję, że nie ma tam węży.

ROZDZIAŁ 41

Remi strzepnęła pył ze spodni, przysunęła się do otworu i oświetliła latarką długie kamienne schody ciągnące się w dół. Światło blokowały liczne fi rany pajęczyn, więc nie widziała, gdzie się kończą. Antonio i Maribela również poświecili w ciemną otchłań, ale nawet przy wsparciu ich latarek nie sposób było dostrzec dna.

- Kto chce iść pierwszy? - zapytał Lazło. Remi odkaslnęła.
- Może ty, Sam?
- Wiedziałem, że mnie wyślecie, jak tylko zobaczyłem pajęczyny.
- Nie marudź. Uwielbiasz to robić. Sam uśmiechnął się szeroko.
- Nie inaczej.

Postawił nogę na pierwszym stopniu i prawą ręką odgarnął dłonią pajęczyny, a w lewej trzymał latarkę. Zszedł na drugi stopień, trzeci... Odgłos jego ostrożnych kroków tłumiły grube podeszwy butów, ale oddech brzmiał w wąskim korytarzu jak dyszenie parowozu. Korytarz był niski, więc Sam musiał się garbić, żeby nie uderzyć głową w sufit. Osiągnąwszy ósmy stopień schodów, zatrzymał się i przyklęknął.

- Co się dzieje? - zawołała Remi.
- Wydaje mi się, że może tu być pułapka. Z jednej strony jest wyrwa, ale to nic wielkiego.
- Jesteś pewien?
- Zaraz się przekonamy.

Postawił nogę na kolejnym stopniu i nic się nie stało.

Schodził dalej i po chwili był już prawie niewidoczny z góry. Wyciągnął rękę w bok, by się podeprzeć, ale szybko ją cofnął, dostrzegłszy na ścianie otwory bardzo przypominające pułapki z węzami. Po kamieniach przeszła stonoga. Światło latarki odbiło się w jej czekoladowym pancerzu i Sam wzdrygnął się mimowolnie.

Gdy odzyskał równowagę, wziął głęboki oddech i ruszył dalej. Czuł wyraźny spadek temperatury, im niżej schodził. Schody kończyły się jakieś dziewięć metrów pod świątynią. Kamienna posadzka pomieszczenia, w którym się znalazł, była śliska od pleśni. Na ścianach znajdowały się kolejne piktogramy, ale zupełnie inne niż te w górnej świątyni.

Jeden z nich przedstawiał drakkar płynący pośród wysokich fal, z bardzo dokładnie odwzorowanymi żaglem i smoczymi łbami. Na dziobie stał brodaty mężczyzna w długim płaszczu i hełmie z uskrzydłonym wężem. Kadłub łodzi był otoczony okrągłymi tarczami, a na pokładzie aż roiło się od wojowników z włóczniami i toporami. Powyżej unosiło się coś, co wyglądało jak słońce albo planeta i emitowało fale energii lub światła, które najwyraźniej prowadziły załogę do celu.

Gdy Sam podszedł bliżej, zobaczył, że to wcale nie jest ciało niebieskie, tylko okrąg ze stylizowanym okiem w środku. Odwrócił się i zawołał do góry:

- Chyba jesteśmy na miejscu!
- Co?! - dotarł do niego głos Remi, odbijający się echem od kamiennych ścian.

- Jest tu piktogram ukazujący statek wikingów dowodzony przez Quetzalcoatlę i klejnot wielkości mojej głowy.

Sam skierował się w prawo, skąd dobiegało echo jego słów. Na końcu krótkiego korytarza znalazł niewielką grootę, wydrążoną w kamieniu przez kapiącą przez tysiące lat wodę. Odgarniał kolejne pajęczyny i nagle poczuł, że coś łazi mu po ręce. Zamarł i bardzo powoli poświecił latarką na swoje przedramię. Po odsłoniętej skórze maszerowała rażąco czarna wdowa.

Chwycił latarkę w zęby, wziął głęboki oddech dla uspokojenia nerwów, po czym strzepnął pajęka szybkim ruchem dłoni. Spostponowany pajęczak poleciał na posadzkę i zniknął pospiesznie w ciemności. Sam zaklął pod nosem i skierował światło latarki w głąb jaskini. Na samym jej końcu dostrzegł stalagmit przypominający kształtem bardzo stromy wulkan. Przedmiot umieszczony na jego szczycie odbijał promienie światła. Sam dokładnie obejrzał podłoże jaskini, by się upewnić, że nie zamontowano tu żadnych pułapek, po czym ruszył w stronę naturalnego piedestału.

Dziewięć metrów wyżej Remi i Lazło czekali w napięciu, oddychając płytko, jakby się bali, że wciągnięcie większej ilości powietrza zachwieje kruchą jak lód równowagą i wywoła bliżej nieokreślony kataklizm. Maribela krążyła niecierpliwie przy schodach, a Antonio przyglądał się szkieletom.

- Widać po rozmiarach, że to musieli być wikingowie - powiedział. - Są co najmniej o trzydzieści centymetrów wyżsi niż mumie, które znajdowaliśmy do tej pory.

Lazło kiwnął głową.

- Ostatnia warta, czekająca na swój statek. Biedaczyska. To musiała być ciężka służba. Większość ma siwe brody, więc o ile nie przyplynie z wycieczką dla emerytów, musieli tu spędzić wiele lat.

- Kiedy przeprowadzimy dokładne badania, prawdopodobnie znajdziemy ślady ognisk sygnałowych na szczycie świątyni - stwierdziła Remi, zerkając na szkielety.

- Wyobraźcie sobie, jak to musiało wyglądać. Dzień po dniu, rok po roku...

Rozważania Lazło przerwał głos Sama wdrapującego się po schodach.

- Mało kto jest gotowy do takiego poświęcenia - powiedział, pokonując ostatni stopień i otrzepując się z pajęczyn. - Czy wspominałem, jak bardzo nie znoszę czarnych wdów?

- Co znalazłeś na dole oprócz pajaków? - spytała Remi. Sam popatrzył na każde z nich, a minę miał nietęgą.

Westchnął ciężko, po czym nagle wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Największy szmaragd, jaki kiedykolwiek widziałem. Wygląda na robotę Inków, ale nie jestem ekspertem.

ROZDZIAŁ 42

Sam poprowadził ich po schodach, ostrzegając przed pułapką na ósmym stopniu, i wkrótce weszli do jaskini, w której spoczywało Oko Niebios.

- Ostrożnie. Starajcie się iść po moich śladach. Nie ufam tej podłodze. W każdym miejscu może być zapadnia.

Remi zbliżała się do lśniącego klejnotu, starając się dopasować swoje kroki do pozostawionych na zakurzonej podłodze śladów butów Sama. Idący za nią Lazło co chwila oglądał się z trwożą na pajęczyny, które pokrywały niemal całą powierzchnię jaskini niczym macki zjawy. Antonio i

Maribela nie bali się pajaków, po latach prowadzenia wykopalisk wiedzieli, czego mogą się spodziewać w podziemnych kryptach.

Gdy wszyscy stanęli przed stalagmitem, Sam otarł chustą wapienny osad, który zebrał się na powierzchni szmaragdu przez tysiąc lat, i cała piątka przez długą chwilę podziwiała klejnot. Jaśniał, jakby skrywał wewnątrz niezwykle źródło energii. Był idealnie przejrzysty, praktycznie bez skazy, i miał rozmiary grejpfruta. Spoczywał w ręcznie wykonanej oprawie ze złota, przedstawiającej stylizowaną podobiznę Quetzalcoatl.

- Zachwycający - wyszeptał Lazło. - Zupełnie jakby pulsował własnym życiem. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

Remi kucnęła przy resztkach drewnianej skrzynki nieopodal stalagmitu. Drewno zdążyło już całkiem zbutwieć i tylko zardzewiały metalowy zamek zdradzał, jakie było zastosowanie tej bezładnej kupy desek.

- Chyba możemy przyjąć za pewnik, że Toltekowie mieli kontakty z Inkami - powiedziała. - Szmaragd musi pochodzić z imperium Inków, czyli z terenu dzisiejszej Kolumbii. Popatrzcie na te posążki.

- Bezcenne znalezisko - ocenił Antonio.

- Jak myślicie, ile karatów ma to cacko? - spytał Lazło.

- Nie podejmę się nawet zgadywać - odparł Antonio. - Czy „niesłuchanie dużo” to zadowalająca odpowiedź?

- Jeśli o mnie chodzi, jak najbardziej, przyjacielu. Świetna robota, i mówię to do wszystkich. Bardzo pracowity tydzień w życiu państwa Fargo, nie ma co.

- Tak, mieliśmy dużo szczęścia - powiedziała Remi, podchodząc do reszty. - Ale dla Antonia i jego zespołu dopiero teraz zacznie się prawdziwa praca. My tylko szliśmy za wskazówkami i w życiu nie dalibyśmy sobie rady bez twojej pomocy, Lazło. - Zawiesiła głos, po czym dodała: - Jak już wspominałam: Lazło, jesteś geniuszem.

- Słowo damy jest święte - odparł, uśmiechając się szeroko. Maribela zerknęła na zegarek.

- Właśnie sobie uzmysłowiłam, że od śniadania nic nie mieliśmy w ustach. Czy ktoś ma ochotę na spóźniony obiad? Mogę podjechać do najbliższej miejscowości i coś kupić. Policjanci też na pewno chętnie coś zjedzą.

- Dobry pomysł - orzekł Sam. - Nie zostało nam wiele do roboty poza dopilnowaniem, żeby nikt się tu nie kręcił, dopóki nie zorganizujemy należytej ochrony.

- No to idę, a wy w tym czasie możecie porobić zdjęcia. Zostaniecie tu na noc?

- Pewnie tak - odparła Remi. - Nie ma szans, żebym zdołała dziś zasnąć, jestem za bardzo nakręcona. Jeśli chcesz, przejadę się z tobą.

- Nie trzeba. To może chwilę potrwać, zanim znajdę bar, który będzie jeszcze czynny. Czy wszystkim pasują enchilady z kurczakiem?

Wszyscy potwierdzili.

- Świetnie. Postaram się wrócić jak najszybciej.

- Chcesz jakieś pieniądze? - spytał Sam.

- Nie - odparła Maribela i dodała z uśmiechem: - Po tym wszystkim, co zrobiliście dla naszego kraju, stać nas, żeby w imieniu Meksyku zafundować wam posiłek na wynos.

Powiedziawszy to, wyszła, a Antonio rozejrzał się po jaskini.

- Przyniosę lampę, żebyśmy mieli porządne światło - zaproponował.
- Dobry pomysł - odparł Sam. - Przy okazji zorientuj się, czy nie dałoby się ściągnąć więcej ludzi do ochrony. Jak sam powiedziałaś, to znalezisko jest bezcenne.
- Postaram się.

Kilka minut później Antonio wrócił z lampą i postawił ją blisko stalagmitu z Okiem Niebios, żeby Remi mogła zrobić zdjęcia szmaragdu i statuetek ze skrzyni. Gdy skończyła, sfotografowała jeszcze piktogramy na ścianach, a potem wszyscy powlekli się po schodach na górę, potwornie zmęczeni po całym dniu pracy. Sam szedł przodem, Antonio za nim, a Remi i Lazło na końcu.

Nagle rozległ się huk wystrzału, który w niewielkim pomieszczeniu zabrzmiał jak salwa armatnia, i po schodach stoczył się jeden z policjantów, z karabinem wciąż przewieszonym przez ramię. Sam złapał go i poszukał pulsu, ale bez powodzenia. Podniósł karabin, a Antonio wyciągnął pistolet z kabury przy pasie martwego funkcjonariusza. Nie odezwali się ani słowem, wciąż jeszcze dzwoniło im w uszach.

Z góry dobiegł głos Janusa Benedicta.

- Nie rób nic głupiego, Fargo. Zgaduję, że jesteś na schodach i zdążyłeś zaopiekować się karabinem strażnika. Odłóż go, a potem wszyscy wyjdźcie tu z rękami w górze. - Janus mówił spokojnie, zupełnie jakby wyjaśniał skomplikowany manewr szachowy.

- A skąd mam wiedzieć, że gdy wyjdziemy, nie zastrzelisz nas jak tego biedaka?

- To nie w moim stylu. Ale moi współpracownicy nie są tak cierpliwi jak ja, więc jeśli nie wyjdziecie stamtąd bez broni, czeka was walka z ludźmi, z którymi nie macie żadnych szans. Zapewniam, że już teraz wyglądają na podenerwowanych. - Janus przerwał na chwilę, po czym dodał: - No i jest jeszcze kwestia meksykańskiej dziewczyny. Trzymają jej pistolet przy głowie. Jeśli coś jej się stanie, to będzie wyłącznie twoja wina. Odłóż broń, a wszystko dobrze się skończy. Masz na to moje słowo.

- Słowo złodzieja i mordercy? - powiedział Sam i splunął.

- To twoja ostatnia szansa. - Głos Janusa stał się bardziej natarczywy. - Wychodź albo moi towarzysze zastrzelą kobietę i rzucą ci ją tam do kompletu. Nie mamy czasu na po-gaduszki, bo odgłos wystrzału pewnie ściągnie tu policyjne posiłki, a ja nie zamierzam na nie czekać. No to jak? Będziesz się stawiał i pozwolił dziewczynie zginąć czy pójdziesz po rozum do głowy i dasz wszystkim szansę na przeżycie?

Antonio pokręcił głową, a gdy Sam wyrzucił karabin na zewnątrz, tylko się skrzywił i cisnął za nim pistolet.

- Nie mamy broni! - zawołał Sam, unosząc ręce nad głową.

-O tak, od razu lepiej - powiedział Janus, gdy Sam wyszedł na górę, a zaraz za nim pojawił się Antonio.

Maribela stała przy wejściu do świątyni, obok Janusa i Reginalda, ściskającego w ręku pistolet, a stojący nieco dalej Guerrero celował prosto w nich.

Na twarzy Antonia pojawił się wyraz ulgi, ale po chwili zastąpiło go zdumienie, gdy Maribela uśmiechnęła się do Janusa. Guerrero podszedł do wyrzuconej broni i kopniakami posłał ją kilka metrów dalej, po czym stanął obok Reginalda, wciąż trzymając ich na muszce.

Sam spojrział Janusowi w oczy.

- Tym razem posunąłeś się za daleko, Benedict. Chcesz, żeby tak cię zapamiętano?

- Niestety, drogi kolego, nie miałem wpływu na rozwój wypadków. Najmniejszego. Gospodarze mają zupełnie inne ode mnie metody rozwiązywania problemów, a jakkolwiek by patrzeć, jesteśmy

na ich terenie. Kiedy wpadniesz między wrony... - powiedział Janus, kręcąc głową. - Całe to zabijanie jest dla mnie równe obrzydliwe, jak dla ciebie, wierz mi.

- Mimo to nie kiwnąłeś nawet palcem, by mu zapobiec.

- Nie miałem wyjścia. Ale nie pochwalam tego, co się stało. Prosiłem, żeby całą akcję przeprowadzić możliwie sterylnie. Niestety, obawiam się, że mój wpływ na działania tubylców jest mocno ograniczony. To dość krwiożerczy osobnicy. Nie ja ich wybierałem, ale co się stało, to się nie odstanie.

- Pięknie byś wypadł z tą gadką w Norymberdze.

- Stul pysk, bo zaraz powiększysz pulę zabitych - pogroził Reginald, celując prosto w głowę Sama. - Za kogo ty się uważasz? Powinieneś się cieszyć, że jeszcze żyjesz, ty amerykański kmiotku.

- Kto by pomyślał, Janus. Przyprowadziłeś braciszka, żeby odwalał za ciebie brudną robotę. Nie chciałeś sam pobrudzić sobie rączek? - spytał wyzywająco Sam.

Reginald doskoczył do niego i uderzył pistoletem w twarz. Sam jęknął i dotknął ręką rozciętego policzka, który zaczął krwawić.

- Spokojnie, nie potrzebujemy więcej aktów przemocy. Jestem pewien, że zachowają się rozsądnie - powiedział Janus do brata, po czym ponownie zwrócił się do Sama. - A gdzie twoja uroczą małżonka, Fargo?

Sam milczał przez kilka długich sekund, patrząc mu głęboko w oczy.

- Idź do diabła, Benedict - warknął wreszcie.

Janus pokręcił głową, niczym ojciec zmartwiony niesfornością dziecka, i wyciągnął z kieszeni iPhone'a.

- Nieważne. Widzę, że jest tam na dole. Pewnie liczy na to, że uratuje was kolejny cud, co, Fargo? - Odchrząknął, i zaczął mówić głośniejszym głosem. - Remi? Bądź tak miła i nie każ mi schodzić po ciebie. Wiem, że tam jesteś. Wyjdź i pobaw się ze wszystkimi.

- Wcisnąłeś nam nadajnik GPS? - spytał Sam, otwierając szeroko oczy ze zdumienia

- No, szybko załapałeś. Owszem, znałem każdy wasz ruch od czasu naszego ostatniego spotkania w Hiszpanii. Szczęśliwy talizman twojej żony przyniósł sporo szczęścia i mnie. W pełni wart ceny, jaką musiałem zapłacić za urządzenie naprowadzające.

Kilka chwil później Remi wyszła z podziemi, ściskając w ręku latarkę i posyłając Janusowi pełne nienawiści spojrzenie. Za nią wysunął się przerażony Lazło, z rękami założonymi za głowę.

- Tak mi się wydawało, że czuję padlinę. Powinna być od razu się domyślić, że to ty - wyszczała Remi.

- No już, spokojnie, trzeba umieć przegrywać z klasą. Damie nie wypada się dąsać jak dziecko - sztywno powiedział Janus, wzruszając ramionami. - Przy okazji, bardzo podoba mi się twój naszyjnik. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo.

Remi zerwała ozdobę z szyi i rzuciła na ziemię. Maribela schyliła się i podniosła skarabeusza.

- Rzeczywiście, bardzo ładny. Trochę zbyt pospolity, jak na mój gust, ale będzie mi przypominał miłe chwile.

- Ty gnido! - krzyknęła Remi, ruszając w jej stronę z furią w oczach.

Janus zastąpił jej drogę.

- Spokojnie, dobra kobieto. Nie marnuj ostatniego oddechu na rzucanie plugawych wyzwisk.

- Więc jednak zamierzasz nas zabić. - Sam splunął mu krwią pod nogi. - To tyle, jeśli chodzi o twoje gadki o moralności. Jesteś zwykłym złodziejem i mordercą. Nigdy nie miałeś dość oleju w głowie, by znaleźć jakiś skarb na własną rękę, więc musisz zadowalać się okradaniem innych.

- Masz strasznie niewyparzoną gębę, co? - Janus zmarszczył brwi. - Oboje macie. Nie zamierzam nikogo zabijać. Obawiam się jednak, że mój towarzysz wolałby nie zostawiać za sobą żadnych świadków, więc szanse na to, że dożyjecie kolejnej rocznicy ślubu, są raczej mizerne. Brat zostanie oszczędzony, pod groźbą, że jeśli kiedykolwiek piśnie choć słówko, to zarówno on, jak i jego piękna siostrzyczka rozstaną się z życiem. Wy jednak stanowicie problem, który można rozwiązać tylko w jeden sposób. Może pocieszy was fakt, że domagałem się, by odbyło się to szybko i możliwie bezboleśnie.

Janus spojrział na swój zegarek Patek Philippe.

- Spróbujcie się nacieszyć swoimi ostatnimi chwilami.
- Bodajbyś szczeł, kanalio! - zaklął Sam, przygarniając żonę do piersi.

ROZDZIAŁ 43

Janus spojrział za Amerykanów na schody prowadzące w dół i odsuniętą na bok płytę. Podszedł bliżej i zajrzał do ciemnej pieczary, podczas gdy Guerrero i Reginald trzymali na muszce pojmanych. Po kilku sekundach odsunął się i zwrócił z uśmiechem do Maribeli.

- Maribelo, zaprowadź Reginalda do szmaragdu, ja tymczasem zajmę się mniej przyjemną częścią przedsięwzięcia.

- Dobrze. Idziesz, Reginaldzie?

Antonio, który przez cały ten czas wpatrywał się w siostrę wielkimi oczami, pokręcił z rezygnacją głową i zaklął po hiszpańsku.

- Nie... Na rany Chrystusa dlaczego?
- Przymknij się, Antonio - odpowiedziała Maribela, wzruszając ramionami - To najlepsze rozwiązanie. Mamy przecież zdjęcia. Sam szmaragd na nic by się nam nie przydał, nie dostaniemy przecież premii za jego odnalezienie. Sam mówiłeś, że prawdziwym skarbem jest nowy rozdział w historii Tolteków. Nic tego nie zmieni.
- Coz ciebie za kobieta? - wtrącił się wstrząśnięty Sam - Wielu ludzi straciło życie. W imię czego? Zwykłej chciwości? Ile on ci płaci? Na ile wyceniłaś zdradę wszystkiego, na co pracowałaś przez lata? Powiedz, jestem ciekaw.
- To nie twoje zmartwienie - zbył go Janus. - Choć nie przeczę, że piękna Maribela zostanie sownie wynagrodzona za swoją pomoc. Idźcie już. Nie mamy dużo czasu.

Antonio wciąż był w szoku.

- Maribela... - jęknął tylko.
- Daj spokój, Antonio. Zaufaj mi, od przyszłego tygodnia będziemy mogli finansować swoje własne badania, skończy się zebranie o marne ochłapy w ministerstwie. Może tobie nie przeszkadzało takie życie, ale mnie owszem. - Głos Maribeli był pełen pogardy. Po chwili zwróciła się do Reginalda: - Chodźmy. Pokażę ci, gdzie jest klejnot.
- Czekajcie. Idę z wami - odezwał się Guerrero.
- To nie będzie konieczne - stwierdził Janus. - Sądzę, że bardziej przydasz się tutaj.
- Idę z nimi - nie ustępował Guerrero, łypiąc na Reginalda podejrzliwie.

- Ach tak, rozumiem. Ale kto zajmie się tą gromadką pod twoją nieobecność? - spytał Janus, na moment pozbywając się swojej wyniosłej pozy.

Guerrero podszedł do miejsca, w które kilka minut temu odesłał kopniakiem broń zabitego policjanta. Podniósł pistolet i podał Janusowi do ręki, a ten ujął go dwoma palcami jak brudną skarpetę.

- Ty się nimi zajmiesz. Niebawem wrócę i zrobię, co będzie trzeba - powiedział Meksykanin, uśmiechając się paskudnie.

Zawołał coś po hiszpańsku i w wejściu do świątyni stanął mężczyzna uzbrojony w karabin maszynowy.

- Wejdz i przypilnuj tej zgrai - padł rozkaz po hiszpańsku. Mężczyzna posłusznie wszedł do środka, a Guerrero zwrócił się do Maribeli, tym razem po angielsku: - Prowadź. Twój chłopak co do jednego ma rację: musimy się pospieszyć. Żołnierze pilnujący elektrowni będą tu lada moment, a nie chcemy wdawać się w walkę z regularnym wojskiem.

Maribela zeszła na dół po schodach. Reginald wsunął pistolet za pas i ruszył za nią z tęgą miną, podczas gdy jego oczy błędnymi nerwowo po suficie.

- Nie martw się. Ten tunel ma już tysiąc lat. Myślę, że nie zawali się w ciągu najbliższych pięciu minut - powiedziała Maribela.

- Nie martwię się. Po prostu nie lubię ciasnych miejsc - odpowiedział młodszy Benedict, a gdy wypowiadał ostatnie słowo, głos załamał mu się zabawnie.

- Wielu ludzi tak ma.

Przeszli do jaskini, w której w dalszym, ciągu świeciła zniesiona przez Antonia lampa, i zbliżyli się do szmaragdu.

- O cholera! - Reginald był wyraźnie podekscytowany. - Jest większy, niż myślałem. Ogromny, prawda?

Maribela skinęła głową, nie spuszczać oczu z kamienia. Reginald podszedł bliżej.

- Oko Niebios. Wspaniały. Naprawdę oszałamiający - powiedział szeptem, wpatrując się w kamień chciwymi i podstępными oczami.

- To prawda. Nie sposób ocenić, ile prawdziwy kolekcjoner będzie gotowy za niego zapłacić. Miliony. Może nawet setki milionów - stwierdziła Maribela, obliczając w myślach swoją dolę.

Reginald wyciągnął pistolet i skierował lufę w jej stronę.

- Pazerna z ciebie suka, co?

- Nie, przecież... - Na jej twarzy odmalował się wyraz kompletnego zaskoczenia i przerażenia. - Zrobiłam wszystko, czego chcieliście.

- Co znaczy, że jesteś nie tylko pazerna, ale jeszcze głupia.

- Twój brat obiecał mi... - wyjęczała, kręcąc głową w panice.

- Być może, ale ja na pewno niczego ci nie obiecywałem. Dogadam się z Janusem. W końcu przecież zrozumie, że w ten sposób zaoszczędzi dwadzieścia procent, które miało przyspaść tobie.

Dziewięćmilimetrowy pocisk trafił Maribelę prosto w czoło. Jej ciało zeszytniało i padło bezwładnie na ziemię. Huk wystrzału rozniósł się po kamiennej komnacie niczym eksplozja bomby. Reginald wsunął broń z powrotem za pas i wrócił do oglądania klejnotu. Guerrero uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu, również podziwiając niezwykły szmaragd.

- Widzę, że lubisz pieniądze tak samo jak ja, co, cabrón? Świetnie. Będzie więcej dla nas.

Na górze człowiek Guerrero ani na moment nie spuszczał oczu z Amerykanów, cały czas trzymając palec na spuście kałasznikowa, gotowy strzelić w dowolnym momencie. Janus celował z beretty w Antonia, a jego mina dawała jasno do zrozumienia, że jest na wskroś zniesmaczony tym podłym zadaniem.

Odgłos wystrzału Reginalda zabrzmiał jak ogłuszająca eksplozja i nagle wiele rzeczy wydarzyło się naraz, jakby czas zaczął płynąć w zwolnionym tempie. Bandyta instynktownie obrócił się w stronę źródła dźwięku; na ułamek sekundy, ale to wystarczyło Samowi, by jednym płynnym ruchem wyciągnąć z kieszeni spodni nóż, rozłożyć go i rzucić w gardło Meksykanina. Dziewięciocentymetrowe ostrze wbiło się po rękojeść, przecinając tchawicę mężczyzny, który odruchowo nacisnął spust i posłał serię w leżące pod ścianą szkielety. W powietrzu zaroilo się od rykoszetujących pocisków. Sam rzucił się na umierającego zabójcę, który przewracał się do tyłu w progu świątyni, skąd nadleciał grad pocisków, dziurawiąc plecy trupa jak sito.

Janus próbował wycelować swój pistolet w Sama, ale Remi kopnęła go z całej siły w nadgarstek, wytrącając mu broń z ręki. Benedict skoczył za berettą, ale Remi uprzedziła go o ułamek sekundy. Pierwsza dopadła pistoletu i z całej siły uderzyła Janusa kolbą w splot słoneczny. Oczy niemal wyszły mu z orbit i osunął się na ziemię, podczas gdy Sam już podnosił karabin zabitego bandyty.

W następnej chwili doskoczył do lampy i wyłączył ją, pogrążając wnętrze świątyni w ciemności. Z zewnątrz padały kolejne strzały, ale Sam czekał z odpowiedzią, aż jego oczy przyzwyczają się do mroku. Dobrze wiedział, że po zgaszeniu światła reszta opryszków może tylko strzelać na ślepo w wejście. Uzyskana w ten sposób przewaga nie była wielka, ale innej nie mieli.

- Antonio, jestem pewien, że ten bandzior miał jakiś pistolet. Umiesz strzelać? - spytał Sam.

- Dam sobie radę.

Z dołu dobiegł ich głos Guerrero.

- Jaime! Co tam się dzieje?

Remi przysunęła się do męża i szepnęła mu na ucho:

- Ja się nimi zajmę'. Ty rozpraw się z tymi na zewnątrz.

- Dobra - odparł Sam, w lot oceniając sytuację.

W wątłym świetle księżycy dostrzegł jakieś poruszenie na zewnątrz. Błyskawicznie poderwał kolbę do ramienia i oddał trzy strzały. Usłyszał jęk i podszedł bliżej do wejścia, niedaleko zwłok człowieka Guerrero. Napastnicy znów zaczęli strzelać, wbijając kilka kolejnych pocisków w ciało towarzysza. Sam zacisnął zęby i zignorował ich strzały, skupiając się na tym, by dotrzeć do martwego mężczyzny i przetrząsnąć jego kieszenie. W końcu udało mu się. Za paskiem zabitego znalazł rewolwer, który pchnął po kamiennej podłodze w stronę Antonia.

Usłyszał szelest w krzakach na lewo od świątyni, wycelował w nie i opróżnił magazynek. Palcami wyczuł dwa zapasowe magazynki w kieszeni kamizelki trupa. Wyciągnął je i błyskawicznie odturlał się na bok, w samą porę, by uniknąć kolejnej salwy ludzi z kartelu. Wymienił zużyty magazynek, zarepetował i zaczął strzelać krótkimi, mierzonymi seriami w kierunku czających się na zewnątrz zabójców.

Tymczasem Remi czekała napięta jak struna przy schodach, nadstawiając uszu na jakikolwiek dźwięk z dołu, w czym nie pomagały jej odgłosy walki prowadzonej przez Sama. Po chwili doczołgał się do niej Antonio.

- Co mam robić?

- Na mój znak zacznij strzelać w dół schodów.

Kontynuowała nasłuchiwanie, pewna, że Reginald i Guerrero idą na górę. W pewnej chwili

Reginald, idący za Guerrero, zapalił latarkę, aby nie potknąć się o stopnie. Guerrero syknął do niego, by natychmiast ją zgasił, ale ten moment wystarczył, żeby Remi ich zobaczyła. Wystrzeliła cztery pociski, a kucający tuż obok Antonio poprawił następnymi trzema. Odbijające się od ścian kule śmignęły w dół jak fala śmierci. Remi usłyszała jęk i odgłos ciała upadającego twardo na kamienie. Wystrzeliła jeszcze dwukrotnie dla pewności i w odpowiedzi usłyszała dosadny okrzyk oraz szybkie kroki kogoś zbiegającego na dół.

Reginald zaklął ponownie, tym razem na tyle głośno, że go poznała, po czym znów usłyszała czyjś upadek i łoskot spadającego ze schodów ciała. Reginald najwyraźniej wziął nogi za pas, zmylił krok i sturlał się na dół.

- Jesteście cali? - zawołał do nich Sam spod wejścia.
 - Jak najbardziej - odpowiedziała Remi.
 - Chyba... tak - odparł Antonio z mniejszym entuzjazmem.
- Spośród szkieletów dobiegł ich jęk Lazło. Remi popatrzyła w tamtą stronę.
- Lazło - wyszeptwała.
 - Ja... ja... dostałem - wychrypiał z trudem starszy archeolog.
 - Bardzo? - spytał Sam.
 - Trafiła... mnie... cholerna kula. Może... być... bardziej?
- Gdzie dostałeś?
 - W ramię. - Lazło odkaslnął.
 - Trzymaj się. Zaraz będzie po wszystkim - powiedziała Remi i zwróciła się do Antonia: - Rób wszystko, co powie Sam, dobrze?

Antonio przytaknął i spytał:

- A ty dokąd się wybierasz?

Kolejna porcja pocisków wpadła przez wejście do świątyni. Remi rzuciła się na ziemię. Sam odpowiedział ogniem, a staccato jego wystrzałów brzmiało teraz w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Obejrzała się na tonące w ciemności schody i jej oczy zwęziły się groźnie.

- Idę to skończyć.

ROZDZIAŁ 44

Podczas krótkiej przerwy w wymianie ognia Remi skulona podbiegła do Sama i przedstawiła mu swój plan.

- Idę go załatwić. Ci z kartelu są ranni albo martwi, więc zostali tylko Reginald z Maribela. A z nią szczególnie mam kilka rachunków do wyrównania.
- Remi, zastanów się. Nie lepiej zaczekać? Wcześniej czy później i tak będą musieli wyjść na górę. Wtedy się nimi zajmiemy.
- Nie podoba mi się, że tam są, ze szmaragdem.
- Przecież i tak nie mają któregoś go wynieść. Pomyślała chwilę i w końcu kiwnęła głową.
- Niech ci będzie. Ale tak dla porządku, w tym przypadku wolałabym zastosować metodę Sama Fargo, czyli zrobić wejście smoka i wystrzelać wszystko, co się rusza.
- Dobrze, odnotowałem. I nie twierdzą, że tak się to nie skończy. Ale nie podoba mi się sytuacja,

w której ty, widoczna na schodach jak na dłoni, pakujesz się prosto pod lufę siedzącego w ukryciu Reginalda. To zbyt niebezpieczne, nawet jak dla mnie.

- W porządku, rozumiem twoje obiekcje. Co wobec tego proponujesz?

- Znaleźliśmy się w impasie. Nie możemy się stąd ruszyć, a oni nie mogą nas stąd wykurzyć. Mój plan to przetrzymać ich do czasu przybycia żołnierzy z elektrowni. Po takiej strzelaninie nie powinno to długo potrwać.

- Miejmy nadzieję. W gruncie rzeczy nie wiemy, ile im to zajmie. A w drodze mogą już być także posiłki kartelu. Kto wie, może strażnicy z elektrowni otrzymali rozkaz nieopuszczania swojej pozycji, na wypadek gdyby to był tylko atak dywersyjny przed głównym natarciem od frontu.

Sam spojrzął na Antonia klęczącego z pistoletem przy schodach.

- Czy twój telefon tu działa? Masz sygnał? - spytał. Antonio wygrzebał komórkę z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz.

- Tak.

- Wezwij kogoś. Ściągnij tu wojsko i policję z całego Meksyku. Natychmiast. Wyjaśnij, co się dzieje. Potrzebne nam wsparcie.

Antonio wystukał numer alarmowy i zaczął mówić cichym głosem do słuchawki, tymczasem Sam i Remi obserwowali uważnie krzaki naprzeciwko wejścia do świątyni. Gdy rozmowa dobiegła końca, Antonio nie wyglądał zbyt radośnie.

- Prosił, żebym się nie rozłączał. Powiedziałem, że to niemożliwe i że muszą natychmiast przysłać tu uzbrojonych ludzi, a także transport powietrzny do ewakuacji rannych. Dyspozytorka obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy.

- Nie brzmi to zachęcająco - stwierdziła Remi.

- Na pewno przyślą kogoś, pozostaje tylko pytanie, ile to potrwa. - Antonio zawahał się, po czym powiedział jeszcze: - Co zamierzacie zrobić z Reginaldem i moją siostrą?

- Jedyne, co możemy zrobić, to czekać. Schodzenie na dół to samobójstwo.

- Ale Maribela może być ranna albo Reginald traktuje ją jako zakładnika.

- Antonio, zastanów się. - Remi ujęła jego dłoń. - Wszystko zaczęło się, kiedy tam w dole padł strzał. A na schodach było tylko dwóch ludzi: Guerrero i Reginald. - Pokręciła głową. - Przykro mi, Antonio.

- Może być ranna... jak Lazło.

- Tak, to możliwe. Ale w tej chwili nic nie możemy zrobić - uznał Sam. - Musimy się tu bronić przed tymi z zewnątrz tak długo, aż nadejdzie pomoc. Potem już zawodowcy zajmą się Reginaldem. Przekonamy się, jak poradzi sobie z oddziałem żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym.

Lazło zajęczał ze swojego miejsca.

- Trzymasz się, Lazło? - spytał Sam, nieprzerwanie wypatrując jakichkolwiek oznak ruchu na zewnątrz.

- Nie... najlepiej...

Remi przysunęła się do niego i obejrzała ranę.

- Pomoc jest już w drodze. To nie potrwa długo.

- Wybornie...

Seria pocisków uderzyła w kamienne wejście, odrywając odłamki skały. Sam wypalił raz,

celując w pomarańczowe błyski karabinu jednego z przeciwników. Po chwili Remi znów była przy nim.

- Daj mi to. W końcu to ja jestem strzelcem wyborowym.
- Na razie radzę sobie zupełnie nieźle.
- Niezupełnie, skoro oni wciąż do nas strzelają. No dawaj, zamienimy się. Stary kałach za niemal nowiusienką berette. Prawdziwa okazja.

Sam wziął od niej pistolet i zważył go w dłoni.

- Nie wiem, co zdołam wskórać tą zabawką.
- Spokojna głowa. Wystrzel kilka razy w ich stronę, może uda ci się kogoś wypłoszyć.

Sam wypalił dwukrotnie. Jeden z bandytów odpowiedział ogniem. Remi odczekała spokojnie, aż skończy swoją serię, po czym oddała trzy szybkie strzały. Nikt więcej nie strzelał.

Remi popatrzyła na Sama z uśmiechem.

- Gdzie diabeł nie może...
- ..tam babę pośle. Tak, wiem. Myślisz, że go trafiłaś?
- Raczej na pewno. Ale to wcale nie musiał być ostatni.
- Spróbujemy się przebić?
- Bezpieczniej byłoby zostać tutaj i poczekać na wojsko -stwierdziła Remi, rozglądając się po pomieszczeniu. - Gdzie się podział Antonio? - zapytała po chwili.

Sam również zaczął się przyglądać ciemnemu wnętrzu świątyni.

- Był tu jeszcze przed chwilą.
- Kretyn - zdenerwowała się Remi. - Poszedł po Reginalda. Mogliśmy to przewidzieć. Oddaj mi mój pistolet -zażądała, zwracając mężowi karabin.
- Remi, to że Antonio postanowił popełnić harakiri, nie znaczy, że musisz iść w jego ślady.
- Poszedł zrobić to, czym sama powinnam była się zająć.
- Nie, poszedł zrobić coś bardzo głupiego i nie powinnaś się w to mieszać.
- Wrócimy do tej rozmowy później, Fargo.
- Remi.,.

W dwie sekundy dobiegła do schodów i zanim Sam zdołał cokolwiek zrobić, zniknęła w ciemnej czeluści. Trzymała pistolet przed sobą, a wolną ręką opierała się o ścianę. Do tej pory na dole nie padło więcej strzałów, co było dobrym znakiem. Nie czuła też, by Antonio był bezpośrednio przed nią, co oznaczało, że musiał już dotrzeć do końca schodów i skręcić w stronę jaskini.

Mijając ciało Guerrero, schyliła się i podniosła jego pistolet, leżący nieopodal. Wsunęła go za pasek na plecach i ruszyła dalej, schodząc na sam dół. Docierała tu odrobina światła z zostawionej w jaskini lampy, dzięki czemu była w stanie rozróżnić niektóre szczegóły wyrytych na ścianach piktogramów. Przytuliła się do ściany i przygotowała do wyjścia na prawo.

Przykucnęła nisko, by stanowić jak najmniejszy cel dla Reginalda, i weszła w korytarz. Nic się nie stało. Zaczęła bardzo powoli posuwać się naprzód. Wzrok przywykł jej już do półmroku. Wodziła ręką z pistoletem po wszelkich możliwych kryjówkach przeciwnika. Cały czas nasłuchiwała, ale do jej uszu docierał tylko nikły dźwięk kapiącej gdzieś w głębi jaskini wody.

Szybkim, płynnym ruchem wślizgnęła się do wnętrza groty, cały czas trzymając berette pewnie przed sobą, i natychmiast zamarła, widząc na drugim końcu pomieszczenia Reginalda, który krył

się za Antoniem i trzymał pistolet przy jego skroni.

- Rzuć to albo rozwalę mu łeb - zażądał.
- Strzelaj. On zabił Maribelę - wydyszał Antonio. Reginald potrząsnął głową.
- To nie ja, tylko Guerrero - skłamał.
- Zastrzel go! - krzyknął Antonio, próbując się wyrwać.
- Daj mi choć jeden powód, żebym nie strzeliła - powiedziała Remi, podchodząc o krok bliżej.
- Zabiję go, przysięgam!
- A co to zmienia? - Znów zrobiła krok naprzód. - Jeśli rzucę broń, zabijesz mnie.
- Wszystko poszło nie tak! Teraz chcę już tylko wyjść z tego w jednym kawałku. Nie zmuszaj mnie, żebym go zabił - powiedział szybko Reginald, a po chwili krzyknął histerycznie: - Masz pięć sekund, potem obryzga cię jego mózg!
- Spokojnie, Reginaldzie. - Remi zaczęła opuszczać pistolet. - Wierzę ci. Jeśli nas zabijesz, Sam cię zastrzeli, jak tylko wychylish głowę zza schodów. Nim zdążysz wejść na ostatni stopień, będziesz już bardziej martwy niż Elvis.

Reginald zamrugnął nerwowo. - ■ Zamknij się i rzuć broń!

- Zastrzel go wreszcie! - nie ustępował Antonio.
- Kładę broń na ziemi - powiedziała Remi, klękając, ale nawet przez moment nie spuszczając Reginalda z oczu. Gdy kładła pistolet na kamiennej posadzce, dostrzegła w jego spojrzeniu błysk triumfu, na który czekała.

Reginald skierował lufę pistoletu w jej stronę, uśmiechając się z wyższością.

- Ty durna krowo...

Ponieważ patrzył jej prosto w oczy, a wcześniej na pistolet odkładany na podłogę, nie zwrócił uwagi, że cały czas trzymała lewą rękę za plecami.

Pocisk trafił go w ramię, kilka centymetrów nad barkiem Antonia. Pod wpływem uderzenia Reginald zakręcił się w miejscu, a archeolog natychmiast rzucił się na niego, chcąc się zemścić za zabicie siostry. Pistolet Reginalda upadł na ziemię. Kiedy mężczyźni szamotali się ze sobą, Remi podbiegła i kopnęła broń poza zasięg któregośkolwiek z nich. W tym samym momencie z góry dobiegł głos Sama:

- Remi! Wszystko w porządku?
- Tak jest, panie Fargo.

Sam przekazał karabin opierającemu się o ścianę przy wejściu Lazło i zszedł na dół, by rozdzielić walczących. Zanim dotarł na miejsce, Antonio przestał tłuc Reginalda i tylko trzymał go za kołnierz, wpatrując się w jego twarz szklącym wzrokiem.

Reginald był nieprzytomny. Sam zauważył to i zwrócił się do Antonia:

- Wygląda na to, że na jakiś czas mamy go z głowy.
- On zabił moją siostrę - wysyczał Antonio.
- Bardzo mi przykro, wierz mi - powiedział Sam. - Ale kwestię kary musisz pozostawić wymiarowi sprawiedliwości.

Antonio ponownie spojrzął na zakrwawioną twarz Reginalda, tym razem już całkiem przytomnie, jakby obudził się z jakiegoś transu, i wreszcie go puścił. Wstał powoli i popatrzył na swoje opuchnięte knykcie, jakby w dalszym ciągu zastanawiał się, czy Reginald zasługuje na sprawiedliwy proces.

- To nie jest właściwa metoda - rzekł Sam, podchodząc do niego. - Zresztą nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły i żeby wyjść z tego cało, musisz zachować trzeźwy umysł. Weź się w garść!

- Daj mi chwilę, muszę się uspokoić - odparł Antonio, oddychając głęboko. - Co z ludźmi z kartelu?

- Przed chwilą słyszałem, że w okolicę przyjechały dwa pojazdy. Na miejscu tych bandziorów zmykałbym w podskokach. Nie podejrzewam, aby zamierzali walczyć z naszym wsparciem. - Sam cały czas uważnie przyglądał się młodemu archeologowi. - Na wszelki wypadek chodźmy na górę. Lada moment pojawią się żołnierze, pewnie już tu idą od drogi.

Antonio rozejrzał się po komnacie i jego wzrok spoczął na martwym ciele siostry.

Dokuśtykał do nich Lazło i stanął tuż obok Maribeli, rozpraszając jego uwagę.

Sam schylił się, podniósł rewolwer Antonia, schował go do kieszeni i delikatnie dotknął jego ramienia.

- Chodźmy. Przywitajmy się z naszymi wybawcami. Remi ruszyła za nimi. Gdy wchodzili po schodach, odwróciła się.

- Wszystko w porządku, Lazło? - zawołała w ciemność.

- Nie martwcie się, jestem tuż za wami - usłyszała dobiegającą z dołu odpowiedź.

Na ostatnich stopniach Sam włączył latarkę i trzymając ją przed sobą, dokładnie rozejrzał się po wnętrzu świątyni. Nagle zatrzymał się na szczycie schodów.

- Coś się stało? - spytała szeptem Remi.

Sam chwilę stał nieruchomo, po czym odwrócił się i syknął przez zaciśnięte zęby:

- Janus zniknął.

ROZDZIAŁ 45

Zniknął? - zdumiała się Remi.

- Leżał tu nieprzytomny, gdy schodziłem na dół. Widać zdążył się ocknąć. Albo cały czas udawał i czekał tylko na okazję, by dać drapaka.

- Musisz go dopaść. Nie możemy dać mu uciec po tym wszystkim - warknął Antonio.

- Nie musisz mi tego mówić. Idę po niego.

- Jesteś pewien, Sam? W pobliżu leżało sporo broni... -ostrzegła Remi.

- On próbuje uciec. Nie będzie na nas czekał w zasadzce z karabinem w ręku. To nie w jego stylu.

- A jeśli się mylisz?

W odpowiedzi wręczył jej berettę i rewolwer strażnika.

- Trzymaj. Jeśli zobaczycie kogoś innego niż ja lub policja, strzelajcie do wyczerpania amunicji.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Jestem gotów zaryzykować.

Sam wyłączył latarkę i podszedł do wyjścia. Zatrzymał się na chwilę, próbując wyczuć, czy

gdzieś w pobliżu nie czai się jakieś niebezpieczeństwo, po czym wyskoczył na zewnątrz i przekoziółkował na udeptanej trawie, nasłuchując odgłosu wystrzałów.

Nic się nie stało.

Rozejrzał się po okolicy i stwierdził, że księżyc świeci dużo jaśniej, niż wydawało mu się z wnętrza świątyni, ale poza tym niczego nie widział. Zastanowił się, w którą stronę mógł pójść Anglik. Na pewno nie zamierzał iść w kierunku, z którego mogli nadejść meksykańscy żołnierze lub policjanci. Oddalając się od świątyni, natknął się na ciało jednego z bandytów. Kabura przy jego pasie była otwarta i pusta, co znaczyło, że Janus jednak postanowił się uzbroić. Sam ruszył wąską ścieżką, którą przybyli tu ludzie z kartelu, ostrożnie stawiając kroki, by Janus nie mógł usłyszeć, że ktoś się do niego zbliża. Fale rozbijały się o pobliski brzeg i w powietrzu czuć było słony zapach morza. Sam kontynuował wędrówkę przez zarośla, przystając i nasłuchując co jakiś czas, na wypadek gdyby Janus nie był równie ostrożny i pędził naprzód niczym raniony dzik. Ale słyszał tylko huk przyboju. Przeszedł między drzewami, z których zwisały się liany, i gęstymi krzakami otaczającymi niewielką kolistą polaną ciągnącą się aż do kamiennego klifu, o który rozbijały się fale. Nagle zauważył przed sobą opromienioną księżycową poświatą sylwetkę Janusa. Niestety poniewczasie, bo Anglik mierzył prosto w jego głowę z odległości niespełna dziesięciu metrów. Mysz postanowiła rzucić wyzwanie kotu.

W mgnieniu oka Sam uniósł swój rewolwer.

- To koniec, Benedict. Rzuć broń.
- Nie zamierzam - odparł Janus, uśmiechając się chłodno. - Znaleźliśmy się w sytuacji nazywanej meksykańskim impasem.
- Jak zwał, tak zwał - mruknął Sam. - I tak zapłacisz za śmierć niewinnych ludzi.
- Nigdy nikogo nie zabiłem - powiedział Janus.
- Nie wierzę ci.
- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz. - Janus wzruszył ramionami. - Ale nie mam krwi na rękach.
- Może nie zabiłeś nikogo osobiście, ale twoje działania doprowadziły do śmierci wielu ludzi.
- Nie z mojej winy, mój drogi. Naprawdę. Nie miałem wpływu na wszystko, co się wydarzyło. Przyznaję to z żalem, ale mój meksykański współnik wziął sprawy w swoje ręce, a jak już wspominałem, tubylcy rozwiązują problemy na własny sposób. Bez pomyślniku, obawiam się.
- Mogłeś to zatrzymać! - warknął Sam.
- Nie, nie mogłem. - Janus pokręcił głową. - Mój brat swoją głupotą naraził nas obu na wielkie niebezpieczeństwo. W efekcie obu nam groziła śmierć. A ja od tego momentu miałem praktycznie związane ręce. Nie z własnej winy, ale na to nic już nie dało się poradzić.

Od strony morza dobiegł ich dźwięk helikoptera. Żaden z mężczyzn nie odzywał się, a huk silnika stawał się coraz głośniejszy. Po kilku chwilach na polaną padł snop światła z reflektora.

- To meksykańskie władze - oznajmił Sam z uśmiechem. - Mam nadzieję, że odwiozą cię do więzienia w komfortowych warunkach.

Ku zaskoczeniu Sama, Janus odpowiedział na jego uśmiech gromkim śmiechem.

- Owszem, spodziewam się, że podróż będzie bardzo wygodna, zwłaszcza że bynajmniej nie skończy się w więzieniu. Lecę na swój jacht, czekający poza wodami terytorialnymi Meksyku.

Sam zdenerwował się buńczuczną reakcją Anglika, ale widząc, że zbliżająca się maszyna nie ma wojskowego kamuflażu, lecz jasnoniebieską barwę, zrozumiał, że Janus nie blefuje.

- Mogę cię zastrzelić, zanim wejdiesz na pokład. Janus popatrzył mu głęboko w oczy, po czym

rzucił swój pistolet na ziemię. Wzruszył ramionami i niespiesznie odwrócił się w stronę śmigłowca. Maszyna wylądowała po chwili i na ziemię wyskoczyło dwóch uzbrojonych ludzi, celując w Sama. Ten, niespieszony faktem, że znalazł się w mniejszości, wciąż celował w plecy Janusa.

- Nadejdzie dzień, w którym zapłacisz za wszystko.

Benedict ruszył do helikoptera. Gdy był już bardzo blisko, zatrzymał się, odwrócił ponownie do Sama i zawołał, przekrzykując łoskot wirnika:

- Tak jak mówiłem, ja nie zabijam ludzi. Nawet ciebie, Samie Fargo.

- Przynajmniej nie dostałeś Oka Niebios.

- To prawda - odparł Janus. - Ale z pewnością znajdzie się jeszcze jakiś skarb, przy którym spotkamy się znowu.

Po tych słowach wsiadł do śmigłowca, a Sam stał jak skamieniały i patrzył, jak maszyna wzbija się w powietrze i odlatuje w kierunku morza.

- O tak - mruknął pod nosem. - Jeszcze się spotkamy.

Dopiero teraz opuścił rewolwer i obserwował lot helikoptera, dopóki ten nie zniknął mu z oczu. Został zupełnie sam na szczycie urwiska. Wraczał do świątyni wolnym krokiem, a bryza łopotała jego ubraniem.

Gdy dotarł do wejścia, Remi wybiegła mu na spotkanie i rzuciła mu się na szyję. Przytulił ją bardzo mocno, po czym spojrzął jej w oczy.

- Uciekł.

- Jak to? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

-Puściłem go - wyjaśnił. - Nie mogłem strzelić nieuzbrojonemu człowiekowi w plecy. Nawet jemu.

Remi wyjęła mężowi rewolwer z dłoni. Obejrzała go w świetle księżyca i otworzyła bębenek.

- To się dobrze składa. I tak nie miałeś naboju.

ROZDZIAŁ 46

Fargo obserwowali w milczeniu, jak uzbrojeni żołnierze otaczają obszar wokół świątyni. Podeszli do nich czterej sanitariusze. Remi pokazała im leżącego pod ścianą Lazło i dwóch zawróciło po nosze, a pozostała dwójka ruszyła za Antoniem do podziemi po Reginalda.

Sam podeszedł do Lazło, który wyciągnął do niego drżącą rękę.

- Nic nie mów. Zaraz się tobą zaopiekują - powiedział Sam.

Lazło ruchem dłoni przywołał go bliżej. Sam spojrzął pytająco na sanitariuszy, a ci wzruszyli tylko ramionami, zdążywszy się już upewnić, że stan rannego jest stabilny. Sam klęknął przy przyjacielu, uśmiechając się krzepiąco.

- Leż spokojnie. Oszczędzaj siły.

Nagle ze świątyni wyskoczył zaaferowany Antonio. Remi obejrzała się na niego.

- Co się stało?

- Oko Niebios zniknęło - wyszeptał wstrząśnięty archeolog. - To katastrofa!

Lazło skrzywił się i zakasłał.

- Moja... kurtka... - powiedział, spoglądając w stronę miejsca, w którym jeden z sanitariuszy

położył jego zakrwawioną wiatrówkę.

- Zimno ci? - spytał zmartwiony Sam.
 - Nie. Kamień... jest w jednej z kieszeni.
 - Co? - Sam dopadł do kurtki i po chwili trzymał w ręku ogromny szmaragd.
- Pomyślałem, że lepiej... usunąć pokusę... skoro spodziewaliśmy się... wielu gości... - wyjaśnił Lazło i zamknął oczy, wyraźnie zmęczony przemową.

Remi i Sam wymienili spojrzenia, po czym oddali kamień Antoniowi, który wziął go w dłoń z namaszczeniem, niczym relikwię.

- Pilnuj go - rzekł Sam. - To niezwykle ważny element historii twojego kraju.

Antonio kiwnął głową, wpatrując się w największy skarb Tolteków. Targały nim sprzeczne emocje. Nie mógł przestać myśleć o tym, co spotkało jego siostrę.

Siedem godzin później Lazło odzyskał przytomność w szpitalu wojskowym w Veracruz po dwugodzinnej operacji. Lekarze byli dobrej myśli. Przy odrobinie szczęścia powinien szybko dojść do siebie z zaledwie dwoma bliznami na pamiętkę.

Kiedy Sam i Remi podeszli do jego łóżka, otworzył oczy. Wciąż był bardzo blady, choć wpompowano w niego kilka jednostek krwi i plazmy. Odchrząknął i zamierzał ich uraczyć kolejnym ze swoich bon motów, ale Sam uprzedził go, kręcąc głową.

- Nic nie mów. Przyjdziemy jutro. Teraz chcieliśmy tylko poczekać, aż się obudzisz. Wygląda na to, że po raz kolejny uciekłeś spod kosy kostuchy. Musisz mieć dziewięć żywotów, jak kot.

-Ja...

- Spokojnie, teraz masz tylko odpoczywać. Nic nie wymaga twojej natychmiastowej uwagi. Czekaliśmy tylko, żeby cię zapewnić, że cały czas jesteśmy w pobliżu, gdybyś czegokolwiek potrzebował. Wyśpij się, a my przyjdziemy jutro, dobrze? - powiedział Sam, a Lazło skinął głową, po czym zamknął oczy i odpłynął w sen.

Obszar wokół świątyni został zamknięty kordonem, a na drodze dojazdowej stanął punkt kontrolny. Sam i Remi pokazali wartownikom swoje paszporty i gdy kapral sprawdził ich nazwiska na swojej liście oraz upewnił się dodatkowo w krótkiej wymianie zdań przez radio, przepuszczono ich dalej. Jeden z żołnierzy polecił im zaparkować w miejscu, gdzie stało już kilka wojskowych pojazdów. Sześćdziesiąt-ciometrowa ścieżka prowadząca do świątyni została utwardzona i poszerzona przez wojsko, aby można było po niej przewozić niezbędny sprzęt. Co kilka metrów rozstawiono kilkuosobowe patrole, co utwierdziło Amerykanów w przekonaniu, że tym razem wojsko bardzo skrupulatnie przestrzega wszelkich zasad bezpieczeństwa.

Dotarli do miejsca, które przed kilkoma godzinami przypominało duży kopiec ziemi. Teraz było tu jak w mrowisku, wszędzie dokoła kręcili się robotnicy oczyszczający ruiny świątyni z piachu pod czujnym okiem Antonia. W pobliżu rozstawiono duży namiot i zawieszoną na czterech palach płachtę, pod którą technicy rozstawiali swoje urządzenia przy cichym dudnieniu pracującego już generatora.

- Zdążyłeś choć trochę się przespać, Antonio? - spytała Remi, gdy podeszli bliżej.
- Tak, kilka godzin. Ale nie ma czasu na spanie, przecież jest tyle do zrobienia! Jak sami widzicie, w tej chwili staramy się oczyścić zewnętrzne ściany. Drugi zespół pracuje już w środku. Skatalogowanie wszystkiego zajmie trochę czasu.
 - A co z Okiem Niebios?
- Jest w sejfie dowódcy bazy wojskowej i czeka na bezpieczny transport do stolicy.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?
- Co najmniej tydzień. Potem przez jakiś czas będę krążył między tym stanowiskiem a Teotihuacan. Oba odkrycia są fenomenalne. Naród Meksyku pozostanie waszym dozgonnym dłużnikiem.
- Nam wystarczy satysfakcja z dobrze wykonanej roboty - powiedziała Remi, a Sam przytaknął jej słowom.

Antonio machnął ręką w stronę oczyszczonego już płaskiego dachu świątyni, zawołał coś po hiszpańsku do robotników i ponownie zwrócił się do swoich gości.

- Co z Lazło?
- Wylize się.
- A dowiedzieliście się czegoś o Reginaldzie?
- Został aresztowany, w tej chwili leży w tym samym szpitalu co Lazło. Jest w ciężkim stanie, stracił sporo krwi, ale też przeżyje - odparł Sam.
- Chciałem was o coś prosić. Nie przychodzi mi to łatwo, ale muszę, ze względu na moich rodziców. Czy jest jakiś sposób, by w oficjalnym raporcie pominąć udział Maribeli w planach Benedicta?

Sam i Remi uśmiechnęli się jednocześnie.

- Rozmawialiśmy już o tym z policją. O ile nam wiadomo, Maribela była przypadkową ofiarą strzelaniny - powiedział Sam.
- Rujnowanie jej reputacji nikomu na nic się nie zda -dodała Remi.
- Dziękuję. Nie wiecie, jak wiele to dla mnie znaczy.
- Bardzo nam przykro, że tak to się skończyło... i że umarła.

Antonio popatrzył w zamyśleniu na błyszczącą w słońcu powierzchnię Zatoki Meksykańskiej. Gdy po kilku chwilach ponownie zwrócił się w stronę Amerykanów, w jego oczach lśniły łzy.

- Pomimo wszystko... była moją siostrą.
- Sam kiwnął głową, a Remi z trudem przełknęła ślinę.
- Wiemy o tym, Antonio. Wiemy.

ROZDZIAŁ 47

La Jolla, Kalifornia

Cztery dni później, po dobrze przespanej nocy, Sam i Remi siedzieli w kuchni, patrząc na kobaltowy błękit Oceanu Spokojnego, który rozciągał się stąd aż do Japonii. Selma przyniosła dzbanek kawy i postawiła go obok swojej herbaty. Usiadła naprzeciwko Sama i Remi i zaczęła im się przyglądać.

- Wygląda na to, że oboje jesteście w świetnej formie, pięknie opaleni.
- Owszem. Najwyraźniej zbijanie bąków w Meksyku bardzo nam służy - zakpił Sam.
- Powiedzmy, że otrzymaliście standardową dawkę emocji - podsumowała Selma.
- Jasne, nic nadzwyczajnego - stwierdziła lekceważąco oi. - Strzelaniny, zabójcy z kartelu, ukryty skarb. Nasz chleb powszedni...

Sam popijał kawę, a Selma zrelacjonowała im, co się działo podczas ich nieobecności. Kendra wreszcie dostała swoją wymarzoną pracę na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego i miała zacząć w przyszłym tygodniu.

- Świetnie. Dzięki, Selmo, że ściągnęłaś ją do naszej ekipy.
- Wiem, że bardzo jej się podobało. Cały czas powtarzała, żeby do niej dzwonić, jeśli tylko będzie mogła się do czegoś przydać.
- To miło z jej strony.
- Od jutra bierze wolne. Musi ściągnąć resztę rzeczy i pożegnać się.
- Doskonale. Chcę jej osobiście podziękować - powiedział Sam.
- Aha, jeszcze jedno. Słyszeliście już, że Antonio został mianowany nowym szefem Państwowego Instytutu Antropologii i Historii? Najmłodszym w historii, nawiasem mówiąc.
- Należało mu się. Jest zawołanym archeologiem i w pełni sobie na to zasłużył - orzekła Remi. - Sam, pamiętaj, trzeba wysłać mu gratulacje.
- Oczywiście. - Sam zrobił krótką pauzę i zmienił temat. - Selmo, muszę przyznać, że wyglądasz doskonale.
- Och, dziękuję ci. Czuję się też całkiem nieźle. Lekarze są ze mnie zadowoleni. Muszę chodzić na kontrole, ale zarówno operacja, jak i rehabilitacja zakończyły się sukcesem. Zdradzę wam jeszcze, że zapisałam się na kurs stepowania. Lekarz mi zalecił. Podobno to ma zbawienny wpływ na stawy biodrowe.

Remi popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Cieszę się z twoich postępów. Ale to stepowanie...
- Też mam mieszane uczucia. Natomiast zła wiadomość jest taka, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym wróciła do pracy, więc znów będziecie na mnie skazani.
- Jesteś najlepszym analitykiem na świecie, więc słowo „skazani” jest nie na miejscu - zaprotestował Sam.

Selma zaczerwieniła się i odwróciła, by popatrzeć na bezmiar oceanu.

- A co z Benedictem i jego bratem?
- Reginald został aresztowany, śledztwo jest w toku. Prawdopodobnie będziemy musieli kiedyś polecieć do Meksyku i złożyć zeznania, ale ciężą na nim tak poważne zarzuty, że nie wyjdzie z więzienia do końca życia.
- Nie uda mu się jakoś wykręcić? Sam pokręcił głową.
- W żaden sposób. Jego współnikami byli jeden z najważniejszych bossów Los Zetas i cała grupa zabójców z kartelu. Badania kryminalistyczne potwierdziły, że Maribela zginęła od kuli wystrzelonej z jego broni. Na pewno się nie wywinie, chociaż chodzą słuchy, że może nie doczekać procesu. Podobno Los Zetas obarczają go odpowiedzialnością za śmierć Guerrero, więc dla bezpieczeństwa zamknięto go w pojedynczej celi.
- A Janus? Czy da się mu coś udowodnić?
- Złożyliśmy zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, ale nie sposób postawić mu zarzutów, bo zapadł się pod ziemię. Tak czy inaczej, nie sposób mu udowodnić, że pociągał za spust, bo jedyny świadek, który mógłby to potwierdzić, Guerrero, już z nikim nie będzie rozmawiał, chyba że z samym Lucyferem.
- Przecież Janus tam był. Możecie go z tym powiązać - powiedziała Selma.
- Wiem, ale to nie jest takie proste. Gdyby wciąż przebywał w Meksyku, to co innego, ale

ponieważ go tam nie ma...

- ...to znów może mu się upiec - dokończyła Remi.

- Antonio z przyczyn osobistych jest bardzo zainteresowany wsadzeniem ich obu za kratki. Założę się, że zrobi wszystko, co możliwe, by nie uszło im to na sucho - powiedział Sam.

Selma poprawiła się na krześle.

- No cóż, odwracamy następną kartę w historii Sama i Remi. Co dalej? Wspominałeś coś o Lazło.

- Na razie nic pewnego. Co prawda powiedział nam, że zostanie przez jakiś czas w Meksyku, żeby pomóc Anto-niowi, ale podejrzewam, że wkrótce będziemy go częściej widywali w naszej okolicy.

- Jeśli naprawdę się zmienił, to może być nawet interesujące - stwierdziła Selma.

- Kula, która go trafiła, najwyraźniej pozytywnie wpłynęła na jego nastawienie do życia. Sądzę, że uda mu się wyjść na prostą.

Selma zmrużyła oczy i uśmiechnęła się.

- No cóż, jak zwykle w takich przypadkach czas pokaże, czy miałeś rację.

ROZDZIAŁ 48

Czterdzieści pięć dni później, Mexico City

Państwowe Muzeum Antropologiczne obwieszono kolorowymi banerami zapowiadającymi wystawę dotyczącą dziedzictwa Tolteków. Jej główną atrakcją miało być słynne Oko Niebios, szmaragd, który od chwili odnalezienia stał się tematem artykułów prasowych i programów telewizyjnych. Bliskie kontakty Tolteków z wikingami w okresie rozkwitu ich cywilizacji uznano za niepodważalny fakt, a klejnot upamiętniał współistnienie tych dwóch kultur.

Przedstawiciele władz wraz ze śmietanką towarzyską Me-xico City uczestniczyli w uroczystości opisywanej jako „wydarzenie sezonu”. Szesnastoosobowa orkiestra mariachi grała ulubione melodie na zewnętrznym dziedzińcu, a kelnerzy krążyli pośród tłumu gości, serwując aperitify i napoje chłodzące.

Sam, Remi i Antonio popijali szampana, stojąc w pobliżu wejścia strzeżonego przez dwóch uzbrojonych wartowników. Lazło, który im towarzyszył, przestępował z nogi na nogę i wpatrywał się w tłum, ściskając w dłoni szklankę z wodą sodową.

- Muszę przyznać, że szybko się z tego wygrzebałeś -zagadnęła go Remi. Odkąd przyjechali, Lazło wiercił się nieprzerwanie, bo odwykł od noszenia smokingu i muszki.

- To jeden z elementów mojego przebiegłego planu zawładnięcia tym krajem - powiedział, puszczając do niej oko, po czym zwrócił się do Sama: - Za to tobie, mój drogi, zazdroszczą wszyscy obecni tu panowie.

Remi była ubrana w wieczorową sukienkę z szyfonu z koralikami, która mieniła się w blasku lamp zewnętrznego oświetlenia. Uśmiech Sama wystarczał za tysiąc słów.

- Pomoc waszego przyjaciela przy wykopaliskach okazała się nieoceniona. Chyba nawet nauczył się paru hiszpańskich zwrotów - wtrącił Antonio z uśmiechem.

- Cieszę się, widząc cię w pełni sił. Od początku wiedziałem, że ta kula za bardzo ci nie zaszkodzi - powiedział Sam.

- Złego licha nie weźmie. Faktycznie, czuję się doskonale. Z drugiej strony, nikomu nie życzę tego, co mnie spotkało.

- Jak to mówią, wszystko dobre, co się dobrze kończy -podsumowała Remi i uniosła kieliszek do toastu.

Antonio nagle spowaźniał.

- Pewnie słyszeliście już o Reginaldzie?

- Nie. Chyba nie chcesz powiedzieć, że uciekł - zaniepokoił się Sam.

- Został zabity podczas wczorajszych zamieszek w więzieniu. Śledztwo jeszcze trwa, ale ze swoich źródeł dowiedziałem się, że rozruchy zostały sprowokowane w celu odwrócenia uwagi strażników, aby kilku bandytów z Los Zetas mogło dokonać zemsty. Zatlukli go na śmierć.

Remi pokręciła głową.

- Kto mieczem wojuje...

- Nie uważam, żeby w związku z tym świat poniósł wielką stratę - stwierdził Lazło, a Antonio przytaknął w milczeniu.

- Czy są jakieś wieści o Janusie? - spytał Sam. Antonio potrząsnął głową.

- Nie. Wygląda na to, że zapadł się pod ziemię. W Meksyku wydano nakaz jego zatrzymania, ale nie bardzo można go wyegzekwować poza granicami kraju. Nie postawiono mu żadnych konkretnych zarzutów, więc trudno liczyć na międzynarodową współpracę organów ścigania, zwłaszcza że chodzi o człowieka z dużymi pieniędzmi i licznymi koneksjami.

Orkiestra przestała grać, a do mikrofonu podeszła elegancka matrona i ogłosiła coś po hiszpańsku. Kiedy skończyła, Antonio szeptem streścił jej słowa.

- Za dwie minuty otworzą się drzwi i Oko Niebios po raz pierwszy zostanie zaprezentowane publicznie, tak aby cały Meksyk mógł je zobaczyć. To bardzo ekscytująca chwila. Mam nadzieję, że dacie się namówić na krótki wywiad i sesję fotograficzną z klejnotem. Media domagają się tego od dawna.

- A musimy? - spytał Sam.

- Obawiam się, że tak. To nieodzowna część dzisiejszej wielkiej gali.

- Może Lazło mógłby nas zastąpić? Jest o wiele lepszym mówcą, ma smoking i w ogóle... - bronił się Sam.

- Ty też wyglądasz bardzo elegancko, stary druhu - odrzekł Lazło, zezując na granatowy jedwabny garnitur od Ca-nalego, w który ubrany był Sam. - Nie wywiniesz się. Takie są skutki bycia archeologiczną gwiazdą rocka.

Sam z rezygnacją wzruszył ramionami i zwrócił się do Remi.

- No cóż, wygląda na to, że musimy pokazać się z jak najlepszej strony.

Remi mrugnęła porozumiewawczo do Lazła i podeszła do męża, który patrzył na nią wyczekująco. Zauważył figlarne ogniki w jej oczach, kiedy stanęła na palcach i szepn mu do ucha:

- Cip, cip, cip.

ROZDZIAŁ 49

Dwa lata później, Montreal, Kanada

Długa wikińska łódź spoczywała na utrzymujących ją w pionie ręcznie wyprofilowanych z drewna klinach. Opierała się o nie stępką, która okazała się zadziwiająco mocna, choć liczyła sobie tysiąc lat. Odpowiednio rozstawione lampy oświetlały statek, pięknie odrestaurowany dzięki mrówczej pracy zespołu specjalistów, którzy pracowali bez wytchnienia, nierzadko dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dziennikarze przechadzali się po nowym pawilonie przylegającym do muzeum, zaprojektowanym specjalnie jako miejsce ekspozycji niezwykle zabytku, i fotografowali imponujący kadłub oraz wystawę artefaktów w podświetlanych gablotach stojących pod ścianami. Goście zaproszeni na uroczyste otwarcie rozmawiali ściszymi głosami.

Doktor Jennings przebił się przez ciżbę i podszedł do Sama i Remi. Towarzyszył mu wysoki opalony mężczyzna w świetnie skrojonym smokingu od Armaniego. Jego twarz rozciągała się w szerokim uśmiechu, kiedy ścisnął dłoń Sama i całował Remi w oba policzki. Był to ich stary przyjaciel Warren Lasch, który przyleciał, aby spotkać się z nimi po spędzeniu kilku miesięcy swego cennego czasu na pracach nad rekonstrukcją.

Wszyscy czworo obesзли powoli statek, podziwiając staranność, z jaką został przywrócony do dawnej świetności.

- Co za niezwykły widok - powiedziała Remi, patrząc w górę na gniewną smoczą głowę na dziobie. - Doskonała robota, wybitne osiągnięcie.

- Nawet tarcze wyglądają jak nowe - wtórował jej Sam. - Zasłużyliście na brawa.

Jennings uśmiechnął się.

- Na szczęście dzięki hojnej donacji anonimowej organizacji dobroczynnej dysponowaliśmy niemal nieograniczonymi środkami, więc mogliśmy ściągnąć tu statek w nienaruszonym stanie i zrobić wszystko, co należało - rzekł i zwrócił się do Lascha: - Nie udałooby się to bez wydatnej pomocy Warrena, który uczestniczył w całym procesie. Był dla nas jak anioł stróż.

- Obawiam się, że doktor Jennings był łaskaw przesadzić - skomentował skromnie Lasch.

- Nie sądzę. A gabloty na artefakty są doprawdy niezwykle - zauważył Sam. - Ta ekspozycja będzie najcenniejszym klejnotem w koronie waszego muzeum.

- To prawda. Już dotarły do nas prośby z Paryża i Nowego Jorku o wypożyczenie kilku mniejszych eksponatów na wystawy w najbliższych latach. Może jestem trochę sentymentalny, ale szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, że mógłbym spuścić z oka którykolwiek z nich.

-Znam to uczucie - powiedziała Remi. - W każdym naszym odkryciu pozostaje cząstka nas samych.

Podszedł do nich kelner i skłoniwszy się lekko, zapytał:

- Który z panów jest panem Fargo? Sam kiwnął głową.

- Przyznaję się do winy.

- Mam dla pana wiadomość, sir - powiedział kelner, wręczając mu kremową kopertę o fakturze lnu.

- Wiadomość? - zdziwił się Sam. - Od kogo?

- Dżentelmen, który mi ją dał, nie był łaskaw się przedstawić. Powiedział tylko, żebym przeprosił pana w jego imieniu za to, że nie może zostać dłużej.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, dystyngowany, siwe włosy.

Sam oddalił się na kilka kroków, odwrócił tyłem i otworzył kopertę. Przeczytał krótki list i wrócił do towarzystwa z cieniem niezadowolenia na twarzy.

Remi przyjrzała mu się uważnie.

- Co się stało, Sam? Wyglądasz, jakby ci ukradli rower. Sam westchnął i podał jej list.

- To od starego przyjaciela. Remi przeczytała list na głos.
- „Czekam na nasze kolejne spotkanie. Na razie rozejm, ale to nie potrwa długo”. Podpisano: „Janus Benedict”.

Spojrzała na męża.

- Wyglądasz, jakbyś się tym przejął.
- Kiedy nadarzy się okazja, prześlę mu odpowiedź, która pójdzie mu w piętę.

Sam wpatrywał się w tłum gości - kobiety w kolorowych szykownych sukniach, mężczyźni w czarnych smokingach, którzy wyglądali jak umundurowani żołnierze z elitarnego pułku - ale nie dostrzegł nawet śladu Benedicta.

- Obawiam się, że już wyszedł.
- Kiedy spotkamy się następnym razem, nie będzie taki ugrzeczniony - mruknęła. Remi. Sam kiwnął głową.
- Zwłaszcza kiedy się dowie, że podczas naszej następnej wyprawy będziemy szukać Arki Przymierza.

Remi otworzyła szeroko oczy i zrobiła zagniewaną minę.

- Czyżbyś zapomniał mi o czymś powiedzieć? Sam roześmiał się.
- Mam nadzieję, że reakcja Benedicta będzie podobna do twojej.
- Ach tak. Znowu stosujesz swoje oszukańcze sztuczki, aby nabić kogoś w butelkę.
- Tak. Nasz przyjaciel specjalizujący się w kradzieżach zabytków nie znosi rozczarowań.
- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób wsadzasz kij w gniazdo szerszeni.
- Oczywiście.
- Więc gdzie będziemy naprawdę, kiedy Janus spróbuje nas odnaleźć?

Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Będziemy wygrzewać się w słońcu i kąpać w tropikalnej lagunie na Pacyfiku przy okazji poszukiwania śladów starych ruin budowli zaginionej cywilizacji z Wysp Salomona.

Nie zwracając uwagi na kręcące się wokół tłumy, Remi zarzuciła mężowi ręce na szyję, pociągnęła go do siebie i pocałowała.

- Muszę przyznać, Samie Fargo, że jak mało kto potrafisz przypodobać się kobiecie.

KONIEC :(